ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT LITERACKI

PARYŻ 1989

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ 1989

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 452

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0120-7

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Józef LEWANDOWSKI

LUDOWE WOJSKO POLSKIE*

Trudno powiedzieć, by w Polsce Ludowej milczano o jej siłach zbrojnych. Przeciwnie, pisze i drukuje się dużo. Można jednak stwierdzić, że im więcej się drukuje, tym więcej się ukrywa. Dotyczy to zarówno spraw aktualnych jak i minionych[1]. O wojsku wie się mało. Szczególnie znikoma jest wiedza o jego roli politycznej, czyli o udziale w rządzeniu. Dziwne, bo większość mężczyzn przez wojsko przechodzi i spędza w jego szeregach część młodości. Stała rotacja kadr powoduje, że niemal wszędzie spotyka się zawodowych wojskowych w służbie, w rezerwie, na emeryturze, w pracy, w urzędach... Okazji do poznania i refleksji jest dużo. Mimo to do świadomości społecznej docierają tylko banalne przejawy militaryzmu.

---

* Fragment większej pracy.

1. Piszę o tym nie po raz pierwszy. W 1978 roku opublikowałem w *Kulturze* obszerne studium o tym, jak wydatki militarne wpływają na gospodarkę Polski. Podałem tam zarówno przybliżone obliczenia rzeczywistych wydatków jak i znane mi sposoby ukrywania ich przed społeczeństwem („Poza akumulacją i spożyciem. Zbrojeniowe hamulce rozwoju gospodarczego PRL". *Kultura* nr 11/1978, str. 81-104). Publikacja została w kraju przedrukowana przez prasę podziemną (w: *Kultura. Wybór z rocznika 1978*. Warszawa 1979, wyd. *Nowa*, str. 71-86). Nastąpił chwilowy zalew oficjalnych publikacji, artykułów, rozpraw, nawet książek, które nie tylko nie ujawniały faktycznego budżetu militarnego, ale były inspirowane chęcią zaciemnienia obrazu. Oczywiście, gwałtowna reakcja władz świadczyła o trafieniu w czułe miejsce i schlebiała autorowi, choć wolałbym przyczynić się do uzdrowienia gospodarki. Niestety, tego nie mogę powiedzieć. Władze nadal twierdzą, że „... wbrew wielu potocznym opiniom nasz przemysł obronny nie korzysta z żadnych dotacji" (wiceminister przemysłu ciężkiego, gen. Jerzy Modrzewski, na konferencji prasowej, cyt. wg *Kontakt* nr 1-2/1989, str. 55-56).

Dowodem słabej — oględnie mówiąc — orientacji są rozmaite doświadczenia „Solidarności" z okresu między sierpniem 1980 a grudniem 1981 roku. Świadczą one, że nawet inteligentni, krytycznie myślący ludzie dali się zwieść patriotycznym frazesom, jakich nie szczędził wojskowy aparat propagandy, frazesom pokrywającym niekoniecznie patriotyczne zamiary. Dopiero szok 13 grudnia uzmysłowił Polakom pewne sprawy, ale nie uzmysłowił prawidłowości i stan wyjątkowy nadal wydaje się wyjątkiem, a nie regułą.

Niewiedza i złudzenia są wynikiem wielu czynników. Każde wojsko stara się uchodzić za rzecznika interesów narodu i państwa. Na co dzień akcentuje swą rolę integracyjną, ponadpolityczną, jest obrońcą wspólnej ojczyzny wszystkich obywateli. Otacza się atmosferą tajemniczości, więc niemal każdy najbanalniejszy papierek opatrzony jest stemplem tajności. Wszelka rozmowa o sprawach wojskowych może być uznana za zdradę tajemnicy, kodeks karny i regulaminy zostawiają pole dla dowolnej interpretacji. Dlatego ludzie kompetentni, zawodowi oficerowie, są wyjątkowo ostrożni w rozmowach.

Czasem mówi się o tym, że niewiedza i złudzenia co do wojska są konsekwencją polskiej tradycji, w której wojsko, mundur i emblematy były symbolami niepodległości. To tradycja powoduje (a przynajmniej powodowała) niechęć do wnikania w jego sprawy. Roli tradycji w Polsce nie sposób negować, ale nie myślę, by wyżej przytoczony argument był poważnym uzasadnieniem społecznej niewiedzy — w innych państwach bloku sowieckiego trudno dostrzec podobne tradycje, a przecież o wojsku i jego roli w Czechosłowacji lub na Węgrzech wie się mniej więcej tyle co w Polsce.

Ważniejsze wydają się inne czynniki, zakodowane w strukturze wojska w warunkach systemu sowieckiego. Najbardziej rzuca się w oczy centralizacja informacji i decyzji. W Ludowym Wojsku Polskim służy ok. 400 tys. ludzi, mniej więcej jedna czwarta to zawodowcy, roi się od wysokich stopni, ale myli się ten, kto przypuszcza, że każdy major czy pułkownik jest w posiadaniu jakichś tajemnic. Przygniatająca większość wysokich szarż spełnia tylko rozkazy względnie pośredniczy w ich przekazywaniu z góry w dół, otrzymując tylko to minimum informacji, jakie jest potrzebne do sprawnego wykonania rozkazu. Nawiasem mówiąc — zazwyczaj o wiele mniej[2]. W sumie tylko niewielka liczba ofi-

2. Jak wiadomo, wojna Izraela z Egiptem i Syrią jesienią 1973 roku było konfrontacją dwóch systemów, jako że zarówno armia syryjska jak i egipska były organizowane, wyposażone i szkolone przez Związek Sowiecki. Krótko po tej wojnie izraelski generał dowodził mi, że jednym z istotnych

cerów w wyższych sztabach i instytucjach posiada jakie-takie informacje o zadaniach wojska.

W grę wchodzi jednak i drugi czynnik, chyba bardziej istotny. System sowiecki panujący w krajach demokracji ludowej określa się często mianem *partokracji,* ale przynależność do partii wcale nie jest równoznaczna ze sprawowaniem władzy, w większości wypadków oznacza tylko gotowość do podporządkowania się. Dotyczy to również większości zawodowej kadry wojskowej, niemal w całości należącej do PZPR.

Władza należy do wąskiej grupy społecznej, trudnej do zdefiniowania, nazywanej przez Trockiego *biurokracją,* przez Dżilasa *nową klasą,* a przez Voslenskiego *nomenklaturą.* To ostatnie określenie, akcentujące szczególną rolę osób zajmujących stanowiska, o których obsadzie decydują wysokie komitety partyjne, jest najbliższe poprawnej definicji. Do nomenklatury należy tylko znikoma część zawodowej kadry.

Ci, co posiadają władzę, sprawują ją poprzez cztery różne, wzajemnie uzupełniające się instrumenty powszechnego przymusu. Spróbujmy je przedstawić.

Najpowszechniejszy i najczęściej odczuwany jest przymus, wynikający z monopolu posiadania środków produkcji, działalności gospodarczej i dystrybucji. Z punktu widzenia władzy ideałem jest stan, w którym państwo jest jedynym pracodawcą i jedynym dystrybutorem środków spożycia. Mówiąc prościej: każdy człowiek sprzedaje swą pracę państwu, które go wynagradza wedle swego uznania i w formie, jaką uznaje za stosowną. Dlatego warstwa rządząca dąży do monopolizacji gospodarki, nie zważając na rezultaty ekonomiczne. Monopol gospodarczy i wymuszone odeń odstępstwa są zagadnieniami zbyt szerokimi, by je tu omawiać, nie można jednak ich pominąć w przedstawieniu instrumentów władzy.

Drugim narzędziem przymusu jest partia, jej hierarchiczne komitety, poczynając od najwyższych, kończąc na podstawowych organizacjach. W *normalnych* czasach partyjne władze trzymają w karbach społeczeństwo, o ile środki przymusu ekonomicznego nie wystarczają. Partia sprawuje przymus poprzez monopol informacji i poprzez tak zwaną *kierowniczą rolę partii,* czyli wymuszone posłuszeństwo wszelkich organizacji.

źródeł ostatecznej przewagi Izraela nad wielokrotnie liczniejszym przeciwnikiem był inny poziom informacji. Izraelski żołnierz otrzymuje ją obficie, o trzy szczeble wyżej, szeregowiec wie o zadaniach kompanii, dowódca batalionu wie o sytuacji i zadaniach strategicznych całego wojska. Szkolony wedle sowieckich zasad żołnierz egipski otrzymywał tylko zadania do wykonania i był bezradny, gdy sytuacja się zmieniała, a rozkazy nie nadążały.

Następnym instrumentem są organy bezpieczeństwa, w pierwszym rzędzie różne policje, ale również prokuratura, sądownictwo i ich odgałęzienia. Wzajemny stosunek partii i organów bezpieczeństwa jest skomplikowany; w dziejach systemu sowieckiego zaznacza się zarówno ich współdziałanie jak i rywalizacja. W normalnych, postalinowskich czasach aparat bezpieczeństwa podporządkowany jest partii i wkracza wtedy, gdy środki jakimi dysponują komitety partyjne nie wystarczają.

Wojsko jest wreszcie czwartym instrumentem rządzenia. Jest nim zawsze, jego obecność stabilizuje nie uznaną społecznie, nie aprobowaną władzę; jest to szczególnie widoczne w Polsce, gdzie bez oparcia o bagnety, sowieckie czy polskie, *władza ludowa* nie mogłaby nie tylko utrzymać się, ale nawet zaistnieć. Wojsko spełnia więc rolę zarówno czynną jak i bierną. Czynną wówczas, gdy zawodzą lub nie istnieją inne, wyżej wymienione, środki przymusu. Taką rolę spełniało w latach 1944-1947, gdy wprowadzana władza, słabo zorganizowana, nie dysponowała jeszcze innymi instrumentami lub dysponowała nimi w stopniu niewystarczającym.

Wojsko wróciło do roli jawnego stabilizatora władzy w 1981 roku, gdy okazało się, że komitety partyjne i bezpieczeństwo nie były przystosowane do sytuacji, w której ludzie przestali się bać. Była to jednak sytuacja, jak już stwierdziliśmy, wyjątkowa. Dotychczas, w codziennych uwikłaniach, wystarczały codzienne środki przymusu i to — jak wiadomo — z niemałą nadwyżką.

Wcześniej też nie można było powiedzieć, by wojsko kryło się, przeciwnie, przez cały czas istnienia Polski Ludowej natrętnie manifestowało swą obecność i potencjalną siłę. Ale manifestując istnienie i siłę, wojsko czyniło to oględnie, jak gdyby licząc na domyślność. To je różniło od państw afrykańskich czy południowoamerykańskich, nie owijających spraw w bawełnę.

Do powyższych prawidłowości, właściwych dla całego bloku, dołączają się pewne szczególne okoliczności występujące w krajach satelitarnych, a w ZSSR na terenach nie-rosyjskich. Związek Sowiecki wytworzył już dawno, w zaraniu istnienia, skomplikowany system półzależności-półniezawisłości, w praktyce o wiele skuteczniejszy niż czysty, niezamaskowany system kolonialny, skonstruowany w swoim czasie przez mocarstwa europejskie. Sowiecki system podboju sprowadza się do rządzenia przy pomocy związanej z Moskwą organizacji tubylczych namiestników, *narodowych w formie, lecz socjalistycznych w treści*[3].

---

3. Aczkolwiek Związkowi Sowieckiemu należy przypisać zasługę pełnego wykorzystania tego systemu zależności, nie był to wynalazek sowiecki. Zwią-

Ci namiestnicy cieszą się jednak zaufaniem Moskwy tylko *o tyle o ile,* zawsze bowiem istnieje obawa bądź przed ich aspiracjami — jeśli nie zechcą zadowolić się pozorami władzy i połowicznością — bądź przed tym, że narodowa lojalność weźmie górę nad posłuszeństwem wobec Związku Sowieckiego. Albowiem w w Moskwie wiedzą, że co prawda można stwarzać dowolne sztuczne ciała polityczne, to jednak, przy nadaniu im jakiegoś minimum pozorów, ciała te będą dążyć do przekształcenia pozorów w atrybuty, a siebie w organizm autentyczny[4].

Ta prawidłowość spełnia się niezależnie od tego, czy siłą napędową jest ambicja wielkorządców do osiągnięcia pełni władzy, jak w przypadku Ceaucescu w Rumunii, czy też pragnienie odejścia od sztywnych norm systemowych, jak w przypadku „Praskiej Wiosny" 1968 roku. Żadna partia komunistyczna nie cieszyła się nigdy pełnym zaufaniem Kremla, nie cieszył się nim też żaden z lokalnych namiestników. Inaczej nie byłoby takiego upustu krwi właśnie wśród kierowniczych postaci komunistycznych; Nagy, Šlánsky, Kostov...

Nieufność powoduje, że co prawda owe wyżej wymienione cztery transmisje władzy łączą się w jednym budynku w stolicy danego kraju, ale jednocześnie mają i drugi system powiązań, omijający miejscowy komitet centralny i pierwszego sekretarza. Ten drugi system powiązań prowadzi do Moskwy, do tamtejszych resortów, sprawujących nadzór nad bezpieką, wojskiem itd. w krajach satelitarnych. Można dowieść, że — pomijając wyjątkowe okoliczności — polecenia wydawane siłom zbrojnym PRL przez odpowiedni resort sowiecki mają większe znaczenie niż polecenia własnego biura politycznego, nie mówiąc już o dyrektywach warszawskiej rady ministrów.

System podwójnej zależności ma na celu — jak stwierdziłem wyżej — zapobieżenie emancypacji zależnego kraju lub narzuconej władzy spod zwierzchności Związku Sowieckiego. Zależność gospodarcza (rynki zbytu, źródła surowców, normy techniczne, zacofanie technologiczne i konstrukcyjne, rozliczenia finansowe) już czyni taką próbę nader uciążliwą, ale gdyby władze jakiegokolwiek kadeelu, lekceważąc realia, chciały w zasadniczy sposób zwiększyć zasięg niezależności, to usiłowania takie, by były sku-

---

zek Sowiecki kontynuował i rozwinął starsze doświadczenia rosyjskie, a te brały początek — można dowieść — w tatarskiej administracji podbitych ziem. Stosowali taką połowiczną zależność również Anglicy, zwłaszcza w Chinach, gdzie powołali do życia szczególną warstwę kompradorów.

4. Teza nie moja, sformułował ją przed laty i przekonał mnie do jej słuszności prof. Henryk Jabłoński.

teczne, wymagają zgodności działań kierownictwa wszystkich transmisji władzy, a więc administracji gospodarczej, partii, policji i wojska. Każda nieskoordynowana działalność jednej transmisji powinna być zdławiona przez pozostałe, a naruszyciele usunięci z gry politycznej.

Ten schemat nie zawsze przynosi rezultaty, czasem zawodzi, przykładem Jugosławia w 1947 roku, a dwadzieścia lat później Rumunia. Mimo to jest to system przemyślny i — generalnie biorąc — skuteczny. Kto wie, ilu lokalnych namiestników paraliżował strach przed własnymi siłami bezpieczeństwa i własnym ponoć wojskiem? Nie są to rozważania abstrakcyjne. w Polsce, między 1958 i 1960 rokiem sowiecka agentura w bezpieczeństwie za zgodą Gomułki i Spychalskiego, czyli partii, pozbawiła wpływu na politykę i wojsko tak zwaną „grupę Jurków". Byli to młodzi, inteligentni politycy (Jerzy Morawski, Jerzy Albrecht, Władysław Matwin) i generałowie (Jerzy Duszyński, Jan Frey-Bielecki, Janusz Zarzycki, Jerzy Fonkowicz, Bronisław Bednarz, Jan Drzewicki) o poglądach jeśli nie rewizjonistycznych, to liberalnych. Jeden z sowieckich rezydentów w wojsku, gen. Urbanowicz, rozgłaszał, że „Jurkowie" chcieli oderwać Polskę od ZSSR. Nie wiem, czy i na ile generałowie ci byli winni grzechów przypisanych im przez Moskwę, na ile zaś akcja miała charakter profilaktyczny. *Wykończono* ich przy pomocy Wojskowej Służby Wewnętrznej, wojskowej struktury policyjnej, noszącej do 1957 roku nazwę Informacji.

Co wiemy o roku 1956?

Uwagi te nasunęły mi się w związku z lekturą niedawno wydanego zbioru poufnych dokumentów z archiwum KC PZPR[5]. Jest to cenny zbiór, a wydawca — Jakub Andrzejewski — wykonał pracę wzorową, przebijającą mur dezinformacji, budowany przez historyków, mających monopol na pisanie o historii po 1944 roku.

Tom zawiera m.in. szereg cennych materiałów, dotyczących wydarzeń i zjawisk, związanych z *Październikiem* 1956 roku, gdy wojsko odegrało nie tylko niebanalną, ale i nie mieszczącą się w schemacie rolę. Czytając jednak przypisy i komentarze w omawianej publikacji, stwierdziłem, że jeśli w ogóle wydarzenia owe-

5. *Gomułka i inni. Dokumenty z archiwum KC 1948-1982.* **Wstęp, wprowadzenie i przypisy — Jakub Andrzejewski. Wyd. „Aneks", Londyn 1987, str. 272.**

go po dziś dzień pamiętnego miesiąca mają wątłą i wycinkową literaturę, to o roli wojska nie napisano nic, a nasza wiedza opiera się na coraz słabszej, coraz bardziej rozmazującej się pamięci uczestników i świadków wydarzeń.

Andrzejewski pisze, że w środowiskach wojskowych w 1956 roku „... ferment polityczny tłumiony był zarówno przez wymogi dyscypliny wojskowej, jak i przez fakt, że koła dowódcze w większości albo opowiadały się za 'twardym kursem', jak szef Głównego Zarządu Politycznego WP (osławiony generał 'gazrurka' K. Witaszewski), albo stanowili je wyżsi oficerowie radzieccy (z marszałkiem Rokossowskim na czele), rzecz jasna, liczący się tylko z opiniami i decyzjami Moskwy. Toteż partyjne grupy wojskowe zabrały głos dopiero w drugiej fali rezolucyjnej — po VIII plenum KC — gdy zasadnicze rozstrzygnięcia już zapadły..." (str. 97, por. również str. 261).

Cytowane zdania są co prawda logicznym uogólnieniem dostępnych materiałów i uzasadnioną dedukcją ogólnych prawidłowości, nie są jednak prawdziwe w odniesieniu do historycznej rzeczywistości. Ta nie układała się w dedukcyjne wzory. Nawet zaprzeczyła im.

Nim przejdę do spraw związanych z Październikiem, chciałbym nieco uwagi poświęcić poprzedzającym go wypadkom, w tym głównie niektórym mało znanym aspektom załamywania się stalinizmu w Polsce. Nie będzie to pełny obraz, ale przyczynek, próba odpowiedzi na pytania zarówno te, jakie postawił przede mną tekst Andrzejewskiego, jak i te, które w ostatnim czasie otrzymałem, i to z kilku stron. Wiążą się one z polityczną rolą wojska w czasie, gdy pełniłem w nim służbę zawodową. Na pytania te chciałbym odpowiedzieć łącznie. Najpierw jednak o zjawiskach układających się w łańcuch dedukcji. O nich też niewiele wiadomo.

Historia Ludowego Wojska Polskiego oficjalnie zaczyna się w maju 1943 roku, gdy w Sielcach koło Moskwy przystąpiono do formowania 1-ej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, rozbudowanej niebawem do rozmiarów korpusu, później armii, później do jeszcze większych ram organizacyjnych. Rola owego wojska w działaniach drugiej wojny światowej jest dyskusyjna, oficjalna historiografia utrzymana jest w tonie podniosłym; to co wiem z własnego doświadczenia, z rozmów z uczestnikami działań bojowych oraz z nieopublikowanych badań nie potwierdza oficjalnej wersji. Nie ulega natomiast dyskusji, że wojsko to od samego początku odgrywało rolę polityczną i że dla tej roli było monto-

wane. Było ono przede wszystkim przeciwwagą 2-go Korpusu, czyli — jak się powszechnie mówi — armii Andersa. Tę rolę wojsko odgrywało dość długo, ale mimo wszystko była to rola okolicznościowa.

Istotniejszą okazała się rola, jaką wojsko miało odegrać przy wkraczaniu na tereny polskie. Polityka sowiecka znajdowała się tu w obliczu czegoś, co można porównać z kwadraturą koła. Dla zrozumienia jej dylematów przy wkraczaniu na tereny polskie najlepiej przytoczyć fakt, zapisany w sprawozdaniu komisji powołanej na VIII plenum KC PZPR (październik 1956 roku) dla zbadania przyczyn naruszenia praworządności w tzw. okresie stalinowskim. Komisja, zdając sprawę ze swej działalności na kolejnym plenum, stwierdziła m.in., że wiosną 1943 roku, gdy zaczęto formować dywizję kościuszkowską, Stalin wezwał do siebie delegowanych do niej funkcjonariuszy sowieckich służb bezpieczeństwa i wygłosił do nich przemówienie-instrukcję. Nicią przewodnią było stwierdzenie, że w Polsce nie wolno będzie nikomu wierzyć[6]. Sprawozdanie wychodziło z założenia, że Stalin miał antypolski uraz. Ale Stalin nikomu nie wierzył, zresztą, z jakiej racji podbijający mają darzyć zaufaniem podbijanych? W przypadku Polski miał Stalin szczególne uzasadnienia — jego polityka do 1943 roku robiła niemal wszystko, by Polacy znienawidzili Związek Sowiecki. Zresztą i w latach następnych niewiele się zmieniło.

W pewnym momencie Stalin zrozumiał, że nadszedł czas ro-

---

6. Sprawozdanie komisji ma dwie wersje. Tajna po dziś dzień nie jest znana. Tekst opublikowany po 30-tu latach w *Polityce* („Nikt nic nie wiedział", *Polityka* 1988, nr 40, str. 14) nie był co prawda wcześniej drukowany, ale jest tekstem „jawnym", nie ma w nim mowy o sowieckich źródłach stalinizmu, brakuje relacji z odprawy u Stalina i władzy Berii nad warszawskim MBP. W sumie publikacja, robiona pod hasłem likwidacji białych plam, jest kolejnym fałszerstwem.

Do tajnego sprawozdania pozwolono mi zerknąć latem 1957 roku, starannie sprawdziwszy, że nie będę mógł zrobić notatek. Referuję wyłącznie z pamięci, ale właśnie dlatego, że nie pozwolono mi robić notatek i zrewidowano, podstawowe elementy sprawozdania dobrze zapamiętałem.

Ciekawe, że nie udostępniono tego sprawozdania nawet gen. Adamowi Uziembło, członkowi trójosobowej komisji do zbadania naruszeń praworządności, równoległej do komisji powołanej na plenum, ale ograniczonej do spraw związanych z wojskiem. Relacjonowałem mu je w sierpniu 1958 roku, czyli rok po odczytaniu na plenum KC. I jeszcze jedna uwaga: o *niewiernych Polakach* Stalin prawdopodobnie mówił nie tylko w gronie policjantów. W 1958 roku tę samą opinię przytoczył mi czeski historyk, admirator Stalina i stalinizmu, Vaclav Kral, jako powszechną w Kominternie u schyłku lat 30-tych i na początku lat 40-tych. Kral wiedział od Kopeckiego, ten od Dymitrowa.

bienia polityki polskimi rękoma. Zdawałoby się, że po wszystkich czystkach, mordach i deportacjach nie ma na kogo liczyć. Stalin przecież w latach 1933-1940 wymordował nawet polskich komunistów, zostały z nich wybiórki, mogące w najlepszym wypadku stanowić bardzo szczupły zalążek nowej władzy.

W założeniach sowieckich rolę pepiniery funkcjonariuszy dla przyszłej sowietyzacji Polski miała odegrać 1 Dywizja i jej rozbudowane formacje. Zostawmy na stronie rozważania na temat postaw powodujących, że wczorajszy więzień lub zesłaniec, który stracił w łagrze lub w posiołku swych najbliższych, z dnia na dzień staje się podporą gnębiącego systemu, zwróćmy uwagę na skalę społeczną zjawiska, powtórzyło się ono bowiem w tysiącach indywidualnych kopii. Tworzone przez ZSSR polskie formacje spełniły wyznaczoną im rolę. Wchłonęły resztki zdolnych do noszenia broni (a często i niezdolnych) obywateli polskich znajdujących się na terenie ZSSR, a potem, w miarę wkraczania w przedwojenne granice, wchłaniały setki tysięcy żołnierzy. Mobilizacje były przymusowe, ale nie brakowało i ochotników, tych było też tysiące. Stawiano na młodych ludzi, którym *nie matura lecz chęć szczera* miała zapewnić gwiazdki oficerskie i karierę, ale również tysiące przedwojennych oficerów i AK-owców dopraszało się wcielenia. Przyjmowano ich z zastrzeżeniami: w odróżnieniu od 1 Dywizji, gdzie każdy jako tako piśmienny Polak był cenny, teraz było w kim przebierać, zwłaszcza gdy wyszli na wolność oficerowie internowani w oflagach.

To pstre wojsko jeszcze w toku działań wojennych przystąpiło do pacyfikacji kraju. Było dużo dezercji, kilka na wielką skalę, ale mimo to wojsko jako całość okazało się siłą, na której można było polegać. Sprostujmy przy okazji częste czy nawet powszechne mniemanie, że to urzędy bezpieczeństwa odgrywały wyłączną rolę w dławieniu podziemia, zbrojnego i politycznego. Z relacji wynika, że do 1948 roku urzędy bezpieczeństwa miały nikłą obsadę i były uzupełnieniem — o czym wyżej pisałem — realnej siły wojska. Na ten temat istnieje obszerna zresztą literatura, nie wiem dlaczego nie przyjmowana do wiadomości.

W cieniu wojska wegetowały również początkowo komitety partyjne, zwłaszcza powiatowe, ale w jakimś stopniu i wojewódzkie, nie mówiąc o zakładowych, nie mających często odwagi ujawnić się. Zresztą KC PPR też działał w cieniu wojska i opierał się na jego bagnetach, od których był zależny.

W sumie, nawet uwzględniając fakt, że wyższe dowództwo spoczywało przeważnie (choć nie wyłącznie) w ręku generałów sowieckich i uwzględniając rolę doradców w bezpieczeństwie,

trzeba wyciągnąć wniosek, że pacyfikacja kraju odbywała się na ogół polskimi rękoma. Tym różniła się sowiecka (i rosyjska) metoda podboju od niemieckiej. Sowiecka socjotechnika była rzeczywiście przemyślna, ale sprzyjał jej również splot czynników politycznych i społecznych, których przedstawienie wymagałoby odrębnej rozprawy.

Zauważmy, że właśnie wojsko w dużej mierze dawało nowej władzy legitymację w ogóle, a legitymację polskości w szczególności. Uwolnienie kraju od Niemców; walka z hitleryzmem a ponadto i z UPA; argument zagrożenia niemieckiego — niewątpliwie jeden z najsilniejszych atutów wojska i *władzy ludowej* — w połączeniu z aktami obłudy jak codzienna modlitwa przy capstrzyku i pobudce; generałowie (również sowieccy) prowadzący biskupów przy procesji Bożego Ciała, polskie mundury i rogatywki; frazeologia patriotyczna, w której co prawda potępiany był Piłsudski, ale wychwalane inne postacie narodowego panteonu; polszczenie korpusu oficerskiego przy odsyłaniu oficerów sowieckich; wszystko to służyło potwierdzeniu polskości. Co prawda wojsko odgrywało główną rolę w walce z podziemiem, ale była to czynność posiadająca przynajmniej częściową aprobatę względnie zrozumienie w społeczeństwie. Zauważmy też, że starano się zachować pozory neutralności światopoglądowej — partia miała monopol na działalność w wojsku, ale jej organizacje w jednostkach i sztabach działały jeśli nie w konspiracji, to przynajmniej pod kamuflażem.

W wojsku panował terror. Prowokacyjne, sfingowane sprawy sądowe z powodu nieprawomyślnych odezwań, a nawet bez takich pretekstów, były na porządku dziennym; wymiar sprawiedliwości był okrutny, nawet mierzony miarami peerelowskimi; drastyczność stosowanych środków przyczyniała się na pewno do utrzymywania wojska w gorsecie, ale byłoby błędem sprowadzać wszystko do owych środków przymusu. Bo — jak w owych latach pisał Miłosz — takie zwycięstwo też było zwycięstwem i rodziło nadzieję. Zwłaszcza że był to naród przez historię ostatnich lat wyjątkowo ciężko doświadczony.

Wojna spowodowała rozległą lumpenproletaryzację, zwłaszcza młodzieży, która nie tylko ginęła lub traciła zdrowie, ale traciła też możliwość zdobycia wykształcenia i stabilizacji zawodowej. Tym milionom *ludzi na drodze* nowy ustrój w swej pierwszej fazie otwierał oszałamiające możliwości i drogi do kariery, a również jeden z najsilniejszych narkotyków — smak władzy, szczególnie ponętny dla tych, co jeszcze wczoraj byli bezprawnymi poddanymi hitlerowskiej maszyny śmierci.

Za Stalina — dyscyplina

Właściwy zwrot w sowieckiej polityce wobec krajów demokracji ludowej dokonał się jesienią 1947 roku, wymiernym punktem była konferencja partii komunistycznych w Szklarskiej Porębie, ale był to przełom dostrzeżony tylko przez osoby stojące na szczytach politycznej drabiny. W wojsku zdano sobie sprawę z nowej linii politycznej dopiero latem 1948 roku, w związku z usunięciem Gomułki ze stanowiska I-go sekretarza PPR i kampanią przeciwko odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznemu. Sprawy wojska odgrywały ważną rolę w sowieckich oskarżeniach — właściwy kierownik wojska, Marian Spychalski, był współwinnym Gomułki: zarzucano mu odsyłanie oficerów sowieckich, przyjmowanie do służby i powierzanie wysokich stanowisk oficerom przedwojennym tudzież AK-owcom. Później skonstruowano z tych zarzutów spisek przeciwko Związkowi Sowieckiemu[7]. Język kampanii dowodził, że zaczyna się coś podobnego do polowania na czarownice w ZSSR w latach 1936-1938. Po okresie ostrożnego optymizmu nawet niezbyt skłonni do refleksji oficerowie wpadali w mało hamowany pesymizm.

Szczególny niepokój budziły przygotowania do zjednoczenia partii robotniczych, czyli do likwidacji PPS. Ta ostatnia nie była autentyczną partią, była przybudówką PPR, starająca się wykorzystać historyczną nazwę i historyczny autorytet. Gdyby brakowało innych dowodów, to na podrzędność PPS wskazywałoby chociażby to, że nie miała prawa działania w wojsku i nawet o takowe się nie starała. Mimo to pozorowana wielopartyjność Polski Ludowej była jakimś przejawem odmienności ustrojowej, jeśli nie w treści, to chociażby w formach. Dlatego likwidacja PPS była dowodem, że w Polsce rozpoczyna się stalinizacja i utożsamienie z rosyjskim prototypem.

Krótko po Kongresie Zjednoczeniowym (grudzień 1948) Stalin w rozmowie z Mincem narzucił rozbudowę Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i jego terenowych odgałęzień. Ilość etatów w bezpiece zwiększyła się trzykrotnie[8]. Nie była to tylko

---

7. Niektóre zjawiska w Polsce rzeczywiście były niezrozumiałe dla *sowieckich ludiej*. W 1948 roku zrobiono np. polityczną analizę kadry 16 pp w Krakowie. Okazało się, że w kadrze tej potencjalni wrogowie czyli synowie kułaków i ziemian, przedwojenni oficerowie, akowcy, bechowcy, uczestnicy walk niepodległościowych w pierwszej wojnie światowej, osoby represjonowane w ZSSR, osadnicy wojskowi itd. stanowili więcej niż 100 % stanu, jako że niektórzy byli podejrzani z wielu tytułów.

8. Relacja płk. Józefa Jurkowskiego.

zmiana ilościowa, MBP stawała się ostateczną instancją w sprawach personalnych i właściwym rządem.

Zastanawiam się od trzydziestu lat, jak by się zachowało wojsko, gdyby Gomułka ze Spychalskim odwołali się do niego w krytycznej chwili. Taka możliwość, ryzykowna i awanturnicza, istniała zarówno teoretycznie jak i praktycznie, oficerowie sowieccy byli w 1948 roku w Polsce nieliczni, niektórzy, nie wykluczam, wybraliby polską lojalność. Polskich oficerów karmiono — jako ideologiczną odżywką — zapewnieniami, że sowieckie wzorce systemowe nie będą w Polsce stosowane, że Polska pójdzie tak zwaną „trzecią drogą". Te zapewnienia były ideologiczną bazą, jednoczącą kadrę oficerską. Nie znam nikogo, kto by przed latem 1948 roku deklarował się jako zwolennik kolektywizacji, przeciwnie, nawet gorliwi komuniści w intymnych rozmowach, akcentując potrzebę „sojuszu", nie ukrywali odrazy do sowieckich doświadczeń. Widoczna była nadzieja, że Polska zatrzyma się na szczeblu półtotalitarnym, tzw. demokracji sterowanej.

Polski titoizm miał więc jakieś szanse, ale nie był realny. Dla Gomułki i Spychalskiego odwołanie się do społeczeństwa byłoby zaprzeczeniem całej dotychczasowej linii politycznej, wymierzonej przeciwko społeczeństwu, zaprzeczeniem sowieckiego zwierzchnictwa, czymś zupełnie niemożliwym, nie do pomyślenia[9]. Społeczeństwo nie miało też powodów, by ufać tym, w których widziało — jak dotąd — narzędzie sowieckiego panowania.

W sumie, aczkolwiek zmiana kursu w 1948 roku była całkowitym przekreśleniem wcześniej czynionych obietnic i uroczystych deklaracji, wojsko, instytucja wdrożona do posłuchu, z natury dość bezmyślna, podporządkowało się nowym rozkazom i dyrektywom bez większego oporu. Były niezorganizowane, nieskoordynowane protesty, rozprawiano się z nimi na zebraniach partyjnych lub po cichu, poprzez usuwanie z wojska. Kilku wyższych oficerów, komunistów, popełniło samobójstwo, ich nazwiska i przedśmiertne listy nadal są ukrywane, wiem jednak, że były i że

---

9. Dużo do myślenia daje mało znany fakt w biografii Spychalskiego. Jesienią 1939 roku, po klęsce wrześniowej znalazł się on we Lwowie, skąd wrócił na teren okupacji niemieckiej, co nie było naturalnym postępowaniem. Fakt szczególnie ciekawy również przez to, że został zatajony w oficjalnej biografii. Por.: Spychalski M., *Początek walki. Fragmenty wspomnień.* Do druku przygotowali J. B. Garas i M. Stysiak. Warszawa 1983.

W podsumowaniu obrad X plenum w 1957 roku Gomułka mówił, że komunistom niejednokrotnie zdarza się rozminąć się ze społeczeństwem, to nie było nigdy dla niego straszne, przeraźliwe było w 1948 roku rozminięcie się z innymi komunistami.

nosiły polityczny charakter. Widocznie istniała jakaś wiara w ową nigdy nie zdefiniowaną, uwikłaną w sprzeczności *polską drogę*, nie wiadomo na ile totalitarną, na ile demokratyczną, podobnie jak nie wiadomo do czego zmierzającą, ale nie powtarzającą sowieckich ekscesów.

W wojsku zaczął się w 1948 roku proces głębokich zmian. Rozpoczęto intensywną rozbudowę sił zbrojnych. Dostosowane dotychczas do działania na froncie wewnętrznym, a więc zwalczania zbrojnego podziemia i terroryzowania ludności, teraz stawały się częścią strategicznych planów ofensywnych Związku Sowieckiego. Zwiększono o połowę ilość dywizji, przekształcono je z pieszych na pancerne i zmotoryzowane. Podporządkowano przemysł sowieckim zadaniom strategicznym, od 55 % (Ministerstwo Komunikacji) do 90 % (Ministerstwo Przemysłu Chemicznego) inwestycji było w dyspozycji Ministerstwa Obrony Narodowej. Wojsko dławiło słabiutką, zniszczoną polską gospodarkę i w walnym, jeśli nie w głównym stopniu spowodowało jej załamanie się w okresie planu 6-letniego[10]. Przypominam, bo historycy o tym zapomnieli, a ekonomiści w ogóle nie przyjęli do wiadomości, mimo że dużo i publicznie o tym mówiono, również z partyjnych trybun, w 1956 roku.

Duże zmiany nastąpiły w życiu wojska. Aczkolwiek trudno reżym do 1948 roku nazwać liberalnym, to teraz nastąpiło wręcz niewymierne pogorszenie. Zwiększyły się uprawnienia Głównego Zarządu Informacji, który otrzymał sankcję na stosowanie prowokacji. Najbardziej znane ekscesy to proces — latem 1951 roku — przeciwko grupie przedwojennych oficerów (Tatar, Mossor, Kirchmayer i inni), którzy w Ludowym Wojsku zrobili wysokie, często generalskie kariery i zajmowali odpowiedzialne stanowiska, niekiedy związane z tajnymi służbami[11]. Mniej lub nic nie wiadomo o represjach przeciwko mniej prominentnym oficerom i żołnierzom służby czynnej. W kapturowych procesach ferowano wyroki śmierci. Atmosfera strachu, obecna i wcześniej, zgęściła się. Spotęgowało się nasycenie wojska donosicielami. O ile na pułk przypadał dotąd jeden oficer informacyjny, to teraz stało ich trzech.

Korpus oficerski rozbudowywano, wcielając m.in. całe roczniki absolwentów politechnik i niektórych wydziałów uniwersyteckich, pozbawiając gospodarkę dopływu specjalistów. Jednocześnie usuwano z wojska równie intensywnie wszelkie *podej-*

---

10. Szerzej pisałem o tym w: *Poza akumulacją i spożyciem*, *op. cit.*

11. „Trzon grupy Tatara wskazywał bowiem wyraźnie na II Oddział Sztabu Generalnego..." — stwierdza były zastępca szefa tego oddziału (Leder W., „Przeżyłem tamten proces". *Polityka* nr 49/1988, str. 14.

rzane elementy, do jakich zaliczano oficerów przedwojennych, synów właścicieli ziemskich — *kułaków* i burżuazji (burżujami byli również właściciele straganów), członków „Strzelca", osoby posiadające krewnych za granicą, a zwłaszcza otrzymujące paczki. W związku z odchyleniami objęto represjami również członków Armii Ludowej i okupacyjnej PPR, co może miało znaczenie raczej ideologiczne niż praktyczne — AL-owców w wojsku wielu nie było, jako że byli potrzebni w bezpieczeństwie.

Czystki były tak szeroko zakrojone, że nigdy nie doprowadzano ich do końca, bo ich dosłowne wykonanie musiałoby zaszkodzić zadaniom wojska. Istnieją przypuszczenia, że ominięci przy czystkach cieszyli się szczególnymi względami Informacji, a czasem i sowieckich służb policyjnych. Nie wiem, czy podejrzenia są uzasadnione we wszystkich przypadkach, ale znam szereg takich, w których agenturalne powiązania nie ulegają wątpliwości, zwłaszcza gdy osoby podpadające skądinąd pod czystki robiły wysokie kariery.

Bez dostępu do tajnych akt chyba nie sposób sporządzić katalogu tych czystek, tyle ich było i tak różnorodnych. W historii, wskutek zbiegu okoliczności, zaznaczyła się ostatnia, 1952-1953 roku. Jej celem było oczyszczenie wojska z elementów kosmopolitycznych, czyli z Żydów lub Polaków żydowskiego pochodzenia[12]. Kierował nią szef Głównego Zarządu Politycznego, Kazimierz Witaszewski, ale była częścią ogólnosowieckiej kampanii. [...]

Wacław Komar (właściwie: Kosoj) był fanatycznym komunistą z warszawskiego Muranowa. Jako młody człowiek, w latach dwudziestych, wykonał kilka kapturowych morderstw, *wyroków* na ludzi podejrzanych o prowokację i współpracę z policją. Zmuszony do ucieczki z kraju, był w ZSSR, gdzie przeszedł staranne ponoć wykształcenie wojskowe. W czasie wojny domowej w Hiszpanii był dowódcą brygady im. Jarosława Dąbrowskiego,

---

12. Pomijam kłopotliwy, nie dający się racjonalnie rozwikłać problem, kto po wojnie, mieszkając w Polsce, był Żydem, a kto — Polakiem żydowskiego pochodzenia, bowiem jest to rozróżnienie w dużej mierze werbalne. W danym wypadku istniała jednak również strona praktyczna. Do 2-go Korpusu, czyli „armii Andersa", Żydzi zgłaszali się masowo, ale przyjmowano ich bardziej niż wybiorczo. Masowo zgłaszali się również do jednostek formowanych pod sowieckim zwierzchnictwem, ale i tu przyjmowano ich niezbyt chętnie, bano się bowiem, że pomniejszą deklarowaną polskość oddziałów. Mimo to liczba Żydów w tych jednostkach była dość duża, zwłaszcza wobec ewakuowania „polskich Polaków" wraz z 2-gim Korpusem. Szczególnie dużo było Żydów-inteligentów.

zdaniem podwładnych — utalentowanym dowódcą. Oddział II Sztabu Generalnego obsadził w dużej mierze podwładnymi z Hiszpanii, ludźmi obytymi i przedsiębiorczymi. Po przyjściu Rokossowskiego został usunięty z Oddz. II, ale otrzymał wysokie stanowisko Głównego Kwatermistrza. Szefem wywiadu po Komarze został mianowany jakiś sowiecki generał, wspólnie z Głównym Zarządem Informacji montujący sprawę, która zaowocowała aresztowaniami jesienią 1952 roku.

Wrażenie, jakie zrobiło aresztowanie Komara, pogłębiło samobójstwo jego zastępcy, płk. Stanisława Bielskiego. Był on synem wybitnego działacza PPS, a później KPP, Henryka Waleckiego (właściwie: Maksymilian Horwitz), zgładzonego w ZSSR w 1937 roku. Bielski, w owym czasie wyższy oficer armii sowieckiej, został również wtrącony do łagru, skąd wyciągnął go bodajże w 1945 roku Bierut wraz z garstką pozostałych przy życiu polskich komunistów. Bielski — opowiadał jego kuzyn, Jan Kancewicz — nie taił niepokoju wobec następujących kolejno po sobie oznak stalinizacji i zapowiadał, że popełni samobójstwo, „jeśli powtórzy się 1937 rok". Popełnił je w pracy, gdy Informacja przyszła go aresztować[13].

Aresztowania i samobójstwo miały więc wymowę zarówno realną jak i symboliczną, dowodziły, że nastąpił drugi etap niszczenia polskich komunistów, że rozpoczyna się na dobre trzebienie tych, co ocaleli. Tych nawet, co dotąd niszczyli innych.

Aresztowania te miały natychmiastowe reperkusje międzynarodowe. Oto jak mi je relacjonował wiele lat później ich naoczny świadek, płk Kurynia, w 1952 roku szef Wydziału Wojskowych Spraw Międzynarodowych. Niemal natychmiast po tym, jak poczta pantoflowa rozniosła wieść o aresztowaniach, dyplomacja chińska zgłosiła, że Czou En-laj ma zamiar złożyć wizytę w Warszawie. Nie wywołało to entuzjazmu, zdawano sobie sprawę, że chiński przywódca poruszy sprawę jednego z aresztowanych, płk. Flato, jednej z barwnych postaci w otoczeniu Komara. Z wykształcenia lekarz, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, po klęsce strony republikańskiej udał się wraz z trzema kolegami lekarzami do Chin, by montować służbę zdrowia tamtejszej armii komunistycznej. Tam zaprzyjaźnił się zarówno z Mao jak i Czou[14].

---

13. Sprostujmy jedną z nieścisłości w artykule gen. Tadeusza Pióro, jakoby Bielski zastrzelił się w mieszkaniu — samobójstwo miało szczególne okoliczności, bulwersujące partyjną Warszawę (notatka z rozmowy w 1956 roku z Ignacym Maciechowskim).

14. Wedle nie sprawdzonej wersji Flato w Chinach nie poprzestał na leczeniu, lecz objął dowództwo korpusu. Jego szybkiej orientacji i doskona-

W Warszawie brakło jednak stanowczości, nacisk chiński był zdecydowany, rola Chin w bloku sowieckim duża i oto pewnego jesiennego dnia 1952 roku Czou En-laj przybył do Warszawy. Na uroczystym bankiecie witał go Bierut. Czou odegrał scenę powitania — relacjonował stojący za plecami Bieruta Kurynia — wedle wszelkich zasad teatru chińskiego. Uścisnąwszy dłoń Bieruta zatrzymał się, zaczął się rozglądać, zastanawiać, przetarł czoło. Zapanowała cisza, którą gość przerwał pytaniem: *A kogo mnie tut nie chwatajet?*[15]. Nie otrzymawszy odpowiedzi na retoryczne pytanie, Czou postawił sprawę wprost: *A poczemu tut niet towariszcza Fu La-to?*[16].

Bierut był zmieszany, nie oczekiwał publicznego pytania, jąkając się powiedział, że Flato jest akurat w podróży służbowej[17]. Czou przyjął wyjaśnienie do wiadomości, skinął głową i poprosił, by Bierut — gdy tylko towarzysz Fu la-to wróci — przekazał mu najgłębszy ukłon całego wielkiego narodu chińskiego, jego wielkiego wodza, towarzysza Mao, a przy okazji również jego, Czou En-laja[18]. Działo się to na oczach wierchuszki partyjnej. Na los Flato i innych aresztowanych interwencja nie miała natychmiastowego wpływu[19], jednak przyczyniła się do stworzenia

---

łemu dowodzeniu ponoć zawdzięczał życie Mao, gdy znalazł się w japońskiej niewoli — odsiecz, dowodzona przez Flato odbiła go, nim Japończycy zdążyli się zorientować kogo dostali w swe ręce. Płk Michał Bron, współaresztowany w sprawie, zaprzecza tej wersji, Flato funkcjonował w Chinach tylko jako lekarz, ale właśnie w tym charakterze zaprzyjaźnił się z chińskim kierownictwem. Podobnie relacjonuje jego rolę przedrukowany po latach nekrolog chiński (Wang Jen, „Pamięci przyjaciela", *Polityka* nr 35/1988).

15. A kogóż mi tu brak?

16. A dlaczego nie ma naszego drogiego towarzysza Fu La-to?

17. Wedle tej samej relacji scena odegrana przez chińskiego przywódcę została zauważona nie tylko w Warszawie, ale i w Moskwie. Gdy Chruszczow już jako I sekretarz przyjechał do Pragi, powtórzył dosłownie tę scenę w identycznej scenerii, nawiasem mówiąc, też w obecności Kuryni, wówczas *attaché* wojskowego w Pradze. Chruszczowowi chodziło o *dorogowo* Ludwika Francewicza, czyli o gen. Svobodę. Ten co prawda nie siedział, ale był zesłany do jakiegoś kołchozu. W nocy przyjechali doń dwaj panowie w skórzanych kurtkach i bez słowa wyjaśnienia kazali się zbierać w podróż. Ze szczotką do zębów i tobołkiem zapasowej bielizny, przeświadczony, że to ostatnia podróż w jego życiu, został dostarczony na przyjęcie na praskim Hradzie.

18. Nie był to jedyny przypadek ówczesnej dezaprobaty chińskiej dla sowieckiej polityki represyjnej wobec osób związanych z Chinami. Ważniejszy, choć mało znany protest dotyczył osoby Borodina, wybitnego działacza Kominternu i cenionego przez Chińczyków specjalisty od spraw Dalekiego Wschodu. Po śmierci Borodina w łagrze Chińczycy umieścili jego wielkie nekrologi w oficjalnej prasie, Stalin — zdaje się — przełknął afront.

19. Wyszedł na wolność po dwóch latach, jesienią 1954 roku (Leder W., „Przeżyłem tamten proces", *Polityka* nr 49/1988, str. 14).

określonej atmosfery, chińska dezaprobata została zauważona w stosunkowo szerokim kręgu[20].

W cytowanej wyżej relacji Jurkowskiego Ochab twierdzi, że głównym aresztowanym był Michał Rola-Żymierski, tajny członek Biura Politycznego[21], nie tak dawno mianowany marszałkiem. Gdyby doszło do procesu, Żymierski byłby głównym oskarżonym, ale pamiętam, że w ówczesnych rozmowach jego nazwiska nie wymieniano, zdaje się, że o jego aresztowaniu mało kto wiedział, ja na przykład zauważyłem zniknięcie, ale nie wiedziałem o tym, że siedzi.

Żymierski był postacią dwuznaczną, związaną z sowieckimi służbami wywiadowczymi, mimo przynależności do kierowniczego gremium nie był zintegrowany z komunistami, nie uważano go za swego i może Ochab nie kruszyłby kopii w jego obronie. Choć z drugiej strony uderzenie w Żymierskiego mogło być odebrane jako ważny krok w przyłączaniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej do Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich i mogło mieć symboliczną wymowę[22].

---

20. Zastępca Skulbaszewskiego, płk Władysław Kochan, w późniejszych latach, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, szeroko rozpowiadał w Warszawie, jaka scena rozegrała się w warszawskim gmachu KC w 1953 roku, po śmierci Stalina, ale przed upadkiem Berii. Pod nieobecność Skulbaszewskiego Kochan został wezwany do Biura Politycznego dla zdania sprawy z przebiegu śledztwa. Kochan zakończył relację stwierdzeniem, że śledztwo nie dostarczyło dowodów winy Komara i pozostałych aresztowanych. Wzburzony Bierut uniósł się w fotelu, uderzył pięścią w stół i krzyknął: „To waszym zdaniem my jesteśmy szpiegami i dywersantami!?". Przestraszony Kochan, świadom, że następnym krokiem będzie jego własne aresztowanie, szybko się wycofał i zaczął tłumaczyć, że został źle zrozumiany, że po prostu śledztwo jeszcze nie zaszło dość daleko itd. Bierut się uspokoił. (Relację Kochana zna również Chęciński, przytacza ją w cyt. pracy).

Nie mam powodów ani odrzucić relacji, ani jej zawierzyć. Płk Michał Bron, współaresztowany w sprawie, mówił mi o szczególnej zawziętości i okrucieństwie Kochana w prowadzeniu śledztwa. Kochan niewątpliwie chciał się wybielić, ale koniec końców nie robił z siebie bohatera. Bierut był osobą prymitywną, w reakcjach niekonsekwentną. Znam przypadki, gdy ratował ludzi przed wykonaniem wyroków śmierci, ale znam przypadki równie nieumotywowanego okrucieństwa, np. zatwierdzenie wyroku śmierci w 1954 roku na czterech uczniów licealnych, których jedyną winą była rozmowa, że dobrze by było zastrzelić Bieruta w czasie obchodów 10-lecia PRL. O postawie Bieruta latem 1953 roku piszę dalej.

21. Relacja płk. Józefa Jurkowskiego, szefa gabinetu Żymierskiego w pierwszych latach po wojnie i jego łącznika w kontaktach z KC PPR i PZPR.

22. Michał Łyżwiński, żołnierz i oficer Legionów, używający pseudonimu Żymirski, później Żymierski, by wreszcie przyjąć pseudonim jako nazwisko, w maju 1926 roku opowiedział się przeciw Piłsudskiemu i został po przewrocie aresztowany. Wytoczono mu sprawę o łapownictwo, winę udo-

Komisja Ochaba

Wniosek Ochaba z 1953 roku o stworzenie komisji do zbadania pracy Głównego Zarządu Informacji WP — jak mówi się w partii — *przeszedł,* do czego przyczyniła się w pierwszym rzędzie szczególna atmosfera chwili. Jak już pisałem, nie jestem w stanie ustalić, czy Beria był już aresztowany, ale w Moskwie już ogłoszono, że były wypaczenia, a w szczególności że sprawa żydowskich lekarzy była prowokacją — ich rehabilitacja nastąpiła 4 kwietnia, dokładnie miesiąc po śmierci Stalina. Oznaczało to nie tylko przerwanie kampanii, ale również i przede wszystkim dyskredytację tamtejszej bezpieki[23].

◆

Kompetencje „komisji Ochaba" — taką nazwę nosiła nieoficjalnie w kręgach, które wiedziały o jej istnieniu — początkowo rozprzestrzeniały się tylko na wojsko, ale ciekawe, gdy dowiedziałem się w 1953 roku o jej stworzeniu, to bez tego ograniczenia, mówiono, że będzie kontrolować Bezpieczeństwo. Taką wersję usłyszałem od dobrze przecież poinformowanego Witaszewskiego.

Lawina zapoczątkowana rehabilitacją lekarzy ruszyła. Komisja Ochaba nie była przyczyną lawiny, ale przyczyniła się do jej burzącego działania. W innych kadeelach lawina została zahamowana, do Czechosłowacji np. dotarła ona dopiero w 1963-1964 roku, do Rumunii nie dotarła wcale.

Rewizje w Polsce przyjęły o wiele radykalniejszy charakter niż w ZSSR, gdzie Bucharin i Rykow zostali zrehabilitowani dopiero w 1988 roku, a nie-komunistyczne ofiary represji nadal czekają swej kolejki. W PRL AK-owcy wyszli z więzień już w 1956 roku.

---

wodniono, była bezsporna, skazano na wieloletnie więzienie. Karę odbywał w więzieniu w Cieszynie, wedle innej relacji — w Bielsku. Siedzący z nim młody komunista Rosner zaproponował mu współpracę z wywiadem sowieckim. Żymierskiego do komunizmu nie ciągnęło, ale zdegradowany i usunięty z wojska, bez zawodu, znajdował się w rozpaczliwej sytuacji materialnej. Ofertę skwapliwie przyjął. Werbunek odbywał się niemal publicznie, dysponuję dwiema relacjami naocznych świadków. W czasie okupacji narzucony Armii Ludowej, później był pozornie bezpartyjnym, ukrytym członkiem Biura Politycznego, tak jak do czasu Bierut. Z komunistami nie zżył się, mówili różnymi językami, był też dla nich zbyt od Moskwy uzależniony.

23. Ponoć inicjatywa odwołania sprawy lekarzy wyszła od Berii, który miał być kolejną ofiarą, a to z powodu „dopuszczonego braku czujności".

Zamiast podsumowania

Zamiast podsumowania tego skomplikowanego epizodu posłużę się refleksją wcześniej już wymienionego Adama Uziembły. Po raz pierwszy zobaczyłem go na wiecu na Uniwersytecie Warszawskim latem 1956 roku. Mówił wówczas o tym, że „pierwszy sekretarz KC PZPR Ochab ma ręce unurzane we krwi po łokcie". Wystąpienie Uziembły, który jeszcze nie wrócił do jakiejś formy po więziennych przeżyciach, było bardzo sugestywne i nie ja jeden zachowałem je w pamięci.

Latem 1958 roku spędziłem miesiąc razem z Uziembłą, wówczas generałem i moim przełożonym, w Wędrzynie koło Zielonej Góry. Rozmawialiśmy ze sobą codziennie i dużo. W naszym pobliżu był i Komar, ale Uziembło jakoś nie chciał się z nim widzieć, wolał moje towarzystwo. Uderzyło mnie jednak coś innego — fakt, że Uziembło wymawia nazwisko Ochaba z dużym szacunkiem. Zdziwiony, zapytałem o przyczynę takiej zmiany. Nieco zmieszany Uziembło wyjaśnił mi: „Wiecie, po moim wystąpieniu na uniwersytecie, o godzinie drugiej w nocy, w moim mieszkaniu na Solariego zadzwonił telefon. Spodziewałem się, sami rozumiecie, najgorszego, nowego aresztowania. Podniosłem słuchawkę. Kobiecy głos zawiadomił mnie, że chce ze mną mówić pierwszy sekretarz. Po sekundzie usłyszałem głos Ochaba. Pytał, czy może do mnie przyjechać. Przyjechał o czwartej nad ranem, przywiózł ze sobą dokumenty. Wynikało z nich, że co prawda zostałem aresztowany za jego decyzją, ale że również jemu zawdzięczam pozostanie przy życiu".

Tyle Uziembło, na którym ta nocna wizyta i wyraźna skrucha Ochaba wywarły duże wrażenie. Uziembło, człowiek wątłej postury, ale dużego charakteru, doprowadzający do rozpaczy swych oficerów śledczych, docenił charakter Ochaba.

Myślę, tym razem już jako historyk, że z dziejów Polski nie można wymazać żadnej strony równania. Jeśli w marcu 1956 roku, po nagłej śmierci Bieruta, okazało się, że wbrew moskiewskim naciskom większość KC PZPR opowiedziała się za kandydaturą mało poza tym komitetem znanego Ochaba, to było to wyborem na pewno nie demokratycznej, ale na pewno bardziej liberalnej i praworządnej linii. Jako sekretarz Ochab łamał stare struktury i rozluźniał więzy zależności od Moskwy. Pod tym względem był przeciwieństwem nie tylko Bieruta, ale i swego następcy, Gomułki. Z tego jednak społeczeństwo nie zdawało sobie sprawy; nie zawsze i niekoniecznie było to winą społeczeństwa, w większej mierze było to winą Ochaba. O tym będę pisał w dalszej części pracy.

Witaszewski poinformował mnie wiosną 1956 roku, że Wozniesienskij i Skulbaszewski zostali w Moskwie oddani pod sąd i skazani, pierwszy na 15, drugi na 10 lat więzienia. Witaszewski mówił mi, że domagał się ich ekstradycji i postawienia przed sądem w Polsce. Nie wiem, czy informacja Witaszewskiego o skazaniu była prawdziwa. Nie bardzo wierzę, by domagał się (od kogo?) ekstradycji skazanych. Władzom PRL — z przyczyn o których piszę wyżej — nie zależało na publicznym rozprawieniu się ze stalinizmem. Bo tak zupełnie czystych rąk w PZPR nie miał nikt.

W latach sześćdziesiątych słyszałem, że ani jednemu ani drugiemu nic szczególnie złego się nie stało, tylko kariera uległa zahamowaniu. Wozniesienskij został szefem straży przemysłowej zakładów im. Ligaczowa (dawny ZIS) w Moskwie. O Skulbaszewskim słyszałem, już na emigracji, że w latach 70-tych działał w tajnych służbach w Egipcie, za Nassera.

Józef LEWANDOWSKI

Andrzej SUCHCITZ

ARCHIWA WYWIADU POLSKIEGO PO 1945 ROKU

Losy archiwum Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza z okresu drugiej wojny światowej stanowią jedną z dotychczas niewyjaśnionych zagadek. Oprócz domysłów i supozycji zainteresowanych nie mamy konkretnych lub wiarygodnych informacji na ten temat. Najczęściej powtarza się, że akta polskiego wywiadu zostały spalone albo że płk dypl. Stanisław Gano, wojenny szef Oddziału II, przekazał je w całości Anglikom. Są to przypuszczenia, powtarzane bez konkretnych podstaw w źródłach, chociaż obie wersje zawierają elementy prawdy[1]. Niewątpliwe jest, że

1. Józef Garliński: *Ostatnia broń Hitlera*, Londyn 1977, str. 201-202, podaje wersję, że płk Gano przekazał całe archiwum Oddziału II Anglikom po 5 lipca 1945. Wersję tę powtarza Leszek Gondek: *Na tropach tajemnic III Rzeszy*, Warszawa 1987, str. 6-7, dodając od siebie, że płk Gano zrobił to „bez jakiegokolwiek polecenia ówczesnych polskich władz wojskowych na obczyźnie". Źródła tej informacji jednak nie podaje. Równie ogólnikowe i niesprawdzone informacje przytacza L. Gondek odnośnie losów archiwów Oddziału II 2-go Korpusu przechowywanych przez płk. Bąkiewicza. Pisze, że „Bąkiewicz stwierdził, że całe archiwum tej służby zdeponował po wojnie, zapewniając doń dostęp sobie oraz kilku tylko osobom. Niestety nie podał, gdzie i u kogo je zdeponował". Płk Bąkiewicz powiedział to Zbigniewowi Siemaszce w latach sześćdziesiątych lub na początku lat siedemdziesiątych. Wypowiedź nie jest wolna od niedomówień. Patrz Zbigniew Siemaszko: „Niektóre wypowiedzi płk. W. Bąkiewicza", *Zeszyty Historyczne* nr 29, Paryż 1974, str. 145. W rzeczywistości płk Bąkiewicz przechowywał 13 żelaznych skrzyń u siebie i dopiero wkrótce przed śmiercią, ok. 1972 roku, dał się przekonać przez płk. J. Leśniaka przy pomocy ppłk. K. Skrzywana, aby akta te zostały złożone w Instytucie Polskim i Muzeum

archiwum Oddziału II miałoby zasadnicze znaczenie dla oceny rzeczywistego wkładu polskiego w zwycięstwo aliantów nad Niemcami i jej sojusznikami. Z pozostałych dostępnych strzępów tejże dokumentacji można stwierdzić, że osiągnięcia polskiego wywiadu były bardzo duże, co znalazło odzwierciedlenie w ocenach obcych wywiadów oraz w ilości materiału przekazanego przez Oddział II sojusznikom. Dla przykładu, w 1944 dostarczono brytyjskiemu sztabowi m.in. 7.351 meldunków z materiałem wywiadowczym, 966 meldunków z wiadomościami o agentach obcych wywiadów i 29.510 meldunków wywiadowczych opracowanych na podstawie depesz przejętych przez nasz wywiad radiowy i odczytanych przez sekcję kryptologiczną[2]. Z dokumentacji znajdującej się w Studium Polski Podziemnej można odtworzyć, jak brytyjski wywiad polegał na polskim wywiadzie dla informacji o sytuacji na froncie wschodnim. Brytyjska admiralicja otrzymywała np. sporo materiału o działalności stoczni i portów na wybrzeżu bałtyckim, włącznie z ruchem okrętów niemieckich w polskich portach. Należy zaznaczyć, że brytyjski Intelligence Service zwracał się do Oddziału II Sztabu NW z prośbą o konkretne dane. Zapotrzebowania te Oddział II dostarczał Oddziałowi VI Sztabu NW z prośbą o przekazanie do Kraju (tj. do Oddziału II Komendy Głównej AK)[3].

Pożegnalny rozkaz płk. dypl. S. Gano jako szefa Oddziału II (wówczas był już szefem Komisji Dokumentacyjnej Inspektoratu Generalnego PKPR) z 1 września 1947 był nietypowym rozkazem dla cichej służby i odzwierciedlał cele i osiągnięcia polskiego wywiadu. Postawił on pytanie: „Czym chcielibyśmy być?", na które dał następującą odpowiedź:

„Wielkie słowa, szczególnie gdy się na nie patrzy z perspektywy niestety już historii — z chwilą śmierci jednostki czy instytucji zaczyna się historia. Chcieliśmy godnie przedłużać poza granicami Kraju istnienie instytucji polskiej o ustalonej w świecie pozycji, Oddział II Sztabu Głównego w Warszawie i dotrwać

---

im. gen. Sikorskiego. Tam są przechowywane pod sygnaturą KOL. 138. Patrz: Wacław Milewski, Andrzej Suchcitz, Andrzej Gorczycki: *Guide to the Archives of the Polish Institute and Sikorski Museum*, vol. I, Londyn 1985, str. 105-108. O losach akt wywiadowczych Marynarki Wojennej patrz: Brunon Jabłoński, „Wywiad, czyli służba szpiegowska", *Nasze Sygnały* nr 126, styczeń-marzec 1972, str. 35.

2. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego: A. XII. 24/37, zestawienie materiału dostarczonego przez Oddział Informacyjno-Wywiadowczy Sztabu NW sztabowi angielskiemu, str. 2.

3. Studium Polski Podziemnej (SPP): 2. 3. 6. 2. 2., dok. 103 i 121 przykłady działalności na korzyść Brytyjczyków.

do chwili, w której wraz z całym dorobkiem wojennym, z trwałymi powiązaniami ze służbami inf[ormacyjnymi] świata zachodniego będziemy mogli wrócić do Kraju i złożyć ten dorobek do wykorzystania przez odbudowane Państwo Polskie. To był cel, to była podnieta, dla której w pierwszym rzędzie trzeba było pracować i przezwyciężać trudności. Chcieliśmy więc być ciągłością oderwaną od pojęć geograficznych, ciągłością myśli i tradycji.

Czym byliśmy — bezsprzecznie dobrym i wydajnym zespołem rozsianym na wszystkich frontach i zapleczach frontów, wkładającym w ogólny wysiłek wojenny świata swoją część wysiłku, niewspółmiernie nawet wielką w stosunku do ograniczonych możliwości i trudności tak charakteru zewnętrznego, jak i wewnętrzno-emigracyjnego.

To nie frazes — to stwierdzenie oparte na głosach obcych, głosach tych, którzy prowadząc wojnę, wysiłki naszej służby wykorzystywali i należytą ocenę dać mogli; fizycznym śladem tych wysiłków — to groby kolegów, którzy w służbie śmierć ponieśli — no i obce odznaczenia.

Nie mogliśmy się stać tymi, jakimi stać się chcieliśmy, — nie pozwoliły na to warunki od naszego zespołu niezależne, chory układ stosunków w chorym powojennym świecie" [4].

Świadectwo osiągnięć, o których pisał płk Gano, może dać historia, ale historia potrzebuje źródeł dokumentarnych. I tu właśnie historyk natrafia na pierwsze trudności — do dyspozycji ma jedynie fragmenty źródeł potrzebnych do odtworzenia pełnego obrazu organizacyjnego, operacyjnego, personalnego, administracyjnego i finansowego służby potocznie zwanej „dwójką".

Zbliżający się koniec wojny, której tragiczny dla Polski wynik oznaczał tylko zmianę niemieckiej okupacji na okupację sowiecką, mógł napawać Oddział II uzasadnioną troską o swoje archiwa. Należało zrobić wszystko, aby nie wpadły w ręce rządu warszawskiego. Rozwój wypadków, który doprowadził do wycofania uznania rządowi RP przez Stany Zjednoczone i Anglię, był szybszy niż spodziewano się w Oddziale II. Dla władz warszawskich uzyskanie dokumentacji polskiego rządu i sił zbrojnych, a szczególnie Oddziału II, było bardzo pożądane. Wiadomo dla jakich celów. Tym bardziej należało zabezpieczyć akta przed taką możliwością, co też w wielu wypadkach — chociaż nie we wszystkich — dało się zrobić. Uznanie marionetkowego rządu w Warszawie zgalwanizowało odpowiedzialne czynniki w Oddziale II

4. IPMS: KOL. 79, Rozkaz Wewnętrzny nr 17/47 szefa Komisji Dokumentacyjnej Inspektoratu Generalnego PKRP, 1 września 1947.

do zabezpieczenia archiwów — skutkiem czego większa ich część przepadła. Ówczesny nastrój doskonale oddaje list-instrukcja ppłk. dypl. Leona Bortnowskiego, zastępcy szefa Oddziału II Sztabu Głównego, do mjr. Stanisława Paprockiego z Sekcji Łącznikowej Oddziału II odnośnie aktów wywiadu. List był pisany 6 lipca 1945, a więc w dzień po wycofaniu uznania rządowi RP w Londynie i uznaniu tzw. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w Warszawie. Bortnowski pisał:

„Od wyjazdu Pana z ekipą do Szkocji nastąpił dalszy rozwój wypadków, który zmusza nas do wydania Panu nowych wskazówek co do segregacji naszego archiwum.

1) Dokumenty, które przed tym zostały określone jako wartościowe i podlegające dalszemu przechowaniu w archiwum w Szkocji — obecnie *muszą być sprowadzone do Londynu i zdeponowane w znanym nam miejscu pod specjalnie zorganizowaną ochroną,*

2) Wszystko inne musi być *bezzwłocznie spalone* na miejscu. Szczególnie dotyczy to wszelkich bez wyjątku dokumentów, dotyczących:
— wiadomości o ZSSR
— współpracy z Brytyjczykami, Amerykanami itp.
— personalia, rachunkowość itp.

3) Cała praca musi być przeprowadzona jak *najszybciej* — nawet kosztem jej dokładności. Założenie: nie dać się zaskoczyć przez wypadki, których rozwój jest znacznie szybszy, niż nawet przewidywaliśmy. Nikt nie będzie miał z naszej strony pretensji, jeżeli Pan Major poleci zniszczyć to, co poszczególni szefowie tutaj będą uważać 'za potrzebne'. Ma Pan Major *zupełną swobodę działania* w osiągnięciu celu: *szybkości zabezpieczenia dokumentów* ocenionych przez Pana jako wartościowych oraz *zniszczenia* całej reszty.

4) Dokumenty pod 1) zapakowane w skrzynie proszę przewieźć jak najszybciej do Londynu i *zdeponować na przechowaniu na dworcu* (w *żadnym wypadku* nie przewozić tego do Sztabu). Zostaną one potem podjęte przez nas — naszym staraniem. *kości"* [5].

W celu przyspieszenia pracy posyłamy Panu jeszcze trzech Panów do dyspozycji... Nowo przybyli będą mieli pewne wskazówki od swoich Szefów Wydziałów, które Pan Major uwzględni *w miarę możności.* Podkreślam jeszcze raz, *że zależy na szyb-*

Pisany nie na oficjalnym blankiecie, list ten podpisany jest nazwiskiem i stopniem, ale bez funkcji. Podkreślenia w tekście

5. IPMS: KOL. 79, list ppłk. dypl. Leona Bortnowskiego do mjr. Stanisława Paprockiego, 6 lipca 1945.

są ppłk. Bortnowskiego. W zakończeniu ppłk Bortnowski dopisał „Instrukcję po przeczytaniu proszę zniszczyć". Nie był zbytnio zadowolony, gdy trzydzieści lat później otrzymał kopię tej instrukcji, kwitując postępowanie mjr Paprockiego „Szkoda słów na komentarz do tego..."[6]. Godne uwagi jest podkreślenie Bortnowskiego, aby w żadnym wypadku nie przewozić dokumentów do Sztabu Głównego.

Następną wiadomością odnośnie akt Oddziału II jest pismo z marca 1946 bez podpisu, zatytułowane „Likwidacja Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego Sztabu Głównego — wytyczne przeprowadzenia". Podstawą tego dokumentu były dwa rozkazy szefa Sztabu Głównego, gen. dyw. Stanisława Kopańskiego, z 7 marca 1946. Dokument zapowiadał zakończenie działalności Oddziału II z dniem 15 marca 1946 i przejęcie jego agend przez Komisję Likwidacyjną. Oprócz zaprzestania poszukiwania informacji za pomocą własnych sieci placówek wywiadowczych, które miały ulec likwidacji (podobnie jak samodzielna gospodarka finansowa) w piśmie figurował ustęp odnośnie archiwów:

„6) Uporządkuje ostatecznie archiwa polskiej służby wywiadowczej

a) dokumenty mające znaczenie dla historii Wojska Polskiego lub polskiej służby wywiadowczej — przekaże Komisji Historycznej;

b) złoży jako depozyt Sztabu Głównego u władz brytyjskich dokumenty dotyczące techniki współpracy wywiadu polskiego z wywiadami alianckimi, podręczną bibliotekę specjalną oraz kartoteki wywiadowcze;

c) zniszczy materiały wywiadowcze nie przedstawiające wartości w znaczeniu punktów 6a i 6b, w szczególności materiały, które mogłyby być wykorzystane przeciw osobom lub instytucjom, które współpracowały z Oddziałem Inf-Wyw"[7].

Przy zakończeniu prac Komisja miała złożyć szczegółowe sprawozdanie likwidacyjne, które m.in. miało zawierać opis sposobu zadysponowania archiwami z „dokładnym wyszczególnieniem miejsca zdeponowania... aktów itp. i odpowiednimi wykazami, protokołami itd."[8]. Egzemplarze sprawozdania miały być złożone szefowi Sztabu Głównego jednej (nie wymienionej) z polskich

6. IPMS: KOL 79, list płk. dypl. L. Bortnowskiego do płk. dypl. J. Leśniaka, 1 grudnia 1975.
7. IPMS: A XII. 24/58 Likwidacja Oddziału Inf.-Wywiadowczego Sztabu Głównego — wytyczne przeprowadzenia, marzec 1946, str. 3.
8. *Ibidem*, str. 4.

instytucji społecznych za granicą, gdzie miał być odpowiednio zabezpieczony przed wglądem niepowołanych. Drugi miał się znaleźć u władz brytyjskich. Oba miały być depozytem Sztabu Głównego.

Tyle mówią oficjalne dokumenty. A więc wiadomo, co miało zostać zrobione z archiwami Oddziału II. Pozostał problem, co rzeczywiście dokonano w tej sprawie. Dla ilustracji nastrojów w okresie tuż po likwidacji agend wywiadu warto przytoczyć wyjątek listu płk. dypl. L. Bortnowskiego do płk. dypl. Stefana Mayera, byłego komendanta Szkoły Wywiadowczej w Glasgow. Pisał mu: „w naszej sytuacji nie ma zmian — w każdym razie nie ma zmian na lepsze. Gospodarze [czyt. Anglicy — A.S.] nasi są bardzo przejęci tym, że paru jeszcze oficerów (z naszego budynku) zgłosiło się do powrotu do Polski (słowem Bevin — swoje, a oni — swoje). Obostrzyli więc jeszcze dalej warunki 'zewnętrznych kontaktów' z nami. Ostatnie spotkanie moje i płk. Gano było przez nich zaaranżowane przed... kościołem w mieście!"[9]. Nieco ponad rok później, w 1948, otrzymujemy pierwszą konkretną wiadomość o losach części dokumentów Oddziału II. Wynika z niej, że część aktów znajdowała się w depozycie u Anglików na Ryder Street w londyńskiej dzielnicy Picadilly. Nawet myślano o ich uporządkowaniu, ponieważ płk Bortnowski pisał, że „umówię się z gospodarzami i kiedyś zrobimy tam porządek. Na razie proszę Pana Pułkownika [Mayera — A.S.] o odstawienie skrzyń w kąt. Mamy tam [na Ryder Street — A.S.] też parę żelaznych szaf itd., ale nie bardzo miejce, aby je zabrać do siebie"[10]. Poza tą wiadomością panuje cisza przez prawie trzydzieści lat. Dopiero dzięki historycznemu zacięciu i podejściu płk. dypl. Jana Leśniaka odsłoniła się nieco kurtyna, za którą kryją się losy większości dokumentacji wywiadu polskiego. Płk Leśniak chciał napisać historię polskiego wywiadu i przedstawić jego rolę w ostatniej wojnie światowej. Trudność polegała na względnie skromnym zasobie dokumentów, którymi dysponował. Zespół akt Oddziału II Sztabu NW w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego, choć dość bogaty, dotyczył spraw raczej organizacyjnych niż operacyjnych i personalnych. Miał własny bogaty zbiór materiałów, tak jak niektórzy inni oficerowie naszej dwójki, ale wszystko razem stanowiło mniejszą część tego, czym musiało być archiwum Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza nagromadzone w przeciągu sześcioletniej wojny. Płk Leśniak zwrócił się naturalnie do swego długo-

9. Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie (IJPL): KOL. 100/4/13, list płk. dypl. L. Bortnowskiego do płk. dypl. S. Mayera, 2 maja 1947.

10. IJPL: KOL. 100/4/13, list płk. dypl. L. Bortnowskiego do płk. dypl. S. Mayera, 14 września 1948.

letniego przyjaciela płk. Bortnowskiego, z którym utrzymywał zażyłą korespondencję. Należy zaznaczyć podejście płk. Bortnowskiego do historii — co może pozwoli częściowo zrozumieć, dlaczego taki a nie inny los spotkał akta Oddziału II. W 1974 pisano historię piechoty WP, a równolegle organizowano dużą wystawę na jej temat w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego. Otóż Leśniak napisał do przyjaciela z prośbą o wspomnienie ze służby w piechocie. Płk Bortnowski odpisał, że nadal „wierzę w orzeczenie Forda, że *history is bunkum* — co także dotyczy zamierzonej historii piechoty WP..."[11]. Trudno oprzeć się wrażeniu, że gdyby płk Leśniak a nie płk Bortnowski był likwidatorem Oddziału II, inaczej wyglądałby los chociaż części jego archiwów.

W 1975 roku płk Leśniak wziął się do historii wywiadu — jak się miało okazać w sam czas chociażby dla ustalenia losów dokumentacji. Jesteśmy w posiadaniu dwóch listów płk. Bortnowskiego nt. losów papierów Oddziału II. Chociaż są w części podobne, warto je oba zacytować dla zapoznania się z dostępną dokumentacją na ten temat. W pierwszym liście na pytanie płk. Leśniaka o personalia Oddziału II Bortnowski odpowiedział, że:

„niestety, nie mam pojęcia co się stało (w swoim czasie) z tymi dokumentami. Ja z tym nie miałem nic do czynienia. Przypuszczam, że Oddział Personalny Sztabu, jak i wszystkie inne oddziały, kwaterujące w St. Paul's School zrobił *auto-da-fé*, czyli całopalenie tych swoich archiwów. Po uznaniu przez rząd brytyjski rządu 'reżymowego' powstała panika w Sztabie, bo obawiano się, że Brytyjczycy każą przekazać wszystko ambasadzie warszawskiej. Więc na dziedzińcu szkoły powstały ogromne ogniska, a wiatr rozwiał popioły po całym Hammersmith'ie. Były protesty mieszkańców. Rzecz w tym, że nie było gdzie zabrać archiwów — poza prywatnymi mieszkaniami oficerów. My — O. II — byliśmy w lepszej sytuacji, bo Dunderdale miał biuro z piwnicami i zgodził się zabrać parę samochodów ciężarowych żelaznych skrzyń. Potem jego urząd też wędrował z miejsca na miejsce i w końcu nigdy już tych archiwów nie oglądaliśmy. Zresztą poza Irankiem i Pełczyńskim nikt się tym nie interesował, bo tylko oni zabrali się z miejsca do gromadzenia materiałów dla historii AK, a jak sam wiesz otrzymywaliśmy od AK raporty wywiadowcze, a potem od Anglików oceny przekazanych wiadomości. Pełczyński miał do nas pretensje, że nie 'uratowaliśmy' potrzebnych *im* papierów. Pamiętam, zadzwonił kiedyś do mojego sklepu na Kings Rd., Chelsea, i mieliśmy dosyć gorącą 'wymianę' zdań.

---

11. IPMS: KOL. 79, list płk. dypl. L. Bortnowskiego do płk. dypl. J. Leśniaka, 5 kwietnia 1974.

P[ełczyński] wyobraził sobie pewnie, że ja wędrowałem po Londynie z kilkudziesięciu skrzyniami papierzysk!" [12].

W drugim liście płk Bortnowski odpowiada Leśniakowi po otrzymaniu fotokopii jego listu do mjr. Paprockiego z 6 lipca 1945:

„Zwracam Ci przesłany mi list do mjr. Paprockiego z 6 lipca 1945 roku. Zarządzenia niszczenia archiwów O. II lub ukrycia cenniejszych dokumentów były wydane przeze mnie jako 'likwidatora O. II' (z ramienia Sztabu i na etacie angielskim) z powodu uznania rządu warszawskiego i spodziewanego przejęcia przez ambasadę warszawską w tej czy innej formie aprobowanego przez Anglików, instytucji i majątku b. rządu polskiego w Londynie.

Było więc kolosalne *auto-da-fé* na podwórzu St. Paul's School; popioły jak po wybuchu wulkanu wiatr roznosił po całym Hammersmith'ie. Parędziesiąt skrzyń zgodził się zabrać i przechować u siebie w piwnicach biura Dunderdale. To biuro było 'zamaskowane' w domu prywatnym, potem parokrotnie przesuwane po Londynie. Co się z tym w końcu stało — nie mam pojęcia.

Moje stanowisko w sprawie archiwów O. II znasz chyba? Sam niszczyłem wszystko, co do mnie należało, i radziłem lub nakazywałem podwładnym robić to samo. Od września 1939 (fort Legionów z wagonami papierów Sztabu Gł[ównego] i O. II zabrany przez Niemców niemal w całości) poprzez 'Reginę' i skrzynie rzucone w Port Verdon — były dostatecznym doświadczeniem, że korzyść z przechowywanych papierów odnoszą raczej... wrogowie czy przeciwnicy, niż posiadacze. A strona posiadająca robi z nich czasem użytek też wątpliwej historycznej wartości..." [13].

Komandor Wilfred Dunderdale, o którym wspomina płk Bortnowski, był głównym oficerem łącznikowym brytyjskiego MI6 z Oddziałem II Sztabu NW, który przekazywał informacje Brytyjczykom przez jego biuro. Trudno pogodzić się z twierdzeniem, że Oddział II nie miał miejsca na przechowanie aktów u siebie. Gdyby chciano i przemyślano całą sprawę, zabezpieczenie aktów wywiadu o historycznej ważności nie przedstawiałoby zbytniej

12. IPMS: KOL. 79, list płk. dypl. L. Bortnowskiego do płk. dypl. J. Leśniaka, 26 kwietnia 1975. W SPP znajdują się teczki zawierające zadania, meldunki i oceny brytyjskie informacji wywiadowczych zebranych przez wywiad AK. Stanowią one część archiwum Oddziału VI jako materiał przekazywany z Oddziału II do Oddziału VI Sztabu NW drogą urzędową. Gen. Pełczyńskiemu chodziło być może o te materiały, które i tak już posiadał, ponieważ leżały w szafach Oddziału VI, a nie Oddziału II.

13. IPMS: KOL 79, list płk. dypl. L. Bortnowskiego do płk. dypl. J. Leśniaka, 1 grudnia 1975.

trudności. Inne komórki Sztabu Głównego, Ministerstwa Obrony Narodowej jak i oddziały liniowe potrafiły zabezpieczyć własne akta tak, że trafiły do polskich placówek historycznych na uchodźstwie. Na przykład płk Bąkiewicz zrobił to z aktami wywiadu 2-go Korpusu, a ppłk Gaweł z aktami Ośrodka Wywiadu Radiowego. A więc Oddział II Sztabu NW także mógł to zrobić. Co stanęło na drodze takiego rozwiązania sprawy, stanowi kolejną, może jeszcze trudniejszą zagadkę.

Powyższe informacje od płk. Bortnowskiego zostały uzyskane w sam czas. Półtora miesiąca po napisaniu ostatniego listu płk dypl. Leon Bortnowski nie żył, zmarł 17 stycznia 1976. Niecałe cztery miesiące później nagle zmarł i płk dypl. Jan Leśniak (14 kwietnia 1976), dzięki któremu dysponujemy obecnie powyższymi informacjami o losach dokumentacji Oddziału II Sztabu Głównego.

Z innego źródła pochodzi wiadomość, że materiały palone na dziedzińcu St. Paul's School w lipcu i sierpniu 1945 były aktami o raczej drugorzędnym znaczeniu[14]. Ciekawa rzecz, że w uratowanych aktach brak korespondencji z władzami brytyjskiego wywiadu, protokołów ich licznych zebrań oraz oryginałów ocen władz brytyjskich i innych o osiągnięciach naszego wywiadu. Istniejące oceny są jedynie odpisami w języku polskim, zrobionymi w Oddziale II. Przytoczona powyżej dokumentacja pozostawia pewien niedosyt i rodzi nowe pytania, na które — przynajmniej chwilowo — nie mamy odpowiedzi. Otóż instrukcja likwidacyjna z marca 1946 mówi również o archiwach wywiadu. Z listów płk. Bortnowskiego wiemy, że latem 1945 miało się odbyć w Szkocji ogólne palenie dużej części akt Oddziału II. Czy rzeczywiście się odbyło? Równocześnie wiemy, że latem 1945 odbyło się w Londynie masowe palenie akt dwójki. Wiemy też, że część akt już została zdeponowana u Anglików. A więc o jakie akta chodziło w instrukcji likwidacyjnej z marca 1946, gdy wygląda, że większość akt była już zniszczona lub w rękach Anglików? Może chodziło o te drugie? Jeśli tak, to było już za późno. Akta oddane pod opiekę Anglików nie powróciły w ręce polskie.

Poza zespołem akt Oddziału II Sztabu NW, które zostały przekazane do Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego

---

14. List mgr. Leona Śliwińskiego do autora, 14 kwietnia 1989. Mgr Śliwiński był w 1945 porucznikiem marynarki na etacie Oddziału II. Był jednym z oficerów biorących udział w paleniu akt wywiadowczych. Według niego palono je w szkolnych piecach, nie na podwórzu z resztą akt Sztabu. Leon Śliwiński, Tadeusz Jekiel: *Les services de renseignements polonais pendant la Deuxième Guerre Mondiale*, Paris, 9 września 1984, referat w Bibliotece Polskiej w Paryżu, str. 49-51.

(obecnie Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego) i małym zespołem w Studium Polski Podziemnej pozostałe materiały dotyczące Oddziału II zostały uratowane dzięki temu, że znalazły się w prywatnym posiadaniu poszczególnych oficerów dwójki i później częściowo trafiły do archiwów. Z tego typu akt najważniejsze zespoły tworzą kolekcje płk. dypl. Jana Leśniaka (w Instytucie Polskim) i płk. dypl. Stefana Mayera (w Instytucie Piłsudskiego w Londynie). Zespoły te zawierają mieszaninę oficjalnych dokumentów Oddziału II, zapisków i bogatej prywatnej korespondencji. Do odrębnego typu zespołów osobistych należy zaliczyć kolekcje płk. dypl. Wincentego Bąkiewicza oraz ppłk. Władysława Gawła. Są to w obu wypadkach przede wszystkim oficjalne dokumenty komórek Oddziału II, zabrane po wojnie i przechowywane u siebie przez powyższych oficerów. W wypadku ppłk. Gawła jest to zespół akt Ośrodka Wywiadu Radiowego Oddziału II Sztabu NW. Akta płk. Bąkiewicza zawierają dokumenty Oddziału II Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, Armii Polskiej na Wschodzie i 2-go Korpusu.

Pech jednak dalej prześladował materiały dotyczące polskiego wywiadu. W drugiej połowie lat 60-tych Klub Centrala Wschód-Zachód (koleżeńskie stowarzyszenie zrzeszające byłych pracowników Oddziału II) przystąpił do zbierania materiałów celem napisania historii wywiadu. Inicjatywa wyszła od płk. dypl. Stefana Mayera. Dokumenty były gromadzone u kolejnych sekretarzy Klubu CWZ. Nazbierało się dość dużo materiału, przede wszystkim pamiętnikarskiego. W 1981 cały ten materiał znajdował się u ppłk. Teofila Jusińskiego, sekretarza Klubu CWZ. Na kilka dni przed śmiercią płk Mayer napisał do ppłk. Jusińskiego, zapytując o zebrany materiał i komunikując mu, że zdecydowano przekazać zebrane relacje do Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego. Mayer chciał przyjść wraz z ppłk. dypl. Kazimierzem Skrzywanem, członkiem Klubu CWZ i Instytutu, aby przejąć ów materiał. W trzy dni po napisaniu listu płk Mayer umarł. Kopię jego listu przesłał ppłk. Skrzywanowi płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki na początku kwietnia 1981. W połowie miesiąca ppłk Skrzywan wraz z ppłk. dypl. Antonim Minkiewiczem odwiedzili ppłk. Jusińskiego, który był już poważnie chory i po niedawnej przeprowadzce. Żadnych materiałów do historii Oddziału II nie miał i ich nie odnaleziono[15].

---

15. IPMS: list płk. dypl. S. Mayera do ppłk. T. Jusińskiego, 21 marca 1981; list płk. dypl. K. Iranka-Osmeckiego do ppłk. dypl. K. Skrzywana, 4 kwietnia 1981 i notatka ppłk. Skrzywana na liście z 1983 o wizycie u ppłk Jusińskiego; relacja ustna ppłk. K. Skrzywana z 25 stycznia 1984; list płk. Jana Gurbskiego do autora, 1 października 1984.

Tak przedstawiają się w ogólnym zarysie losy dokumentacji polskiego wywiadu po 1945 roku. Najważniejszym elementem są dwa listy płk. Leona Bortnowskiego z 1975 roku, dające obraz losu tychże akt. Zagadkami do rozwiązania pozostają przede wszystkim dalsze losy owych kilkudziesięciu skrzyń złożonych w biurze komandora Dunderdale, ustalenie jakie były to akta oraz jakie akta zostały spalone w piecach szkoły St. Paul's latem 1945 roku.

Andrzej SUCHCITZ

KATYŃ

Aleksander AKULICZEW,
Aleksander PAMIATNIK

KATYŃ: POTWIERDZIĆ CZY ZAPRZECZYĆ?

W rozmowie jaka odbyła się kilka dni temu między Michaiłem Gorbaczowem a Wojciechem Jaruzelskim, zwrócono m.in. uwagę na „białe plamy" w stosunkach sowiecko-polskich. Uznano, że należy koniecznie przyspieszyć proces ujawniania tych „dziur" w historii, zwłaszcza jeśli chodzi o Katyń.

Pytanie jest proste: kto ponosi odpowiedzialność za wymordowanie na początku lat 40-tych kilku tysięcy polskich oficerów, których zwłoki znaleziono w lesie katyńskim, 15 kilometrów na zachód od Smoleńska, między wioskami Gniezdowo i Katyń? Zagranica odpowiada prawie jednomyślnie, że są to ofiary stalinizmu. Czy jest to słuszna konkluzja? Ostatnie słowo należy do dwustronnej komisji sowiecko-polskiej, która bada „białe plamy". Ona — a przede wszystkim strona sowiecka — mają potwierdzić albo zaprzeczyć faktom, domysłom i wątpliwościom, na jakich spoczywa zagraniczna wersja o winie reżymu stalinowskiego.

Robiąc 31 października bilans pierwszej kampanii drugiej wojny światowej, ludowy komisarz spraw zagranicznych ZSSR Wiaczesław Mołotow oświadczył w Radzie Najwyższej ZSSR: „Wystarczył niewielki cios wymierzony Polsce najpierw przez wojska niemieckie, a potem przez Armię Czerwoną, aby nie zostało śladu po tym bękarcie traktatu wersalskiego". Wkrótce potem, pod koniec grudnia 1939, Józef Stalin dziękował niemieckiemu ministrowi Ribbentropowi za gratulacje, nadesłane mu z okazji 60-tych urodzin. Telegram zawierał m.in. słowa: „Przypieczętowana krwią przyjaźń narodów Niemiec i Związku Sowieckiego ma wszelkie dane po temu, aby być trwałą i solidną". O jakiej krwi była mowa?

Dnia 17 września 1939, w chwili kiedy Armia Czerwona przekraczała granice Polski, marszałek Śmigły-Rydz, Naczelny Wódz Polski, chcąc uniknąć ofiar, rozkazał wojsku, aby nie stawiało oporu Armii Czerwonej. Rozkaz ten nie dotarł jednak do wszystkich, nie wszyscy też go usłuchali, co dla wielu przypieczętowało ich los: 250.000 wzięto do niewoli. 1-go października walki w Polsce wschodniej ustały, część jeńców zwolniono, pozostałych deportowano do ZSSR. W listopadzie 1939 wszystkich polskich oficerów zebrano w trzech obozach specjalnych w okolicach Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa.

Zgodnie ze wspomnieniami pułkownika Zygmunta Berlinga, sytuacja w tych obozach była początkowo spokojna. Na Boże Narodzenie 1939 pozwolono jeńcom napisać do rodzin: listy wysłano do Polski wschodniej, będącej już wówczas terytorium sowieckim, oraz za Bug, gdzie znajdowały się okupacyjne wojska niemieckie. Kilka miesięcy później, w kwietniu 1940, wszelka korespondencja z obozów nagle ustała, z wyjątkiem listów z Griazowca koło Wołogdy, którego 448 więźniów ponownie zaczęło pisać do swych bliskich począwszy od października. Wszyscy pozostali zamilkli na zawsze.

Dnia 30 lipca 1941 ambasador sowiecki w Wielkiej Brytanii, Majski, podpisał z szefem rządu polskiego na wygnaniu, gen. Władysławem Sikorskim, umowę o wznowieniu stosunków dyplomatycznych, o wzajemnej pomocy w wojnie z hitlerowskimi Niemcami i o utworzeniu armii polskiej na terenie ZSSR.

Dnia 4 sierpnia 1941 polski generał Władysław Anders został wprost ze swej celi na Łubiance przywieziony na spotkanie z ludowym komisarzem spraw wewnętrznych, Ławrentijem Berią, po czym zaczął natychmiast formować wojskowe jednostki polskie, przyszłą „armię Andersa". (Latem 1942 roku armia ta wyszła na rozkaz rządu Sikorskiego z ZSSR do Iranu, w 1944 wylądowała we Włoszech i jako 2-gi Korpus polski przypuściła słynny szturm na przełęcz Monte Cassino, otwierając Sprzymierzonym drogę do Rzymu).

Kapitan kawalerii Józef Czapski, któremu poruczono zorganizowanie w Kujbyszewie ośrodka rekrutacyjnego do przyszłej armii, sporządził tegoż lata 1941 pierwszą listę 4.000 oficerów „zaginionych w ZSSR" i przedstawił ją władzom sowieckim. Odpowiedziało milczenie.

Dnia 3 grudnia 1941, podczas audiencji u Stalina, gen. Anders spytał otwarcie o los 10.000 wziętych do niewoli oficerów.

Stalin odpowiedział: „Uciekli".

Anders: „Dokąd?"

Stalin: „Może do Mandżurii".

18 marca 1942 generał Anders ponownie zadał Stalinowi to samo pytanie (w obecności pułkownika Okulickiego).

Stalin: „Być może znajdują się na terenach zajętych przez Niemców... Wszyscy zostali zwolnieni".

W roku 1943, formując 1-szą dywizję piechoty im. Tadeusza Kościuszki, pułkownik Zygmunt Berling przyjechał do Moskwy z listą 600 oficerów specjalnie poleconych. W obecności polskich pułkowników Gorczyńskiego, Bukojemskiego i Tyzynskiego, zastępca Berii Mierkułow obejrzał listę i oświadczył: „Nie, nie ci. Z tymi popełniliśmy wielki błąd". Obecny przy tym Beria poprawił go: „Tych ludzi nie ma w Związku Sowieckim, wyjechali za granicę". Berling dodaje w swych wspomnieniach: „To nas nie zdziwiło. Wiedzieliśmy, że obozy zostały zlikwidowane, że koledzy się rozproszyli, podczas gdy my dobrowolnie zostaliśmy w Związku Sowieckim. Jednak z czasem zaczęły ogarniać nas wątpliwości na ten temat...".

W 1942 Polacy pracujący przy kolejach żelaznych Rzeszy dowiedzieli się od mieszkańców tych miejsc, że w lasach katyńskich, na zachód od Smoleńska, tam gdzie wyrosły młode sosny, rozstrzelano dużą liczbę ich rodaków. Pierwsze poszukiwania pozwoliły odkopać ciało polskiego oficera. Grób ponownie zasypano, postawiono na nim krzyż brzozowy. Ponowne poszukiwania zaczęto dopiero później.

(Po wojnie domowej lasy katyńskie znajdowały się w gestii GPU, a następnie NKWD. W roku 1931 otoczono je murem i zabroniono obcym wstępu. Dziś cały teren jest nadal otoczony murem jako „rezerwat państwowy", wstęp do niego jest wzbroniony, do pomnika polskich oficerów — dużego krzyża katolickiego — dostać się można tylko przez wąską bramę w murze).

Wiosną 1943 roku na rozkaz władz niemieckich eksperci niemieccy pod przewodem Gerharda Butza odkopali pod lasem sosnowym i trzyletnim zagajnikiem brzozowym osiem masowych grobów.

13 kwietnia Radio Berlin zawiadomiło o tym odkryciu, twierdząc, że masakry dokonały organy NKWD wiosną 1940.

Dnia 15 kwietnia 1943 sowieckie Biuro Informacji oskarżyło o wszystko Berlin, oświadczając, że polscy jeńcy pracowali niedaleko Smoleńska i zostali wzięci do niewoli przez Niemców.

15 kwietnia polski rząd Sikorskiego zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z żądaniem śledztwa.

20 kwietnia rząd polski skierował takie samo żądanie do strony sowieckiej, zwracając uwagę, że propaganda faszystowska korzysta ze sprawy Katynia aby zakamuflować zbrodnie, popełnione w faszystowskich obozach koncentracyjnych.

21 kwietnia rząd sowiecki oskarżył rząd polski o kolaborację z Hitlerem, a 25 kwietnia zerwał stosunki dyplomatyczne z polskim rządem.

Polski Czerwony Krzyż wysłał do Katynia lekarza medycyny sądowej Mariana Wodzińskiego wraz z grupą ekspertów technicznych. Niemal wszyscy, włącznie z Wodzińskim, byli członkami podziemnej Armii Krajowej. Władze niemieckie domyślały się tego, nie robiły jednak przeszkód w pracy komisji. Równolegle

do komisji Wodzińskiego hitlerowcy stworzyli własną komisję, do której zaprosili ekspertów z 12-tu krajów sprzymierzonych i okupowanych.

Komisja odkopała ponad 4.000 trupów. Świadkowie złożyli zeznania: 73-letni kołchoźnik Parfieni Kozłow, który pierwszy wskazał miejsce kaźni (nie poczuwając się do żadnej winy, nie ukrył się po wyjściu Niemców i został natychmiast aresztowany przez NKWD, „odwołał" swe poprzednie zeznania, po czym zniknął) oraz kowal Iwan Krowojercew (wyjechał do Włoch, gdzie rok później powtórzył pod przysięgą swe zeznania przed sprzymierzonymi, zmienił nazwisko na Michał Łoboda i zamieszkał w Anglii, gdzie go w roku 1947 znaleziono powieszonego; nie wiadomo, czy sam się powiesił, czy został powieszony).

Obie komisje doszły do wniosku, że sądząc po wynikach sekcji zwłok, datach listów oraz gazet znalezionych przy ofiarach (w sumie 3.184 dokumenty), kształcie ran zadanych bagnetami i innych danych, mord został popełniony wiosną 1940.

Natychmiast po wycofaniu się wojsk niemieckich na miejsce przybyła komisja sowiecka pod przewodnictwem akademika N. Burdenko. W krótkim czasie odkopała liczne niezidentyfikowane trupy i doszła do następującego wniosku: w Katyniu spoczywa 10.000 oficerów zabitych między sierpniem a październikiem 1941 przez jednostkę saperów 537-ej armii niemieckiej pod dowództwem pułkownika Arensa.

W lutym 1946, na procesie norymberskim, odczytano paragraf oskarżający kierownictwo faszystowskie o zamordowanie we wrześniu 1941 w lesie katyńskim 11.000 oficerów polskich. Oskarżenie wytoczyła strona sowiecka. Rozpatrywano je między 1-szym i 3-cim lipca 1946. Pułkownik Arens oświadczył sędziom, że latem 1941 nie dowodził jednostką saperską 537 i że jednostka ta nie znajdowała się w ogóle w rejonie Smoleńska ani latem, ani jesienią (znajdował się tu pułk łącznikowy dowodzony przez pułkownika Bedenka). W wyniku tego tragedia katyńska nie została wspomniana w wyroku międzynarodowego trybunału, który odczytano 30 września i 1 października.

Wśród licznych zachodnich publikacji wspomnijmy zbiór „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów", wydany w Londynie w 1948 pod redakcją generała Władysława Andersa, który miał przeszło dziesięć wydań.

W maju 1945 pułkownik armii amerykańskiej Van Vliet, więzień obozu hitlerowskiego, w którym niemiecki komendant pokazał mu odkopane w Katyniu groby, został przesłuchany przez generał-majora wywiadu, C. Bisella. Zeznania Van Vlieta ogłoszono we wrześniu 1951. Kongres Stanów Zjednoczonych mianował komisję katyńską. Po przesłuchaniu 81 świadków i zbadaniu 183 dokumentów oraz 100 pisemnych świadectw, komisja doszła 22 grudnia 1952 do wniosku, że masakra była dziełem strony sowieckiej.

Badania wspominają ogłoszony w 7 *Tage* z 7 lipca 1957 dokument, zdobyty przez wojska niemieckie wraz z resztkami archiwum w gmachu NKWD w Mińsku. Jest to raport datowany 10 maja 1940, podpisany przez szefa mińskiego NKWD Tartakowa, a skierowany do generałów Zarubina i Rajchmana na temat likwidacji obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, którą zlecono — sądząc po dokumencie — niejakiemu Burianowowi. Zgodnie z tym dokumentem, likwidację obozu w Kozielsku przeprowadziły jednostki NKWD z Mińska pod osłoną 190-go pułku piechoty, likwidację obozu w Ostaszkowie — w okolicach Bołogoje — jednostki NKWD ze Smoleńska pod osłoną 129-go pułku piechoty, a likwidację obozu w Starobielsku (w obwodzie Dergaczi) jednostki NKWD z Charkowa pod osłoną 68-go pułku piechoty. Likwidację wszystkich trzech obozów, poruczoną pułkownikowi B. Kużowowi, zakończono między 2 a 6 czerwca 1940.

Reżyser Andrzej Wajda, którego ojciec leży w katyńskiej mogile, kręci film na ten temat...

Na temat Katynia napisano wiele. Mimo to należy ustalić rzecz główną. Historycy sowieccy muszą potwierdzić znane dziś dane albo im zaprzeczyć. Muszą się dowiedzieć i wyjaśnić, dlaczego w lesie katyńskim rozstrzelano tysiące osób.

Aleksander AKULICZEW,
Aleksander PAMIATNIK
z Instytutu Informacji Naukowej dla
Nauk Społecznych przy Sowieckiej Akademii Nauk

***Les Nouvelles de Moscou* (francuskojęzyczne wydanie *Moskowskich nowosti*), nr 21/2228, 21 maja 1989.**

Płk VAN VLIET

RELACJA AMERYKAŃSKIEGO OFICERA*

Jestem emerytowanym oficerem armii amerykańskiej. Opowiem o moich przeżyciach związanych z moją służbą w Afryce Północnej i późniejszych związanych z tym doświadczeniach.

W Afryce Północnej Alianci wylądowali w Algierii, a także

*** Jest to stenogram relacji, nagranej do telewizyjnego filmu dokumentalnego pt. „Katyń" w reżyserii Witolda Zadrowskiego.**

w innych krajach tego regionu w listopadzie 1942 roku. Byłem dowódcą batalionu walczącego w Tunezji z Afrika Korps marszałka Rommla.

Było to jak porywanie się z motyką na słońce. My mieliśmy karabiny, a on miał czołgi. Tak więc, nie wdając się w dłuższe opowiadania wojenne, powiem jedno: przegrałem. Tak samo jak wielu innych, którzy dostali się do niewoli.

Rommlowi dostarczano wówczas posiłki i zaopatrzenie drogą lotniczą nad Morzem Śródziemnym. Droga morska była zbyt ryzykowna ze względu na marynarkę brytyjską. Samoloty przylatywały do Rommla pełne, z zaopatrzeniem, a wracały puste, wioząc tylko rannych i — jak się później okazało — jeńców wojennych.

Przewieziono mnie więc samolotem do Włoch, gdzie spędziłem dwa tygodnie kwarantanny, a następnie w wagonie bydlęcym zawieziono mnie aż do Niemiec i tam osadzono w obozie dla jeńców brytyjskich w Rothenburgu. Większość jeńców stanowili ciężko ranni brytyjscy oficerowie, których określano terminem *grands blessés*. Brytyjczycy odnieśli się do nas przyjaźnie, mimo że wepchnięto nas im na głowy. Wciśnięto do obozu 125 amerykańskich oficerów dosłownie na głowy Brytyjczyków.

W marcu i kwietniu 1943 roku prasa niemiecka wybuchła rewelacjami na temat zwłok, odkrytych w zbiorowych mogiłach w lesie katyńskim w Rosji. Niemcy zajmowali wówczas jeszcze tę część Rosji. Fotografowali te zbiorowe groby, zalewali zdjęciami swoje gazety, a jak się później dowiedziałem, prasa światowa sprawę podchwyciła.

Niemiecki dowódca obozu wezwał mnie któregoś dnia pod koniec kwietnia czy też na początku maja. Wezwał też brytyjskiego dowódcę, którym był brygadier Nicholson, najwyższy stopniem oficer aliancki w obozie. Byłem mu podporządkowany jako najwyższy stopniem oficer amerykański. Niemiecki komendant obozu oświadczył, że rozkazuje nam zebrać się do wyjazdu do Katynia. Mieliśmy wyznaczyć jeszcze jednego oficera, który pojedzie razem z nami. Odpowiedzieliśmy, że tego nie zrobimy. Że to jest propaganda. A my jesteśmy jeńcami wojennymi. Jesteśmy chronieni przez Konwencję Genewską i doniesiemy o tym chroniącym nas Szwajcarom. Usłyszeliśmy, że „wszystko jedno", „i tak pojedziecie". Wzięli nas pod zbrojny konwój i pojechaliśmy.

Wyznaczyłem do jazdy ze mną kapitana Donalda Stuarta, podobnie jak ja absolwenta Akademii Wojskowej West Point. Było nas tylko dwóch z tej uczelni. Wiedziałem, że jeśli jesteśmy wplątani w coś takiego, co może mieć konsekwencje i po wojnie,

Stuarta będzie łatwiej odnaleźć niż któregokolwiek z rezerwistów, którzy po wojnie wrócą do swoich cywilnych zajęć. Tak więc wzięto Donalda Stuarta, mnie i brygadiera Stevensona z obozu, przewieziono do Berlina, gdzie znaleźliśmy się w towarzystwie wielu innych jeńców. Znałem tylko jednego z nich. Był to kapral armii amerykańskiej Tansib, którego rozpoznałem.

Niemcy kolejno przesłuchiwali nas w czymś w rodzaju jadalni w suterenie kamienicy przebudowanej w areszt przejściowy w Berlinie.

Trzymano tam komanda robocze, które prowadziły różne prace w Berlinie. W tej jadalni, kiedy stawaliśmy przed jakimiś niemieckimi oficerami i funkcjonariuszami ministerstwa spraw zagranicznych, procedura wyglądała mniej więcej tak:

— Pułkowniku Van Vliet, ponieważ zgłosił się pan na ochotnika, by wziąć udział w międzynarodowej komisji, która zbadać ma tę straszliwą masakrę...

Powiedziałem: — Chwileczkę, nie zgłaszałem się jako ochotnik do niczego, jestem tu pod przymusem i wbrew moim protestom. Protestuję: to jest propaganda, która nie ma nic wspólnego ze sprawami wojskowymi.

Na to oni, że oczywiście mam dać słowo honoru, że nie będę próbował ucieczki podczas oglądania tych grobów. Powiedziałem, że słowa nie dam. I okazało się, że wszyscy przeszliśmy przez to samo i wszyscy odmówiliśmy słowa honoru, wobec czego Niemcy powiedzieli: będziemy musieli was eskortować. Będziemy musieli usunąć z samolotu amerykańskich jeńców-żołnierzy, którzy też mieli lecieć aby zrobić miejsce dla zbrojnej eskorty, która musi was pilnować, byście nie uciekli.

Powiedzieliśmy im, że to ich sprawa.

Przewieźli nas samolotem do Smoleńska, położonego w głębi Rosji, a oczywiście okupowanego przez Niemców. Następnego dnia wzięli nas do Katynia. Wysiedliśmy z pojazdów i ruszyliśmy pieszo w kierunku grobów. Muszę dodać, że zanim wylecieliśmy z Berlina, cywile którzy opiekowali się cywilną częścią tej wycieczki dali nam po porcji ohydnie śmierdzących papierosów. Zapomniałem już, czy były one egipskie czy tureckie, ale ponieważ jeńcom zawsze brakowało papierosów, i z takich byliśmy zadowoleni. Później powiem więcej o tej sprawie papierosów.

Do miejsca na którym położone były groby musieliśmy przejść przez drewnianą bramę, w której stało dwóch wartowników w polskich mundurach, z karabinami. Eskortujący nas Niemcy wytłumaczyli nam, że jest to straż honorowa, składająca się z Polaków, która ma oddać hołd temu straszliwemu miejscu masakry.

Zapach stawał się coraz wyraźniejszy, potem zbijający z nóg i te słodkawe papierosy nieco nam pomagały przezwyciężyć tę okropność. Wreszcie ujrzeliśmy widok doprawdy trudny do pojęcia.

Drzewa były usunięte, ziemia rozkopana i na głębokości około półtora metra odkryliśmy warstwy ciał.

Po wojnie dowiedziałem się, że jedną z przyczyn, dla których groby te zostały odkryte było to, że zima była wyjątkowo mroźna i pojawiły się wilki, które wygrzebały kości. Ludzie zainteresowali się, skąd wzięły się te kości i to doprowadziło do odkrycia grobów. Nie wiem w jakim stopniu jest to prawdziwe, ale brzmi to interesująco i nawet prawdopodobnie.

Było wiele grobów. Nie wszystkie zostały całkowicie odkopane. Te, które były odkopane, nie były zupełnie oczyszczone z ciał. Odkopano je na tyle, że widać było warstwy ciał, leżących twarzą w dół, wszystkie głowami w tym samym kierunku. W jednym końcu grobu stała woda. Większość innych grobów była sucha i ciała wydawały się zmumifikowane. Robotnicy wchodzili do grobów i jedno po drugim wyciągali ciała. Każde ciało trzeba było jakby wyrywać, bo były one przywarte do ciał pod spodem i jakby nieco spłaszczone przez ciężar ciał leżących na nim, lub przylepione do ciała leżącego niżej. Wydobyte zwłoki kładziono na prymitywnych drewnianych narach, które biednie ubrani chłopi wynosili na skraj grobu, gdzie stał stół nazywany stołem z prosektorium, nad którym przewodniczył Niemiec ubrany w fartuch lekarski i — jak sobie przypominam — z opaską czerwonego krzyża na rękawie. Doktor przedstawił się jako specjalista medycyny sądowej. Patrzyliśmy, jak badał zwłoki i ustalał, że każde miały otwór od kuli w tyle czaszki i ranę wylotową w kości czołowej, znacznie większą, przez którą wyleciał mózg.

Zanim to się skończyło, kazano nam zstąpić do mogił i dosłownie wejść na trupy, przejść po nich do miejsca gdzie odsłonięte były sterty ciał jeszcze nie ekshumowanych. Kazano nam wybrać jedno ciało. Brygadier Stevenson z wahaniem wskazał na jedno z nich. Zostało ono wyjęte i patrzyliśmy, jak operowano je na stole.

Rozcięto kieszenie, przeszukano je dokładnie, starając się znaleźć cokolwiek, co pozwoliłoby na identyfikację. Rozcięto nawet buty. Jeden but zdjęli, lub raczej próbowali zdjąć, bo kiedy starali się to zrobić, oderwała się cała noga. Wobec tego porzucili ten but i zajęli się następnym, w którym znaleźli rodzaj koperty. Nie mogłem przeczytać, co w niej było. Robili to z każdym ciałem i dla każdego ciała zakładali akta. Następnie zwłoki

numerowano i w większości przypadków identyfikowano je nazwiskiem. W innych przypadkach ciało po prostu numerowano.

Niemcy założyli nieopodal muzeum polowe w starej chałupie. Ustawili szklane gabloty, takie jak w sklepie jubilerskim. Wystawione w nich były odcięte od mundurów insygnia oficerskie Armii Polskiej i odznaki jednostek. Były też inne przedmioty, opisane po niemiecku, którego nie znam. Cała przestrzeń wokół tej wystawy przesiąknięta była zapachem śmierci, ponieważ koperty, które właśnie opisałem, zostały dostarczone do szaf w głębi tej chaty i odór w nich pozostał. Niemcami wyraźnie dowodził porucznik Voss, który jak się wydawało był z żandarmerii polowej i był najlepiej poinformowany i wymowny. O ile sobie przypominam, nie mówił po angielsku, przynajmniej nie słyszałem, aby mówił, a tłumacze zasięgali informacji u niego i dopiero potem przekazywali je nam. Wahaliśmy się, czy wierzyć choćby jednemu słowu Niemców, ponieważ twierdzili oni, że ta okropność została popełniona przez Rosjan. Sądziliśmy, że jest prawdopodobne, że uczynili to Niemcy. Nie uważaliśmy, aby była dla nas jakaś różnica, czy zrobili to Niemcy czy Rosjanie. Faktem było, że mieliśmy przed sobą tysiące ciał pomordowanych ludzi. Widzieliśmy, że wielu z nich miało ręce związane za plecami, powiązane bardzo skomplikowanym węzłem. Związane były jakby plecionym sznurem do bielizny lub, jak się potem przekonałem, czymś w rodzaju amerykańskiej linki spadochronowej. Węzły na rękach były tak ściśle zaciągnięte, że sznury wryły się w ciało.

Zanim przyszliśmy do muzeum i byliśmy jeszcze przy grobach, widzieliśmy wiele butów, które zrobiły na nas ogromne wrażenie. Niemcy nam na to nie zwrócili uwagi. Wszyscy, i to niezależnie od siebie, spostrzegliśmy że buty, trzewiki i mundury prawie nie były znoszone. I cały problem kto był sprawcą mógł przecież być powiązany z odpowiedzią na pytanie, jak długo zwłoki te były pochowane. Albo na odwrót: jak długo pozostawali oni żywi? Jak długo nosili buty i ubrania? Czy wystarczająco, aby je znosić? Nie dyskutowaliśmy tego między sobą ani w obecności żadnego z Niemców. Zanim zostaliśmy przywiezieni do Katynia, uzgodniliśmy, że w żaden sposób nie będziemy współpracowali z Niemcami. Nie zamierzaliśmy im wierzyć. Byli naszymi nieprzyjaciółmi. Rosjanie byli naszymi sojusznikami, chcieliśmy wierzyć, że Rosjanie mówią prawdę i wszystko to jest niemieckim oszustwem.

Rosjanie twierdzą, że to Niemcy zamordowali Polaków i pochowali ich, co miało być częścią spisku zmierzającego do obwinienia Rosjan. Ale wydało nam się to kompletnym fałszerstwem,

kiedy zestawiliśmy to z faktem, że buty nie były znoszone. Jako jeńcy, świadkowie pod strażą wiedzieliśmy doskonale, że nasze własne buty zaczynały się zdzierać, a byliśmy przecież jeńcami krótko, tak krótko, jak według Niemców Polacy ci byli w niewoli. Gdyby byli jeńcami tak długo, jak twierdzili Rosjanie, buty ich byłyby już zdarte. Powiedziałem sobie, że coś tu nie gra. Znaczyło to, że naprawdę to Rosjanie wymordowali tę masę polskich oficerów.

Przy samych grobach i po drodze do nich mówiono nam, że pomordowanych jest prawdopodobnie około 15 tysięcy, ponieważ zaginionych było właśnie tylu polskich oficerów. Nie widzieliśmy 15 tysięcy, ale wydawało nam się, że mogło tam leżeć 15 tys., gdyby nadal odkopywano dalsze groby i otwierano je. Już po wojnie dowiedziałem się, że ciał było nieco ponad 4 tysiące, co oznacza, że 10 czy 11 tysięcy dalszych oficerów nie udało się znaleźć.

Cały nasz pobyt przy grobach był filmowany przez Niemców, dokładnie rejestrujących wszystko przy pomocy kamer filmowych i fotograficznych. Niepokoiłem się bardzo, co zamierzają zrobić z tymi zdjęciami. Okazało się, że jeszcze przed odlotem ze Smoleńska dostaliśmy zestaw fotografii formatu kart pocztowych, przedstawiających nas w różnych grupach nad grobami. Fotografie ostemplowane były z tyłu niebieskimi pieczątkami po niemiecku *„Geprüft"*, co oznaczało, że nie wolno nikomu ich nam odebrać. Nie widzieliśmy nigdy zdjęć filmowych, ale mieliśmy po zestawie pięciu czy sześciu bardzo wyraźnych fotografii. Stemple zapewniały, że nikt ich nam nie odbierze. Było to na początku maja, jak sądzę między 12-tym a 15-tym maja 1943 roku.

Odwieziono nas ze Smoleńska do Berlina i tam po raz pierwszy mieliśmy sposobność porozmawiania ze sobą bez obawy o ukryte mikrofony czy podsłuchiwanie. Okazało się, że wszyscy niezależnie od siebie doszliśmy do tego samego, nieuchronnego wniosku, że zrobili to Rosjanie. Do wniosku tego doprowadziła nas sprawa niemal nowych butów i mundurów. Zgodziliśmy się, że nie będziemy z nikim na ten temat rozmawiać, a kiedy wrócimy do naszych obozów jenieckich, wydamy oświadczenie, że nie będziemy składali żadnych oświadczeń ani nie zgadzamy się odpowiadać na żadne pytania. Że zachowamy milczenie, dopóki nie będziemy na wolności i nie będziemy mogli o tym zameldować naszym własnym przełożonym.

Powiedzieliśmy o tym Niemcom, którzy wydawali się bardzo zawiedzeni. Często pytali, co o tym sądzimy, jakie były nasze reakcje, ale my konsekwentnie odpowiadaliśmy, że nie będziemy o tym mówili.

Znalazłem się z powrotem w obozie jenieckim w Niemczech, a po kilku miesiącach Niemcy przenieśli wszystkich Amerykanów do świeżo odnowionego obozu w miejscowości Szubin w Polsce i tam przesiedziałem następne prawie dwa lata. Działałem w grupie przygotowującej ucieczki. Raz udało mi się uciec, ale zostałem ujęty. Planowałem też kilka innych ucieczek, które się nie udały. Fotografie miałem cały czas przy sobie. Niemcy wielokrotnie nas rewidowali i za każdym razem widząc fotografie pytali: no, co sądzisz o tym wszystkim? A ja odpowiadałem, że nie będę tego komentował. Wtedy odwracali fotografie, oglądali stempel, że fotografii nie wolno mi odbierać i zostawiali mi je.

W styczniu 1945 roku rosyjskie natarcie weszło na tereny okupowanej Polski. Kiedy podeszli blisko obozu, oznajmiono nam, że mamy wymaszerować z powrotem do Niemiec. Przeszliśmy 300 kilometrów w zimowej pogodzie. Przez kilka pierwszych dni słyszeliśmy odgłosy ognia artyleryjskiego za nami, świadczące, że Rosjanie nadal posuwają się naprzód. Po wojnie dowiedziałem się, że niektórzy z moich amerykańskich kolegów, którzy wiedzieli, że zawsze byłem aktywny, zawsze starałem się uciec, dziwili się, dlaczego nie próbuję wymknąć się z kolumny, kiedy było to stosunkowo łatwe. Wymknąć się, zaszyć, poczekać aż nadejdą Rosjanie i w ten sposób przestać być jeńcem. Wydostać się na wolność.

Kiedy sprawa katyńska stała się znana po wojnie, niektórzy z nich powiedzieli mi: no, teraz rozumiemy, dlaczego nie chciałeś się dostać w ręce Rosjan, kiedy miałeś przy sobie te fotografie.

W Niemczech umieszczono nas w obozie Buchenwald, ale wkrótce, w kwietniu 1945 roku, armia rosyjska zajęła ten obóz. Niemal natychmiast przeszedłem do linii amerykańskich, niosąc przy sobie te fotografie. Kapitan Steward też w końcu przedarł się do linii amerykańskich i też przyniósł swój zestaw fotografii.

Wojna w Niemczech stale jeszcze trwała, ale było oczywiste, że wkrótce się skończy. Z czołowych pozycji amerykańskich udało mi się przedostać do kwatery głównej gen. Collinsa, którego znałem jeszcze jako mały chłopiec. Collins był podwładnym mojego ojca, wyższego oficera armii, i kiedy wysłuchał mojej opowieści i obejrzał zdjęcia, zdecydował, że trzeba mnie wysłać do Waszyngtonu, że jest to sprawa o najwyższym znaczeniu wywiadowczym, z którą powinien zapoznać się centralny wywiad wojskowy G-2 lub Departament Stanu.

Moje zdjęcia nie zrobiły na gen. Collinsie tak wielkiego wra-

żenia, jakie mogłyby zrobić, gdyż miał on na swoim biurku jeszcze wilgotne odbitki fotografii z jednego z najokropniejszych obozów śmierci, Buchenwaldu. Colins był dokładnie zbielały ze zgrozy, nigdy nie widziałem człowieka tak bladego z wściekłości. Ale oczywiście moje relacje jakieś wrażenie na nim zrobiły.

On miał w rękach zbrodnie niemieckie, ja rosyjskie i jak sądzę obaj chcieliśmy zdać z tego sprawę Departamentowi Stanu. Collins nacisnął zatem właściwe guziki i niemal natychmiast znalazłem się w Paryżu, dostałem świeży mundur i — stale z moimi fotografiami — poleciałem do Stanów. Chciałem złożyć mój raport na samym szczycie kierownictwa wywiadu. Było to biuro wywiadu armii, G-2, a kierował nim oznaczony kryptonimem G-2 gen. Clayton Bisell. Dotarłem do gen. Bisella, pokazałem mu fotografie i w skrócie opowiedziałem całą historię. [Kiedy ponownie znalazłem się u gen. Bisella, usłyszałem:] „Szukałem wszędzie i nie mogę pańskich oryginałów znaleźć". Z pamięci więc odtworzyłem mój raport i złożyłem go ponownie, tym razem już bez fotografii. I tyle o tym słyszałem aż do chwili, kiedy leżałem na stoku wzgórza w Korei jako zastępca dowódcy 23 pułku piechoty, niemal całkowicie otoczonego przez nieprzyjaciela. Nagle dostałem rozkaz, aby natychmiast stawić się w kwaterze głównej generała McArthura w Tokio. Stawiłem się w ubłoconym mundurze i z bronią. Paradnie umundurowani żandarmi strzegący wejścia do sztabu McArthura rozbroili mnie. Patrzyli przy tym na mnie tak, jakbym potrzebował zostać zdezynfekowany, zanim zostanę wpuszczony do środka. W końcu jednak udało mi się wejść przy pomocy argumentu, że dostałem rozkaz, aby stawić się niezwłocznie.

Zostałem przyjęty przez gen. Olmanda, który był zastępcą McArthura. Wziął mnie do swojego gabinetu i pokazał depeszę z Pentagonu, która stwierdzała: „Za kilka dni odtajnimy i opublikujemy drugi raport ppłk. Van Vlieta. Van Vliet nie może zginąć ani dostać się w ręce nieprzyjaciela. Wycofajcie go natychmiast z Korei".

Sztab McArthura mógł odpowiedzieć Pentagonowi, że wyewakuowali mnie z Korei. Siedziałem w Japonii, zastanawiając się, co robić dalej. Czytałem japońskie gazety ukazujące się po angielsku. Nie napisały one o tej sprawie ani słowa. Pytałem przyjaciół z wywiadu, co pisze na ten temat prasa po japońsku. Odpowiedź brzmiała: „Nic". Kwatera główna McArthura tak ściśle kontrolowała Japonię, że w prasie nie ukazywało się nic, czego nie chciał widzieć McArthur.

Minął jakiś czas. Dostałem przydział przy szkoleniu nowej armii japońskiej. Pewnego dnia dostałem za pośrednictwem bazy

lotniczej Itazuki zakodowaną depeszę. Odszyfrowana brzmiała mniej więcej tak: pułkowniku Van Vliet, oto lista nazwisk, czy pan je rozpoznaje? Jedyne nazwiska, które brzmiały znajomo, dziś już je zapomniałem, to nazwisko stenotypistki, której dyktowałem mój raport do gen. Bisella, i nazwisko oficera, który wprowadzał mnie do generała.

Odpisałem, że te nazwiska rozpoznaję. Dostałem polecenie, że mam się stawić w Waszyngtonie, aby złożyć zeznania przed specjalną komisją Kongresu badającą sprawę Katynia.

Poleciałem do Waszyngtonu i kiedy składałem zeznania, zobaczyłem że w posiadaniu komisji jest zestaw fotografii z Katynia. Nie były to jednak moje fotografie, ale identyczny zestaw, który należał do kapitana Donalda Stuarta, młodszego oficera, który też przywiózł je do Stanów. Moje fotografie zaginęły w biurze gen. Bisella.

— Jak pan sądzi, dlaczego zaginął pański oryginalny raport?

Można by powiedzieć, że był to wynik zwykłego nieporządku biurowego, jakiś papier przylepił się do innego, ale naprawdę takie rzeczy się nie zdarzają. Nie sądzę, aby to było przyczyną. Przez długi czas kursowały domysły i pogłoski. Słyszałem, że Henry Szymanski, pułkownik armii amerykańskiej, którego ze względu na znajomość języka polskiego Amerykanie przydzielili jako oficera łącznikowego do armii gen. Andersa, która w drugiej wojnie światowej dzielnie się biła po właściwej stronie, że ten płk Szymański napisał szereg raportów krytykujących Rosjan. Raporty te miały zaginąć, co wywołało podejrzenia, że gdzieś wysoko w biurze wywiadu jest albo agent komunistyczny, albo też sympatyk komunistów, który dbał, aby w aktach nie znalazło się nic, co świadczyłoby przeciw Rosji Stalina.

Komisja, przed którą składałem zeznania, bardzo była ciekawa, jak doszło do zaginięcia tych raportów i wielokrotnie pytała mnie, czy mógłbym rzucić jakieś światło na to, co mogło się stać z oryginalnym raportem, ale ja nie byłem w stanie tego zrobić. Mogłem się tylko domyślać.

Inna rzecz, która interesowała komisję, to fakt, że gen. Bisell dał mi rozkaz na piśmie, który jeszcze dziś mogę niemal co do słowa zacytować: „Podpułkownik Van Vliet. W tym dniu złożył pan raport dotyczący pewnych swoich doświadczeń. Ze względu na potencjalne konsekwencje nie wolno Panu o sprawie tej rozmawiać z nikim bez pisemnego zezwolenia z tego biura. Podpisano gen. Bisell". Na tym rozkazie widniał dopisek: „Pański podpis na egzemplarzu, który pozostanie w moim biurze oznaczać będzie, że otrzymał Pan swój egzemplarz i rozumie jego

treść". A ja pomyślałem sobie, że mam, czego chciałem, ponieważ to przecież ja prosiłem o te instrukcje.

Kiedy członkowie komisji Kongresu, którzy siedzieli na ławie wysokiej jak sądowa, patrzyli na mnie z góry i pytali: jak to, pułkowniku, czy nie wydało się panu dziwne, że dostaje pan od swojego dowódcy, generała majora rozkaz, że nie ma pan z nikim o tej sprawie rozmawiać? — Odpowiedziałem: nie, ponieważ to ja sam poprosiłem o tę kartkę papieru. I miałem powód, aby to zrobić. Wiedziałem, że oficerowie, którzy znali mnie w oflagu, wiedzieli, że Niemcy zabrali mnie pod Smoleńsk i do Katynia, że po powrocie powiedziałem, że nie mam nic do powiedzenia, że nie będę nic na ten temat mówił bez rozkazu. Ci oficerowie to wiedzieli. Teraz, gdy wojna się skończyła, niektórzy z nich znaleźli się z powrotem w Stanach. Wiedziałem, że mogą mieć przyjaciół Polaków, mogą mieć przyjaciół w gazetach i prędzej czy później zgłosi się ktoś i powie: zaraz, teraz, kiedy wydostałeś się z obozu, jesteś z powrotem w kraju, powiedz o co chodziło z tym Katyniem? Kto ich zamordował? A ja nie chciałem odpowiadać na te pytania i chciałem mieć kawałek papieru, który mógłbym wyciągnąć z kieszeni i powiedzieć: przeczytaj to. Mam zamknięte usta.

Kiedy powiedziałem o tym komisji Kongresu, to na sali można było niemal słyszeć, jak uchodzi z nich powietrze. Byli nastawieni na to, że gen. Bisell jest właśnie tym kimś, kto ukrywa całą sprawę z jakichś powodów i że powody te mogą być podejrzane. Sądzę, że chcieli jego głowy. Dziś Bisell nie żyje i uważam, że nie udało im się go obwinić.

Kiedy byłem w Waszyngtonie na tych przesłuchaniach przed specjalną komisją, miałem czas aby wszystko to przemyśleć. Przyszły mi do głowy różne rzeczy, jak na przykład sprawa bomby atomowej. Kiedy składałem raport gen. Bisellowi w jego biurze 22 maja 1945 roku, nie wiedziałem o bombie atomowej. Generał też nie mógł jeszcze o niej wiedzieć, bo nikt nie wiedział o bombie, dopóki nie przeprowadzono pierwszej próby w Alamogordo w lipcu tamtego roku.

Kiedy składałem mu mój meldunek, nie wiedziałem jeszcze że zawarta została, nie wiem dokładnie gdzie, ale najprawdopodobniej w Jałcie, umowa ze Stalinem, że po pokonaniu Hitlera Stalin odwróci się i zaatakuje Japończyków od tyłu. Dopiero później dowiedziałem się, że Stalin honorowo dotrzymał tej umowy, ale kiedy zaatakował Japończyków od tyłu, nie robił nam żadnej łaski. Chciał Mandżurii i uzyskał wiele dla Rosji.

Kiedy składałem raport gen. Bisellowi, nie wiedziałem też, że na kontynencie azjatyckim, w Chinach, znajdowało się wów-

czas milion żołnierzy japońskich, którzy w wypadku zagrożenia samej Japonii mogli być przerzuceni na wyspy, by walczyć z siłami McArthura. Walczyliby fanatycznie i opanowanie wysp japońskich mogłoby armię amerykańską kosztować — jak wówczas oceniano — straty do miliona ludzi. Było zatem w interesie Ameryki, aby nie drażnić Stalina, nie nastawiać go wrogo, podczas gdy na Pacyfiku trwała jeszcze wojna, kiedy nie było wiadomo, czy bomba atomowa będzie skuteczną bronią w chwili, gdy chcieliby zapobiec stratom na wielką skalę, jakie ponieślibyśmy w walce na równinach wokół Tokio. Wszystkich tych informacji nie znałem, kiedy składałem raport gen. Bisellowi.

Faktem jest, że to Rosjanie wymordowali polski korpus oficerski. Nawet wtedy było dla mnie oczywiste, że Rosjanie pomordowali polskich oficerów dlatego, że oficerowie ci stanowili elitę. Stanowili wykształcone, oczywiste, solidne jądro antykomunizmu, które pozostałoby w powojennej Polsce i uczyniłoby Polskę znacznie trudniejszą do strawienia dla Rosji. Tak więc byli oni przeszkodą, którą trzeba było usunąć i która została siłą usunięta.

Często myślałem, co stało się z innymi oficerami alianckimi, którzy byli ze mną w Katyniu. Szkocki oficer kpt. Gilder złożył raport Ministerstwu Wojny. Nie wiem dokładnie, jak ten raport był przygotowany, ale widziałem jego kopię w związku z dochodzeniem prowadzonym przez komisję Kongresu. Jest ten raport prawdziwy i dokładny, wierzę każdemu jego słowu. Znałem Gildera i ceniłem go.

Jeśli idzie o kpt. Stuarta, drugiego oficera amerykańskiego, który był ze mną, to złożył on zeznania, które czytałem i brzmią one tak, jakbym sam je składał. Były one wartościowe, prawdziwe i dobrze przemyślane. Nie słyszałem już później nic o południowoafrykańskim podpułkowniku Stevensonie, ale moim zdaniem był to bufon. Nie wiem, czy jeszcze żyje... Nie wiem też, czy składał raport, który dotarłby do naszej komisji Kongresu.

Kiedy oglądaliśmy groby i później, kiedy przewieziono nas z powrotem do Berlina i zezwolono na spacery, które stwarzały nam możliwość, by trochę ze sobą porozmawiać, był on najstarszym oficerem w naszej grupie i nie wypadało nam powiedzieć mu, żeby się zamknął. Cały czas gadał z tłumaczem i mówił mu, że on, płk Stevenson wydał już jedną książkę w Południowej Afryce i nie może wprost się doczekać, kiedy będzie już w domu i napisze książkę o tym interesującym przeżyciu.

Pewnego dnia w niemieckim areszcie powiedziano mu, aby w ciągu 10 minut się zebrał i Niemcy wyprowadzili go. Nigdy

nie powrócił już do obozu jenieckiego, z którego nas wzięto i więcej o nim nie słyszałem. Po prostu zniknął. Kpt. Stuart też nic już o nim nie słyszał. I to właściwie wszystko, co mogę powiedzieć o innych oficerach.

Kpt. Stuart zmarł na raka przed kilkoma laty, tutaj w Stanach, i o ile wiem jestem jedynym żyjącym Amerykaninem, który kiedykolwiek był w Katyniu. Jestem świadom tego, że kobieta o nazwisku bodajże Harriman, której ojciec był w czasie wojny na placówce dyplomatycznej w Moskwie, została przywieziona na te groby przez Rosjan, kiedy później raz jeszcze rozgrzebali te groby, wyciągnęli te biedne szczątki, przeprowadzili własne dochodzenie i powiedzieli światu, że to niemieccy kłamcy byli sprawcami i pokryli to wszystko niemieckim kłamstwem.

Płk VAN VLIET

WYWIADY
"ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH"

CZARODZIEJSKA GÓRA KOMUNIZMU*

Rozmowa z Jackiem Łukasiewiczem
(13 lutego 1981)

JACEK TRZNADEL: — *Zastanówmy się, ile miałeś lat, jak umarł Stalin?*

JACEK ŁUKASIEWICZ: — W 1953 roku miałem dziewiętnaście lat nieskończonych, ale studia zacząłem wcześnie, więc byłem już na trzecim roku polonistyki. I pracowałem. Jak umarł Stalin, zmobilizowano studium wojskowe i koledzy z przeborowanymi karabinami pilnowali w nocy obiektów uniwersyteckich.

J.T.: — *Czego się obawiano?*

J.Ł.: — Nie wiem. Prawdopodobnie chciano jakoś zmobilizować studentów.

J.T.: — *W celu żałoby? To nie były przecież warty honorowe.*

J.Ł.: — Nie, nie w celu żałoby, bo pilnowanie w nocy budynków uczelni na Szewskiej lub ogrodu botanicznego trudno nazwać wartą honorową. Tak było we Wrocławiu. Mnie zwolniono

*** Fragment książki przygotowywanej przez Jacka Trznadla.**

wcześniej ze studium wojskowego, więc tego nie robiłem. Dla mnie stalinizm to była szkoła średnia, jej ostatnie lata, i pierwsze lata uniwersytetu. Rozpocząłem studia we Wrocławiu w 1951 roku.

J.T.: — *To ten najwęższy chronologicznie krąg stalinizmu, bo przecież to zaczyna się jeszcze w latach dwudziestych.*

J.Ł.: — Na pewno. Cały okres lat trzydziestych, te wszystkie „dźwigary", „miesięczniki literackie", jeśli już będziemy tylko przy literaturze. Także cały okres wojny, to jest oczywiste. Ale to byłoby spojrzenie nie osobiste, lecz historyka.

J.T.: — *Czy stalinizm pozostał dla Ciebie czymś całkowicie z zewnątrz, czy też wdepnąłeś w to w jakimś sensie także moralnym?*

J.Ł.: — Na pewno wdepnąłem. Nie tak bardzo, bo byłem trochę z boku. Była to taka trochę inna grupka generacyjna, ale nie chodziło tylko o sprawy generacyjne. Oczywiście, na urodziny Stalina pisaliśmy wszyscy życzenia, w szkole. W szkole średniej byłem w ZMP, w Lesznie. To ZMP w latach 1949-1950 było u nas jeszcze bardzo ideologiczne. Należeli właściwie wszyscy, tyle że część należała oportunistycznie, ja byłem właśnie w tej oportunistycznej części. „Zakładaliśmy" jakąś spółdzielnię produkcyjną, jeździłem do jakiejś wsi pod Lesznem, ale to pamiętam mgliście i bez niezwykłości. Natomiast kiedy przyszedłem na studia, nie zapisałem się do ZMP. Jakoś tak się to udało nie ZMP-owców w grupie było bardzo mało. Na całym roku może dwie-trzy osoby nie były w ZMP. Może pięć. W tym czasie młodzież z mojej generacji zaczynała interesować się literaturą, ludzie zaczęli pisać jeszcze w szkole. Od szóstej klasy chodziłem razem ze Staszkiem Grochowiakiem, ta sama klasa, ławka, zaczęliśmy dorastać właśnie w tym najgorszym okresie. Najgorszym w różnych dziedzinach, między innymi jeśli chodzi o programy szkolne. U nas po *Weselu* Wyspiańskiego zaczynała się już lektura *Przy budowie* Konwickiego, *Traktory zdobędą wiosnę* Zalewskiego i *Krużylicha* Wiery Panowej.

J.T.: — *No tak, jak ja chodziłem do liceum, to te książki jeszcze nie istniały.*

J.Ł.: — Z okresu międzywojennego pamiętam wyłącznie *W Grzmiącej* Kowalskiego i jakąś Wasilewską. To było wszystko. Nawet nie było *Kordiana i chama,* chyba nie. Myśmy wtedy

zaczynali czytać i pisać, poddani tego typu indoktrynacji szkolnej. Nauczyciele nie bardzo zresztą w to wierzyli, byli starzy i przedwojenni, jeszcze do tego Leszno i Wielkopolska... Nasze „wchodzenie" w lektury to nie było czytanie *Kuźnicy, Odrodzenia* (to czytałem właściwie w dzieciństwie), to było czytanie *Nowej Kultury* Hoffmanowskiej z „Małymi kronikami" Borowskiego. To był już okres przetrzebionych bibliotek, pamiętamy przecież moment, kiedy z bibliotek wszystko wycofano... Poetą najbardziej nonkonformistycznym, i oficjalnym, i nonkonformistycznym, był dla nas Gałczyński. „Weszliśmy" w momencie, kiedy Gałczyński był na indeksie.

J.T.: — *Po krytyce Ważyka...*

J.Ł.: — To był ten okres, kiedy już nie było go w prasie, a jeszcze nie został „zrehabilitowany", więc czytaliśmy jego rzeczy z okresu wcześniejszego i uczyliśmy się ich na pamięć: *Zaczarowaną dorożkę,* wszystkie wierszyki o ogórku... *Niobe* można było dostać w księgarni gdzieś na zapleczu i tam to czytaliśmy. Gałczyński ukazywał nam, że tak też można pisać. My też pisaliśmy te swoje wiersze i zaczęliśmy je gdzieś drukować. W roku 1951 jedynym miejscem, gdzie można było wydrukować na przykład wiersz *Dziewczyna z zapałkami,* którym debiutowałem, to była wkładka do *Słowa Powszechnego* — „W młodych oczach". Oprócz tej wkładki, redagowanej przez Zygmunta Lichniaka, drugiego takiego miejsca nie było. Nie było. Był dodatek literacki do *Sztandaru Młodych.* Koło młodych, do którego chodziłem we Wrocławiu, otwierało się tylko na tę wkładkę do *Sztandaru Młodych.* Ale ja i mnie podobni wszyscy debiutowaliśmy właśnie tam, w tych „młodych oczach".

J.T.: — *Więc jaki był wasz stosunek do realizmu socjalistycznego?*

J.Ł.: — Trudno tu powiedzieć „wasz", było różnie, mój stosunek był chyba zawsze negatywnie sceptyczny. Tych, którzy mieli nas wychowywać, widzieliśmy inaczej niż nieco starsi od nas, na przykład Żółkiewskiego. Należymy chyba do generacji najkrytyczniej do Żółkiewskiego z tamtego czasu nastawionej. Nie był to już ten Żółkiewski z *Kuźnicy,* który pozostawał dla nas wtedy trochę nieprawdziwą legendą, lecz Żółkiewski z roku 1951. Dopiero po wielu latach zobaczyłem, jak to zaraz po wojnie naprawdę wyglądało, czytając tamtą *Kuźnicę.* A rok 1951 to był najgorszy schematyczny okres i temu właśnie nie uległem. Było to

śmieszne i straszne zarazem. Na pierwszym roku pojechaliśmy na kurs do Międzygórza, byłeś tam przecież. Byłem w Międzygórzu w jakimś zespole przygotowującym referat na późniejszy poznański zjazd młodych (z Przemką Matuszewską i Tymoteuszem Karpowiczem).

J.T.: — *Zjazd bardzo socrealistyczny.*

J.Ł.: — W Międzygórzu mieszkałem ze starszym kolegą z koła młodych, wrocławskiego, i ten kolega czytał Baczyńskiego mówiąc jednocześnie: ja ci tego Baczyńskiego nie dam, bo nie chcę cię zdemoralizować. I nie dał. Miałem znów drugiego kolegę, który pisywał artykuły na temat swoich kolegów do ówczesnego *Po prostu* z roku 1951. O mnie napisał, że jestem porządnym chłopakiem, ale mam wrogą ideologię, jednak mogę się zmienić. Tak to wyglądało. Potem była jakaś audycja radiowa z Paryża, w której omówiono ten artykuł i zacytowano. I pamiętam konieczność załatwienia przeze mnie tej sprawy. Było jakieś wielkie, otwarte zebranie ZMP, na którym stałem z tyłu, złożyłem jednak oświadczenie, że oni tam, w Paryżu, nie rozumieją naszych koleżeńskich, serdecznych sporów. Biorąc to wszystko pod uwagę, dużą siłą atrakcyjną dla mnie i różnych moich znajomych stał się PAX. To przyciąganie PAX-u wynikało z dwu przyczyn: można tam było drukować i mieć normalne debiuty, zwyczajne, mniej więcej na każdy temat, a równocześnie był to jakiś model, w miarę do przyjęcia, swoistego pozytywnego zaangażowania. To nie był model walki, ale możliwość oporu przeciw generacji starszych, generacji rodziców, ojców. Chodziło o opór ideologiczny, że oni nie rozumieją nowych czasów, socjalizmu. Bo jednak coś się zmieniło, była rewolucja, jednak chcemy nowego itd. Więc socrealizm nie, ale takie zaangażowanie, owszem. To było pełne wielkich sprzeczności.

Niedawno przeglądałem swój notes z różnymi moimi rzeczami z tamtego czasu i swoje dzienniki. I tam dopiero zobaczyłem, jak różne postawy są nieprawdopodobnie przemieszane. Były tam wiersze, które pisałem przecież najpierw dla siebie, bez żadnych adresów. A więc teksty częściowo nawet socrealistyczne, a z drugiej strony polityczne wiersze przeciw. Tak jedno obok drugiego. Zresztą już wtedy było wchodzenie w cenzurę wewnętrzną. Była ona bardzo swoista, ale była. Był na przykład taki wiersz, który wydrukowałem chyba też w dodatku „W młodych oczach" (ja publikowałem tam zresztą pod ośmioma pseudonimami, co jest bardzo charakterystyczne — wszystkie podałem

uczciwie w *Słowniku pisarzy)*. Więc ten wiersz kończy się w notesie:

Broń na fronty wiozące pociągi wciąż dudnią...

J.T.: — *Korea!*

J.Ł.: — Korea, jak najbardziej! Natomiast wydrukowany został tekst, który posłałem i który brzmiał:

Czarny węgiel wiozące pociągi wciąż dudnią...

Czy coś podobnego... Nie ośmieliłem się na pierwszą wersję, bo wiedziałem, że i tak nie będzie wydrukowana. Ten wiersz mógł być zrozumiany jako nieprzyłączenie się do obrony Korei! Więc coś strasznego, te pociągi wiozące broń... Niemożliwe! Natomiast nie uważałem, żeby te pociągi wiozące czarny węgiel — to był jakiś fałsz. W zasadzie więc była to jakaś postawa nie socrealistyczna, ale również i nie przeciw.

J.T.: — *Wojnę niby to obronną się pochwalało, ale jednocześnie było niemożliwe, żeby socjalistyczne pociągi dowoziły tam broń. Więc chyba dostarczały jej gołąbki pokoju... Tak więc ty byłeś przeciw metodzie pisania, nie ideologii.*

J.Ł.: — Trudno do końca powiedzieć, bo to prawdopodobnie różnie wyglądało w różnych momentach. Ale myślę, że tak mniej więcej było u bardzo wielu osób.

J.T.: — *Byli przecież wtedy także ludzie na boku i ludzie przeciw.*

J.Ł.: — Oczywiście, i z tymi ludźmi się kontaktowałem. Chociażby przez to, że oni także grawitowali dookoła PAX-u. W końcu na tych samych zebraniach literackich w PAXie bywał i Herbert. Debiutowaliśmy z Herbertem w roku 1954 w tym samym almanachu *„Każdej chwili wybierać muszę..."*. Był tam debiut i Herberta, i Bieszczadowskiego, i Grochowiaka, i paru innych poetów.

J.T.: — *Więc jaką rolę odegrał PAX w stosunku do realizmu socjalistycznego i socjalizmu jako ideologii? Jak ty to widzisz?*

J.Ł.: — Prawdę mówiąc, nie chciałbym używać za dużo nazwisk. Jednak dla młodych, biorąc pod uwagę realizm socjalistyczny, PAX był tą furtką prowadzącą do niezwykłego miejsca. Nie bardzo się może dokładnie wiedziało, na czym to polega, ale była to oaza czegoś lepszego. Teraz zrobię dygresję: przypominam

sobie takie zebranie w *Słowie Powszechnym,* tutaj, we Wrocławiu, na Placu Wolności. Dotąd znałem raczej zebrania uniwersyteckie, to wszystko w czym uczestniczyłem. Przyjechał Konstanty Łubieński i miał wykład czy referat, mówił o socjalizmie i o angielskim modelu socjalizmu. Że jednak socjalizm nie zawsze musi być rewolucyjny, że być może także drogą parlamentarną można dojść do socjalizmu, że nie można tego z góry wykluczać — a właśnie Labour Party doszła do władzy — że trzeba to rozważyć. Było coś takiego, że przez cały czas patrzyłem na drzwi i okna: jak to, nikt nie słucha, nikogo nie ma (oczywiście, ze służb specjalnych), nie zamkną go? A jednak coś takiego zostało powiedziane. Był więc PAX miejscem, do którego szło się między innymi dlatego, że tam można było inaczej pisać, mówić, można było dyskutować. Ja byłem wtedy w redakcji *Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego,* od jesieni 1953 roku. Naczelnym redaktorem był Tadeusz Mazowiecki, a w dziale literackim było nas trzech: Stanisław Grochowiak, Władysław Terlecki i ja. I robiliśmy ten dział literacki, sądząc że zrobimy wielkie, wspaniałe pismo, co oczywiście było idiotyzmem, bo to był taki tygodnik kurii i księdza Lagosza i nic nie można było zrobić...

J.T.: — *Jednak, co za redakcja!*

J.Ł.: — Nic nie można było z tego zrobić. Mam tutaj zresztą te roczniki, patrzyłem jak to wygląda, ilu najprzeróżniejszych najdziwniejszych ludzi się przez to przewinęło, debiutowało. Ale to już zupełnie inna rzecz. Tymczasem, w końcu 1953 i z początkiem 1954 roku byłem w PAX-ie, dumny że siedemnastolatki robią tutaj zebrania, zjazdy polityczne. Zarysowały się wtedy dwie tendencje: jedna, że musimy akceptować socjalizm w całości, a więc musimy też określić pozytywnie swój stosunek do realizmu socjalistycznego, jako pewnej metody, która jest częścią tego rzeczywistego socjalizmu niejako immanentną. Oczywiście, z jakąś możliwością zastosowania realizmu socjalistycznego do inspiracji światopoglądowych katolickich. Tego było niewiele. I była druga tendencja: w ogóle przeciwko socrealizmowi. Że jest to termin skompromitowany i że nie należy go używać. Reprezentował tę tendencję Zygmunt Lichniak i bardzo mocno w tym duchu w PAX-ie wystąpił. Doprowadził do tego, że tego terminu nie było w wystąpieniach programowych PAX-u. Jako Mateusz Żurawiec Lichniak pisywał wtedy zresztą socrealistyczne katolickie wiersze i socrealistyczne katolickie powieści. Natomiast był przeciwny wprowadzaniu jakichkolwiek teoretycznych sformułowań, bo uważał to za niebezpieczne i niesłuszne. Czyli

istniała pewna zasada wewnętrzna określająca swobodę pisania, możliwość wybierania tematów. To wiele mówi o tej grupie, która z tego PAX-u wyszła. Ona też oczywiście była niespójna, bo tylu ludzi się tam otarło, było, przeszło, wszystko to bardzo młode. Dość, że ten październik 1956 roku był dla nas chyba jakąś naturalną konsekwencją.

Ja nie mówię w tej chwili o PAX-ie w ogóle, mówię o udziale poprzez PAX w literaturze, mówię o takim stosunku do rewolucji, do socjalizmu, gdzie otwierały się możliwości różnych pociągających wyjść. Zarówno kwietniowa rada kultury i sztuki z 1955 roku, jak i wszystkie późniejsze, jak i październik, to wszystko była dla nas rzeczą, w której się chciało uczestniczyć. Z tym oczywiście, że PAX jako instytucja politycznie zaczął inaczej uczestniczyć, to była sprawa *Instynktu państwowego* Piaseckiego i innych rzeczy. Wielu osób nie było już wtedy w PAX-ie. Ja wtedy chorowałem, tak że mnie jakoś nie wyrzucili, i do '56 roku w tym PAX-ie byłem. W roku '56 wyszedłem, jeszcze o tym coś powiem.

J.T.: — *A kiedy zaczęła się łamać ta ogólna wiara w prawidłowość historii, że płyniemy w socjalizm, ta wiara, która istniała, jak mówisz, mimo wątpliwości co do metody i jej kwestionowania? A formacja marksistowska, czy istniała dla Ciebie, czy wiara w socjalizm była czymś od tego niezależnym?*

J.Ł.: — Trudno już dzisiaj o dokładność i pewność, ale myślę, że u mnie przynajmniej to nie było wszystko takie jasne. Niewątpliwie istniała jakaś wiara w historię i konieczność dziejową, w słuszny proces historii, było takie założenie, ale była to zawsze postawa wierzącego z wątpliwościami. Z tym że w tej formacji młodych PAX-owców nie było idei wallenrodyzmu. Na pewno nie było. Może były jakieś myśli i domniemania, że całość tego ruchu, w jakim jesteśmy, jest jakimś wallenrodyzmem, może. Ale to już na jakimś innym piętrze. Był jednak na początku okres dużego zaufania do osoby kolegi Kierownika, do tego że istnieje konieczność stopni wtajemniczeń. Ale nawet w tym najgorszym momencie PAX-u, który nie jest opisany u Micewskiego, dokładnie — to był ten okres, kiedy PAX chciał objąć funkcję urzędu do spraw wyznań, kiedy brał udział w strasznych akcjach, jak wysiedlanie zakonnic i zakonników z ziem zachodnich — to przez cały czas była ta teza, chyba wcielana w życie, o nieagenturalnej roli członków PAX-u. Że w ramach tego nie ma agentury, że my na to nigdy nie pójdziemy, żebyśmy mieli u siebie agentów. My, jako całość, mamy swoją politykę. Charakterystyczne, że do

zespołu PAX-u nigdy nie przyjmowano tego, kto chciał, i dotyczyło to nie tylko nas młodych. To była stała polityka Piaseckiego. Wchodził ten, komu to zaproponowano, kogo my chcieliśmy. Jeśli ktoś sam tylko chciał — tego nie przyjmujemy. To było bardzo widoczne. Dawało to jednocześnie jakieś poczucie zaufania.

J.T.: — *A czy istniała świadomość jakiegoś długiego ciągu historycznego, że można patrzeć na PAX jako przedłużenie endecji i jej stawiania na Rosję?*

J.Ł.: — Wracam do własnego punktu widzenia, do własnych obserwacji. Niewątpliwie tak jak dziś patrzę, z zewnątrz, widzę dużo racji w tym, co powiedziałeś. W stosunku do PAX-u wewnątrz byłoby w tym na pewno także dużo racji. Natomiast to było zupełnie nieuświadomione. W Lesznie na przykład była duża endecja, moja rodzina nie była zresztą leszczyńska. Nie miała endeckich sympatii, ani ojciec, ani matka. Ale nasz bunt był również buntem przeciw środowisku domowemu, endeckiemu, u wielu ludzi, przeciw antysemityzmowi, przeciw wielu rzeczom. Natomiast w pewnym momencie w PAX-ie, w Halinie, rozpoczęły się określone dyskusje w zespołach. Były bardzo ostre, był duży podział, młodzi przeciw starszym, którzy tym kierowali. Dyskutowano sprawę demokracji jako wartości. Ktoś mówił na przykład, że demokracja sama w sobie nie jest wartością, to zależy, jaki instrument się z tego zrobi. I tam nagle zaczęło się okazywać, że to co wydawało się jasne i wspólne — że jakby nie należy o tym mówić — to stało się nieoczywiste. Więc my weszliśmy bez tej świadomości pozycji czy sytuacji PAX-u, o której wspomniałeś. Ta świadomość zaczęła się zarysowywać później i doprowadziła do wyjścia wielu osób. Ludzi, którzy przeszli przez PAX było jednak dosyć dużo, stworzyli potem sporą część tak zwanego pokolenia '56 czy „Współczesności", tych którzy debiutowali w '56 roku.

J.T.: — *Czy to wszystko przyczyniło się do rozwodnienia tych „gęstych" wartości socjalizmu?*

J.Ł.: — Na pewno tak. Powstała jakaś oaza. Myślę o sobie w tym '51-52 roku. Była wtedy pewność, że to co jest, jest absolutnie trwałe. Więc także z tego powodu nie był to wallenrodyzm. Nie będzie zmiany gwałtownej, choć możliwa jest ewolucja wewnętrznych wartości. Istnieje jednak jakaś konieczność historyczna, decydująca o trwałości tego, co jest. To była dla nas

zresztą rzeczywistość dana. W czasie wojny i po wojnie spotykałem się z ludźmi z AK, bawiłem się bronią partyzantów i tym podobne rzeczy. Ale sprawy wiodące od wojny, to były sprawy rodziców, sprawy tamtego pokolenia, które jednak odeszło i zamknęło się. Które już nie rozumie tego, co idzie. Nie było oczywiście wiary w absolutnie wszystko, była konieczność ukrywania jakiejś mimikry konformizmu (na studiach), i to bardzo daleko. Jednak na tym tle PAX był tym miejscem szczerości. Istniała możliwość takich dyskusji, których gdzie indziej się bałem. W końcu był to okres ciągłych aresztowań i to aresztowań również moich kolegów. Pamiętam Mazura, tego o którym pisze Hłasko w *Pięknych dwudziestoletnich*. Wypukano go z ćwiczeń Ziomka na pierwszym roku i do dzisiaj się nie znalazł. To był rok 1951. To była jesień 1951, ciebie już nie było na uniwersytecie we Wrocławiu. Parę innych osób, których nazwisk już nie pamiętam i które były w kole młodych, też zniknęło, i wiem, że zostali aresztowani. Także starsi znajomi, którzy mi imponowali, zostali poaresztowani, w związku ze sprawą Martyki, czy nielegalnego ZHP. Było groźnie.

Teraz chciałbym wrócić do lat właściwie chłopięcych, powojennych, '46-47-48 do '49 roku. Do ogromnej roli wychowawczej, bardzo szerokiej — harcerstwa. Były tam różne rzeczy, ale przede wszystkim spotykałem się — jako właściwie dziecko — ze starszą kadrą tej generacji, która była nastawiona „anty". Oni tego nie mówili, organizowali po prostu różne rzeczy, ale to nastawienie było po prostu widać. To byli jeszcze ci chłopcy, którzy używali pseudonimów między sobą. Byłem po wojnie na obozie warszawskiej drużyny harcerskiej, gdzie byli chłopaki, którzy brali udział w Powstaniu Warszawskim, trochę tylko ode mnie starsi. Była to generacja post-AK-owska, ci którzy się o to otarli. Częściowo tam byli, częściowo nie. To wszystko jednak w nas zapadło, było. I w tym momencie roku 1949-50 stało się dla nas rzeczą widoczną, że ci ludzie — a było ich dosyć dużo — ludzie będący pewnymi autorytetami — zaczęli być prześladowani. A to już nie było pokolenie rodziców, to były nasze autorytety, autorytety chłopców, i oni szli do więzienia. Lub druh taki a taki, nasz hufcowy, wspaniały człowiek, odstawiony na boczny tor, zaczął pracować jako księgowy. Teraz jest jakimś autorytetem od szkół specjalnych. Byliśmy z nimi solidarni. Ale z drugiej strony widzieliśmy, że tamto się skończyło.

Przypomnę pewien fakt. W Lesznie, w roku 1950, założyliśmy we cztery osoby Klub Obłąkanego Księżyca. Był tam Grochowiak, Jurek Jastrzębski, teraz fizyk atomowy, i Tolek Krupkowski, teraz chemik, profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Ten klub miał cele wyłącznie towarzyskie, jak już sama nazwa mogłaby wskazywać, mieliśmy taką kronikę, która jeszcze gdzieś tam jest, mieliśmy hymn, piosenkę napisaną przez Staszka Grochowiaka. Śpiewaliśmy ją i tak to było. I pamiętam, jak wuj jednego z członków tego Klubu Obłąkanego Księżyca, sędzia, zobaczył tę kronikę u swojego siostrzeńca, który u niego mieszkał, i przeraził się. Powiedział: zniszczcie, spalcie to, i natychmiast rozwiążcie wszystko. To był okres likwidacji kolejnych organizacji w szkołach. Myśmy wiedzieli, co to jest, myśmy sobie to natychmiast uświadomili. Tak więc to wszystko składało się na złożoność takiej osobnej grupy generacyjnej. Ważny był nasz stosunek do tych starszych kolegów, którzy imponowali czternastolatkom. Nie chodziło tutaj o roczniki dwudzieste, lecz te z końca lat dwudziestych. One były chyba najbardziej pokrzywdzone i przez wojnę, i po wojnie. Cały czas byliśmy z nimi solidarni.

J.T.: — *A autorytety czynnych pisarzy, opowiadających się za tym socjalizmem?*

J.Ł.: — Tak, ale to byli ludzie, których znałem tylko z lektur. Natomiast po przyjeździe do Wrocławia zetknąłem się z tymi kolegami starszymi ode mnie, czyli mniej więcej twoimi rocznikami. Było to środowisko bardzo zaangażowane, ZMP-owskie, członkowie koła naukowego przygotowujący referaty, oni pokazywali drugą stronę, stronę zaangażowania. Kiedy przyszedłem na wrocławską polonistykę, uczęszczałem na pierwszym roku między innymi na dwa zajęcia. A więc wykłady Jerzego Ziomka, właściwie niesamowite. Strasznie się teraz tego wstydzi i świetnie to pamięta. Mówił straszne rzeczy o Jezuitach w XVII wieku, straszne, był wykład słynny o wierszu Kochanowskiego *Czego chcesz od nas, Panie, za twe hojne dary*. Cały wykład był oparty na twierdzeniu, że jest to okropna parodia, że w gruncie rzeczy jest to bezbożny, ateistyczny wiersz. Wykłady Ziomka były dla mnie czymś zdecydowanie negatywnym. Wiedziałem z góry, że są zdecydowanie fałszywe. Natomiast równocześnie odbywały się ćwiczenia Czesława Hernasa, na których ukazywał nam portret literacki w średniowiecznej literaturze. Te zajęcia były czymś zupełnie innym. Więc można i tak. To na mnie bardzo wpłynęło. Były także wykłady Jana Kotta, mam gdzieś notatki z tych wykładów. Był taki wykład Kotta, na którym mówił bardzo dużo o *Sezonie w Alpach* Mieczysława Jastruna jako o przykładzie odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego i gdzie bardzo ładnie analizował wpływy tego odchylenia na poszczególne wiersze *Sezonu*

w Alpach. To było odbierane przeze mnie całkowicie sceptycznie. Że po prostu tak nie można. Była chęć zaakceptowania, wejścia w to wszystko, ale równocześnie i bunt. Cały czas pojawiała się świadomość więzień, aresztów, procesów, które jednak ciągle były. Dotykały starszych, ale i młodszych. Grochowiaka zamknęli w '51 roku, co prawda trochę za co innego, ale jakoś tam było to i polityczne, bo coś wykrzykiwał po pijanemu o Bierucie, jako młody chłopak. Groził mu jednak duży wyrok. Byłem świadkiem na jego procesie, chodziłem na te procesy, widziałem to wszystko.

Natomiast sam wykwit stalinizmu — jeśli tak mogę powiedzieć — poznałem ze swojego ścisłego doświadczenia. Było to lato 1952 roku, koniec czerwca, początek lipca. Zachorowałem wtenczas na gruźlicę i znalazłem się, trochę na wyrost i przypadkiem, w sanatorium na Wysokiej Łące, w zespole kowarskim. Było bardzo ciężkie sanatorium, ten właśnie kompleks, w którym był Gielniak. Były tam dwa sanatoria, to na Wysokiej Łące i to w Bukowcu, z operacjami dla stanów bardzo ciężkich. Na Wysokiej Łące też był oddział dla stanów bardzo ciężkich, zupełnie beznadziejnych. Wtenczas właśnie zaczęto wprowadzać do leczenia Rimifon i tym podobne. Ja znalazłem się tam protekcyjnie, dlatego że jakiś mój znajomy znał tego dyrektora. Likwidowano jedno sanatorium i przeniesiono mnie z tego sanatorium na Wysoką Łąkę. Na tej Wysokiej Łące znalazłem się w pokoju kadry pacjentów. Był to pokój, którego lekarze się bali, obchodzili go z daleka. W pokoju mieszkał sekretarz grupy partyjnej pacjentów, ogromnej zresztą, który w cywilu był pierwszym sekretarzem komitetu powiatowego partii w Suwałkach, mieszkał przewodniczący ZMP całego sanatorium, będący w cywilu przewodniczącym ZMP Politechniki Warszawskiej, taki Marek. Wreszcie był przewodniczący komitetu pacjentów, który w cywilu był pracownikiem i też jakimś politycznym działaczem w SGPiS warszawskim. Ja się znalazłem jako czwarty w tej grupie. Całe wieczory i noce trwały między nimi rozmowy, wszyscy w niesłychany sposób byli politycznie zaangażowani.

J.T.: — *Komunistyczna Czarodziejska Góra!...*

J.Ł.: — Tak. Przewodniczący ZMP, Mareczek, który przyjechał bez dziury, wyjechał stamtąd z półtora dziurą, dlatego że nie chodził na werandy, tylko w czasie werandowania siedział w piwnicy i wycinał litery z papieroplastyki. I my przygotowywaliśmy tam na 22 lipca wielkie święto na uchwalenie konstytucji PRL. Było to ogromne działanie, referat powstawał w moim pokoju.

Całe wieczory i noce moi współpacjenci pisali ten referat, który składał się z części międzynarodowej, części wewnętrznej i „uterenowienia". Część międzynarodowa zabrała nam najwięcej czasu, potem się wszyscy szalenie cieszyli, że tak samo było w *Trybunie* Ludu, że tak świetnie trafili. Część wewnętrzna była częścią wewnętrzną, a uterenowienie było takie, że należy wyrzucić lekarza, który zapisywał pacjentom, tym umierającym pacjentom, recepty na Rimifon, który właśnie pojawił się w Szwajcarii. Za to, że wypisywał recepty do Szwajcarii, tego lekarza wyrzucono, zlikwidowano kaplicę w Bukowcu, i jeszcze coś.

J.T.: — *Dlaczego za ten Rimifon?*

J.Ł.: — Że nie wolno wypisywać recepty na zagranicę, na kapitalistyczny Zachód. On wypisywał recepty, które pacjenci posyłali w listach do Szwajcarii. Przysyłano potem lekarstwa tym umierającym ludziom, dla których był to jedyny ratunek. Tak to wyglądało, to było zupełnie koszmarne. Jednocześnie całość była humorystyczna. W tym sanatorium odbywały się zebrania. Co tydzień — komitetu pacjentów. Były zebrania otwarte grupy zetempowskiej, otwarte zebrania grupy partyjnej, szkolenia robione przez lekarzy i jeszcze inne. Ilość tak zwanych zebraniogodzin dla gruźlików była wprost niesłychana. Trwało to dość krótko, bo po roku przyjechała delegacja lekarzy sowieckich. Gdy zapoznano ich z bogatym życiem ideologicznym sanatorium, oświadczyli: a u nas pacjenci muszą się leczyć. I to wszystko natychmiast się zlikwidowało. Jak pojechałem tam za rok, nic z tego już nie było. Ale wtenczas tak to właśnie wyglądało.

Ponieważ ja też musiałem się czymś wykazać, a byłem niezorganizowany, znajdowałem się w sytuacji człowieka pozytywnego, którego należałoby wciągnąć. Więc zaangażowałem się w ruch artystyczny. Mieliśmy chór pacjentów i zrobiliśmy taki ładny montaż na 22 lipca. Śpiewało się tam różne pieśni i były recytacje z poematu Andrzeja Mandaliana *Dzisiaj*. Wychodziłem w kombinezonie SP-owskim i mówiłem:

Nas epoka do szturmu wiodła,
z nami brnęła w bagnach po pas,
nas nienawiść sadzała w siodła,
zabijano zza węgła nas.

Po czym wsadzano nas wszystkich na otwarte ciężarówki i po zapylonych drogach jeleniogórskiego jeździliśmy od spółdzielni produkcyjnej do spółdzielni. I tam chór gruźlików, nad głowami płowowłosych dzieci, które siedziały w pierwszym rzędzie, plując

i kaszląc prątkami Kocha, deklamował Mandaliana i śpiewał pieśni rewolucyjne.

Tak to wyglądało. To było zresztą dla mnie bardzo wielkie przeżycie. Ile epizodów! Odbywała się wtenczas olimpiada w Helsinkach. I Polak dostał złoty medal w boksie. A Marek, ten o którym mówiłem, był zrozpaczony. Mówił tak: słuchaj, gdyby on w półfinale przegrał z Rosjaninem, to wtenczas Rosjanin wszedłby do finału i byłyby dwa medale dla naszego obozu. Mogę mylić szczegóły, ale tak było. I w ten sposób obóz miał tylko jeden medal. Było w tym wszystkim coś niesamowitego. Ja się tam kryłem z tym, co pisałem. Zobaczyłem to od strony ciężkiej groteski. I żyłem w tej ciężkiej grotesce. Więc potem ten PAX był przejściem do normalnego świata, gdzie można patrzeć pozytywnie na to, co się dzieje, a równocześnie uniknąć humorystycznej grozy. I muszę powiedzieć, że jak przeglądałem ten notes, o którym przed chwilą mówiłem, to właśnie te wiersze, które napisałem tam, na tej Wysokiej Łące, stanowią tę mieszaninę.

J.T.: — *Te wysiłki chorych, te wyplute płuca — czy to nie wysiłki jednostek u schyłku pozytywizmu i na początku Młodej Polski, chcących coś zrobić dla klas upośledzonych, a potem postaci rewolucjonistów u Broniewskiego? Przeżarcie służbą ideologii?*

J.Ł.: — Ale to już było wydanie groteskowe. Choć jakoś się z tym zgadzam.

J.T.: — *Więc były jakieś polskie źródła, nie tylko z Rosji?*

J.Ł.: — Oczywiście. Kiedy mówię o tych latach stalinizmu, obliczam to dla siebie gdzieś do roku 1955-56. Sprawa polskich źródeł socrealizmu jest w ogóle bardzo ważna. Znów wrócę do własnych przeżyć. Z jednej strony był ten ciąg, rzeczywisty i autentyczny, czyli po prostu ciąg lektur, a druga sprawa, to nałożona na te lektury interpretacja. Te obie rzeczy pozostawały ze sobą w bardzo sprzecznym stosunku. Na tym polega różnica edukacji polonistycznej między mną a tobą, że kiedy ja przyszedłem na uniwersytet, ta interpretacja była już nałożona. Nakładano tę interpretację zaledwie dwa lata wcześniej: literatura, proszę kolegów jest zafałszowana, przedtem pisano o meblach u Orzeszkowej, a my musimy pisać o tym, co prawdziwe. Dla mnie interpretacja była już nałożona. To zresztą już się zaczynało w szkole. W zadaniu maturalnym miałem przeprowadzić porówna-

nie między Matką u Gorkiego a Judymem u Żeromskiego. Były jednak i autentyczne lektury, romantyzm, pozytywizm. Równocześnie było odczytywanie literatury współczesnej poprzez tę tradycję. Wiele wierszy współczesnych przyjmowałem jako moje wiersze i do dziś są moimi wierszami. Ale nawet *Poemat o Stalinie* Broniewskiego mieści się w Broniewskim od strony poetyki, to nie była żadna wolta. Ideologicznie — tak. Broniewski wpłynął na mnie uczuciowo i duchowo i po prostu jest. Czytanie tomów, zwłaszcza wojennych, gdzie było i „targowisko" i „córeczko moja, ja z więzienia" (sowieckiego), to było przyjęcie tradycji nie narzuconej z zewnątrz. Czytało się polskich poetów: Ważyka, Jastruna, Szenwalda. Czytało się wiele wierszy, które były wierszami własnymi.

J.T.: — *Ale czy to były wiersze socrealistyczne? Ważyk wojenny i tuż powojenny? To piękne wiersze. I nagle, po '48 roku...*

J.Ł.: — Chcę jeszcze mówić o nakładaniu interpretacji. Mickiewicz i wersyfikacja narodowa Ważyka — to jest nonsens. Ta książka była podawana w kole młodych jako wartość podstawowa i jeden z naszych najwybitniejszych poetów współczesnych, zupełnie nie socrealista, kiedy nieboszczyk Adam Baron przyniósł swoje wiersze, bardzo ideologicznie „mocne", ale pisane białym wierszem — ten poeta powiedział: kolego, wiersze są słuszne, ale brak rymów jest niesłuszny. Trzeba pisać wierszem sylabicznym. Tak mówił mistrz Tymoteusz Karpowicz. Były takie rzeczy...

J.T.: — *W tym okresie tłumaczyłem do szuflady Stiepana Szczipaczowa, a Tymoteusz wydał tomik tłumaczeń ze Szczipaczowa, klasycznego rosyjskiego socrealisty.*

J.Ł.: — Karpowicz był szefem mojej grupy przygotowującej referat na zjazd w Poznaniu w 1952 roku, gdzie ty wygłosiłeś referat o Jastrunie.

J.T.: — *Myślę, że był koszmarny. Ale powiem ci, ta nasza tradycja bywała też okropna, te lewackie, anarchizujące wpływy europejskie kształtowały ją od dawna.*

J.Ł.: — Tradycja była nasza, interpretacja nałożona. Zresztą wiersze socrealistyczne były wewnętrznie zróżnicowane. Więc przyjmowałem zupełnie na „nie" *Sztandar Młodych* i wiersze Woroszylskiego w *Sztandarze,* na nie był Czesio Białowąs, mój kolega, jedyny debiutant we Wrocławiu w ciągu paru lat, wtedy

były w Polsce tylko cztery debiuty. A równocześnie, na planie nie literackim, była konieczność brania udziału w farsach. O jednej farsie już opowiedziałem, teraz krótko o drugiej.

Tą farsą były wybory do sejmu na jesieni 1952 roku. Wyglądało to w ten sposób, że wszyscy brali udział w akcji przedwyborczej, zresztą niezależnie od przynależności organizacyjnej. Były rozdzielone domy, każdy miał parę numerów domów, trzeba było chodzić i agitować po parę razy, i równocześnie zapisywać, czy ktoś słuchał, czy nie słuchał Wolnej Europy. Taka instrukcja była nam dana. Mnie wypadł Plac Marksa, numer chyba 1-3, nie pamiętam, dość w każdym razie, że pod tą numeracją był klasztor żeński. Było tam na dole dziesięć zakonnic, a na górze koleżanki konformistki, które poszły na łatwiznę, ale przy brakach mieszkaniowych trzeba tę łatwiznę akceptować, więc te studentki mieszkały na górze w takim jakby pensjonacie przy zakonnicach. Zapytałem, czy te koleżanki też mam agitować, powiedziano mi że nie, one same siebie agitują. Zostały mi tylko zakonnice. Byłem dwa lub trzy razy u tych zakonnic, one schodziły posłusznie na dół do rozmównicy, a ja przeprowadzałem z nimi rozmowy. Rozmawiałem o odbudowie Warszawy. Jedna z sióstr była z Warszawy, więc pytałem: czy siostra była teraz w Warszawie? — Byłam. — Jak tam, ładnie odbudowują? —A, śliczny Mariensztat; — A trasa W-Z? — Mariensztat śliczny, a trasa W-Z piękna, rzeczywiście! — To, tamto. Taką rozmowę miałem przygotowaną i „nagraną". Jak poszedłem trzeci raz, okazało się, że przyszedł ten kolega, który o mnie pisał w *Po prostu* i przed którym tłumaczyłem się rok wcześniej, przyszedł sprawdzić i skontrolować, jak to wszystko wygląda. Ja wtenczas zebrałem wszystkie zakonnice, zeszły, miałem rozmowę i wszystko to powtórzyłem: — Siostra jest z Warszawy? A jak Mariensztat? — Śliczny Mariensztat! — A jak trasa W-Z? Śliczna trasa W-Z! Piękna! — Wyglądało to pięknie i zostałem pochwalony, że osiągnąłem dobre wyniki w agitacji. Po czym w dniu wyborów każdy z nas miał iść do lokalu wyborczego, wziąć opaskę czy szturmówkę, nie pamiętam, ale opaskę na pewno, i iść do tych swoich wyborców poprowadzić ich do lokalu wyborczego. Umówiłem się z moimi zakonnicami chyba na godzinę siódmą rano, im wcześniej, tym lepiej, przyszedłem do lokalu wyborczego po opaskę czy szturmówkę, i tam mi powiedzieli: Już nie musicie nic robić, bo one wszystkie przyszły o szóstej rano i już głosowały. Farsa była oczywista. Moja matka była wtedy umierająca, w Lesznie, przyszli do niej z urną wyborczą o szóstej po południu i była ostatnią osobą w Lesznie, która oddała głos wyborczy. 100 procent zagłosowało! Brałem udział w tej farsie z całą świa-

domością i bez najmniejszej myśli, że mogę powiedzieć: nie! Bez najmniejszego skrupułu. I to też nie był żaden wallenrodyzm.

J.T.: — *Czy to nie gorzej?*

J.Ł.: — To pewnie gorzej. Stąd wyszło pokolenie konformistów, które po '56 tak łatwo weszło potem w tamte lata tak zwanej małej stabilizacji lat sześćdziesiątych. Oczywiście, trzeba by na to popatrzeć w sposób bardziej skomplikowany. Tym niemniej świadomość farsy była pełna, a jak powiedziałem, prawdziwe dyskusje dla mnie będą w PAX-ie.

J.T.: — *A na to, co nie było farsą, kto wpłynął? Ja chwilami myślę, że gdyby nie kilku literatów, którzy przyjechali z Rosji, jak Ważyk, Putrament, gdyby nie kilka osób, które w kraju to robiły, i kilka innych, które się przyłączyły, to sami mierni politycy nigdy by nas w ten ruch nie wciągnęli.*

J.Ł.: — Jeżeli Żółkiewski na nas może nie wpłynął, to Wyka swoimi książkami o romantyzmie, czytanymi w szkole, na nas wpłynął. Cały ruch pokoju, który robił Iwaszkiewicz, to było akceptowane. Całkowicie akceptowane. Z zakonnicami to była farsa. Natomiast, jeśli ja ze *Słowa Powszechnego* w tym samym roku — to była jedna z moich pierwszych akcji — jeździłem po księżach i namawiałem ich do podpisywania listu, bodajże do Rokossowskiego, czy coś podobnego, to nie była farsa, robiłem to z pełnym przekonaniem. Że jest tutaj model, w który trzeba wejść, włączyć się itd. Moje krótkie zaangażowanie w PAX było rzeczywistym zaangażowaniem. PAX potrafił przyciągnąć wielu ludzi. Właśnie tym jakimś liberalizmem, którego już gdzie indziej nie było. Ale istniały i szkolenia PAX-owskie, pamiętam takie jedno szkolenie, z którego zdawałem egzamin, to był chyba 1954 rok. Były do zdania dwie książki: pierwsza to była książka Gilsona o świętym Augustynie, przerobiłem ją solidnie i zdałem, a druga to była ekonomia socjalizmu. Dwa te dzieła trzeba było zdawać razem. W 1955 roku zacząłem już patrzeć na to z boku, był rozłam w PAX-ie, odejście frondy, „noc świętej Zuzanny". My zostaliśmy w PAX-ie, z jakąś tendencją rozbicia go od środka: „wy nie występujcie, wy jeszcze zostańcie", wallenrodyzm wtenczas był, ale to był wallenrodyzm na użytek jednej organizacji.

Całą utopijność możliwości rozbicia tego od środka przez tych nowych ludzi zrozumiałem w 1956 roku. Jak to było? W 1956

roku mocno chorowałem, byłem w Zakopanem, gdzie przyszedł mi październik i wielu ludzi wtenczas albo powychodziło, albo ich wyrzucono, poprzesuwano do innych podzespołów. Ja byłem chory i mnie wtenczas nie ruszono, o mnie zapomniano. W październiku 1956 roku wróciłem, pełen zresztą entuzjazmu dla tego wszystkiego, co się działo, i pojechałem na zespół PAX-u do Warszawy. To był ten najgorszy czas, zachodziła obawa, że przyjdą studenci z Politechniki i rozbiją ten cały zespół, odbywało się to na Bielanach w Akademii Teologicznej, tam było zebranie. Przyszedł Piasecki, wyglądał okropnie, miał rozpiętą koszulę z przesuniętym krawatem. Najpierw przegłosowano wotum zaufania dla kierownika. I dopiero jak przegłosowano to wotum zaufania, on wszedł na salę. Było wiadomo, że bez tego nie wejdzie. To nie było jednogłośne, nie pamiętam jak głosowałem, przypuszczam, że wstrzymałem się od głosu. I wtenczas nagle zobaczyłem, że na tym zespole zmieniła się struktura. Zawsze to byli głównie moi rówieśnicy, jakieś nastolatki, a tam nagle znalazła się większość złożona z ludzi po czterdziestce. Wyciągnięci z rezerw własnych, z Konfederacji Narodu, z batalionów uderzenia i tak dalej. To wszystko się nagle tam znalazło. Średnio się wtedy orientowałem w rzeczach wewnętrznych. Siedziałem obok Jurka Krzysztonia. Zabrałem wtenczas głos, pamiętam, że przemawiałem ostro, przeciw. Bo była taka kwestia, czy popełniono błąd polityczny, czy moralny. Więc mówiłem mocno przeciw i zdziwiłem się, że potem Kętrzyński, Łubieński, Micewski — jeszcze byli — bardzo gratulowali mi tego przemówienia. Bo oni już robili to wyjście, tę secesję, która miała zaraz nastąpić. I w tych przemówieniach zarysowały się dwa bardzo wyraźne i przeciwne stanowiska polityczne. Z jednej strony sam Piasecki, Przetakiewicz, z drugiej właśnie Micewski, Korotyński, Kętrzyński... I wtenczas któryś z tych późniejszych secesjonistów zaproponował mnie do komisji skrutacyjnej. Byłem więc w komisji skrutacyjnej. W ogóle miałem szczęście w życiu być w paru ważnych komisjach skrutacyjnych. Byłem w tej komisji skrutacyjnej z Kętrzyńskim, który był w komisji skrutacyjnej ONZ-u. To uczestnictwo ukazało mi całą lipę tego wszystkiego. Miałem przed sobą te kartki i widziałem, że na większości kartek nazwiska są przemieszane. Nie jest to głosowanie na jednych lub drugich, tylko na starą kadrę, z jednych i drugich. A więc wiedziano, że komu Bolesław pozwoli kandydować, to znaczy że jest jego. Więc miałem świadomość lipy tego wszystkiego. Oczywiście, część ludzi wyszła. Natychmiast, tego samego dnia, wystąpiłem. Złożyłem oświadczenie na piśmie, poszedłem do Przetakiewicza i oddałem. To było w październiku 1956 roku.

J.T.: — *Więc to był jakby koniec wszystkiego. Powiedz teraz jak oceniasz swoje pisanie z tego czasu?*

J.Ł.: — Różnie oczywiście, były różne rzeczy. O Stalinie nie pisałem. Ale są rzeczy, których wolałbym nie napisać. To są pewne wiersze, może jeden i drugi artykuł. Prowadziliśmy z Grochowiakiem taki notatnik kulturalny w *WTK*, to robiło się z gazet, i ja napisałem w swoim notatniku kulturalnym o takim jakimś grafomanie, zupełnym dekadencie, niejakim Williamie Faulknerze, o którym zresztą pierwszy raz usłyszałem... Wstydziłem się tego artykułu i paru podobnych rzeczy.

J.T.: — *Wszystko wtedy galopowało, czasem różnica miesiąca - dwóch była zupełnie decydująca.*

J.Ł.: — I był to dla nas także wiek, w którym różnica miesiąca - dwóch może odgrywać wielką rolę, te dwie rzeczy jakby się na siebie nakładały.

J.T.: — *Te totalitarne układy mają to do siebie, w porównaniu z układami liberalnymi, że po wiekach zastoju są w nich okresy bardzo szybkich, zaskakujących zmian. Lepiej chyba mieli ci, których potknięcia przypadały na młodość, nie na wiek dojrzały. To tak jak na bieżni, trudniej odrobić czas na ostatnich okrążeniach.*

Rozmowę przeprowadził Jacek TRZNADEL

WSPOMNIENIA

Janusz TYSZKIEWICZ-ŁĄCKI

BYŁEM ADIUTANTEM GEN. SIKORSKIEGO*

[...]

W Rzymie było sporo Polaków przybyłych z Polski w pierwszych dniach września 1939, jednakże potem nikt nie zdołał wyjechać z Polski do grudnia. Klasztor, gdzie moja siostra była zakonnicą, został założony przez matkę Ledóchowską, siostrę generała jezuitów — ojca Ledóchowskiego. Ten odwiedziwszy swą siostrę dowiedział się o moim przyjeździe i rozmawiał ze mną o stosunkach w Polsce, zwłaszcza kościelnych. Po rozmowie powiedział mi, że chciałby, abym się zobaczył z Ojcem Świętym, który jest otoczony prałatami niemieckimi, ci zaś nie wierzą, aby Niemcy mogli postępować okrutnie lub niehumanitarnie, tak jak ja to przedstawiam. Miałem już wówczas wyznaczoną datę wyjazdu do wojska we Francji na 15 grudnia, o czym zawiadomiłem ojca Ledóchowskiego. Powiedział mi na to, że to za krótki czas, aby wyrobić mi audiencję u Ojca Świętego, natomiast postara mi się o audiencję u Monsignora Montini lub, o ile pamiętam Bartini, obu podsekretarzy Stanu Watykanu. Prosił mnie, bym spamiętał wszelkie sprawy, które mu opowiedziałem i powtórzył wiernie w Watykanie. Po paru dniach zawiadomił mnie, że mam audiencję. Stawiłem się w Watykanie o oznaczonej godzinie i odbyłem rozmowę z Monsignorem, nie wiedząc naturalnie, że

*** Fragmenty „Pamiętnika", udostępnionego nam przez Andrzeja Pleszczyńskiego. Krótką notę biograficzną J. Tyszkiewicz-Łąckiego podajemy na str. 237.**

rozmawiam z późniejszym papieżem. Rozmowa trwała około godziny. Monsignore pożegnał mnie bardzo uprzejmie i spytał, czy nie potrzebuję pomocy finansowej. Oczywiście odpowiedziałem odmownie. Miałem wrażenie, że żywi pewne wątpliwości co do wiarygodności mojej relacji, co zresztą mogło być zrozumiałe. Na szczęście wkrótce po mnie przyjechał Olgierd Czartoryski, który również był w Watykanie i oczywiście potwierdził, a nawet rozszerzył wiadomości podane przeze mnie. Muszę tu zaznaczyć, że ambasador Polski we Włoszech, Wieniawa-Długoszewski, nie zainteresował się zupełnie ani moją osobą, ani wiadomościami, które przywiozłem i do ambasady naszej mnie nie wezwał, choć został zawiadomiony o moim przyjeździe. Nie miałem o nim wysokiego wyobrażenia i to postępowanie raczej mnie w tym utwierdziło. Może był to człowiek dobry, ale w moim zrozumieniu nieinteligentny.

15 grudnia stawiłem się z żoną punktualnie na francusko-włoskim punkcie granicznym w górach. Na dworcu przyjął nas polski oficer i zabrał na przesłuchanie do punktu zbornego koło dworca. Tam byłem świadkiem i mimowolnym uczestnikiem tragikomicznego zajścia. Zięć byłego prezydenta Mościckiego, który udał się już do Szwajcarii jako obywatel szwajcarski, były minister Bobkowski, wszczął dyskusję z oficerem polskim, który moim zdaniem ze zrozumiałym rozgoryczeniem krytykował sanacyjne rządy i brak przygotowania do wojny, tak tragicznie przegranej. Na tle tej dyskusji powstała sprawa honorowa. Wybrano mnie na świadka jednej strony. Oświadczyłem z góry, że na żaden pojedynek się nie zgodzę i o ile strony będą na to nastawać, urząd swój złożę. Szczęśliwie udało się nam jako świadkom sprawę tę załatwić obustronnym oświadczeniem, że żadna ze stron nie miała zamiaru ubliżyć osobiście stronie przeciwnej, a przedmiotem sporu była jedynie różnica poglądów politycznych.

W Paryżu zgłosiłem się do słynnych wówczas dla Polaków koszar w Bessières, gdzie zapisano mnie na nowo w szeregi Wojska Polskiego. Otrzymałem później medal Wojska Polskiego potrójnie (za wpis, ucieczkę z niewoli bolszewickiej oraz wydostanie się z więzienia niemieckiego, co zresztą już zupełnie nie było moją zasługą).

Moja żona znalazła mieszkanie w bardzo dobrym i świetnie położonym Hotel Chalham w Paryżu. Mój kuzyn Stefan Tyszkiewicz miał tam należne pewne sumy, które hotel spłacał w formie taniego wynajmu pokoju, co wielu Polakom wówczas ogromnie pomogło. Ja wkrótce zostałem wysłany do Loudeac w Bretanii na kurs wyszkolenia oficera francuskiego. Od tego czasu

miałem awersję do ówczesnego rządu francuskiego. Płacono nam bowiem, o ile pamiętam, 900 franków miesięcznie, a hotel z utrzymaniem, gdzie nas przymusowo umieszczono, kosztował franków 950, czyli każdy z nas musiał dopłacić 50 franków miesięcznie z własnych funduszów. W ten sposób rząd francuski ówczesny wyciskał ostatnie grosze z naszych kieszeni. Kurs wyszkolenia prowadził oficer francuski — ksiądz w cywilu. Sympatyczna nasza znajoma, vicomtesse de Courcy, poleciła mnie swojej znajomej, która mieszkała w Loudeac. Zapraszała mnie ona często w niedzielę, co urozmaicało mój pobyt w tym małym miasteczku. Chodziliśmy pieszo do sąsiedniego miasteczka, w którym stacjonował oddział wojsk angielskich. Anglicy, bardzo nam przychylni, sprzedawali nam na równych prawach jak swoim wojskowym swoje dobre papierosy, gdyż francuskiego tytoniu czarnego nie znosiliśmy. Ale to długo nie trwało. Władze francuskie poleciły Anglikom wstrzymanie tej sprzedaży, gdyż rzekomo rząd francuski tracił na tym, że Polacy nie kupowali tytoniu francuskiego. Wkrótce po ukończeniu kursu w Loudeac zostałem przeniesiony do Coëtquidan, ogromnego obozu zarezerwowanego wyłącznie dla Polaków. Używany tam byłem do tłumaczenia rozmów oficerów z francuskiego na polski i *vice versa*. Pamiętam, jak tłumaczyłem raz oburzenie francuskiego generała na utrzymanie w polskim przeszkoleniu musztry formalnej, trwającej zaledwie kwadrans dziennie. Mówił, że możemy musztrować wojsko jak wrócimy do Polski, we Francji natomiast tego robić nie wolno. Żołnierz francuski żadnej musztry nie uprawia, dyscypliny nie potrzebuje i nie uznaje, a mimo to jest najlepszym żołnierzem na świecie. Rozwój wypadków wkrótce pokazał, jak bardzo się mylił.

W Coëtquidan żołnierze polscy nie byli zadowoleni ze swoich przełożonych francuskich. W niedzielę nie dawano im urlopu, tak że nie mogli wyjść z obozu. Fama głosiła — obawiam się, że prawdziwa — iż dowódca obozu był jednocześnie właścicielem domu publicznego znajdującego się na terenie obozu i nie chciał wypuszczać żołnierzy poza obręb obozu, aby nie tracić dochodu, jaki ten przybytek przynosił.

Z Coëtquidan przeniesiono mnie do sztabu 2-ej dywizji do biura tłumaczy. Dowódcą naszym był tam major, władający bez zarzutu językiem francuskim, a zwłaszcza terminologią wojskową. Wtedy też przekonałem się, ile braków mam w tej dziedzinie. Mój przydział trwał bardzo krótko. Wkrótce potem wezwano mnie do Paryża i po przedstawieniu mnie gen. Sikorskiemu mianowano jego adiutantem. Urzędowałem wówczas przeważnie w budynku naszej ambasady. Wkrótce wyjechałem z generałem na front, gdzie znajdowały się dwie polskie dywizje. Wobec

obawy nalotów niemieckich zatrzymywaliśmy się w domach, gdzie parkingi były świetnie zakamuflowane. Trwała jeszcze „dziwna wojna", ale już wyraźnie miała się ku końcowi, gdyż pod koniec naszej podróży hiobowe wieści dochodziły z północnego frontu. Generał, który jeszcze wtedy wierzył w zwycięstwo oręża francuskiego, jednak dał już rozkazy obu dywizjom, aby w razie konieczności walczyły cofając się, jeśli to nieuniknione, do zaplecza, lub przedzierały się do Szwajcarii. Tak się też później stało. 1-sza dywizja ponosząc duże straty cofała się walcząc, a 2-ga dywizja zdołała się przebić do Szwajcarii, gdzie została internowana na cały czas wojny. Początkowo ludzie byli tam traktowani jak nieprzyjacielscy jeńcy, później jednak, w miarę zwycięstw alianckich, traktowanie wyraźnie się poprawiało, dzięki czemu mamy wielu absolwentów uniwersytetów szwajcarskich, lekarzy, inżynierów itp. Wracając z frontu wstąpiliśmy do Vichy dość późnym popołudniem. Zastaliśmy tam wiadomość od prezydenta Raczkiewicza, aby natychmiast jechać do Bordeaux. Wkrótce po przybyciu tam gen. Sikorski został przyjęty przez gen. Weyganda, naczelnego wodza wojsk francuskich. Dowiedział się od niego, że w ciągu najbliższych dni Francja zmuszona jest podpisać zawieszenie broni. Był to wielki cios dla generała, który wierzył prawie do końca w zwycięstwo Francji. Nie było wiele czasu do namysłu. Trzeba było decydować się szybko, aby coś w tych warunkach zrobić. Ale co? Opatrzność czuwała nad nami. Po południu tegoż dnia zjawił się angielski samolot z dr. Józefem Retingerem. Został on przysłany przez Churchilla, głównie z własnej inicjatywy, aby sprowadzić generała na narady z rządem brytyjskim. Generał zdecydował się na lot momentalnie. Wziąwszy ze sobą kilka osób, między innymi mnie, poleciał 19 czerwca 1940 roku do Londynu. Witał nas na lotnisku ambasador Raczyński i paru Brytyjczyków. [...] Po przenocowaniu w hotelu Dorchester udaliśmy się nazajutrz rano do siedziby urzędowej Churchilla przy 10 Downing Street.

W hallu liczni członkowie rządu brytyjskiego witali generała jak zbawiciela. Nie mieli żadnych wiadomości z Francji, a możliwość sprowadzenia Polaków z bronią po klęsce w Dunkierce musiała wydawać im się zrządzeniem Opatrzności. Anglia była wówczas zupełnie nieuzbrojona. Całą broń, jaką Anglicy mieli, stracili w swoim korpusie ekspedycyjnym we Francji. Jedynie lotnictwo było wówczas na poziomie, no i naturalnie flota. Zapewne te dwa czynniki powstrzymywały Niemców od inwazji, co zresztą wielu historyków późniejszych uważa za błąd kapitalny.

Generał został zaraz zaprowadzony do biura Churchilla, ja czekałem w hallu na jego wyjście. Trwało to może godzinę.

Zaraz potem razem z premierem udaliśmy się do szefa sztabu imperialnego, skąd wkrótce potem wychodziły rozkazy radiowe do wszystkich okrętów brytyjskich znajdujących się niedaleko wybrzeży francuskich, aby niezależnie od swojego ładunku wstępowały do wyznaczonych portów francuskich w kolejności od wschodu do granicy hiszpańskiej. Plan przewidywał pięć dni ewakuacji. Z naszej strony ambasada miała łączność radiową z naszymi oddziałami we Francji. Generał rozkazał, aby nasze wojska gromadziły się w portach francuskich i ładowały na okręty angielskie. Po wydaniu tych rozkazów zdecydował powrócić do Francji, aby wydać na miejscu ostatnie rozkazy ewakuacji i wyznaczając dowódców tej operacji, zabrać ze sobą szkieletowy sztab, który zająłby się przygotowaniem rozlokowania itp. naszych wojsk w Wielkiej Brytanii. Wylecieliśmy pożyczonym brytyjskim wodnopłatowcem, który mógł zabrać kilkudziesięciu ludzi. Takich wodnopłatowców miała Anglia zaledwie kilka. Z tego powodu pilot zapowiedział nam po długich targach, że może zaczekać na nasz powrót zaledwie do wczesnych, jeszcze ciemnych godzin rannych, gdyż nie może ryzykować zniszczenia samolotu przez bomby niemieckie, a samolot oczywiście będzie bardzo widoczny na jeziorze, gdzie mieliśmy lądować. Umówiliśmy się, że w razie jakichkolwiek przeszkód damy znać drogą radiową umówionym szyfrem. O ile nie damy mu znać, to będzie znaczyło, że wracamy na samolot. Wylądowaliśmy na jeziorze Biscarrosse koło Bordeaux. Nie mieliśmy oczywiście samolotu do dalszej drogi, zwróciłem się więc z polecenia generała Sikorskiego do dowódcy francuskiego okręgu jeziora, który był bazą wodnopłatowców francuskich, z prośbą o przydzielenie nam samochodu z szoferem. D-ca stanowczo odmówił, twierdząc, że zawieszenie broni jest podpisane i że on tego uczynić nie może. Po długich targach, gdy obiecałem, że pokryjemy wszelkie koszty, może zawstydzony, udzielił nam samochodu i szofera. Dojechaliśmy do bazy wojsk polskich koło Bordeaux zaledwie parę godzin przed wysadzeniem w powietrze mostów na Rodanie.

Generał bardzo pospiesznie zwołał sztab dowódców naszych oddziałów we Francji, wyznaczył gen. Kukiela dowódcą operacji ewakuacyjnej oraz oficerów sztabowych mających opracować organizację naszych wojsk we Francji, których zabierał ze sobą i zaraz udaliśmy się kilku samochodami w drogę do Biscarrosse. Nasza radiostacja już była zwinięta i nie sposób było porozumieć się z naszym angielskim pilotem czy też dowódcą samolotu raczej. Jak się później dowiedziałem, został on wysokim urzędnikiem w wojskowej *Intelligence,* o ile się nie mylę w randze pułkownika. Dojechaliśmy do samolotu wcześnie rano — na szczęście

jeszcze czekał na nas. Wkrótce wylecieliśmy z Francji, gdzie jeszcze zdążyłem zobaczyć francuskich żołnierzy tańczących z radości z powodu podpisania zawieszenia broni. Ten widok oraz zajście, jakiego byłem świadkiem w restauracji francuskiej kilka miesięcy przedtem, gdzie grono Francuzów na nasz widok wykrzykiwało, że nie dadzą się zabić *pour Danzig,* pozostawiło mi smutne wrażenie i wyobrażenie o patriotyzmie francuskim.

Wylądowaliśmy ponownie w Londynie 21 czerwca 1940 roku. Rozpoczął się wówczas nowy etap Polski walczącej za granicą. Prezydent Raczkiewicz, który wyjechał z Francji jednym z okrętów brytyjskich, nie wiedział nic o zdarzeniach ostatnich dni. Został przywitany przez gen. Sikorskiego i członków rządu brytyjskiego, jeśli mnie pamięć nie myli, również króla Jerzego. Generał twierdził, trochę może żartobliwie, że wyczytał w oczach prezydenta pewien zawód na widok generała, którego widocznie nie lubił. Spodziewał się bowiem, iż pozostał on we Francji.

Ewakuacja naszych wojsk z Francji była wielkim sukcesem. 40.000 żołnierzy i oficerów zostało ewakuowanych w ciągu pięciu dni z bronią i uzbrojeniem. Zostali oni rozmieszczeni w Szkocji w kilku obozach. Opowiadali, że prawie wszędzie Francuzi stawiali opór ich ewakuacji. Dopiero wyraźnie wypowiedziana chęć bronienia ich odcinka do ostatniego człowieka powodowała, że dawali im potrzebną benzynę itp., ażeby się szybko wynosili.

W Anglii Polaków witano jak bohaterów. Anglia była prawie bezbronna na lądzie. Brytyjczycy tworzyli rodzaj *home guard,* którą zbroili w cywilne rewolwery, kupowane na gwałt w Ameryce, oraz w rodzaj dzid, na które w swej niebywałej naiwności zamierzali nadziewać spadających na nich z nieba spadochroniarzy niemieckich. Naprawdę szczęśliwy los zrządził, że Hitler nie zdecydował się wówczas na inwazję — poza lotnictwem i flotą Anglicy nie mieli mu nic do przeciwstawienia. W naiwności swojej zmieniali napisy kierunkowe wsi i miast, aby zmylić spadochroniarzy niemieckich, jak gdyby ci nie mieli sztabowych map Anglii.

Nasze oddziały wzięły się od razu do ubezpieczania tych odcinków wybrzeża Anglii, które najbardziej nadawały się na desanty. Grubo murowane przeszkody przeciwczołgowe, zasieki kolczaste etc. stanowiły pewne realne przeszkody. Próby Anglików palenia oliwy rozlewanej na morzu nie bardzo wyglądały na realne przeszkody dla floty. Wojska nasze miały jedną słabość: nadmiar oficerów w proporcji do stanu żołnierzy. Toteż poczęto tworzyć pociągi pancerne, mające operować na odcinkach zagrożonych, których załogi składały się z samych oficerów. Generał

często odwiedzał Szkocję i wynajął w tym celu na swą kwaterę w Szkocji obszerny dom w Gook. Właściciel zatrzymał do swego użytku jedno piętro. Korzystał on z opału, który rząd brytyjski przydzielał do użytku generała, gdyż bez niego nie sposób było utrzymać możliwej temperatury w tak obszernym domu w zimnym klimacie Szkocji.

Jak to często bywa wśród Polaków, w wojsku zaczęły się szerzyć — zwłaszcza, a może wyłącznie wśród oficerów i umundurowanej inteligencji — prądy antyrządowe na tle „sanacyjnym". Byli wojskowi przeważnie awansowali za rządów sanacji, jako zdecydowani piłsudczycy — a obecnie mieli wodza, który przez ich obóz był prześladowany, a nawet zmuszony zamieszkać czas jakiś we Francji, w obawie przed zamachem na swe życie. Generał Dreszer przy okazji naszych inspekcji w Szkocji wyraźnie mi powiedział, że uważa rewolucję wojskową przeciw rządowi za nieuniknioną, co muszę przyznać ogromnie mnie zaskoczyło i zasmuciło, gdyż pojąć nie mogłem, jak można było warcholić w naszych warunkach na wygnaniu. Rząd składał się przeważnie z byłych członków opozycji do rządów sanacyjnych w Polsce, ale Prezydent i wyżsi wojskowi przeważnie przedstawiali właśnie ten, w 1939 roku wyraźnie w Polsce niepopularny obóz. Zachodziły wielkie zmiany w świecie. Należało za wszelką cenę utrzymać jedność wobec świata zachodniego. Generał, niejednokrotnie z dużymi trudnościami wobec członków swego rządu, dążył do tego celu, choć nie zawsze mu się to udawało. Generał Kukiel, gdy go odwiedziłem po wojnie w jego biurze, mówiąc o swojej książce o gen. Sikorskim, którą, o ile pamiętam, właśnie pisał czy wykańczał, powiedział, że trudno mu było znaleźć jakieś większe błędy w polityce generała — największym błędem wydawał mu się fakt, iż nie posłuchał rady Ignacego Paderewskiego zaraz po upadku Polski w 1939 roku. Paderewski zdaniem gen. Kukiela radził wówczas Sikorskiemu, aby się ogłosił dyktatorem i dobrał sobie taki rząd, jakiego według jego mniemania Polska wówczas potrzebowała. Znając gen. Sikorskiego wiem, że taka koncepcja zupełnie mu nie odpowiadała — zanadto wierzył w zasady demokratyczne. Patrząc jednak wstecz i wiedząc już, że prawdziwa demokracja z dala od kraju i przy braku ludzi mogących odpowiadać nastrojom kraju i nawet jego poglądom politycznym, które przegrana wojna radykalnie zmieniła, nie była możliwa, nie wykluczam, że rada Paderewskiego była słuszna, a nieprzyjęcie jej błędem. Pozostawiam czytelnikowi wyciąganie wniosków, jakie zechce.

Gdy objąłem funkcje adiutanta generała, powiedziałem sobie,

że nie będę się starał w żaden sposób wpływać na niego — będę pełnił moje skromne obowiązki tak, żeby być pomocnym generałowi pod każdym względem. Starałem się tej zasady trzymać. Zdarzało się jednak, że generał zwracał się do mnie z pytaniem, co o danej sytuacji myślę. Jeden taki wypadek pamiętam dobrze. Było to bardzo niedługo po moim przyjeździe do Anglii. Jechaliśmy do Prezydenta Raczkiewicza. Generał Sikorski zapytał mnie, czy wiem, po co jedziemy. Na moją odpowiedź, że nie wiem, dał mi do przeczytania list Prezydenta, o ile pamiętam mniej więcej tej treści: „Niniejszym zwalniam Pana Generała z funkcji premiera i mianuję na to miejsce Augusta Zaleskiego". Byłem tym zupełnie zaskoczony i przyznaję oburzony na partyjniactwo Prezydenta i widoczną nienawiść do Generała. Zapytałem Generała, po co w takim razie jedziemy do Prezydenta. Istnieje przecież umowa między stronnictwami a Prezydentem, w której Prezydent zobowiązuje się, że nie będzie podejmował żadnych ważnych decyzji bez zgody stronnictw. A te przecież nigdy nie zgodzą się na zmianę Generała na Zaleskiego. Generał nie odpowiedział od razu, ale po chwili powiedział: „Wiesz, Janusz, masz rację". Kazał szoferowi zawrócić i zwołał po powrocie przedstawicieli stronnictw, które oczywiście zmusiły prezydenta do zmiany decyzji. Oburzenie w wyższych sferach wojskowych było bardzo duże. Kilku wyższych oficerów w randze pułkownika i wyższych zgłosiło się do Prezydenta i zapowiedziało bunt wojska, jeśli Prezydent jeszcze raz waży się samowolnie decydować o zmianie rządu. Byli oni wszyscy byłymi piłsudczykami. Naturalnie zdania wśród wyższych wojskowych, zwłaszcza w Szkocji, były podzielone i wielu potępiało ten krok jako niezgodny z zasadami lojalności wojska, ale wielu zapominało, że oni sami grozili buntem. Mam wrażenie, że prezydent Raczkiewicz był człowiekiem poddającym się wpływom, a że sam był piłsudczykiem przed wojną, to nic dziwnego, że ludzie tej samej myśli mieli na niego wpływ. Otoczony był jednak ludźmi bardzo porządnymi — wszyscy jego adiutanci byli ludźmi o wysokim poziomie moralnym i godnymi szacunku. Osobiście bardzo ich lubiłem i szanowałem. Że mogli żywić czasami trochę stronniczej lojalności wobec swego przełożonego, to zrozumiałe. Zresztą generał Sikorski miał przeważnie albo całkowicie sobie oddanych ludzi, albo zaciętych wrogów, choć naturalnie trafiali się też w jego otoczeniu karierowicze, czego niestety trudno uniknąć ludziom stojącym u steru władzy. Prezydent kiedyś przypomniał mi, że przyjeżdżał i mieszkał w Kretyndze jako korepetytor moich braci stryjecznych. Bywał wówczas również w Połądze, moim rodzinnym miejscu. Będąc wojewodą wileńskim pozyskał sobie

wielu zwolenników. Na ogół jednak uważałem go za nie bardzo inteligentnego, o ograniczonych horyzontach, zwłaszcza w sprawach polityki zagranicznej. Było to niestety dość powszechne zjawisko wśród naszych najwyższych sfer kierowniczych, z wyjątkiem, moim zdaniem, generała Sikorskiego. Pamiętam, jak generał Sikorski wezwał do siebie generała Sosnkowskiego. Jedliśmy wtedy kolację w trójkę. Generał Sikorski zaproponował generałowi Sosnkowskiemu stanowisko ambasadora w Stanach Zjednoczonych. Sosnkowski nie pełnił właściwie żadnych ważnych funkcji w Londynie, z wyjątkiem może tego, że był uznawany przez całą opozycję i wszystkich piłsudczyków za przywódcę, przynajmniej nominalnego. To nieoficjalne stanowisko uważał widocznie za ważne, a swoją obecność w Anglii za ważniejszą niż bronienie sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych, kraju, który miał później odegrać decydującą rolę w losach naszego kraju. Zdaje mi się, że wówczas mało kto z naszych przywódców rozumiał znaczenie Stanów, znów z wyjątkiem generała Sikorskiego, który dwukrotnie tam jeździł i konferował z Rooseveltem. Sfery żydowskie w Stanach nalegały na Generała, aby ambasadorem był Ciechanowski, tak jak się potem stało. Trudno mi ocenić jego pracę, gdyż nie byłem wówczas ani razu w Stanach — Generałowi towarzyszył wówczas naturalnie oprócz dr. Józefa Retingera (nieoficjalnego łącznika Generała do władz angielskich), mój szwagier, późniejszy ppłk Stefan Zamoyski, następnie zastępca *attaché* wojskowego w Waszyngtonie. W czasie jednego z tych lotów na kontynent amerykański startujący z lotniska w Kanadzie pilot zauważył, że dopływ benzyny z głównego zbiornika jest zamknięty. Szczęśliwie zdołał samolot zawrócić i wylądować na lotnisku, z którego startował. Moim zdaniem słynny agent sowiecki Kim Philby próbował wówczas pozbyć się generała Sikorskiego, co mu się niestety udało później w Gibraltarze, gdzie był szefem brytyjskiego kontrwywiadu na Półwysep Iberyjski.

Generał Sikorski mówił mi kiedyś, najwidoczniej po rozmowie z ambasadorem Ciechanowskim w Stanach czy Londynie, że ten ostrzegał przed jego adiutantami — mną i Stefanem Zamoyskim. Generał nie mówił mi, co na to odpowiedział, ale wiem, że trochę pokpiwał sobie z tego ostrzeżenia, mając do nas zaufanie i wiedząc, że nigdy nie zrobimy niczego, co mogłoby go ambarasować oraz znając nasze oddanie jemu i jego sprawie.

Po tej długiej dygresji na temat ambasady i proponowanych ambasadorów w Stanach chcę tu zacytować parę zdań, powiedzianych mi wtedy po kolacji z gen. Sosnkowskim, który ekskuzował się wymownie, iż nie przyjmie proponowanego stanowiska ambasadora, powtarzając: „Panie generale, dla Pana generała gotów

jestem zrobić wszystko, co w mej mocy, ale..." Tu następowało długie tłumaczenie, dlaczego tego zrobić nie może. Jeszcze jedna dygresja. Osobiście generała Sosnkowskiego bardzo lubiłem, uważałem go za człowieka prawego, wielkiego patriotę i inteligentnego, czego niestety nie można powiedzieć o wielu piłsudczykach. Jego próba samobójstwa w Poznaniu po zamachu majowym Piłsudskiego była dla mnie niezrozumiała, choć rozumiałem, że nie aprobował tego zamachu. Był nadto moim dalszym sąsiadem w Wielkopolsce, gdzie go nawet odwiedzałem. Prywatnie w Londynie widywaliśmy się przypadkowo lub w towarzystwie, naturalnie składałem mu również z żoną wizyty, więc chcę tu powiedzieć, że nie żywiłem do niego żadnej osobistej animozji czy niechęci, raczej przeciwnie, dużo sympatii. Dlatego słowa generała Sikorskiego, jak się później okazało prorocze, pamiętam tym lepiej. Po kolacji w Dorchester po wyjściu Sosnkowskiego generał powiedział mi: „Zobaczysz, jeśli mnie kiedy zabraknie, zrobią generała Sosnkowskiego Naczelnym Wodzem i nigdy nie będą mogli uzyskać od niego żadnej decyzji w ważnych chwilach".

Przypomniały mi się te słowa, gdy długo po śmierci generała, a krótko przed wybuchem Powstania Warszawskiego odwiedzałem adiutanturę generała Sosnkowskiego i pytałem kolegów adiutantów, czy generał wobec krytycznej sytuacji wrócił już z podróży zagranicznej. Dowiedziałem się wtedy, że na rozpaczliwe telegramy, wzywające go do powrotu do Londynu, otrzymali odpowiedź, że musi powrót odłożyć, gdyż nie może opuścić audiencji u papieża. Warszawa dostała wówczas wskazówkę od premiera Mikołajczyka, aby sama decydowała, czy rozpocząć powstanie, no i naturalnie powstanie, tak smutnej pamięci, się rozpoczęło. Jestem pewien, że gdyby Sikorski żył, nie byłoby to możliwe. Za dobrze się orientował w stosunkach międzynarodowych no i w polityce Rosji.

Może zainteresuje czytelnika fakt, że jestem jedynym Polakiem, który był obecny przy podpisaniu obu traktatów Polski z Rosją: w Rydze w 1921 w charakterze członka attachatu wojskowego w Rydze pod ówczesnym kierownictwem płk. Gonzagi Myszkowskiego, oraz paktu tzw. Majski-Sikorski w Londynie w 1941 w charakterze adiutanta gen. Sikorskiego. Ten ostatni traktat kosztował gen. Sikorskiego wiele nerwów i wymagał wielkiej siły woli wobec zdecydowanej niechęci społeczeństwa polskiego na emigracji. Generał Sosnkowski błagał dosłownie Generała, aby wstrzymał się z podpisaniem tego układu przez dwa tygodnie, gdyż w tym czasie Niemcy rozłożą Rosję kompletnie. Ta wersja doszła do mnie później, tak, że nie mogę gwarantować

za jej prawdziwość, ale znając nastawienie i ówczesny klimat między Polakami w Londynie, wydaje mi się więcej niż prawdopodobna. Nastąpił nawet częściowy rozłam rządu. Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych do tego stopnia bojkotowało ten układ, że zamiast przygotowywać generałowi wszelkie dane, aby mógł uzyskać atuty wobec aliantów i tym samym ich pomoc w naciskaniu Rosji o jak najlepsze warunki, musiałem sam w imieniu Generała zwracać się do Potulickiego, zresztą mego dalszego kuzyna, radcy MSZ, aby wydostać od niego tekst polsko-angielskiego układu (podpisanego w 1939 roku i później) i zbadać, czy nie zawiera tajnych klauzul, które mogłyby się przydać generałowi Sikorskiemu w rozmowach z Anglikami, którzy pośredniczyli w rozmowach między Polską a Rosją. Tu muszę zrobić dygresję, aby podkreślić fakt bardzo mało znany. Wielu ludzi, którym o tym wspominałem, uważało go za niewiarygodny, a jednak był prawdziwy. W 1942 roku, gdy pełniłem funkcje łącznika Generała w Prezydium Rady Ministrów (właściwie moje funkcje polegały na pośredniczeniu między Generałem lub jego pełnomocnikami, a po śmierci Generała między premierem Mikołajczykiem a naszym personelem w tajnej Radiostacji „Świt" oraz władzami angielskimi tejże stacji) będąc w Bletelley zostałem zaproszony na herbatę do ówczesnego ministra wojny ekonomicznej. W rozmowie, najwidoczniej celowej, wspomniał mi on, że rząd angielski walczy z rządem rosyjskim o utrzymanie dla Polski Wilna i Lwowa, ale sprawa ta wydaje się bardzo trudna, prawie beznadziejna — może jedno z tych miast, już nie pamiętam które, da się uratować dla Polski. Natychmiast po powrocie do Londynu napisałem do Generała raport o treści mojej rozmowy. Wiem, że Generał przedłożył ten raport na zebraniu Rady Ministrów — stała się jednak rzecz dla mnie niezrozumiała. Dr Józef Retinger, z którym byłem w wielkiej przyjaźni i który wówczas był zasadniczo w hierarchii urzędniczej moim przełożonym, tak wziął sobie do serca fakt, że Anglicy wybrali mnie, a nie jego na przekazanie wiadomości takiej wagi, że poruszył niebo i ziemię, aby wymóc na Anglikach zaprzeczenie, no i rzeczywiście udało mu się w ten sposób uspokoić członków rządu. Jestem jednak głęboko przekonany, że jeżeli nie oficjalnie, to prywatnie minister wojny ekonomicznej, bardzo Polakom przychylny, chciał w ten sposób ostrzec nas, co nas może czekać i co później w Jałcie zostało oficjalnie ustalone.

W roku 1940 czy też na początku 1941 zwrócił się do generała Sikorskiego książę Kentu z niespodziewaną prośbą. Chciał mianowicie wysunąć swoją kandydaturę do nieistniejącego tronu polskiego. Generał był tym zaskoczony, ale przedłożył tę propo-

zycję swojemu gabinetowi do rozpatrzenia. Wśród Polaków w Anglii panowały wówczas nastroje bardzo proangielskie i o ile dobrze pamiętam, książę Kentu oświadczył Generałowi, iż ma on na postawienie swojej kandydatury zgodę brata — króla Jerzego.

Członkowie gabinetu najwidoczniej się na to zgodzili. Sprawa miała być jednak utrzymana w tajemnicy i uzależniona od decyzji Polaków po wojnie, jaki ustrój zechcą mieć. Generał wkrótce potem zaczął mniej więcej co tydzień przyjmować księcia Kentu, którego informował o sprawach polskich. Wkrótce generał wezwał mnie na specjalną rozmowę i powierzył mi, że z uwagi na tę sytuację postanowił przydzielić mnie w funkcji nieoficjalnego adiutanta-łącznika Generała do księcia Kentu. [...] Oczywiście bez protestu zgodziłem się na tę propozycję — miała zostać urzeczywistniona dopiero po powrocie księcia z Kanady. Książę był wtedy *welfare officer* w Air Force i odwiedzał w imieniu rodziny królewskiej ćwiczących się pilotów w Kanadzie. Jednak zaraz po powrocie książę zginął w wypadku samolotowym z całym towarzystwem, które mu towarzyszyło. Do dziś myślę, że to była robota Kima Philby, który, nie ulega dla mnie wątpliwości, dowiedział się o zamiarach księcia — wiadomości o tym zaczęły krążyć po Londynie — i wykonał zlecenie swoich mocodawców. Wprawdzie mojej wersji śmierci księcia zaprzeczano w kołach polskich — nawet gen. Kukiel, którego odwiedzałem w jednej z moich bytności w Europie (1968?) twierdził, że jest pewien, iż był to wypadek, gdyż rzekomo książę miał skłonności do alkoholu i sekcja zwłok jego i jego towarzyszy, nie wyłączając pilota, wykazała ogromny nadmiar alkoholu, który tłumaczył wszystko. Czyżby Kim Philby nie potrafił nawet *post mortem* odpowiednio zorganizować? Nie ulega dla mnie wątpliwości, że to była jego robota. Termin i waga decyzji rodziny królewskiej, by związać się ze sprawą polską, były dla Rosji zbyt ważne, a Philby był przecież jej wiernym i najlepiej wykwalifikowanym narzędziem do tego rodzaju roboty.

Mniej więcej w tym samym czasie odbywały się bardzo daleko posunięte rozmowy w sprawie unii polsko-czeskiej. Odbyło się w tej sprawie walne zebranie przedstawicieli obu narodów, gdzie uzgodniono wiele spornych punktów przyszłego układu. Generał został zaproszony do prezydenta Benesza, dokąd zabrał mnie ze sobą. Spędziliśmy tam jeden dzień i noc. Była to miejscowość pod Londynem, gdzie państwo Beneszowie byli bardziej chronieni przed nalotami niemieckimi. Została mi w pamięci pani Beneszowa, która bardzo ładnie mnie zabawiała w czasie rozmów Generała z Beneszem. Jak się później dowiedziałem, w rozmowach

tych uzgodnili ostatnie sporne punkty i pozostawało tylko podpisanie unii. Niestety nigdy do tego nie doszło, gdyż wkrótce potem Rosja, zaatakowana przez Niemców została sojusznikiem i jej naciski na Benesza nie pozwoliły już na żadną finalizację projektowanego paktu.

Wkrótce po zaatakowaniu Rosji przyjąłem telefon od sekretarza Churchilla, który mnie prosił, aby zakomunikować Generałowi, że Churchill oczekuje obecnie jak najszybszego porozumienia polsko-sowieckiego dla dobra sprawy alianckiej. Oczywiście natychmiast zakomunikowałem Generałowi treść tej rozmowy, tym dziwniejszej, że przybrała tak dziwną formę rozmowy sekretarza z adiutantem. Od tego czasu nacisk Anglii na rząd Polski stale wzrastał. Generał Sikorski był zdania, że porozumienie ze Związkiem Sowieckim leży w interesie Polski. Nie spodziewał się pokonania Rosji przez Niemcy i myślał, że to może być odpowiednia chwila na długofalowe porozumienie, choć zdawał sobie sprawę z trudności, zwłaszcza, że rząd sowiecki nie taił swoich zamiarów aneksji naszych kresów wschodnich. Był przekonany jednak, że należy porozumieć się z aliantami zachodnimi, którzy, wydawało się wówczas, mają zamiar bronić nienaruszalności terytorialnej napadniętej Polski, będą więc bronić naszej sprawy i pomogą do zawarcia możliwej umowy. Wbrew sprzeciwom ludzi, którzy za nic nie chcieli ugody z Rosją — umowa taka, za pośrednictwem Anglii, została zawarta. Nie było w niej mowy o zrzekaniu się przez Polskę ani kawałka Rzeczypospolitej, a pozwoliła nam uratować przeszło 200.000 Polaków z łagrów, więzień i obozów rosyjskich. Co prawda Majski, szef delegacji rosyjskiej podpisujący umowę, w swojej mowie wspomniał o naszych mniejszościach narodowych, jak gdyby były one częścią narodu rosyjskiego, co pozwalało wnioskować o zamiarach rosyjskich w razie wygranej, tym niemniej byłem wtedy i jestem zdania, że umowa ze strony naszej była słuszna, dała doraźne korzyści, a nie uprawomocniła żadnych zaborów. Generał Sosnkowski dosłownie błagał generała Sikorskiego o przeczekanie dwóch tygodni z zawarciem umowy, gdyż jego zdaniem nie ulega wątpliwości, że Niemcy w tym czasie pokonają Rosję. Naiwność niektórych naszych wojskowych była przerażająca. Sam słyszałem jednego z wyższych wojskowych mówiącego Anglikom: „Wy pobijcie Niemców, a my z Rosjanami sami sobie damy radę". Niestety zwycięstwo z 1920 roku spowodowało widocznie u niektórych wojskowych kompleks wyższości, który przyniósł nam w politycznych stosunkach wiele szkody. Sam układ był dla mnie nadto o tyle ciekawy, że — jak już poprzednio wspomniałem — był to drugi traktat z Rosją, który był podpisywany w mojej obecności i dzięki

temu jestem jedynym Polakiem, który był świadkiem podpisu obu.

Około połowy listopada Generał zdecydował się po otrzymaniu odpowiedniego zaproszenia przez Stalina pojechać do Rosji. Zabrał ze sobą oprócz wojskowych, łącznie ze mną, dr. Retingera oraz członka parlamentu brytyjskiego. [...]

Lecieliśmy z pilotem czeskim do Kairu przez Maltę. Opuściliśmy Londyn mroźny i zupełnie zimowy. Na Malcie pogoda była wiosenna i kwitły kwiaty. Mieszkaliśmy u gubernatora wyspy, Sir Williama Dobbie. Przyjmował nas gościnnie. Uderzyła mnie dyplomacja żony, która najwidoczniej uważała, że gdy wchodzi jej mąż, reprezentujący króla, wszystkie osoby winny wstawać, co oczywiście nie zgadzało się z poglądami Generała, który uważał, że on reprezentuje Polskę i nie jest przecież poddanym króla. Aby więc zmusić Generała do wstawania, zrywała się sama, kiedy mąż wchodził do pokoju, co oczywiście zmuszało i nas do wstawania, by nie siedzieć, skoro pani domu stoi. Gubernator Dobbie ostrzegał Generała, aby nie mówił niczego ujemnego o Rosji w obecności jego adiutanta, który ponoć był wielkim rusofilem. Ponieważ miałem pokój sypialny obok gubernatorstwa, słyszałem jak wieczorem odmawiali głośno pacierze, co było bardzo wzruszające.

Z Malty lecieliśmy do Kairu wodnopłatowcem, który lądował na Nilu. Mieszkaliśmy w poselstwie polskim, gdzie posłem był wówczas Zażuliński. Znałem go jeszcze z Polski, gdyż przyjeżdżał z żoną i dzieckiem do Posadowa na lato, jako *paying guest* (mój wuj stosował tego rodzaju gościnność w czasie kryzysu rolniczego, gdy walczyliśmy o utrzymanie majątku rodzinnego, co nie było łatwym zadaniem). Zaraz po przyjeździe do Kairu Generał starał się uzyskać u Anglików przejazd do Tobruku, gdzie nasza brygada pod dowództwem generała Kopańskiego walczyła już jakiś czas. Angielskie torpedowce woziły żywność i amunicję do Tobruku. Niestety mogły one płynąć tylko w pewnych okresach księżycowych, gdyż w tym okresie samoloty niemieckie i włoskie panowały niepodzielnie nad Morzem Śródziemnym. Właśnie zbliżał się taki okres księżycowy i dzięki temu jeden z torpedowców *(destroyer)* zabrał nas do Tobruku. Generała witano tam entuzjastycznie. Wydano na jego cześć ulotkę (którą przechowuję na pamiątkę do dziś). Tobruk sprawiał dziwne wrażenie — pustynia, małe, pokryte kamieniami pagórki i to wszystko. Obozy naszej brygady były wspaniale zakamuflowane, dzięki czemu samoloty niemieckie i włoskie nie mogły ich odnaleźć i zniszczyć. Brak wody był ogromny i dokuczliwy. Do mycia dostawało się jedną małą manierkę, nie więcej jak szklankę.

Woda była „zrobiona" z wody morskiej i miała bardzo przykry smak. Jeden z oddziałów naszej brygady miał źródełko wody prawdziwej, toteż herbata w tym oddziale bardziej przypominała prawdziwą herbatę niż słony płyn. Pola pustynne, które oddzielały nas od wroga, były gęsto zaminowane. Jazda samochodem była bardzo niebezpieczna dla ludzi nie obznajomionych z polami minowymi. Jeden z oficerów, który przeoczył beczkę oznaczającą początek pola min, wyleciał ze swoim samochodem w powietrze. Słyszałem od gen. Kopańskiego, że oddziały wroga i nasze stosowały bardzo wyraźny kodeks postępowania. Nie strzelało się w pewnych godzinach dnia, a gdy jakiś żołnierz samowolnie pogwałcił takie niepisane prawo, to rozpoczynało się piekło ze strony przeciwnej, cała artyleria i ciężka broń samostrzelna rozpoczynały ogień. Po takim lekarstwie następnego dnia był spokój i przerwy w ogniu były respektowane przez czas dłuższy. Wyjazd nastąpił po 24-godzinnym pobycie. O mało nie zostałem w brygadzie na czas dłuższy, gdyż pojechawszy z rzeczami Generała naprzód i nie zastawszy go, wróciłem do jego „miejsca postoju", tam już go nie było, więc wyruszyłem ponownie do torpedowca — ale ten już z Generałem w międzyczasie wyruszył. Na szczęście drugi torpedowiec czy kontrtorpedowiec brytyjski wyruszał pół godziny później do Aleksandrii i jego kapitan zabrał mnie ze sobą. Zostałem bardzo gościnnie przyjęty na jego terenie i szczęśliwie zastałem Generała w Kairze, czy też w Aleksandrii, już tego dziś nie pamiętam, z półgodzinnym opóźnieniem. Bardzo mnie zasmuciła wiadomość, otrzymana znacznie później, że oba torpedowce czy kontrtorpedowce, na których płynęliśmy, zostały dwa tygodnie później zatopione przez samoloty niemieckie. Załogi ich były niezmiernie miłe i dla Polaków przychylne.

W czasie naszego pobytu w Kairze Generał złożył oficjalną wizytę Farukowi, khediwowi Egiptu, i wpisał się do książki gości, choć Anglicy uważali to za zbyteczne. Generałowi chodziło o uszanowanie wrażliwości Egipcjan, będących *de facto* pod okupacją angielską. Z tego też zdaje się powodu odwiedzaliśmy następcę tronu Mahomeda Aliego. Bardzo miły, starszy, siwy pan z siwą brodą, żonaty morganatycznie z Francuzką, uważał siebie, nie pamiętam już z jakich względów, za prawowitego monarchę. Miał w swej sali tronowej, czy też do przyjęć portrety wszystkich monarchów egipskich i na ostatnim miejscu zamiast panującego swego siostrzeńca umieścił siebie. Nosił ogromny szmaragdowy pierścień, którego historię nam opowiadał. Jako bardzo młody człowiek zwrócił się do wróżbiarki, aby mu przepowiedziała życie. Ta mu między innymi powiedziała, że jeśli sprzeda wszystko, co ma i kupi za to szmaragdowy pierścień, będzie miał szczęśliwe

życie. Zrobił to, co mu wróżbiarka powiedziała i od tego czasu nosi ten pierścień. Szmaragd był rzeczywiście imponujący. Ali był wspaniale wykształcony i świetnie znał całą Europę i Amerykę. Jako przedstawiciel monarchy i następca tronu odwiedzał prawie wszystkie dwory królewskie i prezydentów republik. Miał ogromną kolekcję fotografii z dedykacjami ludzi, którzy należeli już wówczas do historii. Rozpisałem się o nim, bo i on, i cała monarchia egipska przeszli do historii z nadejściem Nasera, a zrobił na mnie wtedy pewne wrażenie zwłaszcza swą kulturą i ogładą.

W czasie naszego pobytu w Kairze w drodze do Rosji Generał otrzymał depeszę od profesora Kota, naszego ambasadora w Moskwie, aby nie przywoził ze sobą do Rosji dr. Retingera i mnie. Generał zawiadomił nas o tym, ale wahał się, aż do czasu pobytu w Teheranie, czy mnie zabrać. Wreszcie zdecydował, że mnie zabierze (ale o tym potem). Generał przyjął zaproszenie Anglików, by jechać angielskim samolotem do Rosji. Pilot, bardzo miły człowiek, był, o ile pamiętam, lordem irlandzkim. Samolot był duży, wygodny i ogrzewany. Otóż Rosjanie przysłali samolot rosyjski, większy, również wygodny, ale bez ogrzewania. Generał wziął to za pretekst, aby podziękować Rosjanom i powiedzieć, że w swoim wieku woli samolot ogrzewany, tj. angielski. Nazajutrz przyleciał ogrzewany samolot rosyjski i Generałowi trudno było odmówić podróży tym samolotom. Wobec tego zdecydował, że ja polecę angielskim, a on z kilkoma wojskowymi, rosyjskim. Tak też się stało. Lecieliśmy nisko nad Morzem Kaspijskim, może 80 m nad poziomem morza, z uwagi na możliwość nalotu samolotów niemieckich, które znajdowały się w odległości umożliwiającej taki nalot. Nasz angielski samolot bardzo długo krążył nad Baku, nad polami naftowymi, mam wrażenie, że fotografował te pola, bo Anglików zawsze fascynowała nafta, zwłaszcza w związku z wojną. W Baku zatrzymaliśmy się w hotelu turystycznym. Opiekę nad nami sprawował pułkownik NKWD, który był przydzielony do wszystkich misji dyplomatycznych i wojskowych w Moskwie. Generał Anders towarzyszył nam od Teheranu, gdzie przyleciał samolotem rosyjskim. Pamiętam, że przed terminem pójścia do opery miejscowej, gdzie dawano przedstawienie patriotyczne, jeśli się nie mylę Glinki, zgłosił się do mnie pułkownik NKWD, mówiąc po rosyjsku: „Niech Pan swemu generałowi powie, że pora już jechać do opery". Powtórzyłem te słowa Generałowi, który się na nie oburzył, usiadł na krześle, choć był już gotów do jazdy, zdjął czapkę, położył zegarek na stole i równo kwadrans przesiedział. Potem wstał i powiedział: „Teraz możemy jechać". W teatrze dostałem miej-

sce w drugiej loży od Generała, gdzie siedziało kilka osób. Obok mnie jakiś młody oficer rosyjski z żoną czy też narzeczoną. Nawiązała się bardzo miła rozmowa towarzyska o operze w Leningradzie, Moskwie, ostatnich popularnych piosenkach rosyjskich etc. W przerwie zrobiono ogromną kolację dla gości polskich. Pełno było ryb i różnych przysmaków. Rozmawiałem chwilę z prezydentem Azerbejdżanu, który mi mówił, że jest żonaty z Polką, córką wygnańca na Syberię. Gdy wróciliśmy do teatru, już nie zastałem moich miłych sąsiadów i dwie dalsze loże były puste. Przykro mi było, że byłem mimowolnie powodem ich usunięcia.

Nocowaliśmy w Astrachaniu, u ujścia rzeki Wołgi. Hotel tamtejszy polegał na tym, że jedno piętro domu czynszowego zamieniono na pokoje i salki z wielu łóżkami. Przy każdym łóżku leżały maleńka mydelniczka, mydło i ręczniczek, a może stał też garnuszek z wodą.

Generał dostał oddzielny pokój. Jedzenie jak wszędzie dla nas w Rosji było bardzo dobre. Miejscowy kawior był wspaniały. Leciał z nami oprócz dr. Retingera i jakiegoś młodego generała amerykańskiego parlamentarny łącznik Generała, Victor Cazalet. Zjadaliśmy olbrzymie ilości kawioru, wmawiając żartobliwie jeden drugiemu, że przecież on tego nie znosi, aż do chwili, gdy nam powiedziano, że więcej kawioru już nie ma.

Muszę tu wspomnieć, że ustępy były tak nieprawdopodobnie brudne, że NKWD sprowadził kobiety z miasta do wyczyszczenia ich dla nas i zastaliśmy je jeszcze przy tej robocie. Niestety nazajutrz rano znowu miały nieprawdopodobny wygląd. Widać było, że nasz hotelik miał więcej rodowitych mieszkańców niżby się wydawało możliwe, a może inne piętra były również hotelem?

Z Astrachania lecieliśmy wzdłuż dorzecza Wołgi do Kujbyszewa. Te olbrzymie przestrzenie stepów, porośniętych bujną trawą i najzupełniej niezaludnionych, zrobiły na mnie duże wrażenie. Mówiono nam, że gdyby samolot miał przymusowe lądowanie, to znalazłby się bez żadnej ludzkiej pomocy na przestrzeni setek mil.

Do Kujbyszewa pierwszy doleciał nasz samolot angielski. Zastałem na lotnisku witające władze sowieckie i przedstawicieli państw sprzymierzonych, z ambasadorem brytyjskim sir Stafford Crippsem, późniejszym *lord-chancellor*'em brytyjskim, członkiem Labour Party (słynny był późniejszy mariaż jego córki z Murzynem z Afryki), człowiekiem wielkiej inteligencji i dla nas wówczas życzliwym. Skarżył mi się, że stoją już na lotnisku nieprawdopodobnie długo, w wielkim zimnie i niewygodzie i nie

może zrozumieć, dlaczego władze sowieckie nie mogą znać dokładnie godziny przylotu samolotów z ich własnych terytoriów. Generał z resztą świty i generałem Andersem przylecieli z opóźnieniem prawie godziny, co czekających dyplomatów wprawiło w bardzo zły humor. Kujbyszew był wtedy zastępczą stolicą Rosji, gdyż Moskwa znajdowała się w rejonie wojennym, była ostrzeliwana i bombardowana, choć artyleria rosyjska broniła miasta dość skutecznie. Generał Anders przydzielił do generała Sikorskiego na czas jego pobytu w Kujbyszewie i na wyjazd do Moskwy rotmistrza czy też porucznika Klimkowskiego. Później, już na terenie Włoch, okazał się on szpiegiem rosyjskim, a jeszcze później, zwolniony z więzienia wojskowego, gdy się zgłosił na powrót do Polski, powrócił do kraju. Słyszałem, że pisał tam pamiętniki — zapewne pełne fałszów. Generał Sikorski tłumaczył mi, że musi się zgodzić na przydzielenie Klimkowskiego, gdyż nie chce sprawiać przykrości Andersowi. Podobno w Moskwie była dziwna scena, gdy Stalin w czasie bankietu na cześć Generała pił w ręce Klimkowskiego zdrowie młodzieży polskiej.

Mimo wszystko nie dałem się całkiem odsunąć od służby przy Generale. Gdy Generał zachorował na grypę i bolszewicy przysłali swego doktora, który dosłownie gwałtem chciał się wedrzeć do jego pokoju, równie dosłownie wyrzuciłem tego pana za drzwi. Generała leczył wówczas jedyny polski lekarz, zwolniony z obozu koncentracyjnego ginekolog — bardzo skutecznie. Po paru dniach gorączka minęła. Pełniłem bardzo wzruszającą funkcję. Odwiedzaliśmy z Generałem dom dla Polaków powracających z łagrów. W jednej sali, zdaje się szkolnej, mieściła się nieprawdopodobna liczba ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci. Ciasnota była tak wielka, że ludzie nie mogli położyć się do snu — trzeba było się skurczyć lub siedzieć. Na dworze mróz około 40°, okien więc nie otwierano i z braku powietrza ludzie byli bladzi i schorowani. Na dzień św. Mikołaja Generał posłał mnie, bym w jego imieniu powiedział dzieciom kilka słów oraz rozdał słodycze przywiezione zza granicy. Była to dla mnie bardzo wzruszająca chwila: kilkadziesiąt mizernych dzieci słuchało z zapartym oddechem, gdym im mówił o Wojsku Polskim we Francji, Anglii i opowiedziałem o naszej bytności w Tobruku. Pod koniec dzieci samorzutnie zaczęły śpiewać „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród". Parę dni później zachorowały na odrę. Ta zwykle lekka choroba zrobiła tak straszne spustoszenie w wyczerpanych dziecięcych organizmach, że po tygodniu ani jedno nie żyło. To się stało jeszcze w czasie naszego pobytu w Kujbyszewie, stąd dokładnie znam dramatyczne skutki biedy, głodu i braku higienicznych warunków w strasznej zimie rosyjskiej. W Kujbyszewie w dzień ludzie

nie chodzili, ale biegli na ulicach, aby utrzymać wyższą temperaturę ciała.

Po słońcu Kairu i Malty oraz wiosennej pogodzie w Teheranie zima rosyjska zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Udało mi się za pośrednictwem Stetysza (Stefana Tyszkiewicza), który już wyrobił sobie „chody" w urzędach rosyjskich i nawet zdołał dostać dla księży prawosławnych w naszym wojsku potrzebne naczynia liturgiczne, zdobyć dla świty Generała walonki i futrzane względnie watowane czapki wojskowe, tak że z mrozem Generał i my dawaliśmy sobie dobrze radę.

Według mojego dzienniczka czynności generała, który właśnie znalazłem wśród moich starych papierów, sobotę 6 grudnia 1941, niedzielę, poniedziałek itd. aż do 11 grudnia 1941 Generał spędził w Kujbyszewie, konferując z prof. Kotem i innymi członkami swojej ekipy oraz przedstawicielami państw zaprzyjaźnionych. 11 grudnia następuje wyjazd do Buzułuku — kwatery głównej na terenie Rosji formujących się wojsk polskich. Wita go kompania honorowa. Generał mieszka w prywatnym mieszkaniu generała Andersa do 12 grudnia 1941, zapoznając się z wyższymi wojskowymi w bazie wojsk polskich w Rosji. Zdarza mi się tam szczęśliwe spotkanie kogoś, kto przyjechał właśnie z obozu, w którym znajduje się siostra Stefana Tyszkiewicza. Ponieważ ten mi się skarżył, że nie może odnaleźć swej siostry, zaprowadziłem zaraz nowo zapoznanego pana do niego i dzięki temu siostra z dziećmi wkrótce później dołączyła do brata i z wojskami polskimi mogła opuścić Rosję.

12 grudnia wyjechaliśmy do Tockoje, gdzie witała nas ponownie kompania honorowa z gen. Tokarzewskim i Rakowskim. Następuje przegląd 2 dywizji (zakwaterowanej prymitywnie w namiotach) i przemówienie Generała do wojska. 13 grudnia wyjazd do Saratowa-Tatiszczewa. Podróż trwa cały dzień. Generał konferuje z komisarzem Wyszyńskim. W Saratowie wita nas ponownie kompania honorowa oraz gen. Boruta-Spiechowicz z oficerami sztabu. Udajemy się samochodami i saniami na plac ćwiczeń, gdzie stoi zebrana cała dywizja. Nie opisuję już obiadów, akademii itp. na cześć Generała. Uderzyła mnie tylko willa należąca do NKWD, gdzie mnie umieszczono razem z Generałem, który miał naturalnie osobny pokój. Jedzenia tam było w bród, pamiętam wielką ilość pieczonych kurcząt, czekających rano na zjedzenie. Był to *dom otdycha* NKWD, którym widać dobrze się zajmowali i dobrze wobec tego byli zaopatrzeni.

15 grudnia Generał przyjął generała Żukowa z NKWD, który miał specjalne zadanie zajmowania się sprawami wojskowymi i politycznymi Polaków. Wieczorem, gdy Generał udał się na spo-

czynek, siedzieliśmy do późnej nocy z gen. Żukowem — w towarzystwie gen. Andersa, dr. Retingera i nie pamiętam już, czy kogoś więcej. Gen. Anders, który był wówczas nieco pod wpływem wina czy wódki, które się obficie lały, naciągał generała Żukowa, mówiąc: „Panie generale, w Rosji każdy musi przejść przez więzienie — ja już przeszedłem, teraz kolej na innych". Generał Żukow odpowiedział coś, że „być może będę jeszcze siedział w więzieniu, ale z pewnością będzie to więzienie rosyjskie, a nie inne". Mówił potem coś, cytując Mickiewicza: „Miej serce i patrz w serce". Myślałem sobie, że jednak mało jest Polaków mających wyczucie dyplomacji, tak potrzebnej dla naszego kraju. Uważałem, że ma to w dużym stopniu generał Sikorski i za to go bardzo ceniłem. Uważałem go też za jedynego Polaka, który miał ponadprzeciętne spojrzenie na świat i sprawy polityczne naszego kraju, zachowując zmysł proporcji oraz umiar w decyzjach, ale i stanowczość i poczucie odpowiedzialności.

15 grudnia nastąpił odlot do Teheranu przez Astrachań i Baku. Wszędzie Generał witany był przez przedstawicieli urzędowych i podejmowany bankietami. Przypominam sobie jeszcze jeden anegdotyczny szczegół z mojego pobytu z Generałem w Rosji. Przy przedstawianiu ekipy Generała komisarzowi Wyszyńskiemu przez sekretarza poselstwa polskiego w Moskwie, Mniszka, przedstawił mnie on Wyszyńskiemu z zupełnie niezrozumiałych dla mnie powodów: „Graf Tyszkiewicz" zamiast „porucznik Tyszkiewicz". Ja naturalnie nic na to nie powiedziałem i stałem milcząc — Wyszyński zwrócił się do mnie z zapytaniem: — *Nu cztoż wy niczewo nie goworitie?* — Odpowiedziałem: — *Ja uże zabył goworit' po ruski.* — *Nu niczewo, niczewo — kak wy budietie srażatsia wmiestie s ruskimi protiw germancew, wy wspomnitie goworit' po ruski.* Na tym się ten głupi incydencik skończył. Do dziś nie wiem, czy to była złośliwość ze strony Mniszka, czy też typowa głupota niektórych naszych w cudzysłowie „dyplomatów".

Po powrocie do Teheranu, a później przez Bagdad i Lyddę do Kairu, życie ułożyło się normalnie, tzn. Generał konferował z Anglikami, posłami polskimi w Turcji, Teheranie, Bejrucie itd. Uderzało mnie podobieństwo warunków życia najwyższych sfer egipskich do polskich przed 1939. Nie przewidywałem wtedy dla nich nic dobrego, choć żal mi było miłej księżnej Toussoun, krewnej khediwa, jej pięknych szwagierek, żon i jej braci — wyjątkowo przystojnych pań, młodych, z dużym urokiem. Ponieważ rodzice mężów, bardzo wierzący mahometanie, kazali im przestrzegać nakazu noszenia kwefu — nakładały go, zakrywając twarz, mając tylko oczy odkryte, ale zaraz na ulicy zdejmowały,

uważając to za niepotrzebny balast. Poznałem na balu u księżnej Toussoun byłą żonę następcy tronu Iraku. Skarżyła mi się na byłego męża, którego uważała za dzikiego człowieka, nie umiejącego się pohamować. Opowiedziała, jak jej były mąż zbił w straszny sposób adiutanta, o ile pamiętam, szacha. Dzięki temu, że była z domu Egipcjanką z wysokiej arystokracji, zdołała uzyskać rozwód i jak twierdziła „odżyć na nowo". Krążyły wtedy różne wieści o rozkiełznaniu seksualnym khedywa. Nie pamiętam, czy to wtedy czy później opowiadano, że gdy królowa grecka, wówczas przystojna pani, odwiedzała khedywa, naraz znalazła się z nim sam na sam i światła w pokoju podejrzanie zgasły. Przestraszona królowa, znająca reputację khedywa, podniosła alarm, po czym światła na nowo się zapaliły, ale nauczona tym doświadczeniem nie zostawała później ani na chwilę sama z gospodarzem domu.

W Egipcie prosiłem generała Sikorskiego o zwolnienie mnie z obowiązków audiutanta. Uważałem, że ppłk Borkowski, ówczesny szef gabinetu wojskowego Generała, zrobił z tej funkcji służbę formalną: noszenie płaszczy, teczek i notowanie przyjęć. Uważałem, że do tego rodzaju zadań nadają się młodsi chłopcy do lat 25, zwłaszcza, że już takich Borkowski przyjął z lotnictwa, marynarki i wojsk lądowych. Generał był zaskoczony moją prośbą, może nawet urażony, nie bardzo rozumiejąc moje prawdziwe motywy. Gdy przyszedł czas odlotu do Londynu, zgłosili się książę grecki oraz syn premiera Churchilla z prośbą o zabranie ich w samolocie do Anglii. Miejsca były ograniczone, musiałem naturalnie odstąpić swoje. Na tym zakończyła się moja służba jako adiutanta Naczelnego Wodza. Pozostałem w Kairze, mając zlecone zabrać do Anglii mniej ważne papiery i pocztę dyplomatyczną w zaplombowanym worku. Ponieważ poseł polski w Kairze, Zażuliński, wybierał się w tym samym czasie do żony do Stanów Zjednoczonych na urlop, postanowiliśmy lecieć razem przez Afrykę. Namówił mnie wówczas Zażuliński, abym leciał przez Amerykę Południową, Stany Zjednoczone i Kanadę, twierdząc, że będzie to prędzej. Właściwie miał rację i dziś żałuję, że tego nie zrobiłem, ale miałem wówczas skrupuły, że to zbyt przyjemna wycieczka, która nie jest najbliższą drogą. Lecieliśmy razem przez Chartum, Kongo Belgijskie, francuski Kamerun do Lagos w ówczesnej Nigerii, później zostałem przez Anglików zaokrętowany do Szkocji. Afryka była dla mnie nadzwyczaj ciekawa, mimo krótkiego pobytu widziałem stosunkowo dużo.

W Dżubie u ujścia Nilu widziałem z samolotu dzikie zwierzęta na lotnisku, potem przepłynęliśmy tratwą przez Nil z Murzynami zakutymi w kajdany, którzy na dzień byli wypuszczani do dżungli,

bo i tak uciec nie mogli; Stanleyville, piękne osiedle belgijskie nad rzeką Kongo; dzikie szczepy lampartników, którzy nadal wierzą, że pochodzą od lamparta i raz po raz zakładają żelazne pazury i nimi rozrywają swe ludzkie ofiary. Przedstawiciela takiego szczepu widziałem. Poznać go było po tatuażu. Pilnował słoni, oswojonych samic, do których z buszu przychodziły dzikie słonie, samce, które później łapano i oswajano. We francuskim Kamerunie byliśmy niecały dzień, ale nawet w tak krótkim czasie miałem możność widzieć francuską właścicielkę restauracji, bijącą biczem Murzyna za stłuczenie naczynia oraz Murzynów przed wejściem, którzy chcieli nam sprzedać wyroby ze skór wężów, co im się nawet udało.

W Lagos był dłuższy postój, przeszło tygodniowy, o ile pamiętam. Byli tam także oficerowie polscy odstąpieni armii brytyjskiej czasowo — dla ćwiczenia rekrutów murzyńskich. Na ogół byli zadowoleni ze swej służby, płacono im lepiej niż oficerom polskim w oddziałach polskich i mieli wszystkie przywileje oficerów brytyjskich, które polskim oficerom w Anglii przysługiwały tylko częściowo. Opowiadali oni, że Murzyni afrykańscy na ogół są dobrymi żołnierzami, ale nie wolno odrywać ich od jedzenia, bo są wtedy zupełnie dzicy i nieodpowiedzialni. Uniwersytet murzyński znajdujący się w tym samym mieście miał spory basen pływacki — oficerowie zaprzyjaźnili się z kilkoma profesorami i uczniami i wolno im było używać basenu. Ale wkrótce tego zaniechali, twierdząc, że łapali choroby skórne, które białym dokuczają, a Murzyni nic sobie z nich nie robią i zakażają basen.

Okręt, na który mnie Anglicy załadowali, płynął bez konwoju, bo był szybki. Płynęliśmy zygzakami, aby uniknąć łodzi podwodnych i także bardzo daleką drogą aż prawie po Wyspy Kanaryjskie. W nocy słyszeliśmy strzelanie z naszych okrętowych armatek. Miałem niezłą kabinę, jedzenie było znośne. Jechali ze mną jacyś Anglicy z Indii. Opowiadali mi, że nie widzieli swych dzieci przeszło sześć czy siedem lat, gdyż zostawili je w internatach. Było to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Do Szkocji przyjechaliśmy coś po dziesięciu czy czternastu dniach, dokładnie nie pamiętam. Dostałem osobny 3-osobowy przedział na moją prośbę, gdyż wiozłem pocztę dyplomatyczną i rano nazajutrz zgłosiłem się do adiutanta generała Sikorskiego. Generał pożegnał mnie bardzo serdecznie i polecił zwrócić się do ppłk. Borkowskiego o dalszy przydział. Ten mnie pytał, dokąd chciałbym być przydzielony. Odpowiedziałem, że jest mi to obojętne, proszę tylko, by mnie nie przydzielali na adiutanta gen. Kukiela. Nazajutrz Borkowski zawołał mnie i dał mi właśnie ten przy-

dział. Pojechałem zaraz do Szkocji, gdzie zameldowałem się u generała Kukiela. Przyjął mnie nadzwyczaj serdecznie i dopytywał się, czy przydział ten odpowiada moim zamiarom. Opowiedziałem mu o mojej rozmowie z ppłk. Borkowskim, podkreślając, że w mojej niechęci do tej pracy nie ma nic osobistego, ale wyłącznie niechęć do tego rodzaju służby. Generał Kukiel natychmiast kazał mnie przydzielić do Oddziału III Sztabu. Oczywiście nie byłem tam wielką pomocą, jako, że nigdy sztabowcem nie byłem i nie miałem odpowiednich studiów.

Janusz TYSZKIEWICZ-ŁĄCKI

Krys DOŁĘGA

MOJA SŁUŻBA W ARMII SOWIECKIEJ

PROLOG

I

Na rogu ulicy Nabielaka stała grupka osób. Między nimi stałem i ja, patrząc niedowierzającymi oczyma na ulicę.

Nie trzeba było długo czekać. Na zakręcie ulicy pojawili się żołnierze piesi i na koniach, w dziwnych, niezwykłych dla oka mundurach i czapkach, jakie znaliśmy tylko z karykatur czasu pierwszej wojny.

Niedługo po zajęciu wschodnich terenów Polski władze sowieckie zarządziły „wybory" przedstawicieli „ludu". Wzięło w nich udział prawie 100 % ludności, głosując — bez możności jakiegokolwiek wyboru — na osoby mało znane czy wręcz tajemnicze.

Delegaci ci nie tracąc czasu zwrócili się do Rady Najwyższej Związku Sowieckiego z pokorną prośbą o przyłączenie tych części Polski do Związku Sowieckiego. Prośba została natychmiast uwzględniona.

Kilka miesięcy później otrzymałem wezwanie do stawienia się przed komisją poborową, która uznała mnie za zdolnego do służby wojskowej. (Przed wojną podobna komisja, tylko polska, zwolniła mnie z obowiązków wojskowych ze względu na stan

zdrowia). Niemniej jednak przez dłuższy czas zostawiono mnie w spokoju. Dopiero przed Wielkanocą 1941 kazano mi zgłosić się w urzędzie wojskowym, po czym wraz z wieloma młodymi Polakami, Żydami i Ukraińcami zawieziono mnie — pociągiem towarowym — do Charkowa.

Tak zaczęła się moja wędrówka.

Była nas w wagonie spora grupa. Polacy zgrupowali się w jednym końcu. Kilku Żydów w drugim, Ukraińcy jakoś pośrodku. Ulokowaliśmy się dość wygodnie na pryczach, miejsca mieliśmy dosyć. Z urzędu wojskowego poprowadzono nas piechotą na dworzec towarowy i kazano śpiewać. Ktoś zaintonował „W dzień deszczowy i ponury", ale gdy doszło do słów „polskie dzieci", pieśń zamarła nam na ustach. Prowadzący nas dowódca sowiecki nie reagował zupełnie na treść tego, co śpiewaliśmy. Zresztą prawdopodobnie niewiele rozumiał.

Na dworzec przyszła moja matka, która — tak jak i inne matki — zdołała nas odszukać. Pociąg nasz był długi, wywożono ze Lwowa sporo młodzieży. Przybiegła, żeby zanieść swemu synowi butelkę z ciepłą kawą i kilka kanapek, a w rzeczywistości żeby pożegnać się ze mną raz jeszcze, gdyż odjeżdżaliśmy w niepewne. O normalnym zakończeniu służby, to jest po okresie dwu lat, nie myślał nikt z nas. Gdy pociąg nareszcie ruszył — oczekiwanie odjazdu było nieznośne — zaczęliśmy zawierać znajomości. Kilku z nas było po maturze, któryś miał ukończoną lwowską „przemysłówkę", reszta to byli chłopcy ze wsi. Ale nie mieliśmy wielkiej ochoty do rozmawiania. W milczeniu patrzyliśmy na przesuwające się „polskie" stacje. Pociąg nie zatrzymywał się. Minęliśmy Tarnopol i wjechaliśmy na Ukrainę. Tam dopiero zaczęły się — niedługie zresztą — przystanki. Żywności nam nie dawano, ale mieliśmy własną, zabraną na trzy dni, jak nam przykazano we Lwowie. Jechaliśmy jeszcze w ubraniach cywilnych, ale już ze zgoloną głową, gdyż przed wyruszeniem na dworzec kazano nam pójść do fryzjera.

Na jakimś przystanku wstąpiło do naszego wagonu kilku żołnierzy sowieckich, żeby na nas popatrzeć. Ktoś zapytał ich, co z nami będzie. Odpowiedziano mu, że będą z nas dzielni wojacy, *charoszyje bojcy.*

W Charkowie wysadzono nas z wagonów i kazano nam czekać przed dworcem. Czekaliśmy długo. Skorzystałem z tego, żeby pójść do ustępu. Osłupiałem, widząc jego prymitywne urządzenie: o muszlach nie było mowy, zamiast drzwi powiewały płócienne zasłony.

Wreszcie pojawili się jacyś wojskowi. Mają nas zabrać do oddziału transportowego wyposażonego w samochody. Była to

myśl raczej przyjemna: przynajmniej nauczymy się szoferki. Niestety po kilku minutach okazało się, że nie nasz wagon, ale inny ma być przydzielony do samochodów. My czekamy dalej. Wreszcie i nas zabierają, tym razem do saperów. Uformowani w trójki maszerujemy przez miasto, już bez śpiewów. Prawdopodobnie język nasz wywołałby zbyt wielką sensację.

Otwarły się przed nami wielkie drewniane wrota jakichś koszar. Czekali już na nas podoficerowie[1]: kilku Rosjan, jeden Gruzin i jeden Ormianin. Dostałem się do oddziału kaprala Guzejewa, wysokiego i wcale możliwego człowieka z ukończonym wydziałem filologii. Podobnie jak wszyscy oczekujący nas „komandirzy" był bardzo nami zainteresowany, a może nawet trochę onieśmielony młodymi przybyszami z „Zachodu".

Rozpoczęły się normalne zajęcia wojskowe. Musztra, trochę nauki o broni, nazwy części karabinu po rosyjsku. W naszej rocie było także kilku Uzbeków. My, *zapadnicy,* zostaliśmy zwolnieni od szkolenia politycznego. Nakazał to politruk oddziału, starszy człowiek o minie wielkiego spryciarza, rozumując słusznie, że po co mamy słuchać gadania, którego nie rozumiemy. Zamiast tego kazali nam uczyć się rosyjskiego. A kto będzie nas uczyć? Okazało się, że na tym bezrybiu ja byłem rakiem, który stosunkowo najlepiej mówił po rosyjsku. Kazano mi uczyć innych. Bez żadnego podręcznika, to co umiem. Umiałem niewiele, zacząłem więc od uczenia alfabetu.

Naprawdę to byłem pochłonięty czym innym. Zaraz po przybyciu do wojska sanitariusz roty zrobił nam przegląd i zdziwił się, widząc, że mam dużą bliznę na brzuchu. Postanowił posłać mnie na ponowną komisję lekarską.

Badało mnie kilku lekarzy, bardzo uprzejmych, ale niestety nie udało im się zrozumieć, skąd mam tak wielkie cięcie na brzuchu. Energicznie zaprzeczyłem najprostszemu wytłumaczeniu, operacji ślepej kiszki. Uwierzono mi, ale nie umiano znaleźć innego wytłumaczenia, a ja sam władałem zbyt słabo rosyjskim,

---

1. W owych czasach w wojsku sowieckim nie było oficerów ani podoficerów. Zastępowali ich „komandirzy" z różnymi przymiotnikami — młodsi, starsi itd., do generałów włącznie, którzy nosili stopnie „kombriga", „komdywa" itd. Cały ten system hierarchiczny był bardzo skomplikowany, gdyż godności oficerskie miały nazwy zróżnicowane nie tylko dla poszczególnych stopni, ale także i dla różnych broni. Dla uproszczenia, pisząc te wspomnienia posługuję się nazwami ogólnie używanymi w innych wojskach. Zresztą niedługo później wojsko sowieckie powróciło do dawnej, carskiej nomenklatury, przywracając nie tylko oficerów i podoficerów (a także generałów) ale i uzupełniając mundury wojskowe tak niegdyś pogardzanymi i prześladowanymi epoletami, które w 1939 zrywano zabranym do niewoli polskim żołnierzom.

żeby dokładnie opowiedzieć o swej operacji sprzed czterech lat. W każdym razie postanowiono „coś" zrobić. Po badaniu, gdy czekałem razem z wieloma innymi żołnierzami, wyszła *miedsiestra* i wywoławszy mnie po imieniu, pogratulowała mi szczęścia: zwalniają mnie z wojska. Odpowiedni dokument miał nadejść niebawem do mego oddziału.

Jakiż to był cudowny dzień! Wracałem z komisji sam jeden przez miasto i wszystkie spotykane dziewczęta były ładne i mile się uśmiechały, widocznie odpowiadając na mój mimowolny uśmiech.

Chwilowo, w oczekiwaniu na zwolnienie, uczyłem się wraz z innymi sztuki saperskiej. Uczono nas w sposób bardzo prosty, ale przystępny. Pokazywano, jak obchodzić się z trotylem i spłonkami. Zachowanie oficerów było aż przesadnie grzeczne: komuś, kto wyszedł z gmachu bez płaszcza, oficer zwrócił uwagę, żeby uważał na siebie, bo się przeziębi. Gorzej było z zajęciami. Koszary były duże, a wojska w nich bardzo niewiele, toteż po paru dniach zaczęto nas używać, i to co kilka dni, do pełnienia warty lub do obsługi bramy i telefonu. Mnie stawiano zwykle na bramie. Pouczono mnie, że za każdym razem mam sprawdzać, czy fotografia odpowiada twarzy oficera, który przekracza bramę i czy jego przepustka jest jeszcze ważna. W razie gdyby nadchodził oddział wojskowy, należało po rozpoznaniu go otworzyć bramę, ale robić to spokojnie, bez pośpiechu.

Innych wskazówek mi nie dano, ale pouczał mnie jakiś oficer. Był jednym z pierwszych, jakich przepuszczałem przez wyjście i skontrolowawszy jego legitymację oddałem mu ją, mówiąc „dziękuję". Oficer wpatrzył się we mnie surowo i lodowatym tonem pouczył mnie, że nie należy tego mówić. No cóż, co kraj, to obyczaj. Wobec tego innym razem, gdy musiałem wejść do izby oficerskiej, widząc drzwi zamknięte zawahałem się: zapukać czy nie? Zapukanie będzie znowu wzięte za objaw burżuazyjny? Wszedłem bez pukania i zostałem ochrzaniony przez dowódcę batalionu, który właśnie coś mówił gromkim głosem do grupy oficerów naszego batalionu.

W międzyczasie szkolenie szło dalej. Do oddziału przybyło dwóch nowych politruków, Rosjan, świeżo wypuszczonych z jakiejś akademii. Jeden z nich nie mógł się powstrzymać od zrobienia komuś uwagi, że tak może można było zachowywać się w polskim wojsku, ale nie tutaj. Ale przydarzyło mu się to tylko raz: widocznie został odpowiednio poinstruowany. Drugi natomiast, typ poczciwego głuptaka, zwierzył mi się raz, gdy w nocy pełniliśmy służbę — on jako oficer służbowy, a ja jako goniec przy telefonie — że jest zupełnie zadowolony ze swego losu.

Żadnych kłopotów nie będzie miał — *prawilnuju politiku budu wiesti* — co miało prawdopodobnie znaczyć, że będzie zawsze mówił „tak". Jednym słowem urządził się na całe życie.

W wolnych od zajęć chwilach mogliśmy pisać listy do domu i czytać jakieś książki z niewielkiej biblioteczki. Pamiętam, że były tam pamiętniki Bismarcka. Ale obserwowano nas. I tak któryś z podoficerów, widząc nasze niemrawe miny, zauważył: *skuczajeties, parni.*

Po może trzech tygodniach dano nam po raz pierwszy przepustkę na miasto. Ze strasznym niezadowoleniem politruka, tego od polskiego wojska, że jeśli przyjdzie na nas jakiś raport z komendy miasta, to on nam...

Jego obawy nie były bezpodstawne. Kiedy szliśmy na komisję lekarską w towarzystwie podoficera sanitarnego, ten w pewnej chwili zarządził, żebyśmy zatrzymali się, gdyż nadchodził patrol wojskowy. Salutowanie w marszu wymagało pewnej wprawy — znacznie lepiej zasalutować stojąc w miejscu.

Ale jakoś nie mieliśmy niemiłych przygód. Z ironią patrzyliśmy na Ukraińców, biegnących żeby dać sobie zrobić zdjęcia w mundurze. Pewnie chcieli je posłać do domu. Nam to nie przychodziło do głowy. Zajęliśmy się czymś innym: chcieliśmy koniecznie kupić koperty do listów, które wysyłaliśmy do domów. Niestety: przezwyciężywszy trudności w wytłumaczeniu o co nam chodzi, dowiedzieliśmy się, że takiego towaru nie ma. Zamiast koperty miało się używać arkusza papieru, na którym był napisany list, zapełniając tylko jedną stronę. Na drugiej stronie, po misternym zagięciu kartki papieru, pisało się adres. Poczta, trzeba przyznać, funkcjonowała dość sprawnie. Listy ze Lwowa nadchodziły po trzech, czterech dniach.

Po miesiącu przeniesiono nas na letnie obozowisko nad Sewiernym Dońcem. Niestety, sympatyczny Guzejew, który w międzyczasie dowiedział się, że mimo ukończenia służby nie zostanie zwolniony, pozostał w Charkowie i wszedł w skład nowo formującej się jednostki. Pozostali także wszyscy oficerowie i politrucy. Pojechaliśmy z kilkoma podoficerami, prawdopodobnie mniej cenionymi.

II

W długim trójszeregu stał batalion saperów: szkoła podoficerska na prawym skrzydle tuż koło grupki „komandirów". Byłem pierwszy w drugim szeregu z powodu mojego wzrostu i zauważyłem, jak *zampol* (zastępca politruka) zwraca się do swego przeło-

żonego z pytaniem: o co chodzi? Ten odpowiada mu niechętnie: Zobaczysz.

Nadchodzi komendant batalionu, antypatyczny major. Adiutant, młody oficer dyplomowany w matematyce, melduje batalion w całości obecny. Towarzysz major staje przed batalionem i bez żadnego wstępu mówi: — Z dniem dzisiejszym Związek Sowiecki znajduje się w stanie wojny z Niemcami. Słychać, jak wzdłuż szeregów przelatuje jedno krótkie, gwałtowne zaczerpnięcie oddechu. I natychmiast moja, pierwsza myśl: już nie wrócę do domu!

Wiadomość zaskoczyła wszystkich, a przecież nie była nieoczekiwana. Liczył się z nią starszy politruk batalionu w Charkowie, gdy nalegał, by *zapadnicy* nauczyli się jak najszybciej rosyjskiego, bo „przecież nadchodzi wojna z Niemcami, cóż oni będą robić w wojsku, jeśli nie będą rozumieli rozkazów". A w Światogorsku, może tydzień przed wybuchem wojny, na zebraniu licznych przebywających tam oddziałów, jeden starszy, sympatycznie wyglądający oficer mówił o dziwnej sytuacji na frontach angielsko-niemieckich. Niby walczą na morzu, ale na inwazję Europy nie zanosi się, a nawet ostatnio, od tygodnia, ustały zupełnie walki w Afryce. Oficer wyrażał więc wątpliwość w szczerość niemieckiej wojny z Anglikami, chociaż cały wysiłek gospodarki niemieckiej jest nastawiony na cele wojenne.

Przemówienie to sprawiło, że ktoś z żołnierzy napisał na karteczce kilka słów i podając ją, sowieckim zwyczajem, osobie przed nim siedzącej, by ją przekazała dalej, zadał pytanie, czy to wszystko oznacza, że ma się oczekiwać rychłego pójścia na wojnę? Oficer przeczytał karteczkę na głos i z naganą w głosie odpowiedział, że takich pytań nie należy zadawać. Jeśli wybuchnie wojna, to wszyscy pójdziemy walczyć w obronie naszej wielkiej radzieckiej rodziny, pobijemy wroga na jego własnej ziemi itd., itd. Tak więc dowódcy wojskowi liczyli się z możliwością wybuchu wojny. Tylko wielki mąż stanu jakoś nie mógł sobie zdać sprawy z wrogości hitlerowskiej.

Wracając do mnie, to nadal czekałem na orzeczenie komisji lekarskiej, które miało nadejść „niebawem".

„Niebawem" trwało już prawie dwa miesiące. Teraz, nawet gdyby oczekiwany dokument wreszcie nadszedł, to powrót do Lwowa był już niemożliwy, gdyż było nader prawdopodobne, że miasto znajdzie się w najbliższych dniach, jeśli nie godzinach, w rękach niemieckich.

Podczas gdy cały batalion oswajał się z myślą rychłego pójścia na front, odezwał się komendant pierwszej roty, wysoki, chudy podporucznik, nie cierpiany przez podwładnych i nie cieszący się też sympatią przełożonych, i cieniutkim głosikiem zawiadomił,

że w jego rocie jeszcze nie wszyscy żołnierze skończyli składać przysięgę, którą składano pojedynczo właśnie w tym dniu. Odpowiedziało mu skonsternowane milczenie.

Ażeby zrozumieć przyczynę konsternacji, należy wiedzieć, że w Armii Czerwonej przysięga była dobrowolna. Składał ją, kto chciał. „A kto nie chce?", spytał jakiś naiwniak. No, tego wzięto by „na ustronie" i tam przekonano o ujemnych stronach jego nastawienia.

Ale w chwili obecnej odmowa mogła komuś przyjść do głowy. Można był w ten sposób może uzyskać trochę czasu i odwlec moment pójścia na front. Toteż pytanie antypatycznego podporucznika wywołało zakłopotanie.

Nasze szkolenie przebiegało w rytmie dość wytężonym. Uczono nas w sposób dość prosty, ale skuteczny, o czym miałem możność przekonać się później. Oprócz normalnej musztry i zaznajamiania z bronią nie zaniedbywano wychowania fizycznego. Dobrze zapamiętałem także siedmiokilometrowy marsz po leśnej, piaszczystej drodze, jaki musieliśmy przejść przyspieszonym krokiem, tak żeby zajść do „celu" — polanki w lesie — w ciągu godziny. Ja sam, na nieszczęście, musiałem nieść broń w ręku, opierając ją raz na lewym, raz na prawym barku, bo mi przydzielono karabin bez pasa. A po półgodzinnym odpoczynku, gdy wszyscy jak półżywi rzucili się jak dłudzy na ziemię, powrót w tym samym tempie. Nic więc dziwnego, że gdy wkraczaliśmy do obozu, cały sztab wyległ, żeby popatrzeć, w jakim stanie wraca „wojsko".

Starano się nie robić żadnych różnic pomiędzy „tubylcami" a *zapadnikami*. Mimo to *zapadnicy* trzymali się między sobą.

W kilka dni po ogłoszeniu wojny szkoła została rozwiązana i zamieniona na normalną kompanię saperską, ale ja razem z innymi *zapadnikami* zostałem z niej wyłączony. Przez kilka dni przyłączono nas do nowo formowanej kompanii, składającej się z powołanych świeżo do wojska Ukraińców. Z braku ludzi powierzono nam funkcje podoficerskie. Mnie przypadła rola zastępcy komendanta roty. Dowódcą został nowoprzybyły, świeżo wypuszczony z Akademii dla zawodowych oficerów porucznik, inżynier, dla odmiany Niemiec nadwołżański. On także widocznie nie cieszył się zbytnim zaufaniem władz sowieckich. Miał to być zresztą przydział tymczasowy, gdyż, jak szepnął jeden z podoficerów pracujących w kancelarii, ja i kilku innych byliśmy przeznaczeni do tejże Akademii. Specjalnie się tym nie przejąłem: prawda czy bujda, grunt, że nie wysyłano nas zaraz na front.

Po kilku dniach moja wysoka funkcja skończyła się i wraz

z kilkunastoma lwowiakami poszliśmy na stację kolejową z biletem do Woroszyłowgradu. Przed samym odjazdem podoficer sanitarny wręczył mi oczekiwany dokument. Nadszedł od dawna, ale wcale nie zwalniał mnie z wojska, tylko przeznaczał do służb „pomocniczych".

III

Opuściwszy obóz w Światogorsku razem z mymi kolegami lwowskimi, przeszedłem przez kilka formujących się pospiesznie jednostek wojskowych, ale w żadnej z nich nie zatrzymałem się dłużej. Po krótkim okresie, w czasie którego zadawano mi stale pytanie, czy utrzymuję kontakt z rodziną — znajdującą się na terenie już zajętym przez Niemców — dowiadywałem się o przeniesieniu znowu do innego oddziału. Nie było to wywołane wyłącznie moim zachodnim pochodzeniem. Bałagan, jaki wówczas panował w różnych oddziałach wojskowych był niesamowity. Przełożeni zmieniali się kilka razy na dzień. O normalnych zajęciach wojskowych nie było mowy. Raz przewieziono nas do jakiegoś lasu, gdzie skoncentrowano ogromną ilość żołnierzy. Tam przetrzymano nas wszystkich przez trzy dni bez jedzenia. Za to gdy wieczorem trzeciego dnia nadeszły wreszcie kuchnie, wzięliśmy kolację z kilku różnych kotłów, wręcz zapraszani przez kucharzy, nie wiedzących co począć z nadmiarem wyfasowanego jadła.

Moje starania u kolejnych dowódców, żeby mi uwzględniono niezdolność do normalnej służby wojskowej spotykały się ze wzruszeniem ramion. Ludzie mieli głowy zajęte czym innym. Wyruszali na front!

„Chcecie udowodnić, że nie jesteście zdatni do normalnej służby wojskowej?" — spytał mnie jeden oficer, który wyjątkowo zadał sobie trud przeczytania dokumentu, który mu wręczyłem.

„Całkiem tego nie chcę, to już jest udowodnione na papierze!" — odparłem. Oficer roześmiał się, oddał mi kartkę, napisaną, o dziwo, na maszynie, i poszedł sobie. Zresztą następnego dnia już go nie było.

Ostatni oddział do jakiego się dostałem w jakiejś formującej się dywizji był przeznaczony do dowozu amunicji. Dostaliśmy się do niego we czwórkę, wszystko moi towarzysze lwowscy. Podziwiałem bystrość, z jaką jakiś podoficer, rzuciwszy na nas okiem, przydzielił dwóch z nas do koni — byli to chłopcy ze wsi — a dwóch innych, w tym mnie, do amunicji. Ale po

kilku dniach znowu wydzielono nas. Wspomniany podoficer nawet zrobił to w dość przyzwoity sposób, wyrażając żal, że się rozstajemy, ale taki dostał rozkaz. Jacyś oficerowie, do których nas zaprowadzono, powiedzieli gromko, że takich jak my, *zapadnikow,* nie potrzeba w wojsku. Był to pierwszy wyraźny objaw niechęci. Dotychczas traktowano nas zawsze poprawnie względnie obojętnie. Zebrano wszystkich *zapadników* razem, byliśmy w miejscowości zwanej Bezludowka, wsadzono do pociągu i wysadzono na jakiejś małej stacyjce. Małe uliczki, którymi maszerowaliśmy, zaczęły stawać się ulicami, domki — kamienicami i ze zdziwieniem spostrzegłem, że znam to miejsce. Rzeczywiście, byliśmy znowu w Charkowie. Umieszczono nas w jakichś koszarach kawaleryjskich, w oczyszczonych stajniach. Nasz oddział powiększył się niezadługo o licznych uchodźców z Polski, Żydów, uciekających przed nawałą hitlerowską. Byli przyodziani w mundury wojskowe, ale nie należeli do normalnego wojska. Oprócz nich oddział został powiększony o więźniów wypuszczonych przedterminowo z łagrów. Oczywiście nie byli to więźniowie polityczni, ci siedzieli w dalszym ciągu, tylko kryminaliści, to znaczy osoby, które tylko lekko „zbłądziły" i którym należało dać możność powrotu do normalnego życia (i pójścia na front). Otrzymali oni funkcje podoficerskie. Należy jednak przyznać, że na ogół nie utrudniali życia i swej władzy używali nader oględnie.

Przydzielono nam także grupę Niemców nadwołżańskich, od stuleci zamieszkałych w Rosji i mówiących po niemiecku z dość niezwykłym akcentem, który ja, nawykły do wymowy gdańskiej, z trudem mogłem zrozumieć. Ich także uważano za element niepewny.

Któregoś wieczoru kazano nam udać się do dużej sali pełnej żołnierzy, gdzie miał się odbyć sąd nad jakimś dezerterem. Miano go zasądzić, rzecz prosta, na śmierć. Jak się później dowiedziałem, wyroki te nie były wykonywane, służyły tylko do wzmocnienia patriotyzmu żołnierzy.

Ale na szczęście udział w tej budującej uroczystości nie był mi dany. Wywołano mnie wraz ze wszystkimi *zapadnikami* na dwór i posłano na dworzec towarowy do wyładowywania pociągu, który nadszedł z Bessarabii, niedawno przyłączonej do Związku Sowieckiego. Wagon, który mieliśmy rozładowywać razem z kilkoma kolegami, był załadowany skrzyniami z mydłem. Oczywiście skorzystaliśmy z okazji, by wypełnić sobie po kryjomu kieszenie tym towarem, uważając, żeby nas nie przyłapali dyżurujący oficerowie. Nasze obawy były zbyteczne: sami oficerowie zalecali wybierać lepsze gatunki mydła — i sami dawali przykład, co należało brać.

W taki to sposób zaczął się drugi etap mojej służby wojskowej w Związku Sowieckim. Nasz oddział został zamieniony na batalion pracy. Od tego dnia posyłano nas na różne roboty: kopanie rowów na schrony przeciwlotnicze, noszenie piasku na strychy domów — oczywiście w domach zamieszkałych przez członków partii, inne były widocznie zbudowane z materiałów niepalnych! — podstemplowywanie piwnic i tak dalej. Z początku roboty te były nawet czasami wynagradzane przez samych mieszkańców: w każdym bloku znajdywała się jakaś energiczna, patriotyczna towarzyszka, nieświadoma podrzędnej opinii, jaką cieszył się nasz batalion u władz politycznych, która robiła zbiórkę wśród innych mieszkańców dla „naszych dzielnych żołnierzyków". W ten sposób nieraz dostało się nam porządne śniadanie z pomidorów, a nawet czasem trochę grosiwa, za co można było kupić trochę papierosów. Robotą nas nie przemęczano. Dyżurujący podoficerowie byli zupełnie apatyczni, a nawet przyczyniali się do żółwiego tempa roboty, dysponując na przykład, by piasek na strych domu — po schodach, wind żadnych nie było — nosiła tylko jedna osoba na raz. Gdy zaniosła wiaderko piasku na strych i zeszła, po niej wybierał się ktoś inny i tak dalej. W ten sposób w ciągu jednego ranka każdy członek jednej grupy roboczej odbywał tę podróż może cztery razy wszystkiego.

W miarę jak front się zbliżał i miasto zaczynało być na serio bombardowane, zmieniały się nasze zajęcia. Najpierw przydzielono nas jako obsługę ratunkową do jednego domu. W nocy, w razie alarmu, musieliśmy udawać się tam biegiem i być na podorędziu do ewentualnego ratunku w razie bombardowania. W czasie jednego z takich alarmów zobaczyłem na tle czarnego nieba lecący w świetle reflektorów srebrny samolot niemiecki. Trwało to kilka sekund, po czym Niemcowi udało się wyrwać z jasnej plamy na niebie i pomimo gorączkowego zamiatania snopem świetlnym w ciemnościach, zniknąć. Po chwili rozległ się łoskot burzących się domów.

Natomiast w dzień używano nas do coraz to innych robót. Jednego dnia zapakowano mnie wraz z pewnym lwowiakiem na ciężarówkę, którą szoferował jakiś cywil, Ukrainiec, dano nam listę adresów rodzin, które ewakuowały się i które trzeba było zawieźć na dworzec. Naszym zadaniem było zgłoszenie się pod danym adresem, zniesienie bagaży na dół, załadowanie wszystkiego na samochód i zawiezienie całej rodziny na dworzec. Tam zrzucało się bagaże przed budynkiem kolejowym, pomagało zsiąść niewiastom i odjeżdżało po następną rodzinę.

Raz, kiedy czekaliśmy, żeby mieszkanka dopięła swe walizki, rozglądnąłem się po niewielkiej szafce z książkami i zobaczyłem

w niej książki po angielsku. Zdziwiony wziąłem machinalnie jedną z nich do ręki: był to Szekspir wydany w Moskwie. Kobieta, prawdopodobnie nauczycielka angielskiego, zauważyła mój gest i upewniwszy się, że czytam po angielsku, zaproponowała mi, żebym sobie wziął do czytania, co chcę. — I tak, jak tylko drzwi się za mną zamkną — powiedziała — sąsiedzi wszystko rozkradną.

W tym samym dniu przytrafiła się nam robota „prywatna". Mieliśmy już wracać do koszar, skończywszy nakazane jazdy, gdy w pobliżu dworca zaczepiła nas młoda kobieta, czy nie zrobilibyśmy prywatnej jazdy? Bo ona ma wprawdzie bilet i miejsce zarezerwowane w pociągu, ale nie zapewniono jej dojazdu na dworzec. A ma starą matkę, której nie może zostawić samej. Oczywiście zgodziliśmy się natychmiast i ustaliwszy cenę, pojechaliśmy do jej domu. „Babuszka" nie miała nawet sił na zejście po schodach, więc razem z kolegą zrobiliśmy „krzesełko" z rąk i znieśliśmy ją na dół. Ale prawdziwa trudność leżała jeszcze przed nami. W myśl umowy mieliśmy nie tylko zawieźć te kobiety na dworzec, ale wsadzić je do pociągu. Wagon z „zarezerwowanymi" miejscami był po brzegi zapełniony pasażerami, którzy na stojąco wypełniali przedziały, korytarz, a nawet ustępy. W jakiś dziwny sposób udało mi się wsadzić obie kobiety po stopniach do środka wagonu, gdzie oczywiście, nie mogąc iść dalej, stanęły na korytarzu. Gorzej było z bagażem. Trzeba było podawane przez towarzyszy walizki podnieść do góry i ponad głowami pasażerów wsunąć je do wagonu. Nic nie spadło na ziemię, wszystko zatrzymało się na cierpliwych barkach pasażerów.

Jednego dnia straciliśmy naszego dowódcę, majora, człowieka bardzo porywczego i choleryka. Major ten, w odpowiedzi na jakieś bezczelne odezwanie jednego z byłych kryminalistów, wyciągnął rewolwer i zastrzelił go. Następnego dnia komisarz polityczny oddziału, prawdopodobnie jedyny sowieciarz w naszym batalionie nie pochodzący z łagru, a umieszczony w naszym oddziale tylko z powodu kalectwa (brak mu było kciuka u lewej ręki) wygłosił oburzone przemówienie, narzekając na brak dyscypliny w oddziale: uprzedniego dnia doszło do tego, że towarzysz major został „zmuszony" do użycia broni w stosunku do jednego z nas. Gdy to mówił, towarzysz major zrobił odpowiednio usatysfakcjonowaną minę. Ale następnego dnia już go nie było. Widocznie tym razem komisarz polityczny poczuł się „zmuszony" do złożenia odpowiedniego meldunku.

Wojska niemieckie zbliżały się coraz bardziej do Charkowa. W sklepach pojawił się cukier i inne artykuły żywnościowe, które administracja rozsprzedawała między ludność, by opróżnić maga-

zyny i nie zostawiać zapasów Niemcom. Tak jak i inni koledzy, rzuciłem się kupować niewidziane od polskich czasów cukierki, ale musiałem stanąć w ogonku, gdyż ludność zaczęła sarkać na „żołnierzyków" i nie chciała już ustępować nam miejsca w kolejkach, jak na początku naszego pobytu w Charkowie. Posuwanie się wojsk niemieckich zmniejszało patriotyzm Ukraińców.

Szykowaliśmy się do opuszczenia miasta. Naprzód wydzielono Niemców. Jednego dnia nie posłano ich na roboty, lecz zapowiedziano im wysłanie w głąb Rosji. Obecni przy tym „markiranci", którzy pod różnymi pozorami wymigali się tego dnia od roboty, prawie sami kryminaliści, rzucili się na Niemców, wydzierając im co mieli na sobie lepszego. Nowy mundur, czapkę, szynel, wpychając im „w zamian" swoje podniszczone łachy. Obecny przy tym szewc lwowski, Pasternak, który na pewno nigdy nie czytał Ewangelii, powiedział później, opisując mi tę scenę: — Wiesz Krys, ja nawet tych ludzi nie winię. Oni naprawdę nie wiedzieli, co czynią. — Ale tegoż dnia, podczas obiadu, ja sam byłem świadkiem następującej sceny. Siedzieliśmy przy długim stole jedząc obiad. Do pewnego kryminalisty zbliżył się Niemiec — jeszcze ich nie wysłano, choć obiadu już im nie dano — zapytał: — Dlaczego zabrałeś mi czapkę? — i równocześnie zdjął mu ją z głowy — widocznie była jego — oddając mu łach, jaki Rosjanin mu przedtem podrzucił. Kryminalista nie zareagował. Był w otoczeniu nieprzyjaznym, wśród *zapadników*.

IV

Ciężko było iść po drogach ukraińskich! Niewyasfaltowane, bez przydrożnych rowów, pełne błota — sławny czarnoziem przylepiał się do butów i obciążał nogi. Cały oddział wlókł się niechętnie. Od kiedy opuściliśmy Charków, przemierzaliśmy średnio po dwadzieścia kilometrów dziennie. W pierwszych dniach słyszało się jeszcze kanonadę, później już nie dochodziły do nas odgłosy walki. Na noce rozmieszczano nas po chłopskich chatach, gdzie kładliśmy się spać na polepie, na słomie. Zaraz pierwszego dnia, gdy po ciemku wkraczaliśmy do jakiejś wioski, z tyłu za chatami wzniosła się w górę jasna zielona rakieta. Sygnał wejścia do wsi oddziału wojskowego — po ciemku nie było łatwo ustalić, czy jesteśmy regularnym wojskiem (nie byliśmy nim). Czy to możliwe, żeby na tyłach frontu działała niemiecka sieć wywiadowcza? Ale byliśmy zanadto zmęczeni, żeby się zastanawiać nad tego rodzaju zagadkami, więc zjadłszy naprędce kolację poszliśmy spać. Kolacji i śniadań dostarczała towarzysząca

nam kuchnia polowa, ciągniona przez zabiedzoną szkapę, dumę komisarza politycznego, Szwarca. Był to człowiek niewątpliwie lepszego pokroju aniżeli inni dowódcy eks-łagiernicy. Pewnego razu podczas dyskusji z Rosjanami, gdy ci zarzucali Polakom poddanie się po zaledwie trzech tygodniach walk, Szwarc wtrącił się, podkreślając przewagę sił, potęgę lotnictwa niemieckiego itd... Od tego czasu stał mi się prawie sympatyczny.

Dzień po dniu oddalaliśmy się coraz bardziej na wschód. Wędrówka była monotonna. Tylko jeden raz mieliśmy trochę emocji, gdy nad kolumną pojawił się nisko lecący samolot z czarnym krzyżem na skrzydłach. Zobaczył nas na pewno, ale jakoś nie zaatakował. Zresztą prawie równocześnie pojawił się z tyłu za nim mały samolocik sowiecki. Rozległa się krótka seria z karabinu maszynowego, nie wiadomo przez kogo wystrzelona, samolocik zakręcił i zniknął, a Niemiec poleciał spokojnie dalej na wschód.

Oddział nasz ciągnął dalej. Ciągle wśród takich samych pól ze słonecznikami, ciągle wyciągając z trudem buty z potwornego ukraińskiego błota, obojętnie patrząc na sterty zboża usypane przy drodze i porastające już trawą. Zbliżaliśmy się do Donu i pamiętając, ile czasu stracili Niemcy na przekroczenie Dniepru, przypuszczałem, że teraz, przy nadchodzącej zimie, zatrzymają się jeszcze dłużej nad brzegami tej wielkiej rzeki. Razem z dwoma towarzyszami, Zbyszkiem i Marianem, zaczęliśmy się zastanawiać, co robić. Dać się poprowadzić w głąb Rosji? Będziemy mieli potem możność powrotu do swoich? Było to naszą jedyną troską. Inni Polacy już dawno zdecydowali się: znikali z dnia na dzień. Wieczorem pobierali jeszcze kolację, a następnego dnia rano już ich nie było. Nikt ich nie szukał, zresztą nikt, nawet politruk, nie był w stanie tego robić. Nawet gdyby chciał, na co nie wskazywała jego apatyczna mina.

Między dwiema przeciwnymi opiniami — Zbyszka (iść dalej do Rosji) i moją (uciekać natychmiast) — przeważyła moja: uciekać na zachód, mając nadzieję w jakiś sposób przejść linię frontu, który na pewno nie był ciągły, i starać się dostać do Lwowa. Rankiem tego dnia, w którym wieczorem mieliśmy dojść już do Donu, zatrzymaliśmy się dłużej w chacie, w której nocowaliśmy, aż reszta oddziału wyruszyła w drogę. Odczekawszy jeszcze trochę i widząc, że nikt nas nie szuka, wyszliśmy z chaty kierując się na zachód. Pierwszą noc przespaliśmy w stogu siana, ale później, ośmieleni brakiem kontroli na polnych drogach, zaczęliśmy zachodzić do chat, żeby się zagrzać. Ukraińcy przyjmowali nas gościnnie, jak tylko dowiadywali się, że jesteśmy

Polakami. Gdy była pora posiłku, zapraszali Polaków do stołu, a gdy zbliżała się noc, proponowali nocleg w domu. Nie w łóżkach, oczywiście, na podłodze, ale na słomie, a czasem nawet na rozgrzanych do niemożliwości piecach. Gościli nas chętnie, gdyż mieli dużo zapasów żywności rozdanych im przez kołchozy, które nie zdążyły, rzeczywiście lub naumyślnie, odstawić nakazanych dostaw do punktów zbiórki. Wszyscy podkreślali, że obfitość żywności była rzeczą niezwykłą.

Wszędzie pytano nas też, jako ludzi otrzaskanych ze światem, czy Niemcy rzeczywiście są tacy straszliwi, że mordują, gwałcą i rabują, jak to przedstawiała propaganda sowiecka, której instynktownie nie wierzyli. Łudzili się, że z Niemcami nadejdą „lepsze" czasy. Jakże okrutny zawód ich czekał!

W jednej wiosce poinformowano nas, że w niedalekim osiedlu żyje polska rodzina. Gdy wieczorem następnego dnia zaszliśmy tam, okazało się, że rodzina ta składa się ze staruszki, jej córki i dwóch podrastających wnuczek. Mężczyźni zniknęli bez wieści na początku lat trzydziestych. Staruszka i jej córka mówiły dość dobrze po polsku, natomiast oba podlotki pękały ze śmiechu, słysząc tę dziwną, niezrozumiałą mowę. Staruszka namówiła Zbyszka, by poszedł do szefa kołchozu, gdzie właśnie rozdawano mięso z ubitego bydła, żeby pobrał także i dla nich trzech. Zbyszek ochoczo poleciał i jakoś długo nie wracał, tak że Marian i ja zaczęliśmy się obawiać jakiegoś wpadunku. Ale po dobrej godzinie wrócił i już po sapaniu można było poznać, że niesie coś ciężkiego. W samej rzeczy przyniósł ćwierć cielaka. Okazało się, że *hołowa* kołchozu był też Polakiem i że obdarowawszy hojnie Zbyszka, zaprasza nas wszystkich do siebie na papierosa. Gdyśmy tam poszli, poczęstował nas machorką, prosząc by mówić do niego po polsku. On sam już mówił tylko po ukraińsku czy też po rosyjsku. W czasie gdy wszystkich Polaków wywożono, on ostał się, gdyż miał „dobre papiery".

Zatrzymaliśmy się w tej chacie cały następny dzień, prosząc gospodynię o przepranie nam bielizny. Ale następnego ranka zjawił się *hołowa,* opowiadając, że NKWD pytało, gdzie są ci dezerterzy. On oczywiście wskazał, gdzie są i enkawudyści zabrali ich i poszli sobie. Historia wydała się mało prawdopodobna, ale sens ostrzeżenia był jasny. Wyruszyliśmy natychmiast w dalszą drogę.

Któregoś dnia stało się coś nieprzewidzianego. Marian oświadczył, że nie może wytrzymać ustawicznego napięcia i strachu, chce zawrócić i dogonić „swój" oddział. Powie, że zachorował i został w tyle. Nic nie pomogły nasze perswazje, pożegnał się i wyruszył sam jeden na wschód, rezygnując z wolności, z jakiej ko-

rzystaliśmy już od sześciu dni. Ale ta nasza wolność skończyła się tego samego dnia także i dla nas, gdyż wchodząc wieczorem do jednej wioski zostaliśmy zatrzymani przez dwóch chłopów uzbrojonych w dubeltówki, którzy nas oczekiwali, kryjąc się za węgłem skrajnej chaty.

Gdy nas prowadzono do siedziby wiejskiej rady, staraliśmy się gorączkowo uzgodnić odpowiedzi na nadchodzące przesłuchanie. W urzędzie młody półanalfabeta kazał nam opróżnić kieszenie i skonfiskował listy — pisane po polsku — a także moje małe nożyczki. Nie chciałem ich oddać i zacząłem protestować tak gwałtownie, że zniecierpliwiony Ukrainiec oddał mi je, posyłając mnie równocześnie do diabła. Noc spędziliśmy w biurze rady, pilnowani przez jakiegoś chłopa. Rankiem dano nam nawet pajdę chleba, po czym wyruszyliśmy w drogę eskortowani przez milicjanta na koniu i w towarzystwie jeszcze dwóch cywilów, Ukraińców, tak jak my zatrzymanych, i zaprowadzono nas do dużej wioski na milicji.

Nowi milicjanci z gromkimi krzykami rzucili się na jednego z przyprowadzonych cywili, gdyż, jak się okazało, pod ubraniem cywilnym miał mundur wojskowy. Drugi cywil i my dwaj czekaliśmy w niewesołym nastroju na dalszy ciąg. Nareszcie wywołano Zbyszka. Wrócił po niedługiej chwili dość blady, mrucząc: źle idzie! Zawołano następnie mnie, ale ledwo stanąłem przed jakimś starszym milicjantem i zacząłem opowiadać, jak zgubiłem swój oddział, ten przerwał mi, oświadczając, że nas wyśle do NKWD wojskowego! Pozbywał się w ten sposób kłopotu.

Milicjant, który nas prowadził do NKWD, patrzył na nas jakby nie dowierzając oczom. Wreszcie odważył się spytać:

— Wy, chłopcy, jesteście z „Zachodniej Ukrainy"? (To, jak wiadomo, była oficjalna nazwa wschodniej części Polski okupowanej przez Sowietów).

— Tak.

— Ale jesteście Ukraińcami? — spytał z nadzieją w tonie.

— Nie, jesteśmy Polakami.

Rozdziawił szeroko gębę. O nic więcej nie pytając doprowadził nas do biura NKWD.

Oficer NKWD miał odznaki majora lotnictwa. Podeszłego wieku, o poważnej twarzy.

— W jaki sposób trafiliście tutaj?

— Byliśmy w oddziale, który posuwał się na wschód. Jednego dnia, rankiem, spostrzegliśmy, że naszych oficerów nie ma. Zniknęli podczas nocy.

— Co wy wygadujecie!? Oficerowie nie uciekają!

— Nasi oficerowie uciekli.

To nie było takie nieprawdopodobne. Chodziły słuchy o takich wypadkach.

— W takim razie dlaczego nie poszliście do najbliższego urzędu wojskowego?

— Bo nie wiedzieliśmy, dokąd iść. A ponieważ słyszeliśmy, że w Starobielsku znajdują się polscy oficerowie, więc udaliśmy się w tę stronę — powiedziałem, zdając sobie sprawę, że znajdujemy się już na zachód od Starobielska.

Że oficerowie polscy znajdowali się tam w 1939 roku, to było wiadome. Ale wszyscy okoliczni chłopi opowiadali, że ich tam już dawno nie ma. Oczywiście nikt nie wiedział, co się z nimi stało.

Major przeglądnął pobieżnie skonfiskowane listy, ale prawdopodobnie uznał, że nie są materiałem obciążającym, bo odłożył je na bok i zakończył przesłuchanie słowami:

— Brzydkie wasze położenie. Jesteście prawie że dezerterami.

I posłał nas do przyległego pokoju, żebyśmy tam czekali.

Po chwili major zawołał nas znowu do siebie.

— „Więc powiedzcie, dlaczego zdezerterowaliście?" — spytał ponownie.

To pytanie skłoniło Zbyszka do desperackiej obrony. Zarzekając się, że jesteśmy niewinni, że chcieliśmy się tylko dostać do Starobielska, gdzie są polscy oficerowie, użalił się: Dlaczego towarzysz major nie chce dać wiary naszym słowom?

Zabrzmiało to tak fałszywie, że ze strachem popatrzyłem na majora. Ale ze zdziwieniem zauważyłem, że major w ogóle nas nie słucha.

Bez zwracania uwagi na słowa Zbyszka major wziął małą karteczkę i zaczął na niej coś pisać. Następnie zawołał milicjanta, który nas przyprowadził. Ale milicjanta już nie było. Trochę zmieszany, major spytał nas, czy wiemy gdzie jest... tutejsze biuro wojskowe!

A więc nie każe nas z miejsca zamknąć! Już nie mówiąc o gorszych możliwościach! Wprawdzie nie wiemy, gdzie jest „wojenkomat", ale oczywiście dowiemy się natychmiast. Major pozwolił nam odejść. Oddał nam nawet nasze listy i wręczył ten zapisany karteluszek.

Trzymając go w ręku skierowaliśmy się do biura wojskowego. Zbyszek chciał z miejsca przeczytać, co tam napisane, ale ja się temu sprzeciwiłem. Jeśli było tam coś niedobrego — na przykład skierowanie do karnego batalionu — to dowiemy się o tym na czas, a jeśli były tam dobre dla nas wiadomości, to też nie uciek-

ną. Znalazłszy biuro, wszedłem i rozpoznając w oficerze kapitana intendentury, zwróciłem się do niego z przepisowym tytułem, wręczając karteluszek. Otrzymałem rozkaz zaczekania na pobliskim dziedzińcu szkolnym. Wychodząc, spotkałem Zbyszka rozmawiającego z tym drugim „cywilem", przyprowadzonym razem z nami. Powitał mnie jak starego znajomego i polecił wrócić do biura i poprosić o „sprawkę" na chleb dla nas trzech.

— A ty dlaczego nie poprosiłeś o to? — spytał się podejrzliwy Zbyszek.

— Bo mnie nie daliby, a wam dadzą.

Jego rozumowanie wydawało się bardzo dziwne, ale mimo to wstąpiłem z powrotem do biura i otrzymałem kwit na trzy porcje chleba, które należało kupić w wojskowej piekarni. Poszliśmy tam, pokazaliśmy kwit, ale mowy nie było o odważaniu jakichś tam porcji. Piekarz dał nam sześć (!) bochenków, wziął zapłatę, bardzo mierną, i czym prędzej pozbył się nas. „Cywil" wziął swoje dwa bochenki i zniknął, a ja ze Zbyszkiem wyruszyliśmy z powrotem. Przechodząc przed dużym drewnianym domem, Zbyszek zauważył, że mieściła się w nim restauracja dla oficerów i pomimo moich perswazji i oporu zaciągnął mnie do środka.

— Najwyżej wyrzucą nas za drzwi — pocieszał mnie. Było już około trzeciej. Weszliśmy, na sali nie było nikogo, tylko dwie kobiety myły podłogę. Zasiedliśmy do jednego stolika. Na to jedna z kobiet przerwała robotę, weszła do kuchni i po chwili przyniosła dwa talerze jedzenia. Nie spytała się o nic, nie zdziwiła się, że dwaj nowi „oficerowie" nie mają żadnych dystynkcji, zażądała niewielkiej zapłaty i powróciła do zmywania podłogi.

Powróciliśmy na boisko właśnie w chwili, gdy oficer intendentury z plikiem papierów w garści zwoływał wszystkich czekających, a zobaczywszy nas spytał, dokąd to chcieliśmy iść? Do Starobielska? Oto jest dokument dla was. Było już ciemnawo, tak że musieliśmy poprosić o zapałkę, ażeby móc przeczytać wręczony nam świstek. Było tam napisane, że *bojcy* Krys D. i Zbigniew P. mają się udać do Starobielska, do tamtejszego urzędu uzupełnień.

W podskokach zaczęliśmy przemierzać wieś w poszukiwaniu noclegu. Zapadła już noc, ale wszędzie byli rozmieszczeni żołnierze. Wreszcie jedna staruszka zgodziła się nas przenocować. Nie zwracając uwagi na twardą podłogę, zasnęliśmy wreszcie spokojnym, głębokim snem.

Następnego dnia zaczęliśmy rozważać, w jaki sposób dostać się do Starobielska. Nie było daleko, około trzydziestu kilometrów, od czasu do czasu jechał jakiś samochód wojskowy po

zaśnieżonej szosie. Ale jechać na nieokrytej ciężarówce, przy tym mrozie, nie uśmiechało się nam, postanowiliśmy iść na piechotę. Teraz szliśmy spokojnie gościńcem, lekceważąco pokazując rozkaz udania się do Starobielska patrolom, które nas zaczepiały. Nie śpieszyliśmy się. Wstępowaliśmy często do chat, konstatując jak Ukraińcy wyczekiwali nadejścia Niemców. Jedna młoda dziewczyna zaofiarowała się pokazać nam drogę do Niemców. Wprawdzie jej szczerość nie budziła wątpliwości, jednak nie wiadomo było, czy można polegać na jej wskazówkach. Postanowiliśmy nie ryzykować powtórnie. Zbyszek, wzruszony okazaną nam sympatią, chciał nawet skorzystać z niej następnej nocy, ale po ciemku, macając drogę na piec, gdzie spała dziewczyna, zahaczył o ławkę, która z wielkim hałasem upadła na podłogę i skonfudowany położył się z powrotem na słomie koło mnie.

Po siedmiu dniach tej włóczęgi zdecydowaliśmy się zajść wreszcie do celu. W Starobielsku czekaliśmy przez pół dnia, po czym zostaliśmy włączeni do dziwnej grupy ludzi, powołanych do wojska, zabłąkanych, w mundurze i w ubraniach cywilnych. Posłano nas na wschód. Mieliśmy udać się do miejscowości odległej około stu kilometrów, toteż pierwszego dnia grupa nasza przeszła około trzydziestu — by oddalić się jak najbardziej od władz w Starobielsku. Ale potem zatrzymała się na kilka dobrych dni w jednej wiosce. Grupa ta posiadała dokumenty, mogła rekwirować żywność w kołchozach i żądać dla wszystkich noclegu w chatach. Z początku dowodziła jedna osoba wyznaczona w Starobielsku, ale po kilku dniach jegomość ten zniknął, przekazując dokumenty jakiemuś swemu znajomkowi. Przekazywano dokumenty nie przez filantropię, tylko raczej z obawy, by nie zostać złapanym w ich posiadaniu, co byłoby jasnym dowodem dezercji. Ten następny dowódca też zniknął po kilku dniach, przekazując „władzę" znowu komuś innemu, i w taki sposób grupa, coraz mniej liczna i coraz wolniej maszerująca, szła przez cały miesiąc do miejsca przeznaczenia.

Ponieważ całe dnie przebywaliśmy w jednej i tej samej miejscowości, a z powodu mrozu nikt nie miał ochoty przebywać na świeżym powietrzu, trzeba było zabić jakoś czas. Odkryłem, że antologie języka rosyjskiego dla szkół średnich zawierały sporo wyjątków z klasyków rosyjskich i w ten sposób udało mi się przeczytać pokaźną część „Anny Kareniny" po rosyjsku. Czytałem i czytałem, budząc podziw wieśniaków: jak to można tyle czasu przebywać nad książką! Wieśniacy, trzeba nadmienić, odnosili się do nas zawsze życzliwie. W jednej chacie, po całym dniu spędzonym bez palenia, gospodyni przypomniała sobie, że mąż jej, którego oczywiście nie było, bo powołano go do wojska,

zostawił w jakimś zakamarku chaty niecałą paczkę papierosów. Dała nam po jednym papierosie. Wobec tego po następnym jedzeniu, przygotowanym przez nią z zapasów dostarczonych przez „dowództwo", to znaczy zarekwirowanych w miejscowym kołchozie, zaczęliśmy głośno wzdychać, jakby to było, gdyby można było zapalić, no ale cóż, nie ma co. Gosposia na to wyciągnęła znowu paczkę papierosów i znowu nas poczęstowała. W innym domu gosposia, widząc, że na głowie mamy letnie furażerki, wyciągnęła jakieś stare watowane czapki i darowała je nam. Bo dotychczas, tak ja jak i Zbyszek, chroniliśmy uszy przed mrozem skarpetkami włożonymi pod furażerkę i zwisającymi na uszy.

W domach były z reguły tylko kobiety i dzieci. Rzadko trafiali się starsi mężczyźni, a i w takich wypadkach starano się ich wykorzystać. Byłem świadkiem, jak do jednej chaty przyszedł posłaniec, wołając, żeby gospodarz stawił się w radzie wiejskiej, bo trzeba pognać bydło na wschód. Gospodyni, nie wpuszczając posłańca do domu, przez drzwi odkrzykiwała, że go nie ma, poszedł przecież właśnie do rady. A gospodarz siedział w komorze za drzwiami i nasłuchiwał. Scena ta powtórzyła się kilka razy, aż wreszcie zrezygnowano z szukania go i posłano widocznie kogoś innego.

Nasza polskość wywoływała trochę ciekawości wśród towarzyszy, ale wkrótce przyzwyczajono się do nas. Ludzie myśleli o czym innym, szli przecież do wojska, mieli być wysłani na front, z którego nadchodziły coraz groźniejsze wiadomości. Ale pewnego dnia przekonaliśmy się, co o nas myślano.

Zatrzymaliśmy się w południe na chwilę odpoczynku. Poszliśmy sobie sami do jednej chaty — zawsze staraliśmy się być sami — i gdy po godzinie odpoczynku wyszliśmy z niej, dowiedzieliśmy się, że grupa nasza już poszła. Powiedziano nam, dokąd się skierowała, więc poszliśmy w tym samym kierunku. Ale w pewnej chwili skręciliśmy na niewłaściwą drogę i pod wieczór znaleźliśmy się koło grupy domów, skąd było widać wieś, do której mieliśmy zajść, ale oddzieloną szeroką łachą wypełnioną śniegiem i wodą. Przejść ją w bród przy tej temperaturze wcale nam się nie uśmiechało, a żeby ją obejść musielibyśmy nałożyć dobrych kilka kilometrów. Zbyszek zaczął pertraktacje z jakimś wieśniakiem, który się tam znalazł i widząc, że mamy po dwa koce na głowę, chciał odkupić jeden z nich. Zbyszek ułożył się z nim, że w zamian otrzyma nie tylko spory kawałek polędwicy, ale także, że chłop użyczy nam koni — prowadził kilka koni ze sobą, prawdopodobnie „wycofując" je na wschód — żeby móc przejechać przez łachę. Chłop się na to zgodził i obaj na oklep przejechaliśmy spory kawałek drogi nie zamaczając nóg. Gdy na

drugim już brzegu zaczęliśmy szukać noclegu, spotkał nas ówczesny komendant, który szukał nas bezskutecznie od dłuższej chwili, żeby nam wręczyć trochę zarekwirowanego zboża. Rozzłoszczony spytał, gdzieśmy się, do diabła, podziewali.

— A no zabłądziliśmy i zaszliśmy na drugi brzeg łachy — powiedział Zbyszek.

— A w jaki sposób dostaliście się tutaj? — spytał zdziwiony Ukrainiec, patrząc na nasze suche buty i spodnie.

— Wzięliśmy konie i wierzchem przejechaliśmy przez wodę — wytłumaczył mu Zbyszek, dość dumny ze swej przedsiębiorczości.

— Cholera z tymi Polakami — wybuchnął Ukrainiec — zawsze wielkie pany z nich. Kazali sobie dać konie!

Ale w jego gniewie słychać było także podziw i uznanie. Oczywiście Polacy byli dla niego w dalszym ciągu „panami".

Monotonna, ociężała wędrówka trwała dalej. Równina ukraińska nie była interesująca. Błoto, które tak czepiało się butów, zamarzło, przykryte śniegiem, który gdzieniegdzie odwiewał wiatr, pokazując wielkie, czarne plamy. Do zimna i monotonii przybyła jeszcze inna plaga: wszy. Spanie na słomie, na polepie — rzadko trafiało nam się spanie na podłodze — przyczyniało się do ich rozpowszechnienia, chociaż obaj staraliśmy się wyłapywać robactwo w nikłym świetle lamp naftowych. Po kilku dniach spokoju wszy pojawiły się znowu. Posiadaliśmy wprawdzie zmianę bielizny, ale nasze mydła zdobyte podczas rozładowywania pamiętnego pociągu dawno się skończyły. Samo pospieszne pranie nie dawało rezultatów, toteż oczekiwaliśmy pójścia w jakiejś większej wsi do łaźni publicznej, przy której zazwyczaj znajdowała się dość prymitywna, ale sprawna odwszalnia. Niestety grupa nasza obchodziła z daleka większe wsie, obawiając się spotkania z władzami i tłumaczenia się z przydługiego wałęsania. Wędrówka nasza powinna była trwać najwyżej pięć czy sześć dni, a my dopiero po blisko miesiącu zaszliśmy do miejsca przeznaczenia.

Dzień przedtem natrafiliśmy na jakiś urząd wojskowy. Niektórzy ludzie z naszej grupy zaczęli rozmawiać z oficerami, którzy coś klarowali, nakazując iść tam a tam. Przysłuchująca się tej rozmowie *miedsiestra,* jedyna kobieta w naszym oddziale, która z wyraźną życzliwością patrzyła na dwóch Polaków, zapytała:

— A ci dwaj Polacy także?

— Tak, tak, oni także — zbył ją oficer. Co to miało znaczyć? Czy wiedziała coś o Polakach, o formującym się wojsku polskim, czy też po prostu interesowali ją dwaj polscy intruzi?

O tej *miedsiestrze* trzeba powiedzieć, że nie droczyła się i obdarzała swymi wdziękami wszystkich amatorów. Pierwszeństwo mieli oczywiście kolejni komendanci grupy. Potem przychodziła kolej na innych. Tylko jedyny Ormianin, który znajdował się w naszej grupie skarżył się później, że zabrała mu kilka paczek cennej machorki. Ale on miał ich dużo, inni z braku tytoniu palili liście czereśni, więc jej postępek spotkał się z ogólnym zrozumieniem.

Duża wieś, do której nas skierowano, była przepełniona wojskiem. Razem z chyba sześćdziesięcioma innymi żołnierzami ulokowano nas w jednej chacie, której gospodarze, wściekli ale milczący, uważali nas za dopust Boży. Mowy nie było o nawiązaniu stosunków towarzyskich. Inna rzecz, że nie byliśmy już na Ukrainie, lecz w samej Rosji, gdyż niedawno przeprawiliśmy się po prowizorycznym moście przez Don. Wieśniacy rosyjscy nie oczekiwali Niemców, a przynajmniej nie tak otwarcie jak Ukraińcy. W tej izbie, gdzie trudno było wyciągnąć nogi do przespania się, spędziliśmy Boże Narodzenie.

W kilka dni później wszyscy żołnierze pochodzący z „Zachodu" zostali wywołani z izb i w zwartym szyku udali się na niedaleką stację kolejową. Tam wskazano nam wagony towarowe. Kilka bardziej przedsiębiorczych czy też doświadczonych osób, w tym i Rosjanie, nie wiadomo dlaczego włączeni do naszej grupy, zakrzątnęło się, by „zagospodarować" wagon. Przynieśli skądś deski i w obu końcach wagonu zbudowali z nich trzy pomosty, jeden nad drugim, zostawiając środek wagonu pusty. Umieszczono tam mały piecyk żelazny z kominem, który wychodził przez specjalny otwór w dachu. Widocznie wagon był przeznaczony do przewożenia ludzi. Ułożyliśmy się na pomostach, ja ze Zbyszkiem na drugim piętrze. Dano nam potem trochę chleba, cukru i porcję wędzonych śledzi. Po długim oczekiwaniu pociąg ruszył. Dokąd jechaliśmy ani jak długo miała trwać ta jazda w nieznane, nikt nie wiedział. Towarzyszył nam oficer, który jechał osobno w wagonie kolejarzy. Moimi towarzyszami byli w większości Żydzi bessarabscy, a także kilku chłopów również z Bessarabii — śpiewali śliczne pieśni o bardzo dziwnej, niesłyszanej melodyce. Oprócz tego było dwóch czy trzech Rosjan. Słyszało się głównie język żydowski, chociaż oficjalnie mówiło się — a raczej kłóciło — po rosyjsku. Celował w tym Zbyszek, który o najdrobniejszy szczegół skakał wszystkim do oczu, zapewniając w ten sposób sobie i mnie względny spokój.

Na noc nikt, rzecz prosta, nie rozbierał się. Ale wykombinowaliśmy, że nogi mniej marzły, jeśli — nie zdejmując butów, żeby ich nie ukradziono — rozsznurowywało się je.

Na jakiejś stacji oficer wysłał kilku żołnierzy, z Rosjaninem na czele, do miejscowego magazynu wojskowego, by pobrali żywność na cały wagon. Ale pociąg ruszył, nim zdołali wrócić. Przestraszony oficer zaraz z następnej stacji wrócił jakimś złapanym samochodem z powrotem, by odnaleźć swych żołnierzy, a co ważniejsze dokumenty, upoważniające do pobierania żywności. Nie znalazł nikogo. Zapadli się pod ziemię. Żywność pobrali, po czym schowali się, gdyż zapasy jakie pobrali stanowiły w wygłodzonej Rosji duży majątek. Rezultat był taki, że cały wagon musiał pomyśleć o zdobywaniu jedzenia na własną rękę. Oficerowi nawet nie przyszło do głowy, żeby pójść do władz wojskowych i przyznać się do utraty dokumentów. Prawdopodobnie bał się, że zarzucą mu nie tyle niedbalstwo, ile to, że sam pobrał i sprzedał żywność na własną rękę. A więc należało zdobywać jedzenie samemu. Gdy pociąg zatrzymywał się na stacji, wieczorem z wagonu wymykał się jeden z drugim na *razwiedku,* na poszukiwania. Gdy udało im się znaleźć wśród innych stojących tam pociągów wagony z żywnością to, naładowawszy kieszenie, wracali. Wiadomość rozchodziła się po całym wagonie i reszta żołnierzy wyprawiała się po zdobycz. Pociągi bywały wprawdzie strzeżone, ale strażnicy albo rzeczywiście nie widzieli, co się dzieje, grzejąc się w jakimś zakamarku, albo znając z doświadczenia dolę ludzką udawali, że nic nie widzą. W ten sposób wszyscy znajdowali się w posiadaniu kaszy, mąki, nawet machorki. Cały ciężar i niebezpieczeństwo tych wypraw spadły na Zbyszka, który, trzeba przyznać, bez słowa protestu wybierał się na „zakupy".

Przygotowywanie jedzenia zabierało cały dzień. Najpierw trzeba było wypełnić menażkę śniegiem podczas jakiegoś postoju. Następnie zamawiało się miejsce w kolejce do pieca, na którym można było postawić tylko dwie menażki na raz. Otrzymawszy wreszcie miejsce czekało się, żeby stopiony śnieg zaczął kipieć i wrzucało się kaszę. Następnie na gorąco, ale bez żadnej przyprawy a nawet przez dłuższy czas bez soli, pochłaniało się kaszę, rozgrzewając się i sycąc równocześnie. Po zjedzeniu cały proces rozpoczynał się na nowo: kolejka, stopić śnieg i tak dalej. W ten sposób mijał dzień. Zwykle udawało się nam jeść dwa ciepłe posiłki dziennie, przynajmniej dopóki mieliśmy kaszę.

Monotonna, beznadziejna podróż na wschód przedłużała się.

Tylko jeden raz popatrzyłem z przyjemnością na krajobraz. Wysiadłszy z wagonu by się umyć, podniosłem oczy i zobaczyłem, że pociąg stoi w głębokim wąwozie o stokach pokrytych wysokimi sosnami pokrytymi śniegiem.

Zrozumiałem: przekraczaliśmy Ural.

Wśród monotonnej jazdy nadszedł dzień, gdy cały wagon

zbuntował się. Ludzie mieli dość kradzenia, szukania jedzenia, jazdy bez końca. Zażądano oficera, a gdy przyszedł do wagonu, zagrożono mu, że jeśli nie zajmie się podopiecznymi jak należy, to wysiądziemy z wagonu.

— Wysiądziecie po to, żeby się położyć na ziemi! — zagroził oficer. On jeden miał broń. Ludzie zaskoczeni umilkli, ale zaraz rozległ się głos — rozpoznałem go, to był Ehrlich, bessarabski komsomolec i jeden z bardzo nielicznych ludzi, z którymi warto było rozmawiać: — Nawet gdyby trzeba było się położyć!

Mimo to groźba poskutkowała. Po tylu dniach jazdy zaprowadzono nas do łaźni — odwszalnia uwolniła nas od wszy — a potem nawet do wojskowej jadłodajni. Było to w Omsku, dużym mieście syberyjskim.

Podczas kąpieli ukradziono mi bluzę wojskową. Gdy wróciwszy do wagonu naradzaliśmy się ze Zbyszkiem, jak temu brakowi zaradzić, zwrócił się do nas pewien starszy już chłop bessarabski, który miał miejsce opodal, i bez słowa podał mi wyciągniętą z wątłego węzełka ubogą ale czystą koszulę. W ten sposób mogłem sobie pozwolić na zdejmowanie w pewnych chwilach płaszcza. Gdy podczas następnej wyprawy Zbyszek przyniósł spory zapas nieocenionej machorki, z miejsca obdarzył pokaźną ilością tego człowieka, z którym dotychczas nawet słowa nie zamieniliśmy.

Nasza podróż miała już trwać niedługo. Kilka dni później dotarliśmy do Nowosybirska, kończąc udrękę dwudziestu siedmiu dni jazdy.

V

Stiepan Kuzmicz Chomienkow był wysoki, trochę przygarbiony, masywnej budowy, z twarzą o grubych rysach i gęstych brwiach. Mimo, że nie był inżynierem, kierował budową przeniesionej na Syberię fabryki lamp radiowych. Pochodził z Leningradu, skąd go ewakuowano razem z firmą budowlaną w której pracował. Pomimo braku wykształcenia znał się na planach inżynierskich i umiał organizować robotę. Miał dwóch synów, z których jeden już był powołany do wojska, a drugi, młodszy, pracował jako elektryk na budowie i Chomienkow drżał, że i on niezadługo będzie musiał przywdziać mundur. Stiepan Kuzmicz cieszył się wielkim szacunkiem u robotników. Był człowiekiem gołębiego serca.

Gdy go zobaczyłem po raz pierwszy, prawie się przestraszy-

łem. — Cóż to za gruboskórny człowiek — pomyślałem notując niechętne spojrzenie spode łba, jakim mnie przywitał. Działo się to podczas pierwszego apelu na budowie, gdy wszystkich nowoprzybyłych do Nowosybirska, stojących w trójszeregu *zapadników,* wyznaczano do różnych robót. Chomienkow spytał, gdzie jest ten „technik budowlany", który widnieje w spisie. Trząsłem się z zimna, było około czterdziestu stopni poniżej zera. Pogrążony w czarnych myślach — jak zdołam pracować fizycznie w tym zimnie, nie wytrzymam — nie dosłyszałem nawet pytania. Tylko Zbyszek, stojący znacznie bliżej, usłyszał je i za szeregami przybiegł do mnie, powiadamiając mnie. „Technikiem budowlanym" mianowałem sam siebie, słysząc, że mamy pracować przy budowlach. Swego czasu, podczas kilkumiesięcznej pracy jeszcze pod Lwowem, gdy z braku środków musiałem przerwać studia i szukać zajęcia, figurowałem jako „technik drogowy", gdyż rzeczywiście pracowałem przy budowie dróg. Dokładnego znaczenia tego terminu nawet ja nie znałem, ale tak zostałem nazwany. Wobec tego w Nowosybirsku przemianowałem sam siebie na „budowlanego". Mój wygląd nie musiał być specjalnie obiecujący jak na „technika", co prawdopodobnie spowodowało niechętne spojrzenie Chomienkowa. Ale zaproszony do środka baraku, na sakramentalne pytanie co ukończyłem, powiedziałem szczerze jak się rzeczy mają, co rozczarowało Chomienkowa. Obecna przy rozmowie starsza, mile wyglądająca kobieta spytała mnie, czy może znam się przypadkiem na „normach". Był to specjalny system obliczania wypłat dla poszczególnych brygad roboczych w zależności od wykonanej pracy. Wszystkie możliwe prace były skatalogowane w kilkudziesięciu książkach, przewidując normę dzienną na robotnika w danej pracy i odpowiednią zapłatę. Normy te były przewidziane, przynajmniej w teorii, na wszystkie możliwe roboty. Na przykład żeby wyrobić normę dzienną, należało zamieść tyle a tyle setek metrów kwadratowych podłogi, wykopać tyle a tyle metrów kubicznych ziemi (bardzo dużo!), zabetonować tyle a tyle muru. Na tym się znałem. Będąc w ostatnim okresie mej pracy kierownikiem odcinka drogi, musiałem zajmować się także „normami". Wypisywało się je na specjalnych formularzach zwanych *nariadami.* Z czystym sumieniem mogłem więc podjąć się tego rodzaju pracy. Teraz z kolei ta mile wyglądająca kobieta, jak się okazało starszy *normirowszczyk* firmy, wyraziła zadowolenie ze znalezienia mnie. Zostałem więc *normirowszczykiem,* specjalistą od norm, otrzymując wcale godziwą zapłatę. Bo od tej pory żołnierze w *strojbatalionie* mieli otrzymywać zapłatę tak jak robotnicy, w zależności od wykonanej pracy.

Ale nie zapłata była rzeczą najważniejszą: w sklepach i tak nie było niczego do kupienia. Mogłem za to siedzieć cały dzień w ciepłym baraku. Przy sąsiednim stole siedział Chomienkow i po kilku dniach przekonałem się, jak fałszywe było pierwsze wrażenie, jakiego doznałem na widok krzaczastych brwi Chomienkowa. Zawiązała się między nami jakaś nitka sympatii, niczym nie okazywana, ale instynktownie przeze mnie odczuwana.

Ale nie tylko Chomienkow był sympatyczny. Wkrótce mogłem się przekonać, jak odmienni od ogółu Sybiraków byli urzędnicy firmy pochodzący z Leningradu. Sama towarzyszka *normirowszczyk* rozpoczęła wtajemniczanie mnie w tajniki roboty od zapytania, jak mnie nazywać. Krys Janowicz, odpowiedziałem, gdyż mojemu ojcu było Jan na imię. Była to najbardziej poprawna forma, z którą jeszcze się nie spotkałem w Związku Sowieckim.

W pierwszych dniach mej nowej pracy byłem zajęty przez cały dzień, wyszukując odpowiednie normy i dowiadując się od brygadzistów, co znaczą specjalne terminy techniczno-budowlane. Wkrótce przyswoiłem sobie znajomość potrzebnych wyrażeń. Wypełniwszy i podpisawszy kilkanaście *nariadow,* nie miałem nic więcej do roboty przez cały miesiąc. *Nariady* nosiły podpis nie tylko mój, ale także brygadzisty, kierownika budowy i kilku innych mniej lub bardziej ważnych urzędników. Dopiero po zatwierdzeniu przez tuzin różnych osób dostawały się do księgowości, gdzie sporządzano nakazy płacy. Nic więc dziwnego, że robotnikom płacono około dwudziestego każdego miesiąca, za poprzedni miesiąc!

Ale nie tylko ja miałem mało roboty. Nie wyrabiali dniówek także robotnicy, a zwłaszcza robotnice. Nie dlatego, żeby robota była już ukończona, gmach fabryki ledwo rysował się na fundamentach. Nie było czym robić. Brak było materiałów. Zmuszeni do próżnowania robotnicy szli do Chomienkowa skarżyć się, że nie wyrabiając normy, niczego nie zarobią. Chomienkow zafrasowany rozkładał ręce, tłumacząc się brakiem potrzebnych materiałów, przerwami w komunikacji i innymi przyczynami i rzucał się do „centrali" po potrzebne mu dostawy.

Pewnego dnia przyleciał na budowę z radosną nowiną, że — jak go zapewniono w jakiejś komórce partyjnej — w następną niedzielę jedna ciężarówka i dziesięć sań konnych będą zwozić cegły i inne materiały na jego budowę. Słuchający tego starszy brygadzista pokiwał z powątpiewaniem głową: — Zobaczycie, Stiepanie Kuzmiczu, ile będzie z tego transportu. — Oczywiście miał rację. W niedzielę przyjechały jedne sanie zaprzężone w

szkapinę, apatyczną jak i jej woźnica, Uzbek, który za każdym obrotem zachodził do biura Krysa, żeby *łoszad'* odpoczęła. Słyszący to kierownik magazynu, Żyd, wyganiał go z powrotem, twierdząc że *łoszad'* odpocznie wieczorem. W całym dniu Uzbek zrobił coś cztery jazdy, przywożąc kilkaset cegieł. Na tym skończył się nadzwyczajny transport obiecany Chomienkowowi.

Ale nawet gdy były materiały, robota posuwała się powoli z powodu niskiej temperatury. Robotnicy rozpalali sobie ogniska i od czasu do czasu, przerywając pracę, biegli rozgrzać zgrabiałe ręce.

Ja na szczęście siedziałem w biurze, gdzie było ciepło. Węgla nie brakowało. Gorzej przytrafiło się Zbyszkowi. Wprawdzie mianował się elektrotechnikiem i jako taki nie pracował ciężko, ale za to musiał przebywać na mrozie. Kiedy tylko mógł wymykał się do mnie na rozgrzewkę.

Nasz batalion pracy miał do dyspozycji duży barak na skraju miasta. Spaliśmy na pryczach, na gołych deskach, przykryci szynelami. Butów nie zdejmowaliśmy obawiając się, żeby nie zniknęły w nocy, bo do batalionu przybyli Rosjanie, kryminaliści wypuszczeni z łagrów. Mieli przepracować pewien czas na robotach cywilnych jako wolnonajemni, a potem zostać wcieleni do wojska. Byli to często ludzie skazani za bardzo nikłe przestępstwa. Łagodny wyrok opiewał na pięć lat.

Barak był ogrzewany dużym piecem na drzewo i wyposażony w bieżącą wodę, rzecz prosta zimną, ale przy tym mrozie wydawała się ciepła. Zresztą na gruntowne mycie prowadzono batalion raz na kilka tygodni do łaźni miejskich.

Początkowo wracałem z batalionem na wieczór do baraku. Trzeba było przejść kilka dobrych kilometrów na mrozie i w ciemności. Po pewnym czasie zezwolono nam na korzystanie z tramwajów. Bilet kosztował bardzo niewiele, ale trudno było dostać się do tramwaju, tak były przepełnione. Wiele osób wisiało na schodkach, na buforach, kilku odważnych wdrapywało się na dach. Tramwaj wyglądał jak plaster miodu oblepiony pszczołami. Wsiadłszy do tramwaju stawało się przed problemem, jak z niego wysiąść. To także nie było łatwe z powodu potwornego ścisku.

Większość pasażerów stanowili robotnicy jadący do fabryki samolotów, położonej jeszcze dalej na peryferiach miasta. Tramwaje często nie chodziły z powodu awarii, wywołanych, jak złośliwie twierdzono, przez samych tramwajarzy, pragnących odpocząć. Widziałem jednego dnia, jak podczas takiej awarii przed moją budową przewalał się tłum robotników spieszących się do

fabryki i usłyszałem, jak jeden z nich mówił: — Nie zdążę, w żaden sposób nie zdążę na czas. Spóźnienia były surowo karane.

Po pewnym czasie spostrzegłem, że można nie wracać do baraku na noc. Pierwszy i drugi raz zameldowałem, że mam pilną robotę w biurze, ale widząc, że nikt się nie przejmuje moją nieobecnością, zacząłem sypiać stale w baraku. Spałem na ławce koło pieca. Wcale nie była twardsza od prycz w baraku, a za to mogłem sobie dowoli napalić w piecyku, a przede wszystkim mieć chwilę samotności.

Rano przyłączałem się do batalionu, który maszerował do pobliskiej stołówki na śniadanie.

Zimowe dnie były bardzo krótkie, w biurze paliło się stale światło. Chomienkow zaczął mnie zagabywać, bardzo przyjaźnie. Pewnego dnia, widząc opłakany stan mojego ubioru — letnie wojskowe spodnie otrzymane jeszcze w Charkowie i leciutka koszulka podarowana mi swego czasu przez milczącego chłopa bessarabskiego — powiedział, że mi wyfasuje ubranie. Nie mogłem zasnąć tego wieczoru. Dostanę ciepłe watowane spodnie i kufajkę! Ale Chomienkow jakby zapomniał o swej obietnicy. Po kilku dniach, drżąc z niecierpliwości spytałem go, czy to ubranie o którym wspominał, będzie watowane. — Nie — Chomienkow zasmucił się — mogę ci dać tylko robocze. — Było to coś w rodzaju drelichu, ale materiał był bardzo lekki i łatwopalny. Wystarczało, żeby spadło na spodnie trochę popiołu i natychmiast robiła się dziura, którą musiałem potem cerować białą nicią umaczaną w kałamarzu, żeby nabrała stosownego koloru.

Ale i tak nabrałem innego wyglądu. Przedtem musiałem budzić politowanie, raz nawet jedna starsza robotnica powiedziała półgłosem: — Ech, ty, Krysja, tyś nie zawsze chodził w takim stanie.

Niemniej jednak wyglądałem dość dziwacznie. Letnia bielizna, szynel i drelich nie wystarczały na syberyjskie mrozy, toteż wychodząc na dwór okręcałem się złożonym we dwoje kocem, na to nakładałem szynel i ściskałem się pasem. Tak odziany wyglądałem nawet na grubego. Gorzej było z rękami. Trzeba było je wsunąć do kieszeni, wpuszczając równocześnie rękaw do niej, żeby uchronić palce od przejmującego zimna. Gdy jeszcze sypiałem w baraku i musiałem chodzić piechotą na budowlę, jednego dnia mijające mnie dzieci ze śmiechem wytknęły palce ku mojej twarzy, wołając: *Biełyj nos, biełyj nos.* Odmroziłem nos. Natychmiastowy masaż śniegiem zapobiegł gorszym następstwom.

Chomienkow wyrobił mi ponadto legitymację, upoważniającą do opuszczania budowy w dowolnych porach. Cały plac budowy był otoczony parkanem i wchodziło się nań przez bramę, strze-

żoną dzień i noc przez strażników. Gdy odebrałem fotografię, jaką dałem specjalnie w tym celu zrobić, przestraszyłem się. Nie mając do dyspozycji żadnego lustra, nie zdawałem sobie sprawy ze swego wyglądu. Na fotografii widniał jakiś mizerny wychudzony człowiek z miną kompletnie zobojętniałą na wszystko. Fotografia była zrobiona specjalnie do legitymacji — w jednym kącie widniała ćwierćkolista biała plama — miejsce na pieczątkę. Kosztowała niewiele, za to zrobienie jej trwało dwa tygodnie.

Ale główną moją troską było zaspokojenie głodu. Oficjalnie dostawaliśmy na śniadanie 800 gramów chleba, talerz zupy, 20 gramów cukru i talerz herbaty. Kubków w owym okresie nie używano. Na obiad znowu talerz zupy i talerz herbaty. Na kolację — nic. Pomijając już fakt, że porcje chleba i cukru były „okrawane" przez wiele rąk, nim doszły do nas, to zupa była czystą ciepławą wodą, w której czasami — rzadko — pływał listek kapusty lub wałęsał się kawałeczek ziemniaka. Wydając talerz zupy, każdemu wlewano do niej maluśką łyżeczką, taką dla lalek, oleju słonecznikowego. Olej ten tworzył jedno małe „oko" na zupie i to była cała jej okrasa.

Po kilku dniach takiego odżywiania zacząłem być po prostu głodny. Doszło do tego, że czarny, wilgotny — żeby więcej ważył — Bóg wie z czego zrobiony chleb zjadałem natychmiast na śniadanie, a potem przez cały dzień czekałem na następną porcję chleba, licząc godziny.

Gdy potworne mrozy zelżały i temperatura zaczęła przypominać polskie, styczniowe zimno, zacząłem wychodzić na miasto. Nowosybirsk miał dość dziwny wygląd. Obok kilkupiętrowych kamienic widniały małe drewniane domki — pozostałość dawnych czasów. Wyglądały przytulnie obok szarych domów bez wyrazu, naprędce wznoszonych dla uchodźców.

Między budową a głównym miastem był cmentarz i mała drewniana cerkiewka, zawsze zamknięta. Tylko jeden raz zauważyłem przed drzwiami cerkwi zgromadzoną niewielką grupę starszych kobiet. Dopiero wtedy uprzytomniłem sobie, że jest niedziela i według prawosławnego kalendarza Wielkanoc. W dniu tym, oczywiście, całe miasto pracowało.

Zacząłem chodzić częściej do fryzjera dać się ogolić. Dzięki legitymacji mogłem wchodzić na budowlę i wychodzić z niej o dowolnej porze dnia. Przyjemność golenia trwała dość długo — fryzjernie były przepełnione. Fryzjerkami były kobiety, które bardzo delikatnie, sprawnie, szybko i zwykle nawet dość grzecznie obsługiwały, co było wielką zasługą, gdyż klienci nie grzeszyli nadmiarem manier towarzyskich.

Innym luksusem stało się chodzenie wieczorem do restauracji,

funkcjonujących na podstawie tak zwanej państwowej spekulacji. Znaczyło to po prostu, że były drogie. Oczywiście ceny i tak nie były wysokie, za to można w nich było jeść bez żadnych kartek, których ja i tak nie posiadałem. Otwierano je o 9-tej wieczór, a zamykano o północy. Ustawiał się przed nimi ogromny ogonek, ale stali w nim tylko naiwniacy. Bardziej przedsiębiorcza brać grupowała się u wejścia, tworząc tam ogromną „głowę" węża. Gdy otwierano drzwi, trzeba było wepchnąć się siłą do środka. Ścisk był taki, że jednego razu przy takim wchodzeniu złamano mi metalową łyżkę, jaką miałem w kieszeni. Bo o łyżki należało postarać się na własną rękę. Restauracja ich nie dostarczała. W środku restauracji odbierało się od odźwiernego metalowy znaczek, po czym znalazłszy miejsce na ławce przy stole, otrzymywało się talerz potrawy, za który trzeba było wręczyć ten znaczek i zapłacić. Nie było mowy o jakimkolwiek wyborze czy jadłospisie. Jadło się to, co w danym dniu było. Zwykle dostarczano także po kromce chleba.

Złożyło się tak jednego razu, że kelnerka rozdając talerze nie odebrała znaczków. Wobec tego wstawszy od stołu i przeczekawszy, by następna „obsada" zjadła i poszła sobie, zasiadłem znowu do tego samego stołu. I znowu kelnerka nie zażądała znaczka. Powtórzyło się to tak trzy razy. Za czwartym nawrotem kelnerka, która najwidoczniej zapamiętała sobie moją twarz, przynosząc mi tę samą potrawę, powiedziała półgłosem: — Boże mój, on już czwarty raz siada do stołu. — Powiedziała to bez oburzenia, ze współczuciem: jak strasznie głodny musi być ten biedak! Ale mnie to zawstydziło i wstałem od stołu, zresztą syty.

Praca na naszej budowie i w innych miejscach trwała bez przerwy przez siedem dni w tygodniu. Tylko raz na kilkanaście dni robiono wolny dzień. W dniu tym łaźnie były przepełnione, bo wszyscy rzucali się wykąpać, tracąc pół dnia na czekanie w kolejce. Bowiem większość robotników przesiedlonych w pierwszych miesiącach wojny wraz z fabrykami z głębi Rosji do Nowosybirska była pomieszczona w mieszkaniach prowizorycznych, pozbawionych wszelkich wygód. Cywilni robotnicy z naszej budowy mieszkali opodal w jednej kamienicy, już pokrytej dachem, ale jeszcze bez futryn okiennych i bez drzwi. Zastępowały je deski lub zasłony z płótna. W ten sposób każda rodzina miała swój kąt: jeden pokój do dyspozycji. W tym okresie Nowosybirsk podwoił liczbę mieszkańców. Można sobie wyobrazić, co działo się w łaźniach. Po pewnym czasie władze zrozumiały bezsens dawania wszystkim wolnego w jednym i tym samym dniu i zaczęto zezwalać poszczególnym fabrykom na przerywanie pracy w różnych dniach.

Oprócz mnie, *normirowszczyka,* w biurowym baraku na budowie pracowały jeszcze trzy inne osoby, między nimi młoda dziewczyna, Marusia, tak zwana *tabelszczyca,* której zadaniem było codzienne sprawdzanie obecności robotników. Praca ta nie przeciążała jej specjalnie, toteż chętnie rozmawialiśmy. Nie była specjalnie bystra, ale czuć było w niej coś lepszego. Po prostu wyczuwało się dobre wychowanie. Pewnego dnia, gdy byliśmy przypadkiem sami, opowiedziała mi o swoim młodszym bracie, który za trzecie spóźnienie do fabryki został skazany na sześć miesięcy więzienia.

— Może nie byliby go nawet skazali, ze względu na jego wiek, ma szesnaście lat, gdyby nie nasza narodowość.

— A któż wy jesteście? — spytałem zdziwiony.

— My jesteśmy Niemcami — powiedziała Marusia, nie bez pewnej chełpliwości.

No tak, oczywiście, że też się tego nie domyśliłem! Przecież nazywała się Nuss i jak wielu innych urzędników tej firmy pochodziła z Niemców leningradzkich. Wskutek tego pochodzenia jej brat, jeszcze chłopiec, dostał się do więzienia na „reedukację".

Ale nie wszyscy urzędnicy pochodzili z Leningradu. Byli między nimi także inni, zwolnieni przedterminowo z łagrów. Na przykład wszystkie druki, papiery i przybory pisemne były pod pieczą dość młodego człowieka, byłego partyjnego, który z miejsca poczuł do mnie antypatię. Był Ukraińcem, ale używał wyrazów w swoim języku tylko jako dowcipnych wtrętów, mających wywoływać wesołość. Opowiadał chętnie, jak przed skazaniem go zamykał się z teściem, także członkiem partii, w biurze. Teść wyciągał butelkę wódki i razem pili przez resztę dnia. To było życie! Niestety zawiść ludzka spowodowała, że obaj znaleźli się w łagrze.

— A teraz — skarżył się — z jakąż radością byłbym wyszedł z łagru, gdyby nie to, że wkrótce wciągną mnie do wojska i poślą na front!

W samej rzeczy zniknął po kilku tygodniach.

Pomimo wszystkich wysiłków robota nie szła Chomienkowowi. Pewnego dnia zjawił się w biurze partyjny *rewizor* i zażądał od Chomienkowa wytłumaczenia. Wyjaśnianie, że robota nie postępowała ze względu na chroniczny brak materiałów nie zdało się na nic. Chomienkow został zwolniony z pracy.

Ale ponieważ był ogólnie szanowany i sama firma dobrze rozumiała, jak bezpodstawne było to zwolnienie, znalazł natychmiast pracę w niedalekim mieście Barnaulu. Wystarał się także, żeby dwóch jego brygadzistów przeniesiono razem z nim do tej

samej pracy. Jeden z tych brygadzistów zjawił się kilka dni później z prośbą do mnie, żebym cichaczem wydał podręczniki techniczne, własność Chomienkowa, które zostały w biurze. Prosić o nie oficjalnie nie miało sensu. Brak tego rodzaju książek był tak wielki, że nowy kierownik budowy nigdy by się na to nie zgodził. Wobec tego ja i brygadzista wsadziliśmy po kilka książek pod płaszcze, ścisnęliśmy się pasami i tak, niekontrolowani, przeszliśmy przez bramę budowy.

— Uff — odsapnął brygadzista — można było nie wiem co wynieść.

Ale odejście Chomienkowa było dla mnie klęską. Na wygodne miejsce *normirowszczyka* czyhało tylu ochotników! Było także możliwe, że nowy kierownik zechce wsadzić na to miejsce kogoś swojego, po znajomości, po *błatu,* jak się mówiło. Toteż gdy w ostatnim dniu urzędowania Chomienkow wyszedł z baraku po pracy, pozwoliłem sobie odprowadzić go kawałek.

— A co ze mną będzie? — spytałem dość dziecinnie.

Chomienkow odburknął coś i uśmiechnąwszy się, pożegnał się.

W kilka dni później w drzwiach baraku pojawił się wysoki, stosunkowo dobrze ubrany i po pańsku wyglądający starszy mężczyzna. Spytał, kto to jest ten *normirowszczyk.* Zdziwiony podniosłem się od stołu, na co nowo przybyły przedstawił mi się jako R. — główny inżynier firmy, także z Leningradu.

— Towarzysz Chomienkow mówił mi o was, bądźcie więc spokojni, że się wami zajmę.

I słowa tego dotrzymał. Nikt mnie nie ruszył, pomimo zmian jakie zaszły na budowie.

VI

Nastał czerwiec. Ogromne wały śniegowe znikały, zalewając ulice wodą. Pewnego dnia przyszedł do mnie Zbyszek, bardzo przejęty nową wiadomością. Otóż na dworcu kolejowym pracuje biuro polskie. Co to za biuro, nie umiał powiedzieć, zdaje się tylko, że jest tam jakiś poseł. W każdym razie Zbyszek poszedł tam natychmiast i dowiedział się, że biuro wysyła Polaków na południe, do wojska polskiego. Jedyna trudność: trzeba udowodnić, że się jest obywatelem polskim. On nie posiadał żadnego dokumentu.

— Ale ty przecież masz jakiś dokument, idź tam natychmiast!

Mój dokument, który dziwnym trafem ostał mi się w kieszeni, to było zaświadczenie wystawione przez gimnazjum zaraz po zdaniu matury. Wydano mi je w oczekiwaniu właściwego świadec-

twa maturalnego (w naszym gimnazjum świadectwa musiały być zatwierdzane przez ministerstwo w Warszawie). Ale czy był to dowód obywatelstwa? W każdym razie, nie mając odwagi wierzyć w pomyślny skutek swej wizyty, na wszelki wypadek poszedłem zaraz następnego dnia do wskazanego biura. W skromnie urządzonym pokoiku przyjął mnie jakiś kulawy starszy człowiek, który spokojnie przeczytał mój „dokument".

— To w pańskim gimnazjum — wywnioskował — nie wystawiano świadectw maturalnych?

Uśmiechając się w duchu nad dyplomatyczną chytrością urzędnika, wyjaśniłem mu, że zaraz po maturze wyjeżdżałem na wakacje, a takie zaświadczenie było mi potrzebne do szukania ewentualnej praktyki. Na zatwierdzone świadectwo trzeba było poczekać kilka tygodni.

Odniosłem wrażenie, że to wyjaśnienie przekonało urzędnika. W każdym razie poproszono mnie bym wrócił następnego dnia.

Następnego dnia ten sam urzędnik przyjął mnie uprzejmie.

— Mówiłem z panem posłem o Panu, wszystko w porządku. Kiedy chce Pan wyjechać?

Zabrakło mi w piersiach oddechu.

— Ja? — wyjąkałem wreszcie. — Natychmiast, jak najszybciej, byle wyjechać!

No tak, tak — urzędnik wcale się nie zdziwił mojej gorączce — ale najpierw musi Pan pójść do łaźni, dać zdezynfekować ubranie i z odpowiednim zaświadczeniem proszę przyjść do mnie. Ja Panu załatwię bilet, lepiej, żeby się Pan za dużo po dworcu nie szwendał. Ma Pan pieniądze na bilet?

Z miejsca powiedziałem, że mam. Nie miałem dużo, ale mogłem sprzedać kilka rzeczy. Jedną parę spodni, pas wojskowy, jeszcze jakiś drobiazg. Załatwiłem to wszystko następnego dnia. Wystarczyło, żebym pokazał się na ulicy z tymi rzeczami w ręku, a natychmiast jakiś przechodzień zainteresował się spodniami.

— *Prodajosz?* — spytał łapczywie. — *Skolko choczesz?*

Bąknąłem coś o sześćdziesięciu rublach, niepewny, czy nie przesadziłem. Przechodzień zaczął natychmiast szukać pieniędzy i wkładać mi je w rękę.

— Ileś powiedział? Siedemdziesiąt?

Miałem tylko siłę kiwnąć głową. Widocznie i tak zażądałem za mało. Ale skąd mogłem wiedzieć, jakie są ceny. Podobnych rzeczy przecież nie widziało się w sklepach!

Wreszcie nadeszła umówiona popołudniowa godzina. Wyszedłem z biura zapowiadając, że następnego dnia będę pracował w centrali. W ten sposób nie powinni byli mnie szukać przynajmniej przez jeden dzień. A telefonu na budowie nie było.

W biurze na dworcu było już wszystko przygotowane. Bilet, miejscówka i zaświadczenie, że obywatel Krys Dołęga udaje się do Guzar na... roboty.

— Jak to — osłupiałem — i to ma mi wystarczyć wobec władz sowieckich? To jest jedyny dokument, jaki będę mógł pokazać podczas drogi?

— Tak jest — potwierdził stanowczo młodszy jegomość, bardzo wykwintnie ubrany (miał nawet szalik!), który właśnie wszedł do biura — i niech Pan pamięta, że myśmy Pana nigdy nie widzieli, a w razie czego wyprzemy się nawet tego zaświadczenia!

Przyjemna perspektywa! Ale Kuternoga, który odnosił się do mnie przyjaźnie, zwrócił mi uwagę na inne szczegóły praktyczne dotyczące jazdy, wyżywienia itd. Zaznajomił mnie także ze starszym jegomościem, dość pospolicie wyglądającym a śpiewającym takim wileńskim akcentem, że z miejsca było wiadome, skąd pochodzi. Jegomość ten miał jechać razem ze mną.

— Będziecie sobie nawzajem pomocni — powiedział mi na pożegnanie sympatyczny Kuternoga.

Miał rację. Kaziuk, wileński dorożkarz, był obrotny i cwany, tylko nie umiał czytać „po rusku".

Bez trudności i bez specjalnej kontroli wsiedliśmy do przeznaczonego nam wagonu numer jedenaście. Wagon był „twardej" klasy, w każdym przedziale do ściany przytwierdzone były trzy szerokie półki, na których można się było wcale wygodnie ułożyć. Twardość desek nie była dla mnie żadną nowiną (a prawdopodobnie także i dla moich współtowarzyszy). Drzwi nie było. Rozłożyliśmy się na zarezerwowanych miejscach, ja na samej górze, Kaziuk o piętro niżej. Była już noc i z biciem serca czekałem odjazdu. Żeby tylko w ostatniej chwili nic się nie stało, jakaś kontrola, byleby mnie nie zatrzymano! Pociąg ruszył wreszcie, kierując się do Taszkientu, do którego mieliśmy przyjechać za pięć dni. Codziennie kontrolowano bilety i codziennie pojawiała się milicja (za każdym razem inne twarze) kontrolując dokumenty. Kontrole te były dla mnie zmorą, bo w odróżnieniu od mego towarzysza nie posiadałem dokumentu wystawionego przez NKWD, że taki a taki, wypuszczony z *zakluczenja,* ma prawo poruszać się jak wolny człowiek. Toteż jeden z milicjantów, przeczytawszy mój dokument, zawahał się i spytał niechętnie, czy jest to jedyny dokument, jaki posiadam? Z zapartym tchem wyciągnąłem legitymację — ukraińską — z politechniki, wystawioną we Lwowie. Milicjant przeczytał, zrobił mało przyjazną minę, wreszcie oddawszy dokumenty poszedł sobie. W strasznym strachu zacząłem czekać na jego powrót. Kontrola ta nie miała żad-

nych złych następstw. Widocznie pieczątka z orłem i nagłówek — delegacja polska — robiły wrażenie czegoś, do czego lepiej było się nie mieszać.

Na stacjach wyczekiwały na pociąg wieśniaczki, ofiarowując trochę jedzenia. Wolały rzecz prosta zamianę, ale w ostateczności przyjmowały także pieniądze. Sprzedałem mój szynel wojskowy — temperatura podnosiła się w miarę jak zjeżdżaliśmy na południe — wzbogacając w ten sposób mój niewielki zapas pieniędzy. Cały pociąg żywił się w ten sposób, wagonu restauracyjnego nie było. Gdy pociąg ruszał, masa pasażerów rzucała się do wagonów, by wsiąść. Maszyniści uwzględniali to i przez dobrą chwilę pociąg wlókł się jak żółw, by wszyscy mogli względnie bezpiecznie wskoczyć do wagonu. Podczas jednego takiego wsiadania wskoczyłem do ostatniego już wagonu i potem musiałem przejść przez kilka wagonów na swoje miejsce. Zauważyłem wtedy, że pasażerowie byli posegregowani w specjalny sposób. W jednym wagonie jechali oficerowie, w innym ludzie o sytym wyglądzie członków partii, w innym znowu szary tłum. W moim wagonie jechała *wsiakaja swołocz*. Kaziuk, który zaznajomił się z kilkoma współpasażerami, powiedział, że są to zwolnieni z łagrów Kazachowie, którzy wracają do domu. Dwie konduktorki przydzielone do naszego wagonu — ich zadaniem było utrzymywanie czystości w wagonie i klozecie — odnosiły się z dużą rezerwą do pasażerów, z jakimi wypadło im jechać przez te pięć dni.

Pociąg jechał powoli. Szlak był jednotorowy i od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się przy przekładniach w szczerym polu, aby przeczekać pociąg jadący w odwrotnym kierunku.

Dojechaliśmy wreszcie do Taszkientu. Przede wszystkim należało przestemplować bilety na dalszą jazdę. Żeby móc je przestemplować, trzeba było pójść do łaźni i dać zdezynfekować ubrania. Fakt, że przeszły podobny zabieg niedawno w Nowosybirsku, nie miał żadnego znaczenia. Zaczęliśmy więc szukać łaźni. Okazało się, że jest zamknięta. Zagadnięci przechodnie skierowali nas do innej. Pojechaliśmy tam tramwajem, odnaleźliśmy ją — niestety była nieczynna. Na zirytowane zapytanie Kaziuka odpowiedział mu ktoś z obsługi, że przecież jest wojna. Innych łaźni nie było, wróciliśmy więc jak niepyszni na dworzec. Chcieliśmy przeczekać noc w poczekalni, ale przy wejściu była kontrola, a ponieważ okazało się, że nie byliśmy w łaźni, więc... Zajęliśmy miejsca w parku, przed samym dworcem, na ławkach. Ledwo usiedliśmy, przysiadł się do nas milicjant — gdzież to chłopcy jedziecie? Jak tylko dowiedział się, że do Guzar, przestał się nami interesować:

— Jedziecie do wojska polskiego — stwierdził i pobiegł w stronę jakichś krzaków, skąd rozlegały się krzyki.

Rozłożyliśmy się na dwóch blisko położonych ławkach i przespaliśmy noc spokojnie.

Trzeba było zająć się dalszą jazdą. Musieliśmy koniecznie odjechać tegoż dnia, gdyż następny pociąg odchodził dopiero za dwa dni, a pieniądze już się nam kończyły. Poszliśmy więc przed dworzec i tam przed jednym z wejść odszukaliśmy kolejkę pasażerów, czekających na wpuszczenie do pociągu, którym mieliśmy jechać. Wśród czekających zobaczyliśmy naszych dawnych towarzyszy z wagonu, którzy jechali z nami z Nowosybirska. Przywitaliśmy się przyjaźnie i Kaziuk zaczął ich indagować, jakie mają nadzieje na dostanie się do pociągu. Okazało się, że mają bilety regularnie przestemplowane. A poświadczenie z łaźni?

— Ponieważ łaźnie były zamknięte, więc na dworcu poszliśmy do milicjanta, powiedzieliśmy, że wracamy z łagrów, że musimy jechać do domu — i na to on kazał natychmiast otworzyć specjalnie okienko dla nas, bilety przestemplowano nam bez trudności, no i teraz jedziemy.

Kaziuk na wszelki wypadek spytał się Kazachów, do jakiego wagonu zostali skierowani. Okazało się, że do wagonu numer jeden.

Nie bardzo pewni siebie, zajęliśmy miejsce na końcu kolejki. Usiedliśmy na ziemi i tak zajęliśmy się rozmową, że nawet nie zauważyliśmy, kiedy kolejka ruszyła. Pędem pobiegliśmy do wejścia, ale tam starsza, gruba kolejarka rzuciła okiem na nasze bilety i odprawiła nas z powrotem.

Zrezygnowany, chciałem się już poddać, poczekać dwa dni — może w międzyczasie otworzą którąś z łaźni? — Ale Kaziuk był lepiej zahartowany. Ile racji miał ten kuternoga w polskim biurze w Nowosybirsku, „sprzęgając" nas razem!

— Dowiedz się, gdzie sprzedają peronówki, przecież to chyba u nich jest.

W samej rzeczy peronówki sprzedawano w kiosku z gazetami przed dworcem. Kupiłem je bez żadnych trudności.

— No a teraz szukajmy jakiegoś innego wejścia, żeby ta czort baba nas nie przegoniła.

Weszliśmy innym wejściem, gdzie inny kontroler z najobojętniejszą miną w świecie przedziurkował nam peronówki i wpuścił na dworzec. Pociąg nasz stał na jednym z licznych torów, wagon numer jeden na przodzie, lokomotywy jeszcze nie było. Ale dostać się do wagonu nie było można, bo jedno wejście było zamk-

nięte, a przy drugim stał kolejarz, sprawdzając bilety. I tak przy wszystkich wagonach. Dla Kaziuka to nie był problem. Obszedł wagon, próbując wejść z tyłu. Niestety oba wejścia były zamknięte. Tylko między naszym wagonem a następnym był nieosłoniony pomost z poręczami. Tą drogą Kaziuk dostał się natychmiast do wagonu i wychyliwszy się przez okno wrzasnął, bym się zdecydował. Z bijącym sercem wgramoliłem się na pomost i stamtąd, tuż za plecami konduktora kontrolującego komuś bilety, wszedłem do wagonu. Przycupnęliśmy w pierwszym przedziale koło jakiejś dziewczynki i jej mamy. Dziewczynka po chwili zwróciła się do matki i po cichutko spytała o coś... po polsku. Była to rodzina ze Stanisławowa. Jechali do Guzar, do ojca już przyjętego do wojska. Zawarłem z nimi natychmiast znajomość.

Po dłuższej chwili pociąg ruszył. W pewnej chwili Kaziuk zauważył nadchodzących kontrolerów i bez namysłu wdrapał się z pomostu na dach. Ja, zrezygnowany, zostałem na miejscu.

Kontroler zorientował się natychmiast w sytuacji i wyciągając bloczek z kwitami zapytał, czy mam zamiar zapłacić grzywnę — dziesięć rubli — a na moje zrezygnowane potwierdzenie wypisał mi kwit, pobrał pieniądze i pouczył mnie, bym na piątej stacji, gdzie pociąg stoi dłużej, bo lokomotywa bierze wodę, poszedł do kasy dworcowej i pokazując kwit zapłaconej kary, dał sobie przestemplować bilet.

Nie czekałem tej wskazanej piątej stacji, ale już na następnej pobiegłem do kasy. Razem ze mną jeszcze dwóch czy trzech pasażerów, tak jak ja „nieregularnych". Niestety, kasjer odmówił przestemplowania biletów, bo — pociąg przepełniony! Fakt, że już nim jechaliśmy nie miał żadnego znaczenia. To samo powtórzyło się na drugiej stacji, dopiero na którejś z kolei kasjer bez słowa wziął bilety, bijąc stemplem — jazda, szybciej! — byle się pozbyć natrętów. Jechałem więc z czystym już sumieniem na pomoście między wagonami, z nogami opuszczonymi beztrosko między zderzakami.

Nadeszła noc, pochłodniało, trzeba było wcisnąć się do przedziału. Tam skuleni, w zupełnie nieoświetlonym wagonie — wiadomo, wojna — zaczęliśmy drzemać. W pewnej chwili na korytarzu pojawiło się słabe światło. Nadchodził ktoś z latarnią. Siedząca naprzeciwko mnie kobieta wstała z miejsca i szybko wsunęła się pod ławkę, pod moje nogi. Ale obawy jej były płonne. Kolejarz z latarnią przeszedł, nie interesując się zupełnie pasażerami, kobieta po chwili wygramoliła się spod ławki i zajęła swe miejsce. Nikt nie zareagował, nikt nie powiedział słowa.

Widocznie pomimo tylu kontroli w wagonie jeszcze znajdował się ktoś „nieregularny".

Nad rankiem wysiedliśmy na stacji Karszi, żeby przesiąść się na pociąg jadący do Guzar. My dwaj nieopodal pani ze Stanisławowa z córeczką, jedyni pasażerowie. Pani wyciągnęła torbę z wiktuałami, podczas gdy my przełykiwaliśmy ślinkę. Nie mieliśmy nic do jedzenia, ale w pewnej chwili zbliżyła się do nas córeczka tej pani i ofiarowując nam dwie bułeczki powiedziała, że mamusia bardzo prosi, żeby je przyjąć. Podziękowaliśmy i zajęliśmy się przygotowaniem jedzenia. Bułeczki były twarde jak kamień, Bóg wie kiedy były wypiekane, no ale na stacji był komfort, to jest *kipiatok,* wrzątek był ledwo letni, ale posłużył doskonale do zmiękczenia bułeczek. Zjedliśmy je z apetytem.

A potem, innym już pociągiem, dojechaliśmy do Guzar. Jeszcze przed tą stacją zobaczyliśmy zgrupowania namiotów, żołnierza-wartownika w nieznanym nam mundurze, ale z orłem na czapce i maszt z flagą biało-czerwoną.

VII

Wojsko, jak wiadomo, ma swoje wymogi. Żeby się dostać w szeregi, trzeba odpowiadać pewnym warunkom. Dlatego też po przybyciu do Guzar musiałem stanąć przed komisją lekarską. Po zapisaniu moich danych osobistych skierowano mnie do lekarza. Młody kapral podchorąży, w białym kitlu, nie miał żadnych wątpliwości: zaliczył mnie z miejsca do kategorii „E"... zwalniającej od jakiejkolwiek służby wojskowej. Oznaczało to przekreślenie wszystkich moich nadziei. Nie przyjęty do wojska, co miałem robić? Przecież nie mogłem wrócić do Nowosybirska do biura, z którego wyszedłem „po angielsku"! Na szczęście komisje wojskowe składają się nie tylko z lekarzy, ale także z zawodowych oficerów. W tym wypadku szefem komisji był jakiś major, który rzuciwszy okiem na mnie — stałem goły jak święty turecki — zafrasował się:

— Co ja z panem zrobię? Widzę, że student Politechniki, mówi po niemiecku, zna angielski...

— Właśnie, panie majorze — bąknąłem zgnębiony — nie można by czegoś zrobić?

— Doktorze — major zwrócił się do lekarza — niech mu pan zmieni to „E" na „D", to przynajmniej będzie mógł wnieść podanie o przyjęcie go jako ochotnika.

— Nie można — zaprotestował lekarz — my za to będziemy odpowiadali!

Lekarz protestował, ale był tylko kapralem, podczas gdy pan major...

Z papierem, piórem i atramentem wręczonymi mi przez uprzejmego majora wyszedłem z lepszą już miną z izby, pisać podanie. Napisałem je w kilku zdaniach, że będąc tym a tym i znając to i tamto mam nadzieję, że przydam się...

Wróciłem przed komisję, wręczyłem podanie. Major przeczytał je, pochwalił — bardzo dobrze pan to ułożył — i na małej karteczce napisał zezwolenie na pozostanie na stacji zbornej do czasu załatwienia mego podania.

Stacja zborna w Guzarze była podzielona na dwie części. Do pierwszej, zwanej A-C, należeli ci, którzy czekali na egzamin przed komisją względnie po badaniu zostali zaliczeni do kategorii „A" lub „C" i czekali dzień czy dwa na przydział do jakiejś jednostki.

Druga część stacji, zwana D-E, była dla tych, którzy przeszli już badanie lekarskie i zaliczeni do jednej z tych dwóch kategorii, mieli wyjechać. Siłą nikt ich nie wyrzucał, ale otrzymywali tylko połowę racji żywnościowych, dopóki nie zdecydowali się odjechać. W tej części stacji przebywały osoby rzeczywiście niezdolne do służby wojskowej, a także Żydzi i Ukraińcy. Okazało się bowiem, że władze sowieckie zezwalały, w przeciwieństwie do pierwszych miesięcy zaraz po zawarciu umowy Sikorski-Majski, na pobór tylko Polaków, a nie obywateli polskich. Wykluczało to Żydów, Ukraińców i Białorusinów.

Żydów rozpoznawano natychmiast, natomiast Ukraińcom i Białorusinom kazano, czasami, odmawiać Zdrowaś Mario po polsku. Nieraz można było spotkać kogoś, kto gorliwie uczył się tych modlitw.

Zostałem w obozie przeszło trzy tygodnie, jako jedyny stały mieszkaniec części A-C, podczas gdy wszyscy nowoprzybywający odchodzili albo do oddziałów, albo do części D-E, względnie odjeżdżali z nosem na kwintę.

Kilka dni później spotkałem... Zbyszka. Jakiś znajomy spotkany na dworcu w Nowosybirsku — ówczesnym punkcie spotkań Polaków — poświadczył za niego w biurze, gdzie miał znajomych, no i Zbyszek przyjechał. Szybko przeszedł badanie i opuścił obóz.

Wrócił kilka dni później, już umundurowany, i oburzony opowiedział mi o niechętnym przyjęciu jakiegoś oficera. Skoro był w wojsku sowieckim, to czego teraz tutaj szuka...

Ale ja, gdy znacznie później składałem w pułku sprawozdanie z mych losów sowieckich, nie miałem z tego powodu żadnych przykrości. Widocznie „dwójkarz" naszego pułku był rozsądniejszy lub może po prostu lepiej poinformowany.

Pewnego dnia przybył do mojego namiotu młody chłopiec, smukły brunet o dobrych manierach, student liceum z Krakowa. Zawarliśmy znajomość, zaczęliśmy chodzić razem kąpać się w pobliskim *aryku,* rowie nawadniającym tamtejsze pola, powtarzać sobie razem angielski. Krakowianin zaproponował mi podpisanie zaświadczenia, że go znam z Polski jako obywatela polskiego. Tego rodzaju zaświadczenia były konieczne, jeśli nie posiadało się żadnych dokumentów. Poinformował mnie o tym zaraz po przybyciu do Guzaru jeden kapral dodając: — Chyba nie trzeba wam mówić, jak znajduje się świadków.

Przyrzekłem mu to, ale zaraz uprzytomniłem sobie, że nie znam nawet jego nazwiska. Okazało się, że był to krewny jednego generała, kolegi gimnazjalnego mojego ojca. Mogłem więc z czystym sumieniem podpisać potrzebne zaświadczenie.

W międzyczasie porucznik stacji, ten ignorujący mnie, zaczepił krakowianina, zauważywszy go na codziennej zbiórce porannej. Znali się bowiem z Krakowa i porucznik zaczął go wypytywać o różne szczegóły. A jak się dowiedział, że zaświadczenie o obywatelstwie podpisałem mu ja, wykrzyknął:

— To wy się naprawdę znaliście?

— O tak — odpowiedział z dużą przytomnością umysłu krakowianin — jego ojciec był kolegą gimnazjalnym generała.

— Tak? No to ja muszę coś zrobić dla tego Dołęgi. Siedzi tu już prawie miesiąc.

I następnego dnia powiadomił mnie, że ma przyjechać specjalna komisja, która szuka rzemieślników budowlanych.

— Jak przyjadą, to ja pana zawołam. Powie pan, że jest stolarzem, ślusarzem, czym pan chce, byle się dostać do wojska. Potem się już pan sam urządzi.

Niemniej jednakże zawołany przed tę komisję i zapytany o zawód powiedziałem, że... student Politechniki.

— To bardzo ładnie, no ale my takich nie szukamy. No, ale coś pan w Rosji robił? Trzymał pan kiedy siekierę w ręku? — spytał oficer, widocznie chcąc mi pomóc.

— A tak, to robiłem — przyznałem się.

Tak więc, jako cieśla, zostałem przyjęty do wojska i tegoż dnia odmaszerowałem do przeznaczonego mi oddziału. Odcho-

dząc, dowiedziałem się, że mój nowy znajomy nie został przyjęty. Był Żydem.

Mój oddział zajmował się budowaniem baraków dla wojska i innymi tego rodzaju pracami, ale ja zostałem natychmiast „rozpoznany" i posłany do biura do robienia rysunków. Wśród innych zadań polecono mi zrobienie planu miejscowego cmentarza katolickiego, na którym chowano żołnierzy zmarłych na różne choroby, przede wszystkim na tyfus. Nie otrzymałem żadnego instrumentu, więc plan musiałem zrobić, jak na pierwszych ćwiczeniach topograficznych — krokami.

W pierwszych dniach sierpnia nadszedł wreszcie wyczekiwany przez wszystkich rozkaz przygotowania się do wyjazdu. Jazdy do Persji, wyjazdu ze Związku Sowieckiego!

Załadowano nas na pociąg, o dziwo pasażerski. Przejechaliśmy przez Samarkandę. Na bocznych torach zauważyłem grupę wagonów pasażerskich ze znanym napisem P.K.P. Jak daleko zawędrowały te polskie wagony!

W Krasnowodsku wyładowano nas daleko za miastem. Nie mieliśmy tam nic do roboty poza niecierpliwym czekaniem przy kuchni na rozdawanie herbaty, jedynego napoju w tamtych stronach, nader pożądanego przy panujących upałach. Krasnowodsk nie posiadał źródeł wody. Przywożono ją cysternami kolejowymi z daleka.

Nadeszła chwila załadowania się na statek. Wieczorem, gdy upał nieco zelżał, niekończący się sznur oddziałów ustawił się na drodze i żółwim krokiem ruszył w stronę portu. Trzeba było nieść cały ekwipunek na plecach, władze sowieckie oddały do dyspozycji jeden samochód, który jechał za kolumną zbierając tych wszystkich, którzy padli po drodze. Prawie wszyscy byli po licznych chorobach, źle odżywieni (wojsko dzieliło swe porcje z rodzinami, dla których Sowieci nie dawali żadnych racji żywnościowych) wyniszczeni po ciężkich przeżyciach. Marsz odbywał się bardzo powoli i co chwila kolumna zatrzymywała się na odpoczynek. Przejście kilku kilometrów trwało prawie całą noc. Dotarliśmy świtem do miasteczka. W drzwiach domów stali mieszkańcy, patrząc na nas i ofiarowując wodę do picia... za pieniądze. Żołnierze nawet nie mieli siły, by klnąć. Usłyszałem tylko z tyłu jakieś ciche, złe mamrotanie.

Na molo kolumna wyciągnęła się, musieliśmy iść w pojedynkę. Bo po obu stronach gąsienicy żołnierskiej stało kilku oficerów NKWD, którzy pomagając sobie rękami liczyli przechodzących. Liczyli ich na głos i każdy na własną rękę. Widocznie władze sowieckie chciały mieć dane statystyczne bardzo dokładne!

Statek był sowiecki, nieduży. Zaraz po odbiciu od mola zaczęto wydawać tak pożądaną wodę, tym razem — bezpłatnie. Cały pokład był wypełniony Polakami. Było wśród nich wiele osób w cywilu, zarówno mężczyzn jak i kobiet.

Przyległa do burty część pokładu była otoczona ogrodzeniem z płótna wysokości człowieka. W środku znajdowała się ogromna ława, wychodząca poza burtę i nachylona w stronę morza. Była to toaleta. Obszar ogrodzenia był taki, że kilka osób mogło równocześnie korzystać z ustronia.

Podczas jazdy wszyscy leżeli na pokładzie, jeden koło drugiego, tak blisko siebie, że było bardzo trudno przechodzić z miejsca na miejsce. Marynarze sowieccy, by poruszać się po statku, woleli kroczyć po wystającej poza burtę stępce, przebierając rękami po poręczy.

Morze było spokojne, ale mimo to wiele osób chorowało na chorobę morską, co nie przyczyniało się do polepszenia wyglądu pokładu.

Na szczęście podróż trwała tylko dobę. Następnego ranka stanęliśmy przy brzegu perskim. Statek zakotwiczył się dość daleko, mola nie było, woda była niegłęboka, więc wszystkich pasażerów przeładowano na dużą barkę o dwóch pokładach. Mnie przypadło miejsce na dole. Tam, na stojąco, w piekielnym upale, tuż koło schodów, z kapiącym na mnie potem stojących wyżej, doczekałem się dobicia do niewielkiego pomostu. Wyjść po schodach — cały ekwipunek miałem na sobie — było ponad siły. Ale władze, tym razem polskie, pomyślały o tym. Na każdym stopniu stanęło dwóch żołnierzy, przybyłych wcześniejszymi transportami, już wypoczętych, w dobrej formie, którzy po prostu wyciągnęli, stopień po stopniu, wszystkich na górny pokład, a stamtąd już było lżej przejść na molo i ziemię. Oczekiwały nas liczne ciężarówki, na które zrzuciliśmy cały ekwipunek. Szliśmy wolnym, choć trochę niepewnym krokiem przez ubogie portowe dzielnice Pahlewi i w pewnej chwili, kiedy mijaliśmy mizerne sklepiki, rozległ się głos: patrzcie — mają cukierki! Na wystawie sklepiku stało kilka słoi z tanimi cukierkami. Dla nas były one wielką sensacją.

Zaprowadzono nas na plaże, gdzieśmy się ulokowali patrząc na Morze Kaspijskie, po którym dopiero co płynęliśmy. Ale patrzyliśmy na nie z ziemi perskiej, jako wolni ludzie.

Krys DOŁĘGA

(pk)

KORESPONDENCJE KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO Z BIAŁORUSI (SIERPIEŃ 1919)

Jest to stosunkowo słabo znany epizod biografii Kazimierza Wierzyńskiego. Istniejące opracowania przedmiotu[1] pomijają go, ograniczając udział poety w wojnie polsko-bolszewickiej tylko do roku 1920 i pracy w Biurze Prasowym Naczelnego Dowództwa. W rzeczywistości Wierzyński był również bezpośrednim świadkiem ofensywy na Mińsk w sierpniu 1919 roku.

Po ukazaniu się na początku 1919 roku debiutanckiego tomu wierszy „Wiosna i wino" pisarz postanowił „wyjechać z Warszawy — jak pisał w nieogłoszonych jeszcze, a spisanych w latach sześćdziesiątych wspomnieniach (rękopis w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, nr akc. 2947). — Właściwie nie wyjechać lecz uciec. Trochę ze strachu, trochę z onieśmielenia, trochę z radości nie dość wyzwolonej, a w sumie z powodu chaosu uczuć, w którym się zgubiłem". Okazja nadarzyła się niespodziewanie. Spotkany na ulicy kolega z gimnazjum w Stryju, Mieczysław Szychliński, który pracował w świeżo założonym w Poznaniu czasopiśmie wojskowym *Ku chwale ojczyzny* szukał kogoś, kto pojechałby na front białoruski, gdzie z bolszewikami biła się dywizja wielkopolska i napisał kilka korespondencji. Wierzyński zgodził się.

Wiosną 1919 roku znalazł się w Poznaniu. Z jego listu, pisanego do Stefana Żeromskiego dnia 22 lipca 1919 roku z Poznania wiemy, że w piśmie *Ku chwale ojczyzny* miał pełnić funkcję sekretarza redakcji. Czytamy w tym liście m.in.: „Co do mnie, jestem obecnie w Poznaniu i pozostanę tu około dwu miesięcy. Pracuję jako sekretarz redakcji gazety żołnierskiej, której pierwszy numer wyjdzie w dniach najbliższych" (rkps w zbiorach prywatnych Pani Moniki Żeromskiej). Pierwszy numer *Ku chwale ojczyzny. Gazety dla żołnierzy Wojsk Polskich* (jak brzmiał pełny tytuł) ukazał się z datą 12 sierpnia 1919 roku, numer ostatni, 50-ty (błędnie oznaczony jako 49-ty) z datą 17 stycznia 1920 roku. Pismo wydawane było nakładem Dowództwa Głównego Sił Zbrojnych w zaborze pruskim (a od numeru 34 nakładem Dowództwa Frontu Wielkopolskiego). Początkowo ukazywało się 3 razy w ty-

1. Por. „Przebity światłem". Pożegnanie z Kazimierzem Wierzyńskim. Londyn 1969 r., Maria Dłuska, „Studia i rozprawy", t. III, Kraków 1972, Artur Hutnikiewicz, „Pierwsza i druga młodość Wierzyńskiego" w: „Portrety i szkice literackie", Warszawa 1976, str. 185-204, Krzysztof Dybciak, „Gry i podróże poetyckie — Kazimierz Wierzyński" w: „Poeci dwudziestolecia międzywojennego" pod red. Ireny Maciejewskiej, Warszawa 1982, str. 445-487.

godniu, od numeru 16-go z 21 września 1919 roku, po zmniejszeniu formatu, dwa razy tygodniowo. Redaktorem był Henryk Nowodworski.

Pracę w redakcji *Ku chwale ojczyzny* oraz swój pobyt na froncie Wierzyński tak opisał w cytowanych już wspomnieniach:

„Były to dziwne czasy, kiedy należało trzy zabory, niby trzy rozbite garnki, połączyć w jeden solidny kocioł polski. Ale jeden garnek przyganiał drugiemu, na trzecim też hałasowała podskakująca pokrywa. Poznań był twierdzą prawicy, najbardziej opozycyjnej wobec Warszawy, z ciągotami żeby jak najdłużej zachować swoją odrębność. Jedną z tych ciągot stanowiło wojsko. Na czele jego stanął, jak najdalszy Poznaniowi i jego psychologii, dawny generał armii rosyjskiej Dowbór-Muśnicki, z szefem sztabu generałem Wroczyńskim. Pismo żołnierskie redagował Henryk Nowodworski, noszący mundur pułkownika. (...) Miałem silne sympatie piłsudczykowskie, czułem się nieswojo w tym otoczeniu i kiedy rozmawiałem na ten temat z Nowodworskim, zapytał mnie otwarcie: 'w takim razie, po co Pan tu przyjechał?'. W istocie nie umiałbym na to pytanie odpowiedzieć. Nie mogłem przecież spowiadać się przed nim z moich nastrojów jako debiutującego poety. Na dalsze deliberacje nie było nawet czasu, dostałem dokument podróży i siadłem w pociąg. Drogę miałem daleką, dywizja wielkopolska walczyła na Białorusi. Już sama podróż była w owym czasie barwną przygodą. Pociągi chodziły — można się wyrazić — z fantazją, którą z trudem poskramiał rozkład jazdy. Do wagonów wchodziło się często przez okno. Szczególną pasję podróżnych wzniecały skórzane pasy przy oknach, z reguły obcinane, prawdopodobnie na zelówki do butów. Chłodnym rankiem przejechałem przez Warszawę, jeszcze śpiącą. Im dalej od niej, tym puściej było w pociągu. Ostatecznie dotarłem do Mińska, który wyglądał trochę jak Riazań, z mnóstwem drutów w powietrzu, najeżony kocimi łbami. Z Mińska przewieziono mnie do sztabu dywizji, który mieścił się w Smiłowiczach. Niedaleko leżący dwór Wańkowiczów, zamieniony na gospodarstwo państwowe, przedstawiał się jak obraz pustki i zniszczenia. Równinny pejzaż toczył się bez końca, piękne brzozy pociągały oko, piaszczyste drogi biegły śród wysokich łąk.

Dywizja wykonywała wtedy natarcie pełne powodzenia, było więc o czym pisać. Miałem kontakt z jednym z dowódców, o ile pamiętam z pułkownikiem Kędzierskim. Odniosłem wrażenie, że wojsko jest świetne, w niczym nie podobne do znanej mi armii austriackiej, wykształcone na doświadczeniach niemieckich, tych z pierwszej wojny światowej, ożywione polską fugą".

Na łamach *Ku chwale ojczyzny* ukazało się pięć, co prawda nie podpisanych nazwiskiem, lecz z adnotacją „Od naszego specjalnego korespondenta" relacji z okolic Mińska:

„Wielkopolanie pod Mińskiem", *Ku chwale ojczyzny* 1919, nr 6 z 26 sierpnia, str. 40.

„Ułani wielkopolscy pod Mińskiem", *Ku chwale ojczyzny* 1919, nr 7 z 28 sierpnia, str. 46.

„Za Mińskiem" oraz „Czerwona armia", *Ku chwale ojczyzny* 1919, nr 10 z 4 września, str. 70-71.

„U lotników w Mińsku", *Ku chwale ojczyzny* 1919, nr 16 z 21 września, str. 107-110.

Powyższe relacje przedrukowujemy tu bez żadnych skrótów i zmian, jedynie pisownię dostosowano do dziś obowiązujących norm. Kwestia autorstwa Wierzyńskiego tych tekstów nie może chyba budzić wątpliwości. Przekonuje nas o tym, oprócz kontekstu biograficzno-historycznego, który staraliśmy się tu naszkicować, również pojawienie się w korespondencjach z lata 1919 roku i w napisanych kilkadziesiąt lat później wspomnieniach Wierzyńskiego postaci płk. Kędzierskiego.

Może warto na zakończenie przytoczyć jeszcze jeden fragment wspomnień autora „Wolności tragicznej". Opowiada w nich poeta o swoim odejściu z redakcji *Ku chwale ojczyzny:*

„*Ku chwale ojczyzny* nie przysłużyłem się więcej. Drażniła mnie atmosfera panująca w piśmie, a tendencje polityczne wydawały mi się niedopuszczalne. Po kilku tygodniach wiedziałem, że zbliża się koniec. Postanowiłem, aby dokonał się z rozwiniętymi sztandarami, choć w sposób perfidny. Pod nieobecność Nowodworskiego przedrukowałem w organie separatystów wojskowych artykuł z warszawskiego *Żołnierza Polskiego,* nawołujący do jedności wojska. Nie można było wymyśleć większego przestępstwa. Mój list rezygnacyjny rozminął się z depeszą Nowodworskiego o natychmiastowej mojej dymisji. Rozstaliśmy się bez pożegnania, prawdopodobnie obaj szczęśliwi, że nie musimy się widzieć".

Kazimierz Wierzyński po powrocie do Warszawy jesienią 1919 roku rozpoczął służbę w kierowanym przez Juliusza Kaden Bandrowskiego Biurze Prasowym Naczelnego Dowództwa.

(pk)

Kazimierz WIERZYŃSKI

WIELKOPOLANIE POD MIŃSKIEM

W lipcu br. bolszewicy rozpoczęli ofensywę przeciw Polakom, kierując swoje najsilniejsze natarcia na Wilejkę, Mołodeczno i Baranowicze. Wojska polskie, które zbliżyły się były podówczas

na 35 km do Mińska, musiały zużyć swoją energię na paraliżowanie akcji bolszewików i z tego powodu nie mogły kontynuować podjętego przebicia się na Mińsk. W końcu lipca i początku sierpnia na odcinku mińskim zgromadzono znaczniejsze siły i wypracowano plan ataku na Mińsk i ofensywy na ziemie białoruskie. Wówczas też przybyła na front północny dywizja wojsk wielkopolskich, której dowództwo oddano gen. Konarzewskiemu, sławnemu obrońcy Lwowa. Funkcję szefa sztabu, który w pełnym składzie przybył wraz z gen. Konarzewskim z Małopolski, pełnił porucznik Bukowiecki.

Dnia 6 sierpnia w wiosce Radoszkowice i jej okolicach zgromadziła się cała dywizja wielkopolska. Sztab rozlokował się z rozbitej na poły stacji kolejowej i rozpoczął pracę.

Za cel operacji naznaczono dywizji wielkopolskiej i przydzielonej do niej II dywizji Legionów przerwanie frontu bolszewickiego koło miasteczka Zasławia na północnym zachodzie od Mińska, odrzucenie sił nieprzyjacielskich w kierunku wschodnio-południowym, okrążenie Mińska ze wszystkich stron i zdobycie miasta. Dywizja legionowa stojąca na lewym skrzydle grupy wielkopolskiej uderzała i otaczała Mińsk z północnego wschodu. Kawaleria pod dowództwem ppłk. Andersa miała przebić się przez front, przedrzeć na tyły nieprzyjacielskie i odciąć bolszewikom drogę odwrotu od linii kolejowej Mińsk-Borysów i na trakcie Mińsk-Smolewicze.

Dla przeprowadzenia oznaczonej akcji rozdzielono grupę wielkopolską na trzy oddziały, z których główny, środkowy, prowadził na czele trzeciego pułku strzelców ppłk Szyling, mając obok siebie z północy grupę por. Kurowskiego, a z południa por. Barcza. Wszystkimi siłami piechoty dowodził ppłk Brezany.

Na dwa dni przed rozpoczęciem operacji przybył do grupy wielkopolskiej Wódz Naczelny, komendant Piłsudski, i wraz z gen. Konarzewskim oglądał teren koncentracyjny wojsk i pozycje, z których miał się zacząć atak. Bolszewicy zajmowali dwa wzgórza przed miasteczkiem Zasławiem, dominujące nad okolicą i pozycjami polskimi. Od naszych stanowisk do wyższego z nich biegła szosa, przecinając je w poprzek białą wstęgą. Za pobliskim laskiem była ukryta bateria artylerii wielkopolskiej. Druga bateria zajmowała stanowisko na odwrotnym stoku najwyższego wzgórza, które było w naszych rękach.

Operację zaczęto dnia 8 sierpnia o godzinie pół do piątej rano przy ślicznej pogodzie; artyleria pozostająca pod dowództwem ppłk. Lucjana Kędzierskiego rozpoczęła przygotowanie do

ataku piechoty natężonym i celnym ogniem. Z odległości 800 metrów pociski nasze rujnowały do szczętu okopy, znosiły ukrycia i wybijały wielkie szczerby w szeregach przeciwnika. Bolszewicy ostrzeliwali się z kulomiotów i karabinów, chcąc dosięgnąć baterii stojącej niemal na otwartym polu. Nasi artylerzyści walczyli jakby w pierwszej linii. Schowani za tarczami uwijali się nieustraszenie, prażąc zabójczym ogniem nieprzyjaciela. Przy artyleryjskim punkcie obserwacyjnym obok ostrzeliwanej baterii zebrał się sztab z gen. Konarzewskim na czele.

Tu padły pierwsze ofiary. W chwili, gdy ppłk Kędzierski rozmawiał z gen. Konarzewskim i szefem sztabu por. Bukowieckim, otrzymał postrzał potrącający kręgosłup, zachwiał się i upadł ciężko ranny na ręce por. Bukowieckiego.

„Umieram — zawołał — jestem szczęśliwy, że ginę za Polskę na polu walki". Potem płk Kędzierski zaczął się żegnać z otaczającymi go oficerami sztabu i żołnierzami baterii i przekazywał zlecenia dla rodziny. Ciężko rannego odstawiono płk. Kędzierskiego do szpitala w Białymstoku. Tu po kilku dniach, w czasie których były chwile znacznego polepszenia się stanu, skonał na ręku brata, gen. Kędzierskiego.

Tymczasem bój wzmagał i rozwijał się. Piechota ruszyła już do ataku. Rozwinąwszy się w tyraliery posuwała się naprzód, przypadając co parę kroków do ziemi i ostrzeliwując wzgórza bolszewickie. Teren był równy i zupełnie odkryty. To nie powstrzymało impetu żołnierzy. Prowadzeni przez niedostępnych oficerów posuwali się strzelcy regularnie i wzorowo jakby na placu ćwiczeń.

Bolszewicy nie wytrzymywali nacisku i w miarę zbliżania się naszych poczęli pierzchać. Z daleka widać było krasnoarmiejców wyskakujących z okopów i ginących w zbożu. Strzelcy, porwani zapałem walki, runęli ławą na okopy, biorąc jeńców, kulomioty i broń. Uciekających bolszewików gnano ogniem na bliską metę. Tyraliera ruszyła dalej. Zasław wzięto.

Na zawczasu przygotowanych stanowiskach bolszewicy starali się jeszcze parokrotnie rozbić niepowstrzymane parcie trzeciego pułku. Spędzając z nich przeciwnika, nasi strzelcy szli naprzód. Cała droga odwrotu bolszewików znaczona była licznymi trupami. Często spotykano wprost na gościńcu wykopane naprędce kryjówki, zza których odstępujący ostrzeliwali nasze patrole.

Tak niestrudzony trzeci pułk dotarł do Ratomki. Odrzuciwszy ariergardy broniące okrain, strzelcy wtargnęli do wsi. Tu

wywiązał się nowy bój. Koncentrował się on głównie koło stacji. Artyleria nasza poprzednio jeszcze przepędziła sprzed dworca pociąg pancerny, który stamtąd strzelał do atakujących Zasław. Teraz piechota ostrzeliwując budynki stacyjne zbliżała się do nich, łamiąc po drodze opór, aż wdarła się bagnetami w ostatnią obronną pozycję bolszewicką przed Mińskiem. Nieprzyjacielskie ariergardy starały się jeszcze po drodze do Mińska przeszkodzić naszemu posuwaniu się, ostrzeliwując wojsko artylerią i kulomiotami.

Niezwyciężony trzeci pułk odrzucał raz po raz wroga i zmuszał go zawsze do milczenia. Pod wieczór, spełniając naznaczone zadanie, strzelcy dotarli do Siennicy, odcinając Mińsk z południa i południowego wschodu.

Tymczasem drugi oddział grupy wielkopolskiej, na północ od pułku trzeciego, pod dowództwem por. Kurowskiego równie dzielnie i z powodzeniem bił nieprzyjaciela. Działał tu pułk czwarty. Ruszywszy raniutko do ataku, po dwugodzinnej, zażartej bitwie tak zwana kolumna lewa przełamała front bolszewicki i odrzuciła znaczne siły nieprzyjacielskie z Gródka do miejscowości Zarzecze Większe. W okolicy tej wybuchła nowa, gorąca dwugodzinna walka. Nieprzyjaciel bronił się uparcie. Rozwijając ogień z licznych kulomiotów starał nie dopuścić do zbliżenia się wojsk naszych. Wszystkie wysiłki bolszewików były daremne. Po zwycięstwie grupy środkowej ostateczny wynik był przesądzony. Opór złamano kompletnie i droga na Mińsk stała otworem.

Podjęto szybki marsz. Na przedmieściach padły strzały. To ostatki uciekających krasnoarmiejców, rozpierzchłe bandy łazików, a nawet ludność cywilna napadały z ukrycia na wkraczających. Wojska schodzące z otwartego pola bitwy zwycięsko i z małymi stratami, tu wśród zaułków nieznanego miasta poniosły straty daleko większe. Żołnierze podrażnieni nie dawali pardonu. Wszystkie przeszkody zostały zniesione. O pół do dwunastej w południe, po ośmiogodzinnym boju, kolumna por. Kurowskiego stanęła na rynku zdobytego Mińska. Część jej obsadziła jednocześnie wileński i brzeski dworzec kolejowy.

Działalność ostatniej na południe od centra walczącej grupy por. Barcza była równie, jak dwu sąsiednich, planowa, nieustępliwa i zwycięska. Rozpoczęto ją atakiem na Dziaczki. Przepędzeni stamtąd bolszewicy cofnęli się na z dawna przygotowane pozycje obronne koło Starego Sioła. Bronili się zapamiętale. Schowani w lasach, wykorzystując dogodny dla nich teren, razili atakujące wojska silnym ogniem karabinów maszynowych. Ko-

lumna por. Barcza musiała oskrzydlać zamaskowane stanowiska nieprzyjacielskie i brać je z flanków. W lasach odnajdywano bolszewików siedzących wysoko na drzewach i strzelających z najbliższej odległości do podchodzących tyralier polskich. Trzeba ich było zestrzeliwać, jak gruszki — mówili nasi żołnierze.

Walki te były zwycięstwem sprytu i nieustraszonej odwagi atakujących. Zająwszy Dziaczki i Stare Sioło grupa por. Barcza wkroczyła do Mińska.

Zwycięstwo było pełne.

Ułani wielkopolscy pod Mińskiem

Jeszcze w przeddzień operacji pod Mińskiem pierwszy pułk ułanów wielkopolskich pozostający pod dowództwem płk. Andersa otrzymał rozkaz przebicia się przez front bolszewicki, okrążenia tyłów i odcięcia odwrotu na wschód, to znaczy linii kolejowej Mińsk-Borysów oraz traktu na Smolewicze.

Z powierzonego zadania ułani wywiązali się nad wyraz chwalebnie i akcja mińska, chrzest ogniowy młodego pułku, pozostanie na zawsze w jego historii jako jeden z najpiękniejszych i najwspanialszych czynów.

Operację rozpoczęto dnia 7 sierpnia o godzinie 6 wieczorem atakiem na wieś Małe i Wielkie Gajany. Ułani spieszeni rozproszyli się w tyraliery i wśród ulewnego deszczu ruszyli niepowstrzymanie naprzód. Nieprzyjaciel przyjął atakujących gęstym ogniem karabinowym i kulomiotowym. Bolszewicy skoncentrowali do obrony obu miejscowości cały pułk z siedmiu karabinami maszynowymi. Posuwając się grupami wśród pagórkowatego terenu, nasi ułani dopadli wsi i w pełnym rozpędzie szturmu, idąc na bagnety, rozbili wroga w puch. Jeden pluton zaszedł bolszewikom tyły i odciął drogę odwrotu. Na polu walki nieprzyjaciel zostawił około 100 zabitych, a w nasze ręce wpadły trzy karabiny maszynowe i wiele materiału bojowego.

Było już ciemno. Ułani zajęli wzgórza panujące nad okolicą i przeczekali tu noc. Deszcz lał bez przerwy i o spaniu nie było mowy.

Następnego dnia o świcie pułk ruszył dalej. Wśród błotnistego i lesistego terenu między dwiema wioskami białoruskimi zetknięto się znów z nieprzyjacielem. Był on okopany w swej pozycji obronnej i miał prócz kulomiotów także artylerię. Dwa działa bolszewickie otworzyły ogień na ułanów. Dowódca pułku mimo wszelkich niedogodności położenia zdecydował się przyjąć

bitwę. Ułani zsiedli z koni i przez moczary i błota poszli do ataku. Armaty drugiej baterii artylerii konnej dowodzonej przez nieustraszonego por. Milewskiego, zaczęły bić w okopy bolszewickie. Niedługo potem dopadła ich tyraliera ułanów. Przeciwnik nie wytrzymał uderzenia i pod ciosem ułanów cofnął się na północ.

Po tym zwycięstwie ułani mieli wolną drogę i podjęli marsz, który przypominał czasy dawnego wojowania, kiedy posuwano się naprzód przez kraje bezludne i puste, staczając drobne potyczki z przeciwnikiem wysyłającym gdzieniegdzie podjazdy i rekonesanse. Im bardziej oddalano się od frontu, tym mniej napotykano bolszewików, tak że nieraz przejeżdżano 10 km bez wystrzału i starcia. Były jednak inne trudności, które trzeba było usuwać i zwalczać: przez błota musiano budować mosty lub poprawiać i utwierdzać kładki i byle jak rzucone przejścia, prowadzić stale wywiady, by upewnić się o możności dalszego posuwania się, przygotowywać się do spotkania z nieprzyjacielem w każdej chwili z przodu i z tyłu.

Na takim marszu zeszła pułkowi większa część dnia, aż o godzinie 6 wieczorem osiągnięto wieś Słobódkę, leżącą na północ od toru kolejowego Mińsk-Borysów. Po przebiciu się przez front czekało tu naszych ułanów drugie zadanie do spełnienia: trzeba było przerwać linię kolejową i uniemożliwić na niej odwrót.

Dowódca czwartego szwadronu, por. Czarnecki, który prowadził awangardę i ppor. Buszkiewicz wyjechali ze swymi oddziałami w kierunku toru i nagle z daleka dostrzegli, że od strony Mińska zdąża bolszewicki pociąg pancerny o dwu lokomotywach. Ułani rzucili się pędem do toru i zaczęli śpiesznie zakładać minę. Robota paliła się w rękach, bo pociąg był coraz bliżej. Jeszcze parę szarpnięć, knot, zapalenie i pędem za nasyp! Z pociągu nikt pracujących na razie nie spostrzegł. Ukryli się i czekają. Pociąg już zrównał się z nimi. Wlecze się bardzo powoli. Przejeżdżają minę: wybuchu nie ma. Obustronne strzały, bolszewicy biją z dwu maszynówek. Naraz huk: mina pęka pod ostatnim wagonem. Pociąg jednak wlecze się — przejechał. Sto kroków dalej ułani por. Czarneckiego obrzucają go ręcznymi granatami. Koło lokomotywy zrywa się kapral Pniewski i rzuca w nią granat. Huk eksplozji. Kapral Pniewski pada trafiony trzema kulami roztrywnymi w czoło. Pociąg staje. Ułani chcą podbiec, ale otrzymują tak silny ogień, że muszą się cofnąć. Prażą za to strzałami wagony i wskakujących do zepsutej lokomotywy bolszewików. Nagle pociąg rusza. Snać naprawili zepsutą maszynę. Żegna ich zdwojony ogień naszych kawalerzystów.

Po rozerwaniu toru kolejowego w dwu miejscach ułani zajęli pozycję obronną między torem a gościńcem z Mińska do Borysowa. Tu czekały ich jeszcze dwie rozprawy z bolszewikami. Przed północną mianowicie z szosy od strony Mińska dał się słyszeć turkot wozów, podzwanianie łańcuchów, a nawet śpiewy i gwar. Nie ulegało wątpliwości, że jadą bolszewicy, jadą nie podejrzewając zasadzki. Była to, jak się później okazało, kolumna piechoty z artylerią i taborami. Nasi podpuścili ją na dystans najbliższy, tuż przed siebie i z odległości kilku kroków rozpoczęli jak najszybszy ogień z karabinów i kulomiotów. Noc była choć oko wykol, niewiele więc można było widzieć. Z gościńca podniósł się nieopisany krzyk i hałas, a spieszeni ułani poszli na bagnety. Pod szalonym uporem atakujących bolszewicy, oszołomieni już poprzednio napadem ogniowym, stracili głowę do reszty i rzucili się do panicznej ucieczki. Ułani zdobyli trzy haubice sześciocalowe, jedno działo osiemnastocentymetrowe, jedenaście jaszczyków, dziewięćdziesiąt koni, bardzo wiele wozów taborowych, granatów, karabinów i innego materiału. Straty bolszewików były wprost ogromne. Tej nocy odbito jeszcze kilka drobniejszych wypadów bolszewickich.

Trzecie zadanie pułku, odcięcie odwrotu na drodze do Smolewicz, było więc też wypełnione. Bolszewicy próbowali jeszcze spędzić naszych znad gościńca, ale bez skutku. Nazajutrz, to znaczy trzeciego dnia operacji ułanów, o godzinie 4-tej rano przedsięwzięli oni przeważającymi siłami wielki atak na pozycję pułku koło Słobódki. Piechotę kilkakrotnie podchodzącą pod nasze okopy i kilkakrotnie wśród wielkich strat odpieraną wspomagała artyleria. Druga bateria konna por. Milewskiego nie zostawała dłużną. Zaciągnięto ubiegłej nocy zdobyte działa i otworzono silny ogień do szeregów atakujących. Dzięki niewzruszonej postawie naszych ułanów wszystkie wysiłki bolszewików spełzły na niczym, przysparzając im jedynie bardzo ciężkie straty. Po kilkugodzinnym ataku nieprzyjaciela wojska nasze przeszły do przeciwnatarcia, w którym zdobyli jeńców, jeden kulomiot i wiele broni. Pole walki było za nami. Zadanie spełnione. Pułk po nawiązaniu łączności ruszył do Mińska. Oficerowie nie mają słów dla opisania dzielności swych żołnierzy. W ataku i kontrataku, na koniu i pieszo, żołnierz pierwszego pułku ułanów wielkopolskich okazał się niezrównanym, niedościgłym, najkarniejszym, pełnym wytrwałości i entuzjazmu. Trzy dni walczono bez przerwy i wypoczynku, trzy dni nie rozsiodływano koni, karmiono i pojono raz w dzień. Bito się trzydzieści kilometrów za frontem, będąc naokoło otoczonym przez nieprzyjaciela.

Oddani sprawie oficerowie i żołnierze pod doskonałym, prze-

widującym i stanowczym dowództwem we wspólnej pracy i poświęceniu dokonali czynu, z którego sztandar polski nad nimi powiewający jest dumny.

Za Mińskiem

Po zajęciu Mińska wojska nasze ruszyły natychmiast naprzód. Wiedzie je wódz, który dobrze wie, kiedy można spocząć i swobodnie po zwycięstwie odetchnąć. Nie darmo imię jego wspominają małe dzieci lwowskie i nie darmo w miasteczkach małopolskich ulice noszą jego nazwisko. Generał Konarzewski jest już daleko za Mińskiem. Doskonałe wojska wielkopolskie odrzucają co krok ariergardy nieprzyjaciela i w oszałamiająco szybkim pochodzie posuwają się naprzód. Dukora i Sinieło to tylko etapy zwycięskiego pochodu polskich sztandarów na wschód.

A bolszewicy wybierają najlepsze wojska i każą im bronić odwrotu. Za wszelką cenę wstrzymać, choćby na krótko, na dzień — ale wstrzymać. Nad małą rzeczką o dźwięcznej nazwie Świsłocz zaległa mińska szkoła czerwonych oficerów, elita wojsk, najdzielniejszy, najzaufańszy wybraniec. Całą szkołę rzucono w bój jako ostatnią stawkę. Ludzie mówili, że było wśród nich wielu Polaków, pono nawet zwali się pułkiem warszawskim...

Tu, pod Siniełem, tą wioszczyną, gdzie mówiący po polsku mieszkańcy przyznają się do narodowości „katolickiej", gdzie po obu stronach rozchlapanego gościńca, raz po raz, na zachwaszczonym pagórku wykluwa się z trawy krzywy krzyż, bezimienna pamiątka polskiej emigracji drugiego roku wojny, tu przed awangardą Rzeczypospolitej Polskiej, przed wojskiem przybyłym z kraju, gdzie jeziora wykołysały pierwszy polski mit i pierwszą polską rzeczywistość — stanął nowy wróg... Pono zwał się pułkiem warszawskim...

Okopał się na wzgórzach tuż za rzeką, zajął pozycję flankową i skierował ogień na most, po którym szły polskie, wielkopolskie wojska. Narychtowali nasi działa, kawaleria poszła z flanków i runęli na nich, na bolszewików... Półtora dnia potem jeszcze leżały gołe i wzdęte trupy uczniów mińskiej szkoły czerwonych oficerów pułku „warszawskiego"... Historia chciała, by jeszcze raz, może jeden z ostatnich, bił się Polak przeciw Polakowi. Tylko, że tamci wyparli się Polski, wyrzekli się jej i zaprzedali się dobrowolnie i samochcąc wrogowi.

Szlakiem, którym ongiś ciągnęły zastępy Batorego, a potem Napoleona, ruszyła nasza dywizja. Droga piaszczysta, porżnięta

w różnorakie koleiny, pełna wybojów i wyrw prowadziła przez kraj falisty, gęsto porosły lasami, pokrojony małymi rzeczkami i lśniący od wód stojących i bagien. Deszcz rozmoczył piaski i posuwać się trzeba było powoli. Długi sznur piechoty zaczynał ten nowy polski pochód do starych rubieży Rzeczpospolitej, giął się na zakrętach i przepadał w szarych, szeroko rozrzuconych wsiach.

W małym miasteczku, Śmiałowiczach, na rynku stanęli dowódcy, by odbyć przegląd przemaszerowującego wojska. Jest więc gen. Konarzewski z szefem sztabu por. Bukowieckim, gen. Kędzierski, inspektor artylerii, z adiutantem, dowódcy pułków płk Brezany, płk Szylling i ppłk Anders. Obok stanęła muzyka i zaczęła grać marsza. Z okien wyglądają zdziwione twarze śmiałowiczan, ludność schodzi się grupami, aż po chwili plac roi się od zapatrzonych, podziwiających widzów. Najpierw przelecieli kłusem ułani, biało-czerwony tłum chorągiewek. Na ślicznych koniach kołysały się dorodne postacie jeźdźców i uprowadzały za sobą oczarowany wzrok.

A oto sunie szara masa piechoty. Szeregi wyrównują się i wyprężają, dudni na kamiennym bruku miasteczka krok żołnierski i raz wraz z potoku ludzkiego bucha radosny okrzyk na pozdrowienie dowódcy. Zajeżdża artyleria witana serdecznie przez gen. Kędzierskiego, mijają tabory.

Dziwią się ludzie, skąd tyle wojska, rosłych, doskonałych koni, dział, automobilów i wozów. Dawno już czegoś podobnego nie widzieli. Niemieckie bandy porewolucyjne rekwirowały u nich i kradły, co się tylko dało, a hordy czerwonej armii były postrachem dla wszystkich. Teraz wkraczają karne szeregi pod polskim sztandarem. Nie będzie pod nim źle nikomu. Siła ich jest, ciągną i ciągną, a końca nie widać.

Tymczasem sztab ruszył na naradę. Nieprzyjaciel znajdował się o 30 wiorst dalej, pod Ihumeniem. Wojska nasze miały uderzyć na jego z dawna przygotowane pozycje, zdobyć je i owładnąć miastem. Padły krótkie rozkazy, wyznaczono formacje, przygotowano się do akcji.

A wojska były już w dalszym pochodzie. Na samym czele kolumny, daleko przed siłą główną, operowała kawaleria, której szpicę dnia tego, od rozpoczęcia posuwania się naprzód pod Nowym Dworem aż po ostateczny kres, Ihumeń, prowadził bohater pochodu na Mińsk, torujący w niezliczonych starciach z nieprzyjacielem drogę pozostałym wojskom tak długo, aż w ostatniej walce pod Ihumeniem padł śmiercią niezapomnianych śp. Stanis-

ław Jeziorowski, podporucznik pierwszego pułku ułanów wielkopolskich.

Droga prowadziła znów przez teren pofalowany, cały czas przebijając się przez ogromne, nieprzeniknione lasy, niewątpliwe kryjówki zielonych armii. Było chłodno i od południa mżył drobny, denerwujący kapuśniak, ustawał niekiedy na krótką chwilę, i znowu padał.

Ściemniło się zupełnie i było już dobrze po wieczorze, gdy wojska nasze podeszły pod Ihumeń. Sznur ich wyciągnął się na grobli, położonej na bagnach odcinających dostęp do miasta i sunął naprzód. Tchórzliwy przeciwnik pierzchający z daleka na widok naszej tyraliery, teraz ukryty w ciemnościach i siedzący w poprzednio przygotowanych stanowiskach, starał się wciągnąć wojska nasze w zasadzkę. Podpuściwszy pod miasto kolumnę, otworzył ogień na groblę w przekonaniu, że odetnie drogę odwrotu i zepchnie siły nasze w bagno. Szybko zorientowano się w sytuacji i natychmiast ruszono w kierunku, skąd padały strzały. Wojska znajdujące się przed bagnem poszły w bród, zapadając się po pas i okoliły z flanków domniemane pozycje. Artyleria wprost z gościńca zaczęła bić na wzgórza, które obsadzili bolszewicy. Ci nie wiedząc jeszcze o kontrakcji zaatakowanych spotęgowali swój ogień do bardzo wysokiego natężenia i w oczekiwaniu zwycięstwa utrzymywali go dosyć długo. Nasi jednak zbliżali się wciąż niepowstrzymanie. Zwłaszcza ułani parli naprzód, nie bacząc na nic, po nowy laur, po nową sławę.

Wtedy to padł na czele swego oddziału nieodżałowany przyjaciel i dowódca, śp. ppor. Stanisław Jeziorowski. Nie doczekał się ostatecznego sukcesu całodziennej i nieustraszonej pracy i przed końcem zwycięstwa legł, jako ostatnia ofiara tryumfu świętej sprawy.

Na posterunku padł wówczas drugi wierny syn Ojczyzny, śp. Tadeusz Iłowiecki, lekarz-porucznik. W najsilniejszym ogniu nieprzyjacielskim nie zaniedbał swego obowiązku i opatrując rannego sam zginął od zabójczej kuli wroga.

I szara, bezimienna a najdroższa brać płaciła szczodrze krwią, ale nie drgnęła w pochodzie, nie zachwiała się przed końcem. Dopadli nasi stanowisk bolszewickich i wdarli się do miasta. Wróg ratował się paniczną, bezplanową ucieczką. Przygotowani raczej na zwycięstwa aniżeli na jakikolwiek, a cóż dopiero na tak energiczny odpór, bolszewicy rzucili się w ogólnym bezhołowiu i rozbici na pozycje, pierzchając w rozsypce i zostawiając nam bogaty łup.

Na drugi dzień o świcie zatknięto w Ihumeniu polską chorągiew. Bohatersko poległych oficerów i żołnierzy złożono na

cmentarzu ihumeńskim w prostych trumnach i w jednym rzędzie, w pospólnym na zawsze braterstwie. Zgromadzone wojska i generalicja salutowały długo odchodzących towarzyszów. Nakryła ich cicha ziemia w obliczu rozwiniętych sztandarów Najjaśniejszej Rzeczpospolitej.

Czerwona armia

Bolszewicy armię swoją nazywają czerwoną w przeciwieństwie do wszystkich armii walczących z nimi — które są „białe". Składa się ona z przymusowo mobilizowanych roczników od 1898 do 1885. Z poboru zwolnieni zostali wszyscy urzędnicy państwowi i członkowie bolszewickich organizacji partyjnych. Procent komunistów, to znaczy zwolenników obecnego ustroju sowieckiego Rosji, jest w czerwonej armii znikomy. Komunistów tych, po ukończeniu utworzonych dla nich kursów polityczno-wojskowych, w których „uczą się komunizmu", organizują w osobne oddziały i zużywają do specjalnych celów. Tak na przykład, gdy jakaś kompania lub pułk buntuje się i nie chce iść w bój, oddziały komunistyczne uśmierzają powstańców, rozstrzeliwują ich lub wiążą. W bitwach oddziały komunistyczne popychają opornych do walki karabinami maszynowymi. Najczęściej jednak używa tych ideowych bolszewików tzw. czerezwyczajka, to znaczy komisja śledcza do walki z prądami lub ludźmi, dążącymi do obalenia rządu bolszewickiego znana z potwornego okrucieństwa. W ogóle oddziały komunistów mają sławę jak najgorszą.

Żołnierz bolszewicki jest odżywiany i umundurowany niedostatecznie. Aprowizacja z powodu złej organizacji, transportu i kradzieży szwankuje tak dalece, że czasem przez pięć dni żołnierze nie otrzymują pożywienia. Wtedy kradną i rabują, co i gdzie się tylko da. Umundurowanie bolszewików jest bardzo rozmaite. Po największej części noszą stare rosyjskie mundury znoszone, podarte i pstro łatane. Rzadko kiedy widać żołnierza obutego. Zamiast butów noszą oni łapcie z łyka, których po wsiach używają chłopi rosyjscy. Najczęściej chodzą po prostu boso.

Dyscyplina jest w armii bolszewickiej więcej niż rozluźniona. Ukłonów nikt nikomu nie składa, nawet podanie ręki jako sposób pozdrowienia zostało zniesione. Ponieważ z wyjątkiem sowicie opłacanych oddziałów komunistycznych nikt w Rosji wojować nie chce, nic dziwnego, że żaden rozkaz nie jest dobrze wykonany i każdy robi tak, byle tylko zbyć się jego wypełnieniu.

Chcąc jednak zaprowadzić porządek w armii, bolszewicy przywrócili z powrotem szarże oficerskie, które w początkach swej władzy byli znieśli.

Dowódcy bolszewiccy są dwu kategorii: tzw. oficerowie czerwoni i tzw. *komandnyj sostaw*. Czerwoni oficerowie to wychowankowie bolszewickich szkół oficerskich, dawni prości żołnierze lub podoficerowie, całkowicie zaprzedani bolszewizmowi i jego zausznicy. Ponieważ z braku koniecznego wykształcenia nie mogą zajmować stanowisk wyższych od dowódcy kompanii lub batalionu, trzeba było zaciągnąć do służby oficerów dawnych, jeszcze z czasów carskich. Zostali też oni w lecie br. powołani wszyscy bez wyjątku.

Ci wszyscy stanowią tzw. *komandnyj sostaw*. Bolszewicy nie dowierzają tej kategorii oficerów i dlatego do każdego z nich jest przydzielony jakiś zaufany „komisarz", których jest niepoliczona ilość. Żaden rozkaz bez podpisu komisarza lub czerwonego oficera nie ma mocy obowiązującej. Komisarze kontrolują dawnych generałów i innych swych podopiecznych nader skrupulatnie i są nie tyle ich zwierzchnikami, ile szpiegami.

Ma się rozumieć o należytej pracy w takich warunkach nie można nawet mówić. Oficer, który sam nie chce służyć, nie będzie dobrze dowodził żołnierzem, który czeka pierwszej lepszej sposobności, by z wojska uciec. Ani „czerwoni oficerowie" ani *komandnyj sostaw* dyscypliny w czerwonej armii nie przywrócili. Rozstrój jej najlepiej uwidacznia się w masowych dezercjach żołnierzy bolszewickich. Dawni oficerowie zmuszeni do służby uciekają do nas, przez front, czasem wprost w ogniu. W sztabie składają zawsze jak najdokładniejsze informacje o siłach bolszewickich, rozłożeniu i stanowiskach wojsk, a nawet proszą się, by pozwolono im natychmiast bić się w naszych szeregach przeciw bolszewikom. Jeden z takich oficerów przyniósł nawet wraz z dwoma żołnierzami do naszych pozycji wykradzioną bolszewikom maszynówkę. Żołnierze kryją się, gdzie się tylko da. Uciekają od poboru lub rzucają szeregi, chowają się najczęściej w lasach, wybierając takie, do których trudny jest dostęp, więc np. otoczone bagnami. Gdy jest ich więcej, łączą się i organizują w oddziały, które mają swych naczelników, swoje maszynówki a nawet artylerię własną. Takie oddziały nazywają się „zielonymi armiami". Niekiedy dezerterzy są tak śmiali, że nie tylko nie skrywają się z tym, że tam ma swoją „pozycję" ich zielona armia, ale nawet przybijają na drzewach specjalne tabliczki z napisem „droga w zieloniju armiju", by uciekający wiedzieli, dokąd mają się kierować. Oddziały takie trudnią się rabunkiem i gra-

bieżą, bo nie mają co jeść i żyjąc całkiem jak dzicy ludzie, stają się czasem plagą gorszą od bolszewików. Zielone armie odnoszą się do bolszewików bardzo nieprzychylnie, a nawet napadają ich oddziały i walczą z nimi. Największą z takich band jest zielona armia Grigoriewa, który swego czasu zajął był Odessę i Angieta, który posuwa się obecnie pod Kijów.

Nasuwa się pytanie, dlaczego wobec takiego zdemobilizowania i braku organizacji w wojsku bolszewicy trzymają się jeszcze przy władzy, mają mimo wszystko jakąś siłę zbrojną do swego rozporządzenia, a nawet odnoszą zwycięstwa, jak np. nad Kołczakiem koło Uralu?

Otóż zdaje się, że obok braku pracy, która zmusza mimo wszystko wielu, zwłaszcza ciemnych, do wstąpienia w szeregi czerwonej armii, największą rolę gra tu straszny, przed niczym nie cofający się i o którym my pojęcia nie mamy, terror. Rozstrzelanie w Rosji stało się czymś najzwyklejszym w świecie. Pozbawić kogoś życia nie znaczy tu nic. Dziś strzela czerezwyczajka, strzela każdy komisarz, strzela każdy żołnierz i kto chce. *K'stienkie priłożyt'* — krzyczy byle żołdak, gdy mu się cośkolwiek nie spodoba i wykonuje natychmiast wyrok, ludzie giną za byle co. Raz koło Mińska rozstrzelali żołnierza za to, że do kolegi powiedział: „dziś wszystko jest drogie". Niedozwolona i zbrodnicza krytyka rządu!

W takich warunkach wyrodziła się u sterroryzowanych, wreszcie o własne życie truchlejących ludzi specjalna obojętność na wszystko, co jest koło nich. Rosjanin, który już poprzednio miał wiele podobnych wewnętrznych składników, dziś zmartwiał i skostniał całkowicie i jest mu najdosłowniej wszystko jedno.

Żołnierz polski wypędzając bolszewików i uwalniając zgnębioną ludność, odnosi nie tylko duże zwycięstwo, przeprowadza pewien plan strategiczny, urzeczywistnia pomyślane przez kierowników państwa polityczne założenia i tendencje — żołnierz polski ratuje człowieka, chroni godność i wyswobadza jego prawa. Wyswobadza od tych, którzy to samo na sztandarach swych niby pisali...

Dlatego musi on być w dwójnasób żołnierzem i w dwójnasób człowiekiem. Zdobyty kraj pozyska w nim nie tylko pana, ale i obywatela. Daleki będzie od twardych praw zwycięzcy i wypleni z siebie butę ujmującą piękności jego czynu.

Polski zdobywca nie będzie takim, jakim był zdobywca niemiecki, który czuł się panem życia i śmierci w zawojowanym kraju, gnębił i prześladował tych, co mu się nie podobali, nie

szanował cudzego mienia, rekwirował i kradł, aż stał się postrachem i ciemiężcą. Polski żołnierz na wschodzie przyniesie pod polskim sztandarem prawdziwą wolność i swobodę dla każdego, i zyska sobie miłość i zaufanie ludu, który przy plebiscycie niewątpliwie da wyraz temu, że chce należeć na zawsze do państwa, którego obrońca obronił i jego. A jeśli splami się czynem niegodnym, niech pamięta, że marnuje plon zwycięstwa, odpycha własnymi rękoma to, za co życiem płacili jego bracia, a Najjaśniejszej Rzeczpospolitej wyrządza krzywdę, za którą ona srogo karać go będzie i do prawych swych synów zaliczać przestanie.

U lotników w Mińsku

Już pięć godzin wlokę się na małej, rozbitej powózce do Mińska. Sztab grupy wielkopolskiej ruszył dziś z miejsca tymczasowego swego postoju w Śmiałkowiczach dalej na wschód, więc i ja spakowałem swoje manatki — a że chciałem zobaczyć się jeszcze ze znajomymi z innych czasów lotnikami drugiej eskadry lotniczej, stojącej w Mińsku, zawróciłem w przeciwną stronę i kieruję się na zachód.

Jest jeszcze bardzo wcześnie i tylko gdzieniegdzie widać zaspaną twarz, jakby przylepioną do szyby i opuchłymi oczyma wodzącą za naszym wózkiem. Siecze drobny deszcz, który zalewa kraj już od dwu tygodni bez przerwy. Wyjeżdżam z miasteczka na dobrze znaną szosę mińską, która jest właściwie rozbitą piaszczystą i szeroką polną drogą. Niejednokrotnie grzęzły w niej nasze automobile ciężarowe wiozące prowiant i materiały bojowe dla wojska i nie raz też trzeba było je wyładowywać i potem wyciągać z podmulonych piachów. Krajobraz lesisty, wzgórza i mokradła, i nieliczne wsie najeżone dziwacznymi drabiniastymi słupami, na których mieszkańcy tutejsi suszą zboże i siano.

Pola prawie wszystkie obsiane, ale rodzące źle i późno. Na każdym kroku ślady wojny i bolszewickiego pobytu.

Droga dłuży się nieskończenie. W jednej z wiosek, mniej więcej w połowie drogi, zmieniamy powózkę i po półgodzinnym postoju jedziemy dalej. Deszcz ucicha chwilami wokół i rozlewa się na krótko ciepłe złoto słońca. Jest czwarta godzina popołudniu, gdy przed nami z oddali wychyla się Mińsk. Nareszcie!

Na prawo od szosy wiodącej ze Śmiałowicz, skąd właśnie wracamy, na zielonym placu szarzeją namioty polowe, pomieszczenia płatowców. To przedmieście Mińska, Chozierowo, i lotnisko

naszej eskadry. Po chwili potem na nim gościnni lotnicy prowadzą mnie na kwaterę. Wieczorem opowiadają mi o swym pobycie na froncie litewsko-białoruskim.

Przybyli oni tu w pierwszych dniach sierpnia i rozlokowali się w majątku państwa Chełchowskich w Chorzowie koło Mołodeczna. Stamtąd przedsięwzięli trzy wzloty na Mińsk, z których dwa były czysto wywiadowcze, a jeden z bombami. Na drogę tam i z powrotem spotrzebowali godzinę i dwadzieścia minut. Lot z bombami odbył się na trzeci dzień po przybyciu na front północny. Z miejsca postoju eskadra nasza wyleciała o szóstej godzinie rano.

Każdy aparat posiadał pięć bomb. Zrzucano je na pociągi i na oba mińskie dworce kolejowe, brzeski i wileński. Skutek bombardowania był bardzo dobry. Rozbito i zapalono skład parowozów i uszkodzono jedną lokomotywę. Od bombardowania dworca padło, jak później w Mińsku lotnicy nasi się dowiedzieli, 28 żołnierzy bolszewickich, a 12 było rannych. Szczęśliwym trafem z ludności cywilnej nie ucierpiał nikt.

Nad eskadrą czuwał i na wypadek ataku nieprzyjacielskiego miał się bronić por. Norwid-Kudło, komendant eskadry. Na próżno uwijał się koło swych płatowców na chyżym fokerze. Bolszewiccy lotnicy nie atakowali. Wtedy por. Norwid napadł ich sam, spostrzegłszy na lotnisku bolszewickim dwa samoloty i ich obsługę, zaczął je ostrzeliwać z kulomiotu. Ale i ta śmiałość pozostała bez odpowiedzi. Czerwoni pierzchli z lotniska, zostawiając samotne płatowce na łasce polskiego lotnika.

Ludność polska spotkała pojawienie się naszych powietrznych bojowników z nieopisaną radością. Musiała jednak kryć się z nią i chować w podziemia. Wiedziano o nacisku i walkach wojsk polskich pod Mińskiem, w tajemnicy modlono się o jak najrychlejsze ich zwycięstwo, ale lot naszej eskadry dał nieszczęśliwym i prześladowanym braciom naszym pierwszy raz możność oglądania naocznie tych, którzy im szli z pomocą, którzy zbliżali się, którzy byli tuż nad nimi jako widomy znak zwycięstwa polskiego. Lot ten, tak pamiętny w życiu Polaków mińskich, omal nie zakończył się tragiczną katastrofą dla eskadry. Oto bolszewicy z pociągu pancernego zestrzelili i wzięli do niewoli jej dwu lotników, którym tylko dzięki niesłychanej ich odwadze i inicjatywie oraz sprzyjającemu szczęściu udało się zbiec i uniknąć śmierci. Zdarzenie to, jako wprost niebywałe, godne jest dokładnego opisu, który odtwarzamy według opowiadania obu lotników.

Oto sierżant-lotnik Filipiak i obserwator sierżant-lotnik Kostro

zrzuciwszy bomby na dworzec wileński spostrzegli, że z dworca odjeżdża w kierunku Bobrujska pociąg pancerny, który chciał widocznie wydostać się z terenu bombardowanego i uniknąć zniszczenia. Mając tylko jedną bombę, lotnicy nasi puścili się w pościg za pociągiem. Znalazłszy się za nim, rzucili weń ostatni pocisk. Rzut był celny. Bomba upadła na tor, rozerwała go i pociąg stanął. Wtedy lotnicy zaczęli go ostrzeliwać z karabinów maszynowych, zniżając się w celu skuteczniejszego obstrzału z wysokości 1500 m, na której się znajdowali, do 600 m nad ziemią. Śmiałość ta nie uszła im płazem. Z pociągu dano parę strzałów ze specjalnego działa zenitowego, służącego do ostrzeliwania samolotów. Jeden strzał trafił w skrzydło, które zaczęło się palić. Nie mając innego wyjścia, lotnicy postanowili splanować.

Chcąc ujść pościgu, opuścili się z narażeniem życia w las w odległości 30-35 km za Mińskiem, w znacznej odległości od toru kolejowego i pociągu. Szczęśliwie uniknęli rozbicia i wdrapali się bez potłuczenia na drzewa. Aparat stanął cały w płomieniach. Uciec jednak i skryć już się nie udało, bo dostrzegli ich w pobliżu znajdujący się krasnoarmiejcy, którzy natychmiast podbiegli i wymachując karabinami grozili, że zaraz ich rozstrzelają. Sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Trzeba było działać natychmiast. Wyłgać się jakoś, wykłamać czy oszukać — wszystko jedno — byle tylko ułagodzić napastujących. Wtedy jednemu z naszych lotników wpada niezwykły pomysł do głowy. Ponieważ obaj byli w kostiumach lotniczych i na zewnątrz niczym nie zdradzali przynależności do armii polskiej, postanowili udawać Niemców-bolszewików i bez roztrząsań i namysłu jęli opowiadać bolszewikom łamanym, ongiś podczas pobytu na Ukrainie poznanym językiem rosyjskim, że przylecieli do nich umyślnie z Warszawy, gdzie przymusowo służyli w polskiej armii, chcąc dostać się do Rosji, by razem z nimi pracować i walczyć. Niezwykłe to tłumaczenie się naszych przekonało jakoś bolszewików, którzy udobruchali się tak, że nawet patrzyli na nich z przyjemnością i szacunkiem. Zaprowadzono rzekomych przyjaciół niemieckich do Mińska, gdzie przedstawiono ich sztabowi grupy operującej na froncie mińskim. Tu przyjęto daremnie szukających sposobności ucieczki naszych zuchów wprost entuzjastycznie. Nakarmiono ich, częstowano papierosami, dopytywano się o stosunki w Polsce, plotąc przy tym fantastyczne bajki, którymi bolszewicy okłamywali swoich żołnierzy, o okropnym głodzie, nędzy itd., jakie u nas panują.

Tu jednak nasi się zdradzili. Zaczęli mianowicie opowiadać o niezwykłych siłach, które zgromadzili „okrutni Polacy" na

froncie, o wielkokalibrowej artylerii, o tym, że przeciw bolszewikom wystąpią w szeregach polskich tanki i francuskie wojska, że niezadługo mają być użyte gazy, fioletowe promienie itd., czym tak przerazili bolszewików, że ci zaczęli się zastanawiać, co to za jedni ci Niemcy, co tak wychwalają Polaków i tak pełni podziwu są dla armii polskiej. Wystarczyło potem kilka niezręcznych wypowiedzeń naszych schwytanych, by upewnili się o swych przypuszczeniach i inaczej do nich zaczęli się odnosić. Odesłano ich pod silnym konwojem do Borysowa, do jakiegoś sztabu, gdzie miano przeprowadzić badania i śledztwo.

Szczęście jednak sprzyjało wciąż naszym na ciężką próbę wystawionym lecz nie upadającym na duchu lotnikom. Oto po drodze, w pociągu jakiś Żyd i Polak, obaj przymusowo pobrani do czerwonej armii, uważając ich za jeńców zaproponowali im wspólną z nimi ucieczkę. Na jakiejś małej stacyjce wysunięto się niepostrzeżenie z wagonu — i w las. Czterech zbiegów nie posiadało ani kompasu, ani mapy, ani też nikt z nich nie znał kraju na tyle, by wiedzieć którędy iść, by napotkać polskie linie. Kierowano się po prostu: tam jest zachód, stamtąd mogą nasi nadejść — a więc w tym kierunku trzeba iść. Zaczęła się istna epopeja marszów, błądzeń, poszukiwań i przygód.

Po drodze przyłączyło się do nich jeszcze dwu dezerterów z armii bolszewickiej — i tak w szóstkę wędrowano. Błąkanie to trwało osiem dni. Pożywienia nie było żadnego. Jedzono leśne jagody, ziemniaki surowe i rzepę, a pragnienie gaszono wodą z bruzd.

Kulminacyjnym punktem tej nieszczęśliwej wędrówki był napad bolszewickiej konnicy na błądzących. Wypadła ona z lasu, gdy szóstka zmęczonych, wygłodniałych i zmizerowanych włóczęgów przechodziła z lasu przeciwległego przez odkryte pole. Rzucono się pędem z powrotem. Padły strzały, od których legli dwaj dezerterzy bolszewiccy. Nasi uszli cało z opresji, tylko że chroniąc się w las rozbiegli się w różne strony i zgubili się.

Zaczął się nowy okres błądzenia w pojedynkę. Sierżant-lotnik Filipiak, który miał towarzysza Polaka, zbiega z bolszewickiej armii, nie mogąc znaleźć drogi i nie widząc żadnego wyjścia ze swego nad wyraz trudnego położenia, ruszył do Borysowa, gdzie ryzykując wszystko, wsiadł do pociągu wiozącego posiłki na front i pojechał w kierunku naszych. Wysiadłszy niepostrzeżenie pod Śmiałowiczami, doczekał się nadejścia wojsk polskich i powrotu do eskadry, która odzyskaną swą stratę powitała z nieopisaną radością.

Sierżant Kostro tymczasem wpadł po raz drugi w ręce bolszewików i po raz drugi zaglądał śmierci prosto w oczy. Bolszewicy wzięli go za dezertera z czerwonej armii i chcieli natychmiast wymierzyć mu przepisaną karę, tzn. rozstrzelać. Dzięki tylko przytomności umysłu i na wszystko decydującej się odwadze uszedł Kostro okrutnemu losowi. Skorzystawszy z odpowiedniej chwili, rzucił się sam bezbronny na prowadzących go dwu konwojentów, wyrwał jednemu karabin i kładąc trupem jednego oprawcę i ostrzeliwując się przed drugim uciekł w las. Dowiedziawszy się z rozmów z bolszewikami, gdzie jest front i jak mniej więcej w kierunku jego zdążać by można, ruszył wprost nie zważając na niebezpieczeństwa i nie kryjąc się więcej, zdeterminowany i przygotowany na wszystko. Szczęśliwie udało mu się przejść front i dotrzeć do swoich, którzy cieszyli się nim jak zmartwychwstałym.

Drugi okres działalności naszej eskadry na froncie litewsko-białoruskim zaczyna się przeniesieniem stacji do Mińska. Dnia 8 sierpnia br., w dzień zdobycia Mińska, lotnicy nasi byli już wieczorem na lotnisku mińskim, w Chozierowie. Tu zorganizowano stację, sprowadzono konieczne materiały, założono polowe warsztaty i stąd podejmowano liczne wzloty na front.

Rozpoczęła się regularna praca lotnictwa frontowego. Siły podzielono w sposób następujący: komendant eskadry por.-lotnik Norwid-Kudło latał sam na fokerze, ppor.-lotnik Łuczak z obserwatorem kap.-lotnikiem Radenem na Halberstadcie C5, sierż.-lotnik Filipiak z obserwatorem sierż.-lotnikiem Kostro na Halberstadcie C5, sierż.-lotnik Tomaszewski z obserwatorem sierż.-lotnikiem Lipińskim na L.V.C. i sierż.-lotnik Cmętkowski z obserwatorem sierż.-lotnikiem Dzierzgowskim na D.F.W.

Latano przeważnie w stronę Berezyny, Borysowa, Bobrujska, do których podówczas zbliżały się wojska polskie, robiąc przeciętnie 250-280 km w dwóch godzinach. Pogoda stale nie dopisywała naszym lotnikom, tak że często latali przy bardzo niesprzyjających warunkach, a raz nawet w deszcz. Wzloty udawały się jednak naszym śmiałkom zawsze bez wypadku i powodzenie sprzyjało im w pełni. Na dalekich krańcach Rzeczpospolitej pełnią niebezpieczną i trudną straż całości i nienaruszalności jej granic. Oby im w pracy tej dozwolone było powiększyć najświętszą chwałę Ojczyzny, a sobie zdobyć zasłużone uznanie i ukochanie rodaków. Z daleka posyłamy im nasze z gorącego serca dobyte „Szczęść Boże".

Kazimierz WIERZYŃSKI

Jerzy KOSTROWICKI

DZIENNIK VII BATALIONU 77 PP AK Z OPERACJI WILEŃSKIEJ LIPIEC 1944 ROKU*

4 lipca 1944 roku

Stoimy ukryci w Lasach Wołczyńskich w pobliżu szosy Lida-Grodno. Nocą urządzić mamy na szosie zasadzkę na cofające się na zachód samochody niemieckie. Niestety, około południa przybywa kurierka ... Kotka, przynosząc d-cy batalionu por. Ostoi rozkaz udania się na odprawę d-ców batalionów. My zaś o zmroku mamy wymaszerować z lasów nic nie przedsięwziąwszy. Wieczorem ruszamy. Niebo rozbrzmiewa hukiem motorów. Świecą nam gwiazdy rakiet. Ludność wsi wita nas serdecznie. Wyszła przed chaty niosąc nam wodę i mleko. Dzieli się wszystkim, co posiada. Wszak to wszyscy swoi. Ojcowie i bracia. Rozkwaterowujemy się w rejonie Niewisza-Psiarce. D-two staje w Małej Niewiszy. Por. Ostoja z oddziałkiem rozpoznawczym jest już na miejscu. Przywozi rozkazy. Opuszczamy nasz teren. Może na zawsze. Mamy tylko jeden dzień [...]lować wszystko, by ściągnąć zapasy, broń...

5 lipca

Ostatnie zarządzenia. Kwatermistrz pchor. Sawicz otrzymuje do swej dyspozycji kawalerzystów. Przy ich pomocy ma pością-

---

*** Dziennik ten pisałem na kolanie w czasie tzw. operacji wileńskiej w lipcu 1944 roku. Następnie przeniosłem go w bucie do Warszawy, stąd zatarte fragmenty, z których części nie mogłem zrekonstruować. Batalionem VII 77 PP AK dowodził poprzednio słynny partyzant z Gór Świętokrzyskich, Ponury, który wiosną 1944 przybył na teren woj. nowogródzkiego. W czerwcu tegoż roku poległ w walce z Niemcami. Dowództwo po nim przejął dowódca I kompanii batalionu VII, „Ostoja" Tworzyjański, który obecnie mieszka w Toronto. Był on poprzednio komendantem obwodu Szczuczyn Okręgu Nowogródzkiego AK.**

W wyprawie wileńskiej przy VII batalionie brał również udział płk Borsuk (Prawdzic), były komendant i organizator Okręgu Nowogródzkiego, zwolniony ze swych funkcji tuż przed wyprawą wileńską.

gać z melin żywność, wszystko, czego batalion będzie potrzebował na czas dłuższy. Jest to duże zadanie, a czasu mało. Dwadzieścia godzin. W południe przybywa do nas płk Borsuk. Żołnierze zadowoleni. Jak ongiś za czasów Ponurego są spokojni. „Jest z nami Staruszek".

6 lipca

Rano batalion opuszcza okolice Psiarc. Wśród kurzu i spiekoty maszerujemy na północ. Dokąd? Po co? Krążą pytania. Do Krysi? czy dalej? Przybywamy do Dajnowa, gdzie wyznaczono punkt zborny. Dołącza sporo rezerwistów. Sawicz dopisał, zgromadził wszystko. Batalion rusza zaraz w dalszą drogę. Tabor przechodzić ma nocą. Idziemy. Drugi etap. Upał się wzmaga. Wzbijamy tumany kurzu. Cały dzień posuwamy się na zapleczu frontu niemieckiego. Nie widzimy ani jednego Niemca. Teren dobrze oczyszczony. Przechodzimy bagno Kamiennego Mostu, przekraczamy szosę ... Grodno, stajemy na postój w Girkach. Wieczorem, gdy przyjemny chłód ogarnął ziemię, ruszamy dalej. Trzeci etap. Nocą już osiągamy Pieretańce. Rozkwaterowujemy się. Dnia tego przeszliśmy ... km. Dołącza do nas znajdujący się w pobliżu oddziałek kawalerii pchor. Rawicza.

7 lipca

Cały dzień kwaterowaliśmy w Pieretańcach. D-two uznaje jednak, że jesteśmy za blisko szosy. Szosy zaś są pełne cofających się oddziałów niemieckich. W Ejszyszkach jest 1.000 Ukraińców. Odskakujemy do Gotówki. Wieś mimo nazwy nędzna. Odpoczywamy tam cały dzień. Wieczorem ruszamy dalej. Przemykamy się przez szosę Ejszyszki - Wilno. Ubezpiecza się szosę. Szybko przeskakujemy ją bez przeszkód. ... postój drugi.

8 lipca

W pobliżu Jurszyszek oczekujemy taboru Sawicza. Nie przybywa. Posyłamy patrol OR w celu odszukania go. Sami zaś przechodzimy do Porojścia, tam rozkwaterowujemy się na dzień. Żołnierze są zmęczeni. Dwa długie marsze.

Noc zaś ostatnia obfitowała we wrażenia. Wokół rozbłyski-

wały rakiety. Grzmiały motory samolotów, słychać było huk bomb. Płonęła podobno Lida, Ejszyszki i in. Dzień cały obserwujemy pikujące bombowce prześladujące uciekających szosami Niemców. Jak zmienna bywa fortuna. Wszak tak samo w 1939 roku prześladowano nas, w 1941 roku zaś bolszewików. Dziś zaś Niemcy zmuszeni są kryć się po krzakach przed ogniem k-mów i działek pokładowych samolotów sowieckich. Późnym wieczorem opuszczamy Porojść i przechodzimy do Posoli, gdzie rozkwaterowujemy się na noc.

9 lipca

Wczesnym rankiem budzą nas strzały k-mów od strony, gdzie znajdował się nasz OR (ułani pchor. Rawicza). Ogłoszono alarm. Kompanie szybko formują się i odmaszerowują do pobliskiego lasu. Oczekujemy wiadomości. Wkrótce przybywa jeden kawalerzysta z wiadomością, że wachm. Góra zabity. Niedługo potem nadjeżdża sekcja kapr. Gorkina w zupełnym porządku i zdaje relację. Okazuje się, że z lasu w pobliżu folwarku Rakliszki wyjechał niemiecki czołg i samochód pancerny i ostrzelały ogniem k-mów rozkwaterowujących się kawalerzystów. Ułani pchor. Rawicza na jego komendę luźnym szykiem wycofali się w kierunku pobliskiego lasu, zaś OR wpadł w rozsypkę, zwłaszcza że d-ca OR wachm. Góra został ciężko ranny i po kilku minutach zmarł. Wachm. Góra pochowany został na gruntach wsi Rezy. Był to energiczny, zaradny, służbisty podoficer, zawsze wesoły, uśmiechnięty i uprzejmy. Śmierć jego była wielką stratą. Powoli większa część ułanów powróciła z rozsypki. Nadjechał też podchor. Rawicz i objął d-two nad całością ułanów. W lesie posolskim siedzieliśmy do [...]. Wobec napłynięcia wiadomości, że z obu stron naszych ukazały się znaczne oddziały niemieckie, opuściliśmy las w kierunku Puszczy Rudnickiej i zatrzymaliśmy się (prowadzi pchor. Szczekacz z V/77 pp). W Popiszkach mieliśmy stać do nocy, jednak wiadomości o zbliżaniu się oddziałów niemieckich znowu zmusiły nas do odmarszu. Przekroczyliśmy rzekę Solczę po kładce i w bród, i weszliśmy do Puszczy Rudnickiej. Postój wieczorem urządziliśmy w lesie w pobliżu ujścia Wisińczy do Solczy. Z przejścia na zachód zrezygnowaliśmy na razie z powodu zablokowania szos przez ostatnie cofające się oddziały niemieckie. Trzeba było przeczekać nawałę. Mp. było prześliczne, las sosnowy u zbiegu dwu rzek. W pobliżu śliczne łąki nadrzeczne.

10 lipca

Wojsko nazajutrz ruszyło się kąpać. Po południu od patroli wywiadowczych dochodzą wiadomości, że regularne wojska sowieckie są już w pobliżu, zachodząc z boku od strony Jaszun uciekające szosą Wilno - Ejszyszki oddziały niemieckie. Dowiadujemy się też, że bat. 2/77 por. Krysi jest w pobliżu. Nadjeżdża por. Krysia i informuje, że bolszewicy zachowują się grzecznie i uprzejmie i chętnie wymieniają broń swoją na zegarki, wieczne pióra itp. Pod wieczór słychać w pobliżu huk motorów. Posterunki dają znać, że zbliżają się samochody sowieckie. Przyjeżdża wreszcie samochód, wychodzi z niego jegomość podający się za pułkownika i prosi o wskazanie drogi na bród przez Solczę. Pchor. Szczekacz wskazuje drogę. Tymczasem nawiązany zostaje kontakt z d-cą dywizji sowieckiej znajdującej się za Solczą. Wobec tego, że posiada on wiele artylerii a mało ludzi, prosi o wspomożenie go w natarciu na Ejszyszki 1-2 pluton 1/VII/77 pp. Przeprawiają się za rzekę Solczę. Przybywają nowe samochody sowieckie i rozkładają się na postój na skraju naszego obozowiska. Są to tabory, łączność i inne formacje tyłowe. Przybywają z wizytą do d-twa oficerowie. Wymiana grzeczności. Są to pułkownik, podpułkownik i major. Chłopcy natomiast handlują. To ten to ów wraca z triumfem, pokazując „zdobyty" szmajser, PPD lub PPSZ. W czasie rozmów przybywa goniec z 109 pułku I-ej moskiewskiej dywizji, z którą nawiązany kontakt, z żądaniem wyjścia za rzekę. Przed odejściem melduje się w obozie kompania szturmowa pozostawiona jako osłona taboru. Przeszła ona duże perypetie przy przejściu przez szosę. Trafiła na ostatnie cofające się oddziały niemieckie i przy przekraczaniu szosy poniosła straty. Zapasy zmuszona była zamelinować, część w czasie walki na szosie rozpełzła się. Przybył oddziałek liczący ok. 60 ludzi czyli niewiele ponad 50 %. Części ułanów tam przydzielonych też brakuje. St. ułan Korwin poległ, ułan Mruk został ranny. Batalion przeprawia się przez Solczę. Nadchodzi wieczór. Tabory pozostają za rzeką i wracają do obozu. Powstaje bałagan. Zostawionego jako d-cy taboru por. Roli nikt nie słucha. Każdy robi co chce. Strzelanina. Ciągłe wypróbowywanie broni. Wieczór jest przygnębiający. Rozluźnienie dyscypliny widoczne.

11 lipca

Nazajutrz raniutko tabor przeprawia się przez Solczę i dołącza do stojącego za Solczą batalionu. ... Sytuacja gruntownie się zmie-

nia. Co robić? Od tygodnia batalion nie ma żadnej łączności z kmdtem okręgu płk. Poleszukiem. Iść dalej na pn. nie ma sensu. Wileńszczyzna już zajęta. Tkwić w miejscu? Co za przyszłość? Brak rozkazów. Brak dyspozycji. W tej sytuacji płk Prawdzic bierze ciężar decyzji na siebie. Pada myśl zorganizowania pułku z II-go i VII-go batalionu. Następują konferencje z por. Krysią. Sprawa idzie opornie. Dnia tego oba bataliony wokół kotliny Jedubki przez Mintuny przechodzą w okolice Dejnowa. Od wczoraj stale jest przy nas sowiecki politruk, który pełni funkcje łącznika między nami a dywizją sowiecką. Czekamy na dyspozycje od gen. Wilka, który miał pojechać do Moskwy.

12 lipca

Dyspozycje nie przychodzą. Politruk odjeżdża z por. Lasem do sztabu dywizji. Bataliony zaś odchodzą znowu na wschód w okolice Jurszyszki, Michnokiemie. Tam rodzi się decyzja. Politruk nie wraca. Idziemy na zachód, jak najdalej na zachód. Trudności tylko z por. Krysią. Jakie są powody jego oporu, trudno zrozumieć. Powiada, że musi „tu" tkwić. Z trudnością daje sobie wyperswadować. Układamy maszrutę. Oba bataliony idą w kierunku Naczy. My obieramy trasę na pn. od Ejszyszek przez Montwiliszki, por. Krysia na pd. od Ejszyszek przez Dumblę. Spotkać się mamy w rejonie Powiłańce-Gotówka. Marsz odbywa się bez przeszkód. W Powiłańcach wieczorem dołącza do nas por. Boruta z 55 ludźmi i por. Ślepowron z 16 ułanami. Zbieramy się powoli do kupy. Tylko z por. Krysią idzie jak po grudzie. Rozum nakazuje iść na zachód jak najdalej, przynajmniej za linię Curzona. Czasu jest mało. Trzeba wykorzystać ostatnie sprzyjające nam chwile. Por. Krysia zaś stale musi coś jeszcze zabierać, czegoś nie chce zostawić. Sytuacja jest trudna. Kto wie, czy gdyby szybko maszerować, nie zwlekać i nie marudzić, nie dałoby się przejść znowu na tyły niemieckie. Wszystkiemu temu na przeszkodzie staje por. Krysia. Tegoż dnia dołącza do nas ob. Aleksander, Delegat Rządu na województwo. Ma przy sobie radiostację, którą da się może uruchomić.

14 lipca

Nazajutrz rano przybywa na odprawę por. Krysia. Dochodzi

do ostrych scysji między nim a płk. Prawdzicem i kpt. Wartą. Por. Krysia pragnie zostać wielkim wodzem, dowodzić pułkiem i nikomu nie chce się podporządkować. Kpt. Warta jest niezdecydowany, lawiruje. Z jednej strony uznaje celowość marszu na zachód, z drugiej zaś obawia się ppłk. Poleszuka. Sytuacja ppłk. Prawdzica jest nad wyraz trudna. Były komendant okręgu, którego trudem i wysiłkiem zorganizowana została cała na tym terenie robota, któremu zawdzięcza swe istnienie cała tutejsza armia. Odsunięty za negatywny stosunek do bolszewików, za walki z sowieckimi partyzantami, oficjalnie żadnego stanowiska nie zajmuje. Stanowisko zajmuje kpt. Warta, jego b. szef sztabu, człowiek niezdecydowany, niezdolny do powzięcia decyzji. W tej sytuacji opuszczamy Powiłańce, skierowujemy się w kierunku Puszczy Nackiej. W drodze dogania nas por. Krysia z wiadomością o nawiązaniu wreszcie kontaktu z płk. Poleszukiem, od którego otrzymał rozkaz, zresztą błahy, mało znaczący. Przybywamy do wsi Kowalki na skraju Puszczy Nackiej. Tu dochodzi do nieporozumień między płk. Prawdzicem a kpt. Wartą, który wszczyna spór o kompetencje. Szczęściem wieczorem przychodzi rozkaz od gen. Wilka i zakończa wszelkie spory, wyświetlając jednocześnie sytuację.

15 lipca

Idziemy na koncentrację. Wyruszamy popołudniu z Kowalek i poprzez Naczę i Ejszyszki osiągamy Hubertowo. Ejszyszki witają nas entuzjastycznie. Wkraczające czwórkami nasze oddziały witane są kwiatami. Żołnierze ze śpiewem na ustach przemaszerowują przez miasteczko i giną w lesie Hornostaiskim. Hornostaiszki, gdzieśmy mieli stanąć na nocleg, zajęte przez żołnierzy sowieckich. Przechodzimy jeszcze parę kilometrów i stajemy w Hubertowie.

16 lipca

Następnego dnia odmaszerowujemy raniutko dalej. Przeprawiamy się po improwizowanym moście przez Solczę i stajemy na kilka godzin w Sosenkiszkach. Pod wieczór ruszamy dalej i podciągamy pod tory. Nocujemy w Poczobutach. Wreszcie 17-go osiągamy rejon koncentracji i stajemy w Uściszkach.

17 lipca

Nastrój jest doskonały. Przybywa do nas płk Poleszuk i oznajmia, że jesteśmy trzynastym tysiącem W.P. zebranego w okolicy na koncentracji. Mówi o formowaniu się pułków, dywizji. 77 pp. już jest sformowany pod d-twem mjr. Kotwicza. Nakazuje przedstawić listy specjalistów. Oficerowie i żołnierze cieszą się na myśl służby w br. panc. lub artylerii. Na gwałt są sporządzane listy. Ppor. Ostoja pojechał do Turgiel, skąd wraca samochodem w towarzystwie por. Szczerbica, obecnego d-cy batalionu ragnerowskiego, i por. Bartka. Przewodnicy pchor. Szczekacz, kapral As i st. ułan Wamba odszukują swój V batalion. Perspektywy są piękne. O godz. 18-tej ppłk Prawdzic, kpt. Warta i por. Orlik udają się do Wołkarabiszek na odprawę. Niedługo po nich wyrusza tam motocyklem ppor. Ostoja. Pełni ufności i wiary w przyszłość, przy dźwiękach radia układamy się do snu na miękkim pachnącym sianie w stodole w Brzostowej.

18 lipca

O godz. 1-ej w nocy alarm. Budzimy się, przy migocącym świetle latarek widzimy pułkownika i kpt. Wartę wydających śpiesznie rozkazy. Alarm. Całe wojsko na nogi. Dowiadujemy się wreszcie. Poprzedniego wieczoru gen. Wilk i wszyscy wyżsi dowódcy zostali przez bolszewików wezwani na odprawę i aresztowani. Dowództwo nad brygadami wileńskimi obejmuje płk Strachański, nad nowogródzkimi płk Prawdzic. Wydają rozkazy. W czasie możliwie najszybszym całe wojsko ma opuścić dotychczasowe miejsca postoju i dążyć w stronę Puszczy Rudnickiej. Wyruszamy szybko, jest jeszczel zupełnie ciemno. Najbliższą drogą dążymy do Puszczy. Pierwszy postój urządzamy w Lasach Jaszuńskich, tam zastaje nas świt. Najważniejsze teraz to przeskoczyć Trakt Napoleoński i linię kolejową. Za linią zaczyna się już puszcza. Psimi dróżkami, polami i łąkami dochodzimy do toru i stamtąd na Kiderańce i Skirdziany zagłębiamy się w puszczy. Niestety samoloty sowieckie już nas wyśledziły i unoszą się nad nami przez całą drogę. A mają co śledzić. Wszystkie drogi i dróżki zapełnione wojskiem. Wszystko dąży na zachód. Batalion nasz zatrzymuje się w lesie w pobliżu wsi Gajczuny nad Wisińczą. Tam mamy doczekać nocy, by oderwać się od npla. Przed nami staje II bat. por. Krysi, za nami VI bat. kpt. Pala. Przybywa do nas kpt. Pal. Przyjeżdża też ob. Aleksander, delegat RP wraz z radiostacją. Wiadomość o aresztowaniu d-ców została

już nadana wczoraj wieczorem. Ob. Aleksander, który wczoraj mocno kręcił nosem na koncepcję marszu na zachód, dziś przyznaje nam rację. Niestety późno. Ppłk Prawdzic odjeżdża do sztabu dywizji wileńskiej. Nad nami wciąż krążą obserwacyjne samoloty sowieckie. Krążą coraz niżej. Wreszcie zrzucają nam pismo następującej treści: *„Polskim oficeram i sołdatam. Predłagajem wyjti w rajon Gudełki i słożyt' orużje. Wsie budut puszczeny domoj. W słuczai odkłonienia ot etoj... budietie unicztożeny"*. Na potwierdzenie tych słów zaczyna krążyć tuż nad nami eskadra lekkich bombowców sowieckich. D-two decyduje dać odpowiedź zwlekającą. W zasadzie zgadza się, lecz odsyła żądania do sztabu i ma wysłać patrol do Gudełki dla omówienia formy. W rzeczywistości czekamy powrotu pułkownika. Goniec z pismem sowieckim pojechał szukać go. Przybywa por. Krysia, jak zwykle nikogo nie chce słuchać i wysyła batalion do Gudełki. Przybywa wreszcie pułkownik. Odbywa się narada. Zapada decyzja. Nie ma mowy o obronie. Nie mamy broni plotniczej ani ppanc. Ppor. Ostoja zbiera batalion w czworobok i łamiącym się głosem przedstawia sytuację, dając żołnierzom wolną rękę w wyborze wyjścia, w zasadzie nakazując im złożyć broń. „Nie zdziwcie się, mówi, jeśli składając broń nie wszystkich tam ujrzycie. Będą tacy, którzy tam nie pójdą. Niektórzy, gdy zapytają się sumienia swego, co mają robić, inną otrzymają odpowiedź. Ja nakazuję złożyć broń, bo muszę, a wy róbcie co wam sumienie dyktuje". Następują ciężkie chwile. Zanim jeszcze ppor. Ostoja zakończył swe przemówienie, od słuchającego czworoboku po usłyszeniu pierwszych słów już odrywają się pojedyncze postacie i uchodzą w las. Por. Ostoja wyznacza do odprowadzenia batalionu do Gudełki ppor. Skorpiona. Z nim iść mają ppor. Dzwon i ppor. Upłaz. Nikt z oficerów do tej funkcji ochotniczo się nie zgłasza. Większość oficerów, podchorążych i najbardziej zaufani spośród podoficerów i żołnierzy grupują się przy d-twie na cyplu lasu w pobliżu rzeki. Dołącza do nich por. Ślepowron i kilkunastu ułanów. Śpiesznie ładujemy trzy wozy najniezbędniejszymi rzeczami i wyruszamy na zachód wzdłuż Wisińczy. Zabieramy ze sobą również radiostację z obsługą. Idziemy prosto na zachód, przekraczamy polanę, wkraczamy w prawdziwą puszczę. Po paru godzinach marszu coraz to okropniejszymi drogami zapada zmrok. Trafiamy na bagna. Próbujemy marszu na płd. i płn., również bagna. Parę godzin tracimy na poszukiwanie drogi. Nie ma rady, musimy wracać i brać przewodnika w Gajcunach. Organizujemy nasz oddział. D-two obejmuje ppor. Lew. Jest z nami pułkownik, kpt. Warta, Ostoja. Oddział dzieli się na cztery drużyny: 1-szą obejmuje por. Kwaśny, 2-gą por. Gżegżółka, 3-cią ppor.

Men i 4-tą ppor. [...]. Jest nas ok. 40 piechurów, kilku ułanów, kilka kobiet i obsługa radiostacji. Sprowadzony z Gajcun przewodnik wyprowadza nas na lepszą drogę. Idziemy drogą prowadzącą na m. Wisińcza. Droga jest straszna, wleczemy się powoli. Tracimy jeden wóz.

19 lipca

Ok. 6 km od Wisińczy, na płd. od bagna Kannelek stajemy w lesie na postój. Tuż za nami przybywa UBK, ok. 200 ludzi z ckm-ami i taborem, i staje tuż na płn. od nas. O świcie kładziemy się spać, sądząc żeśmy się od npla oderwali. Rano doganiają nas też por.por. Skorpion, Upłaz i Dzwon z wiadomościami. Broń złożyło ok. 1/2 żołnierzy. Reszta z bronią lub bez, pojedynczo lub grupkami uszła. Nocą dołączyło się do nas jeszcze kilkudziesięciu ludzi z ppor. Okoniem i Czertwanem. Niestety, gdy wszystko jeszcze spało, wjeżdża do obozu kawaleria sowiecka. Kto może, „pryska". Kpt. Warta, ppor. Puszczyk i pchor. Sawicz wszczynają z oficerami sowieckimi „pryncypialną" dyskusję. Kto chce i może, uchodzi. Nasza grupka ze Staruszkiem i Ostoją uchodzi na płn.zach. przez bagna. Idzie nas ok. 20. Przez bagna i rojsty Małej Skirsaboły, przez Bagno Gulbinis, przedzieramy się przez puszczę, chcąc jak najszybciej oderwać się od npla. Od bagna Gulbinis kierujemy się na płd., chcąc przejść Solczę w pobliżu folw. Wisińcza. Długo błądzimy wśród upału przez częściowo spalone młodniaki, to przez bagna, to znów przez suche piaszczyste lasy. Brak wody. Wreszcie przybywamy nad Solczę w miejscu, gdzieśmy stali tydzień temu ok. folw. Wisińcza. Zatrzymujemy się na odpoczynek w nadrzecznych krzakach. Myjemy się, moczymy nogi, szykując się do nocnego marszu. Jest nas 21. Od grabiących siano na nadrzecznych łąkach chłopów dowiadujemy się, że tuż po drugiej stronie w gęstym młodniaku ukrywa się również jakiś oddział. Wysłani na rozpoznanie pchor. Tadeusz i pchor. Lin przynoszą wiadomość, że są to resztki jednej z brygad wileńskich pod d-twem por. Tońki. Reorganizują się oni i część ich ma też iść na zachód. Zjawiają się też nad rzeką dwie siostry z UBK, które przynoszą wiadomość, że ok. 40 ludzi z UBK rozdzieliło się na dwa oddziałki pod d-twem Sablewskiego i Jacka i także dążą na zachód. Przeprawiamy się przez Solczę wozem jednego z gospodarzy, który po 4-5 osób przewozi brodem. Na drugim brzegu kontaktujemy się z por. Tońkiem i omawiamy punkt zborny. Dołącza do nas jeszcze jeden zrzutek, ppor. Dębina. Jeden z gospodarzy z Niewojniańców służy nam za

przewodnika. Mówi on, że za nami przeprawia się przez Solczę jakieś wojsko. Nie czekając zmroku przez lasy na wschód od Niewojniańców odskakujemy na płd. Dowiadujemy się, że o 4 km w Tietiańcach jest NKWD. Idziemy na płd. zach. Na płd. od Tietiańców przeskakujemy szosę i zmieniwszy przewodnika, idziemy na Mieżany i Kudły, starannie omijając wsie. Na płd. od wsi Kudły przekraczamy bagno Jedubki. Mijamy Gilwiniszki i Dejnowo, zapadamy na dzień w lesie na zachód od Marcinkiszek, nie wiedząc o tym, że znajdujemy się o niecałe 1/2 km od budującego się lotniska sowieckiego. Dzień przebiega szczęśliwie. O zmroku idziemy dalej. Przewodnik przeprowadza nas szczęśliwie obok lotniska, mijamy szosę Ejszyszki - Koleśniki i osiągamy Jawor.

21 lipca

Całą noc wokół nas słychać było huk motorów. Całą noc drogę nam oświetlały rakiety. Wokół słychać było dalekie detonacje. Wojna trwa. W Jakorze napotkaliśmy por. Antoniego i plut. Gila z II Batalionu por. Krysi. Por. Krysia uszedł również. Lecz on winien jest bezsprzecznie temu, że tak wielu żołnierzy złożyło broń. Kazał porpor. Lasowi i Wiesławowi, nie czekając decyzji pułkownika, działając jak zwykle na własną rękę, maszerować do Gudełek. Ten przeciągający obok naszego batalionu pochód zdemoralizował wielu naszych żołnierzy, którzy straciwszy wszelką nadzieję, poczęli „pryskać". Mimo to jednak żaden z naszych oficerów nie oddał się w ręce npla, podczas gdy z II bat. wielu to uczyniło.

22 lipca

Wieczorem opuszczamy Jawor i omijając Naczę zapadamy w las w pobliżu wsi Kowalki. Jest to już skraj puszczy nackiej. Odpoczywamy tam cały dzień. Pod wieczór melduje się ppor. Piotr z oddziałkiem zebranym z niedobitków kilku brygad wileńskich, któregośmy spotkali już raz nad Solczą z por. Tońkiem i w drodze w Montwiliszkach dnia poprzedniego. Wieczorem zajmujemy kolonię w Kowalkach.

23 lipca

Rano słyszymy niedalekie strzały. Okazuje się, że przecho-

dzący w pobliżu oddziałek XII brygady wileńskiej mjr. Jaremy postrzelał się z bolszewikami. Już poprzedniego dnia opuścili nas żołnierze pochodzenia miejscowego. Zostaje nas 16-tu, Staruszek, Ostoja, Wujaszek, Dymitr, Gżegżółka, Skorpion, Upłaz, Tadeusz, Lin, Świstak, Janusz Dębina, Dzwon, Basia, s. Katarzyna i s. Magdalena. Dowiadujemy się też, że w pobliżu znajduje się kpt. Warta z 18-oma ludźmi, w tym 6 kobiet. Wkrótce oddziałek ten dołącza do nas i obozujemy wszyscy wraz z por. Piotrem w kolonii w Ginelach. Kpt. Warta decyduje się pozostać, by prowadzić nadal na tym terenie sieć. Z oddziałku jego dołączają się do nas Kapitan [?], Kotka, Juliusz, Lawina i [...]. Jest nas znowu 20-tu. Z tych, którzy nas opuścili, żałujemy tylko kaprala Saszy. Pozostawił po sobie pamięć dobrego, karnego i odważnego żołnierza. Poszedł do domu, gdzieś pod Nowy Dwór. Tymczasem stosunki w naszej 20-tce się psują. Ludzie dzielą się na partyjki, frakcje i grupki. Powstają niesnaski, słyszy się narzekania. Coraz częściej rzucają sobie do oczu ostre słowa. Mija dzień. Nocą przychodzi łącznik od por. Toćki — minął nas i stanął w Stajach nad wyschniętym jeziorem Pelasa.

24 lipca

Nazajutrz w południe opuszczamy Kowalki i zagłębiamy się w Puszczę Nacką. Daje się widzieć brak porządku, brak silnej ręki. Dołączamy do mjr. Jaremy i razem osiągamy Staje. Brak porządku i decyzji. Krążą fantastyczne pogłoski o zawieszeniu broni na zachodzie, o zerwaniu Anglosasów z Sowietami. Wszystko to się nie potwierdza. Dowódcy naradzają się, co dalej. My zgodnie pragniemy jak najszybszego marszu na zachód. Mjr Jarema i por. Tońko upierają się przy koncepcji „przetrwania" w Puszczy Ruskiej.

25 lipca

Cały dzień przepędzamy w Stajach. Nasza koncepcja to jak najszybciej na zachód w strefę, gdzie nie ma jeszcze NKWD, przepustek itd. Stamtąd moglibyśmy przeskoczyć za linię Curzona. Wobec zajęcia Lublina niedługo być może będzie się rozstrzygała sprawa istnienia Wolnej Polski jako całości, gdzie w wypadku zakusów Moskwy zbolszewizowania Rzplitej i osadzenia rządu „Patriotów Polskich" wybuchnie niechybnie wojna domowa, a wtedy każda dłoń stająca w obronie prawowitego rządu będzie

tam potrzebna i każdy z nas będzie miał wielką rolę do spełnienia. Więc na zachód, na zachód, by dopędzić jeszcze w lasach Hożej UBK, które kierowane jedną wolą prze na zachód jak można najszybciej.

26 lipca

O godz. 2-ej w nocy opuszczamy Staje. Po kładce przeprawiamy się przez rzekę Pelasa. Mijamy wielki krzyż stojący w miejscu, gdzie w 1863 roku poległ Ludwik (Narbutt). Przed krzyżem zatrzymujemy się. Mjr Jarema powiedział słów parę do żołnierzy, po czym oddaliśmy hołd pamięci wielkiego partyzanta tych lasów przez przyjęcie postawy zasadniczej. Przez błotniste łąki dochodzimy do rzeki Kotry. Przeprawa trwa długo, oddziałki przeprawiają się powoli na drugą stronę. Szpica rusza naprzód. Nagle rozlegają się strzały. Pozostali żołnierze przeprawiają się gorączkowo po dylach i kłodach przez rzekę. W pobliżu wsi Romanowo została nagle zaatakowana szpica. Pchor. Czarny z oddziału mjr. Jaremy i jeden ze strzelców zostali zabici. Rozsypujemy się w tyralierkę i mijamy szybko las i brzeg wsi Romanowo. Nieprzyjaciel jest niewidoczny. To z lewej, to z prawej strony słychać strzały. Chmary ptactwa przestraszone hukiem strzałów z krzykiem krążą nad pobliskim jeziorem Motora. Mijamy Romanowo, dochodzimy do drogi na Ryski. Strzały powtarzają się. Ponad 1 km za Romanowem schodzimy z drogi i skręcamy w lewo w las. Idziemy przez rojsty porosłe bagnem i jagodami, brniemy przez gęstwiny krzewów porastające grząskie błota. Mijamy rzadko karłowatymi brzózkami i sosenkami porosłe trzęsawiska. Wychodzimy wreszcie na suchszy teren. Idziemy drogą wzdłuż Kotry. Spotykamy wielu ludzi spod Sobakińc, udających się na łąki nadkotrzańskie po siano. W pobliżu spalonej przez Niemców i „zlikwidowanej" wsi Ohorodyszcze przechodzimy na płn. brzeg Kotry. Wieczorem osiągamy Pohorendę, gdzie rozkwaterowujemy się na noc. Nazajutrz raniutko mamy ruszyć w dalszą drogę.

27 lipca

Rano odbywa się narada. Prawdzic, Jarema, Tońko i Ostoja schodzą się dla omówienia dalszego marszu. Czekamy długo na jej rezultat. Wreszcie Prawdzic i Ostoja wracają. Nadeszły wiadomości, że przejście na zachód zwartym oddziałem jest niemoż-

liwe. Staruszek radzi powrócić w nasz rejon, by tam po uzyskaniu dokumentów i cywilnych ubrań iść dalej. Opuszczamy wszyscy Pohorendę. Mjr Jarema zbiera wszystkich żołnierzy w czworobok i przedstawia im sytuację. Kto chce wracać mówi. On odejdzie zwartą grupą z por. Piotrem w stronę Wilna. Kto jest chory lub słaby, niech odchodzi. Reszta zmienia się w leśny oddział, który ma w postawie biernej oczekiwać dalszych rozkazów przełożonych. My zbieramy się osobno. Staruszek podaje swój plan. Nikt jednak o powrocie nie chce słyszeć. Wszyscy wołają jedno. Jak najszybciej na zachód. Ostoja przedstawia ewentualną trasę marszu, wszyscy przyjmują ją z radością. Do godz. 16-tej przebywamy w lesie, następnie osiągamy kolejkę leśną na Marcinkańce i posuwamy się torem na północ. Na 6-tym kilometrze przed Marcinkańcami skręcamy w lewo. Przewodnik źle nas wyprowadza. Brniemy przez trzęsawiska na kąt — w kierunku torów Wilno - Grodno. Do nas dołączyło 3-ech strzelców z oddziału Tońka. Jest nas 23-ech. Za nami posuwa się też kilkunastu żołnierzy z oddziału pod d-twem ppor. Zygmunta, którzy jak i my zdecydowali się iść na zachód. Na torze kolejki spotkaliśmy maszerujący w przeciwnym kierunku oddziałek z III-ej brygady pod d-twem Andrzeja Święcickiego. Późnym wieczorem po przekroczeniu torów osiągamy litewską wieś Derżele. Fasujemy tam coś do jedzenia. Zajęty tymże oddział Zygmunta zostaje. Zmieniając przewodników, nocą już osiągamy lasy Druskienickie. Coraz bliżej słychać kanonadę. Front jest blisko.

28 lipca

Przez piaski rzadko porosłe lasem brniemy dalej. Biwakujemy w lesie kilka godzin. W południe ruszamy dalej. Skwar dokucza. Osiągamy wieś Cimochowa. Wieś litewska, lecz stosunek do nas sielankowy. Bracia Litwini — ci sprzed stu lat. We wsi doszło do wymiany strzałów pomiędzy kilku bolszewikami, którzy chcieli wejść do wsi, a paru naszymi, którzy zajmowali się obiadem. Odskakujemy w las. Przewodnik prowadzi nas nad Łotoziero. Tam bierzemy drugiego, który brzegiem jeziora przy świetle księżyca prowadzi nas na płd. Nagle widzimy blask. Wysłany na rozpoznanie patrol donosi, że pali się las. Maszerujemy dalej. Po prawej stronie mamy tonące w poświacie księżycowej jezioro Łot, po lewej w mrokach leśnych niesamowicie wyglądają posuwające się pasma ognia, szybko pożerającego leśne poszycie. Blask ognia padający na wysokie drzewa przypomina nam jakowąś scenerię, jakieś draperie. Widok wywiera duże

wrażenie. Mijamy płonący las i wychodzimy na kraj lasów w pobliżu Zapurwia. Chcemy tejże jeszcze nocy przekroczyć tory i szosę Porzecze-Druskieniki, o której mamy wiadomości, że jako jedyna szosa dofrontowa jest ruchliwa i obsadzona wojskiem. Zbliżający się świt nie pozwala nam jednak tej nocy przejść szosy.

29 lipca

Cofamy się i na górze zwanej Kuchnią Królewską nad Kusienką spędzamy dzień. Wieczorem ruszamy dalej. Szosę osiągamy bez przeszkód. Mijamy też tory. Gdy jednak w pobliżu m. Czarnulka dochodzimy do pobliskiego brzegu lasu, nagle słyszymy głosy: *„Stoj, kto idiot?"*. Zmartwieliśmy. Co czynić, żadnej komendy nie ma. Rozlegają się strzały. Koniec węża, którym maszerowaliśmy, rzuca się do ucieczki. Po chwili wszystko ucieka jak może, byle dalej od niebezpiecznego lasku. Strzały grzmią. Kule świszczą nad głowami. Przeprawiamy się przez szeroki głęboki rów i zbliżamy się do następnego lasku. W chwili gdy czoło węża wchodziło do lasku znowu głosy *„kto idiot?"* i znowu strzały. Czoło węża przebija się przez lasek. Pozostałych 13 osób odskakuje znowu na płd. Omijając skrzętnie laski i kolonie, osiągamy brzeg boru. Bierzemy przewodnika. Sytuacja jest trudna. Nie mamy kontaktów ani mapy. Każemy się prowadzić na Jeziorki. Idziemy drogą leśną pełną dołów, korzeni i gałęzi. Po 2-ch km decydujemy się czekać świtu. O świcie ruszamy dalej. Omijamy Jeziorki, skręcamy na płd. i zatrzymujemy się w lesie w pobliżu Sobolan.

Dziennik batalionowy
Pisane w lesie

DYMITR
oficer oświatowy
VII bat./77 pp.

Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, B. 2796.

DOKUMENTY

Agata TUSZYŃSKA

RAPORTY DYPLOMATÓW FRANCUSKICH Z WARSZAWY Z 1863 ROKU

Paryskie Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych wydaje się niewyczerpane. Tylekroć penetrowane przez historyków, pozostaje wciąż wyjątkowo bogatym źródłem, i to nie tylko dla badacza losów Francji. Dzieje Polski wyczytać można tu z kart grubych foliałów, zatytułowanych *Pologne* albo *Russie*. (Straty poniesione przez polskie biblioteki czynią owe paryskie zbiory jeszcze cenniejszymi).

Nie sposób przecenić roli raportów konsulów francuskich rezydujących w Warszawie, sporządzanych regularnie dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Te dokumenty z lat 1860-1864 wydane zostały w oryginale przez Ossolineum w 1965 roku w opracowaniu Ireny Koberdowej. Ale oprócz oficjalnych manuskryptów dyplomatycznych, odnaleźć tu można również inne materiały, poufne, półtajne, jak drukowany przeze mnie w numerze 87 *Zeszytów Historycznych* syberyjski raport, czy obecnie — trzy listy z kurierskich podróży, m.in. przez Warszawę. Publikowane tym razem teksty znajdują się na Quai d'Orsay w tece *MD Pologne 1807-1871*, tom 34, nry 29, 30. Wszystkie pochodzą z 1863 roku (marzec, wrzesień, grudzień).

Ministrem spraw zagranicznych Francji był wówczas i przez cały czas trwania Powstania Styczniowego znany z konserwatywnych przekonań Edouard Drouyn de Lhuys. Reprezentował tendencję oparcia polityki Francji na sojuszu z cesarstwem aus-

triackim. Był rzecznikiem interwencji dyplomatycznej w porozumieniu z rządami austriackim i angielskim.

Stanowisko konsula generalnego Francji w Warszawie zajmował do 22 czerwca 1862 Pierre de Segur-Dupeyron, odwołany po siedmiu latach służby, gdyż — jak pisał rosyjski minister spraw zagranicznych Aleksander Gorczakow — „swą lekkomyślną postawą naraził się władzom rosyjskim". Chodziło głównie o wpajanie polskiemu społeczeństwu przekonania, iż powinno liczyć na Francuzów w poprawie swego losu. Kolejny konsul, 53-letni Eugene Anatole de Valbezen, był już zwolennikiem autonomii Polski w ramach państwa rosyjskiego. Wobec odnowionego na tle sprawy syberyjskiej sojuszu francusko-rosyjskiego Napoleon III zaakceptował nową politykę cara wobec Polski. Zmiana na stanowisku konsula była więc konieczna i ze wszech miar usprawiedliwiona. Valbezen popierał politykę Wielopolskiego. Nie znający języka, polskich spraw i ludzi, niepewny swych politycznych racji, karcony był zrazu za zbyt oficjalny ton swoich doniesień. Wkrótce i jego sytuacja stała się nieco łatwiejsza ze względu na jednoznaczne zaangażowanie rządu francuskiego w interwencję dyplomatyczną przeciw Rosji. Ostatnia depesza tego konsula pochodzi z 4 lipca 1864 roku. Miesiąc później stracono Traugutta i jego towarzyszy.

Wobec skomplikowanej politycznej sytuacji w Królestwie rząd francuski wysyłał kuriera do Warszawy dwa razy w miesiącu. Od czasu do czasu konsul korzystał z prywatnych okazji, by przesłać poufne korespondencje.

Każda relacja z ówczesnej stolicy Priwislinja jest cenna, szczególnie czyniona przez cudzoziemca, niezaangażowanego bezpośrednio w polityczne wydarzenia. Zwłaszcza, gdy jest nim przejezdny podróżny (jak owi przypadkowi kurierzy), dla którego rzeczywistość obcego kraju daleka jest od tej, którą widzi co dzień. Jego opis bywa wówczas bardziej zewnętrzny, może powierzchowny, ale wartościowy ze względu na intensywność odbioru. Nie ma może waloru głębokiej analizy, lecz uwypukla elementy najbardziej widoczne, więc bezsprzecznie znaczące.

Autorami poniższych listów z 1863 roku są trzy różne osoby — Eugène Ottolan, doktor prawa, *attaché* przy MSZ, Fred. Debains i Duchesne de Bellecourt (dwaj ostatni znani jedynie z nazwiska), ale nietrudno znaleźć w ich relacjach cechy wspólne. I to zarówno w stosunku do opisywanych faktów i zdarzeń, jak w ogólnym nastawieniu do odwiedzanego kraju. Kraju, wobec którego odczuwają dość „przykre uczucie odpowiedzialności moralnej" za „powszechnie panującą iluzję" i wiarę w zbawczą moc francuskich „czerwonych pantalonów". Kraju, którego rojenia o wolności jednocześnie drażnią ich i przejmują podziwem, irytują jako przejaw politycznej niedojrzałości, ale też dają im poczucie większej wartości, wyznaczając Francji niepoślednią rolę w kształtowaniu świadomości ogółu. Nie rozumieją buntu w ich

pojęciu beznadziejnego i bezsensownego, czy do końca są szczerzy pisząc, że w interesie tego „nieszczęsnego narodu" leży pozbawienie go złudzeń? Ton pobłażliwej wyższości daje się odczuć w tych sprawozdaniach wiele razy, głównie w próbach uogólnień. Czy zdają sobie sprawę spadkobiercy Napoleona w jakim stopniu stosunek do nich określa polska mitologia narodowa, której profrancuskie sympatie i nadzieje na równi z antyrosyjskimi fobiami, stały się niezbywalną częścią?

Podróżujący po Priwislinju Francuzi dziwią się skwapliwości, z jaką są przyjmowani i raczeni rozmową. I to zarówno przez Polaków, jak Rosjan. Wiele z zasłyszanych opowieści przytaczają wprost (bardziej lub mniej dokładnie), czyniąc z nich często podstawę swoich relacji. Trudno stwierdzić, na ile są one odzwierciedleniem panujących ówcześnie poglądów, na ile zaś ich przetworzoną „na wynos" wersją? Czy osławiona polska nonszalancja polityczna albo optymistyczna egzaltacja patriotyczna są cechami narodowymi potomków Kościuszki, czy też strywializowanym produktem obcego spojrzenia? I jak wiele w tym spojrzeniu własnych, niemożliwych do przekroczenia progów?

Niebezpieczne i niełatwe do zweryfikowania poleganie na cudzych opiniach i sądach ustępuje w pewnych partiach listów opisom osobistych doświadczeń podróżników. Zmuszeni do uczestniczenia w realiach życia, odczuwają boleśnie dotyczące ich bezpośrednio niedogodności. Perturbacje na granicy, w owym „raju dla systemu rewizji i kontroli", opisują dokładnie, bardzo plastycznie, przekonywująco i szczegółowo. To zdaje się robić na nich większe wrażenie niż akty prawdziwej przemocy z najokrutniejszych — opowiedzianych — historii . W rejestracji zewnętrznych przejawów życia zatrzymują się często na pierwszej, fasadowej warstwie, nie sięgając nurtów podskórnych. Zdarzają się im konstatacje tak naiwne, jak stwierdzenie, że „niemożność utworzenia narodowości polskiej" wynika z jaskrawych różnic warunków materialnych arystokracji i chłopstwa.

Mozaika obrazów, postaw, twierdzeń i plotek, jaką tworzą trzy listy z Warszawy 1863 roku, robi chwilami wrażenie zamętu, głównie jeśli chodzi o stosunki polsko-francuskie. Że były one zmienne, skomplikowane, często w jednym okresie sprzeczne — niech zaświadczy prawdziwa anegdota.

15 sierpnia 1861, w dzień imienin Napoleona III, ukazały się w Warszawie dwie anonimowe ulotki. Jedna wzywała do uczczenia francuskiego monarchy jako opiekuna sprawy polskiej (manifestanci przynieśli konsulowi francuskiemu adres z powinszowaniem). Druga odmawiała prawa profrancuskiej demonstracji, podważając zasługi dostojnego solenizanta (manifestanci zaczaili się na wychodzących z konsulatu i oblali ich nieczystościami).

Tekst podała do druku i opracowała
Agata TUSZYŃSKA

RAPORT SPORZĄDZONY PO POWROCIE Z PODRÓŻY KURIERSKIEJ DO WARSZAWY 25 MARCA 1863

Panie Ministrze,

Po doręczeniu depesz Ministerstwa kolejno w Karlsruhe, w Stuttgarcie, w Monachium i w Wiedniu, natychmiast opuściłem to ostatnie miasto, aby udać się do Warszawy. Jednakże w Granicy, stacji granicznej między zaborami austriackim i rosyjskim w Polsce, przestano regularnie obsługiwać kolej żelazną. Pociąg ekspresowy do Warszawy został skasowany i przyszło mi czekać dwadzieścia dwie godziny, zanim mogłem kontynuować podróż. Pod koniec dnia do Granicy przybyli podróżni, którzy wyjechali z Warszawy rankiem poprzedniego dnia i zmuszeni byli przenocować na jednej z poprzednich stacji, jako że nie przywrócono jeszcze do stanu używalności kilku mostów zerwanych przez powstańców, więc kolej funkcjonowała jedynie w dzień. I tak skład potrzebował półtora dnia na pokonanie trasy, którą normalnie przejeżdża w ciągu ośmiu godzin. Ponieważ właśnie tego dnia zakończono usuwanie szkód, pociąg jadący do Warszawy mógł dojechać do tego miasta bez przeszkód. Dojechałem tam tego samego wieczoru. Składowi towarzyszyła eskorta wojskowa, poza tym każda stacja okupowana była przez pluton składający się z blisko trzydziestu ludzi, do których przydzielono trzech lub czterech kozaków, mających za zadanie przewożenie rozkazów z jednego posterunku na drugi. Żołnierze rewidowali wagony, aby sprawdzić, czy w przedziałach nie ukrywają się powstańcy lub czy nie przewozi się w nich broni.

Na pierwszy rzut oka Warszawa nie sprawia wrażenia miasta poddanego rygorom władzy wojskowej. Żołnierze, w sile wystarczającej do utrzymania ludności w ryzach, siedzą w koszarach, patrole nie są zbyt częste, tak że obecność wojska nie rzuca się zbytnio w oczy cudzoziemcowi. Jednakże rozmaite rozporządzenia policji i wojskowe wskazują na to, że miasto znajduje się w stanie wojennym: istnieje zakaz wychodzenia z domu po 10-tej wieczorem, po zachodzie słońca można się poruszać tylko wtedy,

gdy jest się zaopatrzonym w latarnię etc. Jednak to, co obrazuje sytuację, to wygląd mieszkańców: wszystkie kobiety bez wyjątku ubierają się na czarno, zaś mężczyźni, którym władze zabroniły nosić czarną krepę na kapeluszu, nakrywają głowy jedynie czapkami. Nikt nie chodzi do teatru, oczywiście poza rosyjskimi oficerami i urzędnikami. Wszyscy odmawiają sobie wszelkiej przyjemności, wszelkiej rozrywki, nawet muzyka została wyrugowana z salonów. W czasie spotkań towarzyskich damy rozmawiają o wydarzeniach, przygotowując jednocześnie szarpie.

W tym konflikcie między świadomością narodową a rządem rosyjskim najbardziej godna uwagi jest, poza potęgą materialną, całkowita bezsilność władzy. Istnieje Powstańczy Komitet Centralny: jego członkowie są nieznani. Komitet ten drukuje dzienny biuletyn, zamieszczający fakty związane z Powstaniem, który to biuletyn przechodzi przez wszystkie ręce: nie można wykryć drukarzy. Organizuje się zbiórki domowe na rzecz ruchu, codziennie wyjeżdżają z Warszawy ochotnicy, którzy wstępują do partii powstańczych, z pełną swobodą wypowiadane są opinie na temat wydarzeń, a rząd nie jest w stanie temu zapobiec. Wydawałoby się to niemożliwe, gdyby nie świadomość, że urzędnicy, zwłaszcza wyższego szczebla, są prawie wszyscy narodowości polskiej, a ponieważ duch oporu jest jednomyślny, popierają Rewolucję brakiem reakcji lub milczeniem. I w ten sposób działalność policji nie przynosi właściwie efektów rządowi, podczas gdy być może, służy po części Komitetowi Centralnemu.

Co zaś dotyczy ruchu powstańczego, to chociaż w samym sercu Polski stracił on nieco na intensywności ze względu na porę deszczową, która praktycznie uniemożliwia działania wojskowe, zapał powstańczy szerzy się podobno w dawnych prowincjach polskich, na Litwie, a nawet na południowym wschodzie, na Podolu i na Wołyniu. Na ogół oczekuje się, że powstanie wybuchnie na wielką skalę, gdy tylko liście rozwiną się na drzewach i uczynią lasy miejscem bardziej sprzyjającym wojnie partyzanckiej. Ruch oporu popierany jest przez szlachtę, która dostarcza żołnierzy i przede wszystkim składa olbrzymie ofiary pieniężne. Żydzi, których liczba w Polsce wynosi ponad pięćset tysięcy, zachowują neutralność. Chłopi, w niektórych stronach sprzyjający ruchowi, w wielu innych obojętni, byliby skłonni, zgodnie z zapewnieniami, przyłączyć się do Powstania w prowincjach, gdzie w wyniku prześladowań religijnych zmuszeni zostali do wyrzeczenia się katolicyzmu, któremu pozostali w głębi serca wierni. Jednakże ochotnicy rekrutują się przede wszystkim z mieszczaństwa polskiego, które tworzy obecnie o wiele liczniej-

szą klasę niż w przeszłości. Z ośmiuset studentów Szkoły Głównej, którą zwiedziłem, czterystu przyłączyło się do Powstania. Pozostałych czterystu wyjechało na Święta Wielkanocne i szacuje się, że połowa z nich nie wróci.

Wiele troski wzbudza rezerwa rządu austriackiego, którą Polacy interpretują jako neutralność sprzyjającą Powstaniu. Podobno niektórzy powstańcy z partii Langiewicza, chyba jedyni, którzy posiadają broń, zaopatrzyli się w nią na terytorium Austrii, głównie w Krakowie, o czym władze nie mogły nie wiedzieć. Słyszałem nawet o austriackim rozporządzeniu wojskowym, wydanym w tym czasie, które ustalało wysokość sumy do wpłacenia przez żołnierzy cesarskich jako odszkodowanie na wypadek, gdyby zgubili broń, co miało pośrednio oznaczać zachętę do jej sprzedawania. Na tej podstawie niektórzy wyobrażają sobie, że Austria gotowa byłaby sprzyjać odbudowie Królestwa Polski na rzecz Arcyksięcia Maksymiliana. Inni sądzą, że mocarstwo to rozważa możliwość zrzeczenia się Galicji w zamian za prowincje naddunajskie.

Sprawą poważniejszą od tych wszystkich hipotez jest przekonanie większości Polaków, że mogą liczyć na pomoc Francji. Spodziewają się interwencji dyplomatycznej, a w przypadku jej niepowodzenia chociażby poparcia materialnego. Potrzeba, niezbędność takiego poparcia, instynktowne przekonanie, że skutecznej pomocy dla ich sprawy mogą spodziewać się tylko z tej strony, sprawiają, że dostrzegają niezbite dowody zapowiadające rychłą pomoc Francji w faktach, w których bezstronny obserwator nie widzi niczego. A nadzieja ta utwierdza ich w przekonaniu, że należy podtrzymywać Powstanie, aby dać niezbędny czas na dokonanie się interwencji francuskiej. Nie można oprzeć się przykremu uczuciu wobec odpowiedzialności moralnej, jaką ufność ta nakłada na Francję w przekonaniu Polaków. Lecz gdyby mieli pewność, że nie uzyskają poparcia, nie sądzę, aby zaniechali Powstania, nawet jeżeli miałoby mieć znaczenie jedynie bezskutecznego protestu.

Nie ulega wątpliwości, że represje dokonywane są w sposób straszliwy. Wygląda na to, że pragnie się stłumić Powstanie przy pomocy terroru. A przecież oficerowie rosyjscy nie wykazują skłonności do okrucieństwa. Natomiast żołnierze, gdy rozbudzi się w nich duch bojowy, łatwo oddają się zbrodni i grabieży, a wysiłki ich dowódców nie są w stanie pohamować tych ekscesów. Bywały pono przypadki, kiedy oficerowie zabijali własnych żołnierzy, aby nie dopuścić do niepotrzebnego okrucieństwa.

Widziano też innych, których Kozacy zabijali za to, że nie pozwalali im rabować. Rząd, który niezupełnie wierzy w oddanie swoich oficerów, nie ma odwagi tępić bezprawia żołnierzy, toteż przekonanie o braku zaufania władzy do dowódców jest źródłem ogromnego rozprzężenia wśród żołnierzy. Zresztą większość aktów okrucieństwa i grabieży nie dochodzi do wiadomości Wielkiego Księcia, gdyż prowincje są zarządzane wspólnie przez Rząd Cywilny i Rząd Wojskowy. Zdarza się, że gdy władza cywilna zaskarża nadużycia popełniane przez wojsko, władza wojskowa przechwytuje te skargi.

Wartość listów zastawnych wzrosła nieco od wybuchu rewolucji. Wiadomo, że ta pożyteczna instytucja, której brak daje się odczuwać we Francji (gdyż nie można jej porównać z kredytem ziemskim), polega na dobrowolnym zrzeszaniu się wszystkich właścicieli polskich, którzy pragną zaciągnąć pożyczki pod gwarancję swojej ziemi. Pożyczkę można zawsze uzyskać aż do połowy wartości nieruchomości w zamian za roczną wpłatę 4-procentowego odsetka plus 2 procenty na koszty amortyzacji, która umarza dług w ciągu dwudziestu ośmiu lat. Masa tych wszystkich nieruchomości obciążonych hipotekami przeznaczona jest ogólnie biorąc na opłatę każdego listu zastawnego. Gdy tytuły własności zostają sprzedane, kupujący otrzymuje te 4 procenty, które stanowią roczny odsetek, zaś 2 procenty zostają przeznaczone na amortyzację. Łatwo zrozumieć, że wobec wydarzeń mogących zachwiać kredytem Rosji, środki płatnicze tego mocarstwa tracą na wartości, podczas gdy bezpieczeństwo, jakie zapewniają listy zastawne zagwarantowane własnością ziemską, nadaje wyższy kurs takiej hipotece.

W czasie tej podróży służbowej mogłem wszędzie zauważyć, że francuska złota moneta wartości dwudziestu franków jest przyjmowana jako wartość handlowa, za którą udziela się premii. Gdy przejeżdżałem przez Wiedeń, wartość jej wynosiła 8 florenów 85 krajcarów papierowych, co oznacza, że papierowy floren wart jest 2 franki 29 centymów.

Paryż, 5 kwietnia 1863

Eugène OTTOLAN
Attaché przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych
Doktor Prawa
(Dyrekcja Konsulatów)

Jego Ekscelencja
Pan Drouyn de Lhuys
Minister Sekretarz Stanu
w Departamencie Spraw Zagranicznych

Panie Ministrze,

Powierzając mi w dniu 22 sierpnia br. misję przewiezienia depesz adresowanych do Konsula Generalnego w Warszawie, Wasza Ekscelencja zechciała polecić mi przedłożenie jej raportu na temat faktów, z którymi mogłem się zetknąć w czasie mojej podróży.

Mam nadzieję spisać tu coś więcej niż ulotne wrażenia zwykłego turysty. Zawdzięczam to wyjątkowo sprzyjającym okolicznościom, które Wasza Ekscelencja doceni, jeżeli zechce rzucić okiem na krótki opis towarzyszący mojemu raportowi.

Zadbałem o to, by starannie notować źródła informacji, z których korzystałem.

Podróżny przybywający do Galicji nie może oprzeć się uczuciu litości, gdy zobaczy długie szeregi rozbrojonych Polaków, prowadzonych przez żołnierzy austriackich; ze smutkiem i rezygnacją maszerują w kierunku fortecy, gdzie zostaną internowani. Na obliczu wielu tych nieszczęśników można wyczytać mocne postanowienie spróbowania nowych przygód z chwilą, gdy odzyskają wolność. Na razie idą bez szemrania, bez skargi: z góry przyszedł rozkaz, by nie dawać Austrii najmniejszego powodu do niezadowolenia.

Jest faktem, że tolerancja tego mocarstwa w znacznej mierze umożliwiła wypady partii powstańczych przeciwko Rosjanom. Często zdarzały się przypadki, kiedy oficerowie austriaccy służyli Polakom za przewodników, gdy przedostawali się do Królestwa. Sytuacja całkowicie się zmieniła. Dziś Polakom trudno zakupić amunicję i broń. Dokłada się starań, aby ich aresztować, gdy pragną przejść uzbrojeni z terytorium Austrii na terytorium Rosji. 19 sierpnia, gdy pewna partia usiłowała sforsować przejście, musiała właściwie stoczyć bitwę z wojskiem austriackim (jeden żołnierz został ranny). Mniej więcej w tym samym czasie dwa domy w Krakowie, które służyły za fabryki naboi, wyleciały w powietrze. Na skutek tych dwóch przypadków p. von Schmerling, brat Ministra Stanu, pełniący obowiązki Gubernatora Galicji, wydał rozkaz potrojenia kordonów wojsk austriackich wzdłuż granicy. Żołnierze są na stopie wojennej z oficerami rosyjskimi, a oficerowie — jak mi się wydaje — są z nimi w lepszych stosunkach, sądząc po tym, jak ich witali na rosyjskiej stacji Granica.

Ta surowość okazywana na granicy mogłaby słusznie rozżalić Polaków. Ale tak nie jest. Polacy zwracają uwagę na ułatwienia, z jakich korzysta gazeta *Czas,* dzięki której mogą szeroko rozpowszechniać fałszywe wiadomości, i opierają się na najdrobniejszych zdarzeniach, by dowieść, że Austria pragnie jedynie zamaskować swoją grę.

Opinia, która jest najbardziej rozpowszechniona w Niemczech i którą ja sam uważam za najtrafniejszą głosi, że mocarstwo to pragnie przysporzyć Rosji możliwie najwięcej kłopotów, ponieważ dąży do jej osłabienia. Jednakże w kierunku tym podążać będzie tylko dopóty, dopóki nie będzie to grozić wojną. Bowiem zależy mu przede wszystkim na tym, by nie wstrzymywać procesu umacniania swych spraw finansowych i o wiele bardziej pragnie rozszerzenia swych wpływów w Niemczech, niż bezpłodnej sympatii Polaków.

Zresztą śmiałe inicjatywy Cesarza Franciszka Józefa we Frankfurcie spowodowały w monarchii austriackiej odwrócenie uwagi od sprawy polskiej. W wyniku głębokiej antypatii dzielącej obie rasy, Niemcy dość obojętnie odnoszą się do losu Polski, a obojętność ta zwalnia Austrię od wszelkiej presji opinii publicznej co do stanowiska, jakie pragnie zachować wobec Polski.

Ze swej strony Prusy zachowują na swej granicy system ostrego nadzoru, jaki przyjęły od samego początku obecnego Powstania. Ale oficerowie pruscy i rosyjscy często się odwiedzają, a od pułkownika rosyjskiego, który jest dowódcą Częstochowy, dowiedziałem się, że oficerowie jego pułku udali się ostatnio na granicę, aby znowu spotkać się z pułkiem pruskim stacjonującym w Rosenberg[1].

Nadzór wzdłuż granicy ze strony Rosjan jest bardzo surowy. Stacja Granica, pierwsza między granicą austriacką a Warszawą, to istny raj dla rewizji i kontroli paszportowej. Nie wolno przewozić żadnej broni, żadnych książek, żadnych gazet. Niższy personel celny chce nawet rewidować walizy dyplomatyczne. Na szczęście i tu, tak jak na stacjach wojskowych, wystarczy odwołać się do wyższych urzędników i okazać stanowczość, by uporać się z tymi trudnościami.

Podczas gdy podróżni muszą znosić wszelkiego rodzaju szykany, zakazane towary przedostają się dosyć łatwo pociągami kolei żelaznej, częściowo dzięki przekupstwu urzędników rosyjskich, częściowo w wyniku współdziałania wszystkich pracowników kolejowych. Eskorta wojskowa umieszczona z przodu i

1. **Oleśnica.**

z tyłu pociągu nie pozwala na wyładowanie kontrabandy po drodze, ale zaobserwowano wielokrotnie, że powstańcy zatrzymywali składy mieszane pociągów i otrzymywali z rąk kolejarzy to, co było dla nich przeznaczone.

Zresztą tajnemu Rządowi panującemu w Polsce oddani są wszyscy pracownicy kolei, począwszy od głównego inżyniera, na zwrotniczym kończąc. Niżsi rangą kolejarze otrzymują z funduszu narodowego dość pokaźne wynagrodzenie i na rozkaz przekazany z Warszawy gotowi są spalić most powierzony ich pieczy. Dlatego można zrozumieć, że często nie znajduje się najmniejszego śladu pobytu powstańców tam, gdzie mosty zostały spalone.

Rząd rosyjski zlecił artylerzystom w randze kapitanów ze służby kolejowej misję podzielenia między siebie — powiatami — linii kolejowych przecinających Królestwo Polskie. Spowodowali oni aresztowanie czterdziestu pięciu pracowników na linii Warszawa - Kraków. Wszystkich wysłano do Cytadeli lub zesłano w głąb Cesarstwa, a niektórych skazano jeszcze na karę chłosty. Inżynier Marczewski znajduje się w Cytadeli, gdzie zastosowano wobec niego najsurowszy reżim.

Gdy zdarza się jakieś uszkodzenie na linii (a od dwóch tygodni zdarza się to nieustannie), dyrektor Towarzystwa wysyła z Warszawy inżyniera, aby pokierował robotami. Najczęściej komunikację przywraca się z zadziwiającą szybkością. Ale czasami nie ma oficera lub jest pijany i żołnierze rosyjscy nie dopuszczają inżyniera do mostu, który ma naprawić.

Drogi lądowe są z reguły złe. W niektórych miejscach mosty się zawaliły. Żyd, który pobierał myto za przejazd mostem na Warcie, zamknął most i wyniósł się, ponieważ od początku Powstania nie otrzymywał już pieniędzy.

Rzadka jest obecność oddziałów rosyjskich na wsi. Wojska liniowe są na ogół skoszarowane w małych miasteczkach. Żołnierze są brudni, mundury ich są skrojone z ordynarnego sukna i często rozpadają się w strzępy. Żywią się obrzydliwym czarnym chlebem. Jedynie Kozacy są lepiej odżywieni, gdyż często napadają na oddziały powstańców. Żołnierz rosyjski jest dobrze uzbrojony. Okazuje raczej posłuch wobec swego oficera, ale tylko do chwili, gdy zaczyna walczyć. Wówczas traci panowanie nad sobą i staje się bezgranicznie dziki.

Zabójstwa kapitana Nikiforowa i porucznika Dnikowica [?] dokonane w sposób wyrafinowanie okrutny przez dowódcę partii powstańczej, mimo gorących protestów tych, którzy służyli pod jego rozkazami, doszły natychmiast do wiadomości wszystkich żołnierzy rosyjskich i od tego czasu rzadko udaje się ich przekonać, by brali powstańców do niewoli.

Obok tych zasmucających przykładów odwetu, które można zarzucić dowódcom Powstania, sprawiedliwość nakazuje odnotować kilka faktów, które przynoszą im zaszczyt. Między innymi przypadek dowódcy partii Kruka[2], który, według słów samych Rosjan, wypuścił 80 więźniów, wręczając przy tym każdemu po rublu na podróż. Odniósł on zresztą kilka znacznych sukcesów. Między innymi wiadomo z całą pewnością, że zrabował Rosjanom 200.000 rubli, czyli około 800.000 franków. Powstańcom rzadko zdarza się dokonywać rabunku i na ogół postępowanie ich jest humanitarne. Przeciwieństwem tego jest żołnierz rosyjski, który tkwi w głębokiej ciemnocie mimo ostatnio wprowadzonych reform i zachował wszystkie swoje powszechnie znane skłonności do kradzieży. Oficer musi okazywać maksimum energii, aby zmusić go do oszczędzania chłopów.

Waszej Ekscelencji znana jest sympatia oficerów rosyjskich do cudzoziemców. W Polsce, bardziej niż gdziekolwiek, starają się nam przypodobać. Większość z nich z całą afektacją zapewnia o swojej sympatii do Francji. Aż do znudzenia powtarzają, że byliby zrozpaczeni, gdyby wojna miała na nowo wybuchnąć między naszymi krajami. Ciekawi są ogromnie wszelkich szczegółów dyplomatycznych i wydają się na ogół skłonni wierzyć, że Europa wstrzyma swoją interwencję dyplomatyczną na rzecz Polski. Niektórzy dodają, że wkrótce po opuszczeniu Warszawy przez Wielkiego Księcia zostanie ogłoszony statut dla Królestwa. Gładko przyznają, że Królestwo Polski nie powinno być włączone do Cesarstwa rosyjskiego, ale przede wszystkim pragną skończyć z Powstaniem. Mówią, że ma ono charakter równie klerykalny, co rewolucyjny. Bardzo użalają się na księży i podkreślają przy każdej okazji zdumiewającą mieszaninę istniejącą w niejednej partii. Z jednej strony mnisi, z drugiej oficerzy Garibaldczycy. Chętnie rozwodzą się nad rzadkimi przypadkami okrucieństwa, które słusznie zarzuca się Polakom i podają przykłady gwałtów popełnianych przez niektórych dowódców powstańczych, np. przez Oxińskiego, mającego zresztą wśród swoich opinię człowieka ograniczonego i złego. Ich zdaniem ruch ten jest jedynie małpowaniem ruchu włoskiego. Twierdzą, że wszyscy chłopi słuchają powstańców tylko dlatego, że są sterroryzowani.

Wśród powstańców można nierzadko spotkać młodzież poniżej szesnastu lat. Powiatowy naczelnik wojskowy ma prawo ułaskawiać ich i odsyłać do rodziny. Z prawa tego wydaje się korzystać rzadko, sądząc po błagalnym i przerażonym zachowaniu nieszczęsnego profesora Leonowicza z Piotrkowa, który właśnie

2. Michał Jan Kruk-Heidenreich.

przy mnie wszedł do generała Radynia, aby prosić go o łaskę dla syna złożonego ciężką chorobą w szpitalu. „Dobrze — mówi zrazu generał — będzie go pan mógł zobaczyć w tym tygodniu". — „Ekscelencjo, on jest bardzo chory". — „Ba, to nic takiego, pewnie w...". — „Ależ nie, jest gruźlikiem". — „No, dobrze — mówi generał — niech go pan odwiedzi. Każę zbadać sprawę i sądzę, że będę mógł go panu oddać za kaucją".

Nieszczęsny ojciec wychodzi dziękując i rzucając mi spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Ach, Panie, to pańskiej obecności zawdzięczam łaskę dla syna".

W partiach powstańczych można spotkać przede wszystkim obywateli ziemskich, którzy służą na własny koszt, następnie zarządców, ekonomów, dzierżawców folwarków, lekarzy, to znaczy jedynych ludzi, którzy w obecnym systemie Polski mogli skorzystać z jakiejś nauki. Ludzie ci oraz kilku kupców, stanowią mniej więcej całą średnią warstwę, zresztą bardzo przerzedzoną wskutek nieobecności drobnych właścicieli. Klasa ta jest zawsze gotowa dać się zwerbować do partii. Kilku chłopów i wreszcie grupa awanturników, których w Krakowie znęciły znaczne premie rekruckie oferowane przez Rząd Narodowy, stanowią nieodzowny dodatek wszystkich partii. Ci ostatni rozpraszają się w chwili przejścia przez granicę lub przy pierwszej potyczce. Rekruci to najczęściej nędzni.

Również młodzi ludzie z Galicji garną się do ruchu z entuzjazmem. Czynią to jednak w sposób tak niezręcznie manifestacyjny i hałaśliwy, że ściągnęli na siebie i swoich rodaków z Królestwa surową reakcję Rządu austriackiego. Na próżno znany patriota Smolka usiłował pohamować te objawy braku roztropności.

Powstańcy rzadko odnoszą sukcesy w walce z oddziałami regularnych wojsk rosyjskich, jeżeli te ostatnie dorównują im lub przeważają liczebnie. Nie wszyscy mają broń, ich amunicja jest najczęściej złego gatunku. Przypuszczają atak na odizolowane grupy i ograniczają się do wojny podjazdowej.

Aby wojnę tę prowadzić z powodzeniem, należało przede wszystkim zapewnić sobie przychylność chłopów. Jednak rozpity i leniwy chłop polski jest na ogół obojętny na to, co się wokół niego dzieje. Po zniesieniu pańszczyzny w 1861, gdy mógł sądzić, że jego pan zwalczał ten dekret wyrównujący krzywdy, z trudem krył swoją wściekłość wobec szlachty i gdyby rząd rosyjski podsycał tę nienawiść, być może w Królestwie powtórzyłaby się nieszczęsna historia z masakrą szlachty w Galicji. Jednakże wkrótce, gdy darowano mu chatę, w której mieszkał, uznał to za pierwszy przejaw zadośćuczynienia. Zgodnie z systemem

margrabiego Wielopolskiego miał on po pewnym czasie odpłatnie nabyć prawo własności do pola, które otaczało jego chatę. Od początku Powstania Rząd Narodowy, korzystając ze swej władzy, powiadomił chłopów, że odtąd stają się właścicielami tej ziemi bezpłatnie, wobec czego wszyscy właściciele ziemscy musieli się temu rozporządzeniu poddać.

Korzystając z rozproszenia tych, którzy w normalnym czasie zarządzają pańską ziemią i wobec braku wszelkiej uznanej władzy, chłopi każdego dnia przywłaszczają sobie po trochu tę ziemię. Wiadomo też, że w niektórych powiatach Rosjanie sprzyjali tym przywłaszczeniom.

Jeżeli chodzi o Litwę, to każdy zna okólnik Murawiowa. Kilkuset chłopów w województwie augustowskim, znęconych zyskiem i skaptowanych przez rosyjskich agentów, zwróciło się do Murawiowa z prośbą o opiekę. Fakt jest tak odosobniony, że nie warto przypisywać mu większego znaczenia.

Między chłopem, który uprawia ziemię i czyni to możliwie najgorzej, a właścicielem lub jego zarządcą, który odbiera zyski, znajduje się w każdej wsi osobliwy pośrednik: Żyd. Dostarcza on wódki dla folwarków należących do Rządu rosyjskiego i skupia w swym ręku lub w rękach swojej rodziny handel całej wsi. Na przykład z góry skupuje mleko wszystkich miejscowych krów, odwozi produkty rolne ze wsi na targ w pobliskim mieście etc. Dumny z tego, że od 18 miesięcy jest zrównany w prawach ze swymi chrześcijańskimi braćmi, jeżeli nie przyłącza się do partii, to przynajmniej przejawia pewne zainteresowanie ich sukcesami, zwłaszcza gdy drobne wynagrodzenie, które często otrzymuje od Rządu Narodowego, jest mu sumiennie przez jego agentów wypłacane.

Powodowani fanatyzmem religijnym wszyscy księża sprzyjają Powstaniu i niejednokrotnie przy spowiedzi doradzają pokutnikom zaciągnięcie się do partii powstańczych.

Szlachta lub właściciele ziemscy, klasa z której rekrutowała się większość partii umiarkowanych w okresie, gdy słynny hrabia Zamoyski założył Towarzystwo Rolnicze, znajduje się obecnie w całości w Powstaniu. Marzenie o Polsce z 1772 roi się we wszystkich głowach, a nade wszystko nikt nie ma zamiaru pozostawić Rosjanom Litwy, którą trochę wbrew jej woli wciągnięto do Powstania. Krótko mówiąc partia umiarkowanych jest całkowicie rozwiązana, zaś odnowić mogłaby się dopiero po dłuższym czasie i tylko wówczas, gdyby uzyskano od Cesarza Rosji jakieś poważniejsze ustępstwa.

Egzaltowana wyobraźnia polskich kobiet podsyca gorący pa-

triotyzm klas bogatych. Klasy te ponoszą olbrzymie ofiary, niestety, absolutnie niewspółmierne z uzyskiwanymi efektami. Większość posiadaczy wpłaciła Rządowi Narodowemu podatki równające się 3- lub 4-letnim dochodom, nie licząc tego, co musi płacić Rosjanom. Ruina jest nieunikniona. Za 2, 3 lub 4 lata, jeżeli ten żałosny stan się utrzyma, zniknie cała ta wspaniała arystokracja, która już tak bardzo się wykrwawiła.

Ziemia zmieni właściciela i zostanie za psi grosz sprzedana chłopom, Żydom, a może Niemcom z sąsiednich prowincji, którym w ciągu dwudziestu lat tak świetnie się udało zasymilować większość Księstwa Poznańskiego. Oznaczałoby to przerażające przemieszanie społeczne. Z chwilą, gdy jedyni ich przeciwnicy zostaliby zrujnowani, Rosjanie mieliby pewność, że uda im się ujarzmić Polskę i taka jest najwyraźniej ich rachuba. Chętnie mówią o kolosalnych podatkach, które co tydzień zapełniają kasy Powstania. „Płaćcie, dużo płaćcie, potem już nie będziecie śpiewać" — mówią, trawestując powiedzenie Mazarina.

Jednym z najbardziej osobliwych znamion tej sytuacji jest twierdzenie, które nieustannie wymyka się Rosjanom, o drugim rządzie istniejącym w łonie ich rządu. [?]

Rząd Narodowy regularnie funkcjonuje w Warszawie i cieszy się absolutnym posłuszeństwem. Wysyła kwity podatkowe i wszyscy skwapliwie płacą[3]. Zabrania orkiestrze wojskowej występowania w parku. Gubernator rosyjski wzywa dyrygenta, a ten oświadcza, że zagrożono mu karą śmierci, jeżeli będzie grał i pozwala mu się nie grać. Rząd Narodowy zabrania noszenia cylindrów i żąda, by noszono żałobę, a przynajmniej czarne krawaty. Nikt nie nosi cylindra, natomiast każdy czarny krawat. Zabrania chodzenia do Łazienek, ulubionego miejsca spacerów warszawian, aby uniknąć kłaniania się Wielkiej Księżnej, która udaje się tam codziennie. Nikt nie chodzi do Łazienek, a jeżeli ktoś znajdzie się tam przypadkowo, ustawia się na trasie przejazdu nieszczęsnej Księżnej i odmawia jej ukłonu.

Komitet Centralny rozkazuje danemu urzędnikowi pozostanie w administracji rosyjskiej i ten pozostaje. Rozkazuje innemu opuszczenie jej i ten ją opuszcza. Do tej pory tolerował pozostawianie pana Enocha na stanowisku ministra spraw wewnętrznych, ale w każdej chwili spodziewa się on rozkazu podania się się do dymisji. Zresztą powiedział do swego byłego osobistego sekretarza, że jeżeli Murawiew zastąpi Wielkiego Księcia i tak poda

---

3. Kilku złoczyńców zgłosiło się do pewnych domów, aby wyłudzić kwoty w imieniu Rządu Narodowego, ale to wyjątkowe przypadki.

się do dymisji. Komitet Centralny dał rozkaz kasjerowi pracującemu w banku, by zabrał z niego 350.000 rubli. Kradzież ma miejsce następnego dnia. Posiada wydawnictwa stokroć bardziej rozpowszechniane niż wszystkie oficjalne pisma razem wzięte i każdego rana punktualnie wysyła je do szefa policji miasta. Przekupuje urzędników, Żydów, policjantów, kolejarzy. Wysyła pieniądze dowódcom partii i zleca swoim agentom wyjazdy za granicę w celu zakupu prochu, karabinów etc. Muszę powiedzieć, że ci ostatni prawie wszyscy szukają Komitetu. Ulatniają się z pieniędzmi lub osiągają horrendalnie wysokie zyski.

Komitet Centralny ma swoich ludzi, gotowych zamordować wskazane przez niego osoby. Ofiarami padają na ogół szpiedzy rosyjscy. Zostają o wyroku śmierci powiadomieni, następnie pewnego dnia na ulicy giną od szklanego sztyletu, który pozostaje w ranie. Zabójca bardzo rzadko bywa wykryty.

Osobliwe zwyrodnienie poczucia moralności. Tego rodzaju zabójstwa, które pociągnęły już tyle ofiar, były zbrodnią prawie nieznaną w Warszawie przed rozpoczęciem Powstania. Wprowadzili ją tam agenci europejskiej rewolucji, a nawet można powiedzieć, że narzucili ją pierwszym kierownikom wielkiego, narodowego Komitetu Centralnego w Warszawie.

Jeżeli chodzi o Komitet, o Narodowy Rząd Centralny w Warszawie, to zmienia się on nieustannie, zmienia miejsca zebrań, w ciągu jednego miesiąca mianuje do pięciu dowódców miasta, jednym słowem stosuje daleko idące środki ostrożności. Podstawową gwarancją jego bezpieczeństwa jest fakt, że każdy czuwa nad nim, że uznawany jest przez wszystkich Polaków, jednym słowem, że posiada siłę moralną.

Wszystkie te niesłychane wysiłki są dokonywane w nadziei, że spowodują interwencję Europy. Szczególnie liczy się na interwencję Francji i cały ludek Warszawy wierzy, że lada dzień przybędą „czerwone pantalony". W swoich publikacjach Rząd Narodowy skrzętnie wykorzystuje najmniejszy artykuł zamieszczony w prasie francuskiej, aby wmawiać czytelnikom, że wkroczymy do Polski i wzmóc wolę walki o odzyskanie stanu terytorialnego z 1772. Iluzja ta panuje prawie powszechnie. W dniu w którym by się ona rozwiała i Polacy przekonaliby się ostatecznie, że ani Francja, ani żadne inne mocarstwo nie chce im udzielić zbrojnej pomocy w celu zwrócenia im dawnej niepodległości, wówczas, złorzecząc w głębi serca, zrezygnowaliby, a raczej byliby zmuszeni zrezygnować z nierównej walki. Powstanie powoli, ale w nieunikniony sposób uspokoiłoby się, a w konsekwencji doszłoby może i do duchowego uspokojenia.

W interesie tego nieszczęsnego narodu należy przede wszystkim żądać, by Europa ujawniła mu swoje zamiary. Przedłużanie obecnego stanu rzeczy prowadzi do straszliwej katastrofy. Będzie oznaczać nieuchronny triumf Rosji dzięki ruinie patriotów polskich, będzie oznaczać ujarzmienie całego narodu.

Obok tego istnieje możliwość zbrojnej interwencji. Wówczas wszyscy Polacy powstaną, wszyscy, łącznie z najbardziej umiarkowanymi, żądać będą granic z 1772.

Wreszcie możliwe jest przyjęcie przez Rosję sześciu punktów, konstytucja nadana Królestwu Polskiemu [?][4]. Wówczas, ale tylko jeżeli mocarstwa oświadczą, że niczego więcej nie zażądają dla swoich krajów, szlachetni Polacy położą kres straszliwym daninom krwi i pieniędzy. Zakończy się walka zbrojna i wreszcie będzie można dostrzec nadzieję na przywrócenie pokoju.

Oby Polska uzyskała wkrótce pewność co do losu, jaki ją czeka w układach polityki europejskiej.

Jest to, Panie Ministrze, pragnienie wszystkich rozsądnych Polaków, jednomyślne życzenie tych, którzy patrzą na ten nieszczęśliwy kraj.

Proszę przyjąć, Panie Ministrze, wyrazy mego najgłębszego szacunku, z którym mam zaszczyt być Waszej Ekscelencji pokornym i powolnym sługą.

Fréd. DEBAINS

Paryż, 3 września 1863

Wyruszywszy 21 sierpnia wieczorem z Wiednia, musiałem rankiem 22 przeczekać 4 godziny na granicy galicyjskiej. W chwili przybycia do Polski zapoznaję się z księciem Giedroyciem, bogatym właścicielem z Ukrainy, byłym osobistym sekretarzem hrabiego Enocha, ministra spraw wewnętrznych Królestwa. Jest to młodzieniec dystyngowany, należący do partii umiarkowanych. Ujrzawszy mój paszport, zwraca się do mnie z całym zaufaniem i prawie natychmiast zaczyna mówić o wszystkim, co dotyczy jego kraju.

Na stacji Granica dowiadujemy się, że most w Poraju, między

4. 17 i 18 czerwca 1863 Austria, Francja i Wielka Brytania złożyły Rosji noty dyplomatyczne zawierające 6 punktów. Domagano się amnestii dla powstańców, przedstawicielstwa narodowego, polskiej administracji, swobody sumienia, języka polskiego w urzędach i szkołach, praworządnego systemu poboru do wojska.

Granicą a Częstochową, został 21 sierpnia spalony. Po raz pierwszy przeprawiamy się przez rzekę w bród i czekamy na pociąg, który przyjedzie po nas z Częstochowy. Obozujemy pośród wojsk rosyjskich, które służą nam za eskortę. Na długości 86 kilometrów między Częstochową a Piotrkowem dopiero co spalono 6 mostów. Oddział złożony z 600 do 800 powstańców, rozbitków z byłej partii Oxińskiego, kręci się po okolicy. Oficer rosyjski, z którym przeprowadziłem długą rozmowę, dał nam przepustkę, aby nie niepokoiły nas wojska rosyjskie. Na poczcie odmawia się nam koni. Po kilku bezskutecznych próbach u rozmaitych posesjonatów w mieście, z których każdy usiłuje nas zatrzymać aby mówić o Powstaniu, docieramy do Polaka, byłego majora wojsk rosyjskich, który za wygórowaną cenę zgadza się dostarczyć nam 5 koni i 2 wozy aż do Radomska.

O godz. 6.30 książę Giedroyć i ja zasiadamy na wiązkach siana, w towarzystwie hrabiego Zaczyńskiego, który wraca z Krakowa, skąd jego syn wybiera się do partii. Karawanę uzupełnia kupiec warszawski, brat dyrektora gimnazjum w Piotrkowie oraz pewna nieszczęsna dama, która wraca z Krakowa, gdzie odwiedziła rannego syna.

Gdy o pół do pierwszej w nocy przybywamy do Radomska, otaczają nas wojska rosyjskie, które chcą zrewidować nasz wóz i bagaże. Przybywa dowódca oddziału, który pod eskortą każe nas odprowadzić na pocztę, gdzie ponownie odmawia się nam koni. Trochę prośbą, trochę groźbą udaje się nam uzyskać zezwolenie na kontynuowanie drogi tymi samymi końmi aż do Piotrkowa. Spędzamy dwie godziny na rozmowie z zarządcą folwarku.

Przybywszy o pół do 10-tej rano do Piotrkowa, każę się zaprowadzić do generała Radina, naczelnika powiatu, którego mieszkanie zapełnione jest oficerami wszelkich stopni, niezwykle uprzejmymi i rozmownymi. Po dziesięciu minutach przyjmuje nas generał, który zatrzymuje mnie samego przez 2 godziny, wobec czego asystuję przy kilku audiencjach. Oznajmia nam, że pod Piotrkowem zerwany jest most, „jednakże — dodaje — będziecie mogli odjechać około pół do 3-ej. Wydano rozkazy, aby po przebyciu tego mostu pociąg pojechał możliwie jak najszybciej. Wieczorem będziecie już w Warszawie". Pokazuje mi swoje oddziały i rozkazuje, by umieszczono mnie w pokojach, które zarezerwowano dla niego na stacji kolejowej. Pośród tych wszystkich objawów uprzejmości nie zapomina jednak rozkazać, by przeszukano nasze rzeczy. Tu, podobnie jak w Granicy i Częstochowie, nie zgadzam się na rewizję walizy Departamentu, a raczej spokojnie nalegam, by zwrócono się do oficera. Ten prosi

mnie, bym wyraził zgodę na obwiązanie walizy sznurkiem i przyłożenie pieczęci Rządu Rosyjskiego, aby uniemożliwić jej otwarcie przed przyjazdem do Warszawy. Wyrażam na to zgodę.

Przed odjazdem pociągu generał Radin rewizytuje mnie w salonie stacji, który oddał do mojej dyspozycji. Poleca mnie oficerom rosyjskim, których mam spotkać w Czerniewicach.

Z chwilą przybycia do tego miasta zostaję otoczony przez oficerów rosyjskich. Zapraszają mnie na herbatę. Większość z nich mówi po niemiecku. Dwóch spośród tych oficerów prowadzi mnie do pobliskiego parku i tam, paląc cygara, czyni mi osobliwe zwierzenia.

Podczas tej rozmowy moi polscy towarzysze gawędzili z kilkoma swoimi rodakami. Przez chwilę przysłuchuję się tej wymianie zdań. Zdumiewająca jest swoboda, z jaką mówią do nieznajomych o sprawach krajowych. Każdy należy do wielkiego spisku.

Po moim powrocie do wagonu książę Giedroyć przekazuje mi zasłyszane właśnie najbardziej fantastyczne wieści, zaś warszawski kupiec opowiada, co usłyszał od swego brata, księdza. Wszystkie te nowiny nie wydają mi się wiarygodne.

26-go o godzinie 10-tej wieczorem jestem w Warszawie.

Następnego dnia, 27 sierpnia, udaję się do p. Epsteina, przewodniczącego Rady Administracyjnej kolei żelaznej i do p. Mireckiego, dyrektora przedsiębiorstwa, byłego inżyniera naczelnego naszej północnej linii, którego uprzejmości zawdzięczam kilka ciekawych szczegółów.

Mój główny rozmówca, książę Giedroyć, z którym poprzedniego dnia byłem na obiedzie u pana de Valbezen, zjawia się na dworcu rankiem 28-go w chwili mojego wyjazdu. Przynosi mi kilka wiadomości, które uzyskał bezpośrednio od agentów Rządu Narodowego, a między innymi od tajnego naczelnika miasta, którego nazwisko nieostrożnie mi wymienił. Wydaje mi się zbędne powtarzanie tych wiadomości niepewnego pochodzenia. Dla sporządzenia mojego raportu przyjąłem jedynie to, co widziałem na własne oczy, to, co usłyszałem z ust rosyjskich oficerów sprzyjających powstańcom lub niechętnych reżimowi, który reprezentują, wreszcie to, co wydało mi się pozbawione przesady w opowieściach samych Polaków.

Opuszczając dworzec warszawski spotykam rosyjskiego kapitana, którego widziałem poprzedniego dnia w Czerniewicach. Spędzamy razem trzy godziny, trzy godziny rozmowy, która daje początek zażyłości.

Tym razem w Czerniewicach jestem traktowany z uprzedzającą grzecznością. Pokazuje mi się koszary, broń, ekwipunek żoł-

nierza, daje mi się do spróbowania jego chleb, wreszcie pół żartem pół serio proponuje mi się udział w przyszłym wypadzie przeciwko oddziałowi 500 jeźdźców stacjonujących w okolicy.

Droga z Czerniewic do Piotrkowa była znowu przerwana. Wydaje mi się zbędne powtarzanie podróży wozem, powolnej, kosztownej i męczącej.

Kieruję się na Łowicz i Bydgoszcz, najpierw w towarzystwie oficera rosyjskiego, który udawał się do Drezna, następnie podróżuję z niemieckim kupcem, osiadłym w Warszawie. Ten również dorzuca mi kilka interesujących wiadomości.

Wieczorem przyjeżdżam do granicy pruskiej, przejeżdżam przez Księstwo Poznańskie, przez Śląsk, aby dojechać do Oderberg, austriackiej stacji niezbyt oddalonej od Krakowa. Spotykam tam licznych uchodźców polskich wiezionych do Josephstadt, gdzie mają być internowani.

Takie są, Panie Ministrze, środki informacji, jakie posłużyły mi do sporządzenia niniejszego raportu, który ośmielam się przedstawić Waszej Ekscelencji.

Kończąc uważam za swój obowiązek zwrócić uwagę, że w obecnym stanie środków transportu trasa Drezno - Bydgoszcz byłaby najdogodniejsza dla kurierów jadących do Warszawy.

Grudzień 1863

Zmuszony do odbycia w ciągu tygodnia podróży do Warszawy, nie byłem w stanie w tak krótkim czasie zebrać poważnych informacji na temat sytuacji kraju, przez który tylko przejechałem. Tak więc sprawozdanie z mojej podróży będzie jedynie odtworzeniem scen, które przesunęły się zbyt szybko przed moimi oczami, oraz streszczeniem rozmów, które dzięki przypadkowi przeprowadziłem z towarzyszami podróży.

Przejazd z Paryża do Wiednia nie obfitował w spostrzeżenia godne odnotowania. Także pobyt w Wiedniu nie był interesujący.

W ambasadzie francuskiej słyszałem o obostrzeniach, które policja austriacka jakoby zaczęła wprowadzać w Galicji. Opuszczając Wiedeń, aby udać się do granicy rosyjskiej, spodziewałem się kłopotów. Nic takiego nie miało miejsca. Wszakże sądząc po rozmowie prowadzonej w języku niemieckim przez dwóch młodych ludzi jadących do Krakowa, można było wywnioskować, że Rząd Austriacki mógł okazać pewną surowość. Panowie ci z egzaltacją mówili o ostatnich sukcesach odniesionych przez partie polskie w województwie krakowskim i wydawali się przeko-

nani, przynajmniej jeden z nich, że na wiosnę Powstanie rozszerzy się na prowincje austriackie. Dziwiąc się, że zima jest taka łagodna, cieszyli się twierdząc, że Bóg w sposób oczywisty sprzyja ich braciom w Polsce *(unsere polnischen Brüder)*. Nie wiedzieli, że na tyle znam niemiecki, by ich rozumieć. Zresztą później rozmawiali ze mną po francusku i bez skrępowania krytykowali rząd austriacki za to, że nie troszczy się o rozwój rolnictwa lub przemysłu na równinie galicyjskiej, dodając, że zbudowanie w tym kraju mało kosztownej sieci dróg komunikacji uczyniłoby z niego w krótkim czasie jeden z najbogatszych krajów Europy. Jako przykład podali fakt, że Rząd Austriacki sprzeciwił się założeniu stowarzyszenia mającego na celu zbudowanie kolei żelaznej na odcinku między Krakowem a ....?, krainą żyzną i posiadającą nawet nieeksploatowane bogactwa naturalne. Przyczyną odmowy była jakoby obawa, że pod przykrywką przedsiębiorczości przemysłowej utworzyłyby się potężne towarzystwa, które nabrałyby znaczenia politycznego. Nie wiem, na ile można wierzyć tym twierdzeniom. W każdym razie świadczą one o braku sympatii jeżeli już nie do Austrii, to przynajmniej do administracji austriackiej. Czy odzwierciedlają one opinię publiczną?

W każdym razie podróż moją odbyłem bez kłopotów aż do granicy rosyjskiej.

Jednak z chwilą przybycia do Granicy sprawy przybrały nagle inny obrót. Uderzyło mnie przede wszystkim niezwykłe zgrupowanie siły militarnej dookoła stacji. Gdy pociąg dojechał, stacjonowała tam mniej więcej setka żołnierzy i kilku oficerów z bronią na ramieniu, w stanie gotowości bojowej. Paszport mój został najdokładniej przejrzany najpierw na posterunku policji, następnie przez specjalnego urzędnika, wreszcie przez oficera w mundurze. Moje walizy, które nie były nawet otwarte w Austrii, zostały skrupulatnie przetrząśnięte. Z trudnością udało mi się pohamować gorliwość urzędników, którzy z uporem, za pomocą gestów, żądali otwarcia walizy Konsulatu Generalnego oraz portfela przeznaczonego na depesze. Nikt nie znał lub udawał, że nie zna francuskiego ani niemieckiego. Zwróciłem się do oficera rosyjskiego, którego chciałem prosić o posłużenie mi za tłumacza z zapytaniem: *„Parlez-vous français, Monsieur"* (Czy mówi pan po francusku) — *„Non"* (nie) — odpowiedział brutalnie i odwrócił się do mnie plecami. Był to ten sam oficer, który dopiero co miał mój paszport w rękach. Na koniec udało mi się zdobyć bilet do Warszawy. Jeżeli chodzi o bagaże, to przybyły one szczęśliwie na miejsce. Nie ma w tym żadnej mojej zasługi. Przez całą drogę spotykałem się z podobnym nadzorem, podobną ostrożnością i podobnymi żądaniami. Co pół godziny (na co drugiej

stacji) żąda się paszportu, który jest zawsze bardzo starannie oglądany. Nikt nie odpowiada na pytania stawiane po francusku lub po niemiecku, a przecież kolej żelazna należy do towarzystwa niemieckiego. Na każdej stacji mniej lub bardziej liczna grupa żołnierzy z bronią na ramieniu czeka na przejazd pociągu. Jak mi powiedziano, dawniej w samym pociągu przewożono wojsko. Nie zauważyłem tego podczas mojej podróży. Zresztą wobec faktu, że lasy sosnowe rosnące wzdłuż kolei zostały niedawno wycięte lub zdziesiątkowane, co można stwierdzić chociażby po zielonych jeszcze drzewach leżących na ziemi, uznano widocznie eskortowanie przez żołnierzy pociągów za zbyteczną ostrożność. Uderzył mnie szczególnie brak jakiegokolwiek komfortu, nawet w wagonie pierwszej klasy, jakim podróżowałem. Bogato obity aksamitem, z ozdobnym sufitem, wagon ten nie posiadał dywanu, nie był ogrzewany, a okna się nie domykały. Podkreślam ten drobny fakt, ponieważ wydaje się on świadczyć o dążeniu do zniechęcania trudnościami w podróżowaniu osób, które ciekawość mogłaby przyciągnąć do Polski.

Wygląd wojsk liniowych, które stacjonują wzdłuż całej drogi, wydał mi się nędzny. Źle odziani, prawdopodobnie źle karmieni, żołnierze wydają się bardzo zmęczeni. Ta nieustanna służba w śniegu i błocie musi rzeczywiście być niezwykle przykra.

Przybyłem wreszcie do Warszawy, gdzie obecność pracownika Kancelarii pozwoliła mi prawdopodobnie uniknąć przykrej rewizji osobistej, którą — jak mi powiedziano — muszą znosić wszyscy podróżni bez wyjątku. Następnie spotkałem się ze strony pana de Valbezen z życzliwą gościnnością, którą okazuje dyplomatom z Departamentu.

Nie jest moim zadaniem mówić o sytuacji politycznej w Warszawie. Nie mogę wszakże przemilczeć wrażenia, jakiego doznałem w swoich przejazdach po mieście, zupełnie odmiennego od tego, jakiego oczekiwałem. Zamiast smutnego, szarego i wyludnionego masta, jakie sobie wyobrażałem, widziałem ulice pełne ludzi, gdzie policja nie wydaje się przeszkadzać w ruchu. Co prawda pogoda była wspaniała, poza tym była sobota, dzień święta i spacerów dla Żydów. Zapewniano mnie, że w każdy inny dzień nie zobaczyłbym podobnego ruchu. Jest to możliwe, chociaż trudno mi uwierzyć, by sklepy otwarte i pełne klientów w sobotę były puste w pozostałe dni tygodnia. Mówiono mi o egzekucjach, o aresztowaniach spowodowanych barwą strojów, o zakazie noszenia w miejscach publicznych żałoby bez specjalnego zezwolenia. Faktów tych nie sposób podważyć, ale jeżeli chodzi o mnie, niczego takiego nie udało mi się zobaczyć. Począwszy od piątej po południu zabrania się chodzić po ulicach bez latarni.

Rozporządzenie to wchodzi w skład systemu kar, nakładanych na ludność. Niektóre osoby, dworując sobie z tego zarządzenia Gubernatora, wymyśliły, że będą nosić maleńką latarenkę, przypiętą do butonierki. Są one specjalnie fabrykowane i sprzedawane w tym celu. Jak dotąd policja nie reagowała na taką interpretację rozporządzenia. Od godziny dziesiątej wieczorem do piątej rano nikt nie może wychodzić z domu nie mając przy sobie zezwolenia wydanego przez Rząd.

Oddziały Gwardii Cesarskiej, skoszarowane w Warszawie, wydały mi się bardzo piękne. Piechota jest dobrze odziana i uzbrojona w gwintówki. Żołnierze pełniący wartę wyposażeni są w kożuchy. Pułk huzarów z Grodna, który widziałem w komplecie, dosiadał koni karo-gniadych, pułk lansjerów z czerwonymi chorągiewkami, z którego widziałem kilka oddziałów, wydał mi się wspaniały. Nie mogę tego samego powiedzieć ani o regularnym wojsku Czerkiesów, ani o Kozakach, ani o piechocie liniowej.

Wizyta w Pałacu Potockich, gdzie panuje najwykwintniejszy zbytek oraz zapewnienia pana de Valbezen, że kilka polskich rodzin przepuszcza w ten jałowy sposób olbrzymie sumy, skłoniły mnie do refleksji, której nie mogę przemilczeć. Porównując ten przepych z wyjątkową nędzą, jaka, o ile mogłem się przekonać w tak krótkim czasie, jest udziałem znacznej większości ludności, można dojść do wniosku, że istnieje tu zbyt wielka różnica w warunkach bytu, że pewne klasy są zbytnio uprzywilejowane kosztem mas i że wygłodniałe chłopstwo nie może żywić zbyt wielkiej sympatii dla arystokracji, posiadającej całe bogactwo kraju. Jeżeli uwaga ta jest uzasadniona, to czy nie tutaj należy szukać przyczyny, dla której nie udaje się utworzyć narodowości polskiej?

Warszawę opuszczałem następnego poranka. Przypadek pozwolił mi nawiązać na początku mojej podróży znajomość z Polakiem, który okazał się wobec mnie niezwykle uprzejmy. Był jeszcze pod silnym wrażeniem gwałtownego zajścia, którego padł ofiarą. Otóż w drodze na dworzec powóz jego wpadł w środek bandy kozaków, którzy go zatrzymali i zaczęli okładać batogami jego stangreta, dopóki nie otrzymali żądanych pieniędzy. Opowiedziawszy mi o tym i dowiedziawszy się z mego paszportu, kim jestem, mój towarzysz podróży stawał się coraz bardziej rozmowny. Mówił mi o Francji, gdzie mieszkał w swoim czasie, o długu wdzięczności, jaki Polacy mają wobec Cesarza, który uczynił dla nich wszystko, co było w jego mocy, o kongresie planowanym przez niego wyłącznie z myślą o odbudowaniu Polski, o szczęściu Włoch, sąsiadujących z Francją na tyle blisko, że mogła ona

udzielić im niezbędnej pomocy, o Anglii i o nienawiści Polaków do tego narodu, któremu przypisywali ruinę swych oczekiwań narodowych i niewielką skuteczność moralnego wsparcia udzielonego jego krajowi z inicjatywy Francji, a także odroczenie projektu kongresu, od którego uzależniał przyszły los swej ojczyzny. Mówił mi także wiele o samym Powstaniu i o szansach jego trwania. Powiedział, że jest kuzynem dowódcy partii nazwiskiem Sirowicz [Sirowicki?], który z powodu choroby i odniesionych ran był zmuszony rozwiązać partię i któremu udzielił gościny w swoim pałacu.

Jego zdaniem Powstanie nieprędko się skończy. Organizuje się z myślą o przyszłej wiośnie, ale nawet zimą nie pozostanie bezczynne. Wszyscy dowódcy przyjęli tę samą taktykę. Drobne oddziałki będą ukazywać się jednocześnie w wielu miejscach tak, by wciągnąć wojsko rosyjskie w pogoń za nimi. Nie dąży się do walki, a jedynie do nękania wroga. Z chwilą, gdy oddział rosyjski ma ich dosięgnąć, partia powstańcza rozprasza się. Kilka oddalonych wystrzałów karabinowych podtrzymuje pościg, następnie wszyscy się rozpierzchają, zmuszając Rosjan do powrotu, w błocie i śniegu, do miejsc skoszarowania. Jak mówił, system ten ma wyczerpać wojska rosyjskie i na wiosnę Polacy staną wobec wycieńczonej i zdezorientowanej tą bezskuteczną wojną armii. Wówczas wszyscy powstaną. Każdy z 40 powiatów utworzonych przez Rząd Narodowy dostarczy po 7.000 ludzi. Będą mieli co najmniej 240.000 bojowników, którzy przystąpią do walki.

Gdy wtrąciłem, że można się przeliczyć, odpowiedział: — Tak, ale nie na tyle, ile pan sądzi. Zresztą armia rosyjska liczy zaledwie 250.000 ludzi, z których należy odliczyć garnizony miejskie. — A broń? — spytałem. — Będziemy ją mieli. Na 100.000 karabinów na granicach pruskiej i austriackiej zatrzymuje się 75.000, jednak 25.000 się przedostaje, jest to kwestia pieniędzy. Jesteśmy bogaci dzięki podatkom dobrowolnie wpłacanym przez naród. Skarb narodowy posiada w swych kasach 120 milionów [!]. Będzie ich potrzebował więcej? — dostanie je.

Gdy zrobiłem uwagę, że Rząd Rosyjski może przez konfiskatę majątków zwolenników Powstania, nawet tych nieujawnionych, wstrzymać dopływ tego bogactwa — odparł: — Liczymy się z tym. Jeżeli Rząd Rosyjski chwyci się tego sposobu, zahipotekujemy nasze ziemie w bankach angielskich. Z pewnością dadzą nam za nie jedną trzecią ich wartości. To wystarczy. Wszyscy Polacy, wszystkich klas, sprzyjają dziś Powstaniu. Na początku chłop był obojętny. Bezsensowne okrucieństwo Rosjan, którzy

batożą go i okradają, pchnęło go w nasze szeregi. Każdy z nich po kolei przychodzi do partii na tydzień czy dwa, następnie wraca do domu, a inny przychodzi go zastąpić.

— Aby ich skuteczniej przyciągnąć, Rząd Narodowy rozkazał właścicielom ziemskim oddanie chłopom części dzierżawionej ziemi i wszyscy oni ten rozkaz wykonali. Mój ojciec, właściciel ziemski w okolicach Częstochowy, posiadający 6.000 hektarów, oddał z nich 3.000 (hektar wart jest około 100 franków). Wszyscy tak postąpili. W ten sposób rozbudzono wśród chłopów zainteresowanie sprawą narodową, która uczyniła z nich właścicieli. Toteż jeżeli we wsi pokaże się partia powstańcza, znajdzie tam nocleg, pożywienie dla ludzi i koni. Jeżeli Rosjanie ich ścigają, chłopi dadzą się wybatożyć, a nie zdradzą. Pracownicy kolei, nawet jeżeli nie są wśród powstańców, kochają Polskę. Nigdy nas nie zdradzą. Dzieci służą nam za zwiadowców, toteż zawsze w porę powiadamiane o ruchach Rosjan, nasze partie pozwalają się atakować jedynie wówczas, gdy jest im to na rękę. Rosyjska policja nie jest sprytna. Powstańcy swobodnie przemierzają Polskę. Są też między nami tutaj, w tym pociągu.

— Powstanie jest już zorganizowane, kraj został podzielony na 40 powiatów. W każdym z nich Rząd Narodowy, nieznany masom, wyznaczył naczelników cywilnego i wojskowego. Obaj znani są społeczeństwu. Jak dotąd, żadnego jeszcze nie wydano. Rząd Narodowy zabronił Polakom wnosić sprawy do sądów rosyjskich. Trybunały rosyjskie świecą pustkami. W razie procesu cywilny naczelnik, powiadomiony przez strony, zwraca się do Rządu Narodowego, który zna tylko on. Rozjemca, wyznaczony przez Rząd, zgłasza się i wydaje ostateczny wyrok.

— Ale gdzie przebywa ten Rząd Narodowy? — spytałem. Tu mój rozmówca stał się bardziej dyskretny i wydał się niezadowolony z mojego pytania. — Istnieje, może pan być o tym przekonany. Żaden Polak nie podróżuje bez wydanego przezeń paszportu. I rzeczywiście wyciągnął z rękawiczki i pokazał mi maleńki, niezmiernie cienki kwadracik papieru, pokryty polskim pismem. Miał przy sobie inne papiery tego samego rozmiaru, z których jeden, jak mi powiedział, zawierał rozkaz do wszystkich właścicieli ziemskich dostarczenia mu na żądanie koni pocztowych.

— Nie znamy się wzajemnie — dodał — ale mamy znaki rozpoznawcze. Zwłaszcza dowódcy są nieznani, a jednak spełniamy ich rozkazy. Wówczas wyraziłem zdziwienie, że ten tak aktywny Rząd Narodowy nie został dotąd przyłapany. — To prawda — wykrzyknął — Rosjanie nie są zręczni. Na szczęście nie mają inteligencji francuskiej policji.

Rozwodził się jeszcze nad wieloma innymi sprawami. — Proszę zauważyć, powiedział, ten wyjątkowy fakt w dziejach wojen domowych, że, jak dotąd, ani jedna banda złoczyńców nie skorzystała z chaosu panującego w kraju, by pod pretekstem polityki dopuszczać się kradzieży czy rozbojów. Rząd Narodowy ogłosił karę śmierci za kradzież. Sprawcy odosobnionych kradzieży zostali ukarani śmiercią. Nikt nie protestował. I to są właśnie te zbrodnie, jakie niektórzy nam zarzucają. Aby nie szkodzić polskiemu handlowi, Rząd Narodowy zabronił przemytu. Nie istnieje już inny przemyt jak tylko broni wojennej. Gotowi jesteśmy wszystko wycierpieć, byle tylko przedłużyć walkę. Rządzi nami jedynie poczucie narodowości. Jeżeli nie uda nam się zwyciężyć Rosji, to ją zrujnujemy. Chcemy Polski całej, tej z 1772. Zresztą w Europie może mieć miejsce jakiś splot wydarzeń, z którego wyniknie wojna, a wojna ta okaże się dla nas korzystna bez względu na to, czy osłabi Austrię, Prusy czy Rosję. Do tego czasu postaramy się wytrwać, a nasze dzieci, wychowane w nienawiści do Rosji, zastąpią nas w walce.

Teraz już nie liczymy na pomoc państw obcych. Francja, zbyt odległa, nie może dla nas niczego uczynić. Anglii nienawistna jest myśl o naszej niepodległości. Jest ona świadoma, że Polska, związana wspomnieniami z Francją, będzie jej niezmiennym sojusznikiem. Z naszym zasobnym rolnictwem, z naszymi kopalniami węgla, miedzi i srebra, podwoimy wpływ Francji na północy.

Wówczas powiedziałem mu, że z tego co mi opowiada wynika, iż Rząd Narodowy istnieje od dawna, a organizacja, o której mi mówi, nie powstała z dnia na dzień. W związku z tym można się dziwić, iż wybrano właśnie obecną chwilę, aby wywołać walkę, byłoby może rozsądniej poczekać na bardziej sprzyjającą okazję oraz uzupełnić organizację wojskową.

— Ma pan rację — odparł — ale nie mogliśmy czekać na taką chwilę. W ubiegłym roku istniały trzy stronnictwa: margrabiego Wielopolskiego, szlachty z Zamoyskimi na czele, stronnictwo Mierosławskiego z radykalnymi rewolucjonistami. Bogaty arystokrata margrabia Wielopolski nie oczekiwał niczego od Rosjan, nie można go więc podejrzewać o brak patriotyzmu, ale pomylił się chcąc działać, nawet dla dobra swego kraju, nie licząc się z opinią publiczną, zdecydowanie wrogą Rosjanom. Polska nie chce być szczęśliwa dzięki Rosji i pod jej jarzmem. Szczęśliwi czy nieszczęśliwi, Polacy pragną być przede wszystkim wolni. Stronnictwo rewolucyjne, zapalczywe i wymieszane z obcym żywiołem, już od dawna popychało do natychmiastowego czynu zbrojnego. Stronnictwo szlacheckie, choć odpychające Rosję i od-

mawiające wszelkich zobowiązań wiernopoddańczych, chciało zyskać na czasie, aby w tajemnicy organizować się, kontynuować dawno rozpoczęte dzieło i poczekać na jakąś sprzyjającą okazję. Niestety, dekret o brance głęboko rozdrażnił społeczeństwo, zaczęto oskarżać o zdradę Rząd Narodowy, który pobierał podatki a niczego nie robił. W obawie, że zostanie wyrugowany przez stronnictwo rewolucyjne, Rząd Narodowy musiał zacząć działać. Powstanie wybuchło. Czy stało się dobrze czy źle, nie wiem.

Spisałem w sposób możliwie wierny najciekawsze fragmenty tej rozmowy, która była bardzo długa. Sporą jej część byłem zmuszony pominąć. Czy przedstawione tu fakty są prawdziwe? Nie mogłem tego sprawdzić. Mój rozmówca, który mógł mieć 28-30 lat, wydał mi się człowiekiem dystyngowanym i, poza pewną dozą egzaltacji, sądzę, że był szczery.

Żegnając się ze mną w Częstochowie powiedział mi swoje nazwisko: Andrzej .....wa. Zapomniałem. — Nie mogę panu dać swojej wizytówki — dodał — nie nosimy ich przy sobie. Gdyby któryś z nas został aresztowany, znalezione przy nim wizytówki mogłyby skompromitować osoby, których nazwiska znajdują się na nich. Wręczyłem mu moją. Mam nadzieję, że nie zostanę skompromitowany za to, że słuchałem.

Dalsza moja podróż nie odznaczała się niczym interesującym. Wydaje mi się słuszne pominąć ją milczeniem.

DUCHESNE DE BELLECOURT

(Tłumaczyła z francuskiego Krystyna MADOŃ)

RECENZJE

Jerzy KORCZAK

PISANIE O WRZEŚNIU

1

Setki, jeśli nie tysiące stron zapisali niezależnie myślący ludzie pióra wszelkich profesji, wyliczając kłopoty związane z przedzieraniem się przez gęste zapory zakazów, nakazów i chytrze zastawianych pułapek wydawniczo-cenzuralnych. Cel był jeden: zachować kształt dzieła zgodnie z własną autorską intencją, bez półprawd, ugładzeń, przycienień i zatajeń. Bowiem — powtórzmy ten truizm raz jeszcze — od samego początku PRL, zawsze, na każdym etapie, intencją władzy było naginanie historycznych faktów do aktualnej taktyki. Odsłanianie okrzyczanych „białych plam" to też przecież nic innego jak kolejna konieczność taktyczna. Stąd widzowie, słuchacze i czytelnicy mogli w listopadzie ubiegłego roku, w związku z siedemdziesiątą rocznicą odzyskania niepodległości, wysłuchiwać aż do znudzenia płynących z głośników legionowych melodii, nadstawiać ucha na tasiemcowe pogadanki o wymarszu pierwszej kadrowej i oglądać na szklanym ekranie niemal co dnia wspaniałą twarz pierwszego Marszałka. Bardziej dociekliwym umożliwiono także sięganie na księgarskie półki po sprytnie przez cenzuralne sito przesiane dzieła Piłsudskiego i o Piłsudskim. Rzecz jasna: o wojnie 1920 roku i o warszawskiej bitwie nie wspominano wcale lub tylko półgębkiem i zawsze w jednoznacznym kontekście: strona sowiecka w tym

konflikcie winy nie ponosiła żadnej. Ten punkt widzenia potwierdzają także skąpe wzmianki w licznych podręcznikach pisanych przez usłużnych historyków. Nie trzeba dodawać, że to podstawowe dla przyszłych losów Polski wydarzenie nie mogło się doczekać drukowanej monografii.

To zresztą tylko jeden z wielu przykładów. Bo prawda o zbrodniach Stalina to temat już do znudzenia wytarty, często mający na celu odwrócenie uwagi od nieprawości dnia dzisiejszego. A Katyń — jeśli kropka nad i zostanie wreszcie ostatecznie i do końca postawiona — to mord dokonany przez NKWD, a nie przez zbrodniczy system.

Koło się zamyka. A jak na tym tle wygląda docieranie do czytelnika z tematyką września 1939? Oto garść drobnych epizodów z własnej pisarskiej praktyki.

2

Pomysł napisania książki o losach armii poznańskiej we wrześniu 1939 przyszedł mi do głowy jeszcze za „późnego Gomułki". Frapowała mnie nie tylko dynamika i zmienność sytuacji owej największej wrześniowej bitwy, która rozgorzała nad Bzurą, a potem przebijanie się zdziesiątkowanych dywizji poprzez Puszczę Kampinoską do walczącej stolicy, ale wspaniałe postacie żołnierzy i dowódców wszystkich szczebli. Nadto wizja kończącej się epoki, historyczny symbol wrzucanych do rzeki zbytecznych już lanc, szarże bijących się do upadłego ułańskich szwadronów, które pierwsze osiągnęły rogatki Warszawy. Nie dawała mi spokoju sylwetka generała Tadeusza Kutrzeby, który, zadając ciężkie straty Niemcom, działał od początku do końca w pełnym osamotnieniu. Najpierw pewien był, że sąsiad od południa, generał Rómmel, dowódca Armii Łódź, zwiąże we właściwym momencie część nacierających sił wroga, a następnie — mamiony obietnicami — łudził się, że z Warszawy przebije się w końcu ku jego wojskom jakaś odsiecz. Na przekór piętrzącym się ze wszystkich stron przeszkodom, a także wbrew planom i woli Naczelnego Dowództwa, potrafił Kutrzeba doprowadzić do bitwy, która stała się najważniejszym starciem zbrojnym w całym wrześniu. Nie trzeba bowiem znać się na strategicznych zawiłościach, aby wiedzieć, że właśnie nad Bzurą, a nie pod Piotrkowem czy w fazie następnej — nad Sanem i Wieprzem, jak to planował Naczelny Wódz — rozstrzygnęły się losy kampanii.

Nie została też Kutrzebie oszczędzona gorycz zawodów w najbliższym otoczeniu. Pasywna, a następnie zaskakująca wręcz po-

stawa generała Bortnowskiego, dowódcy Armii Pomorze, z którą ostatecznie sprzęgnięte zostały wspólne losy obu armii, stanowiła ogromne dodatkowe obciążenie w jego działaniach. Sam stosunek tych dwóch ludzi w obliczu sytuacji ostatecznych mógłby stanowić kuszący i bogaty materiał literacki. A przecież były jeszcze dziesiątki innych dramatycznych spięć i wydarzeń, godnych zapisu i pamięci, a także ogromnie bogata galeria postaci. To dzięki wspaniałym ludzkim postawom możemy dziś — z perspektywy lat już pięćdziesięciu — powiedzieć z czystym sumieniem, że były to nie tylko dni klęski, lecz także dni chwały.

Ostatecznie — poprzez ogień i wodę — zdołał Kutrzeba dwudziestego dnia wojny doprowadzić do walczącej stolicy ponad czterdzieści tysięcy żołnierzy. Większość z nich brała udział w obronie Warszawy do dnia kapitulacji, a potem wielu podjęło walkę w podziemiu.

3

Moment na wydanie książki o tej tematyce wybrałem wyjątkowo niekorzystny. Właśnie zwożono z księgarń na przemiał „Wojnę polską" Leszka Moczulskiego, gdzie do przypisów zdołało się wkraść słynne zdanko Mołotowa o Polsce „bękarcie traktatu wersalskiego". Podobny los spotkał chudą i powierzchowną zresztą książeczkę Jerzego Suczyńskiego pt. „Tadeusz Kutrzeba", wydaną w szybko później zlikwidowanej serii „Współczesne życiorysy Polaków". Nie były to przypadki odosobnione. Wszystko co dotyczyło uczciwego spojrzenia na wrzesień, Armię Krajową, wojnę domową w okresie „utrwalania władzy ludowej", a także dziesiątki innych tematów z najnowszej historii, nie mówiąc już o tekstach, które miały jakikolwiek styk tematyczny z Wielkim Bratem, znajdowało się w polu najbardziej czujnej uwagi sterników ówczesnej kulturalnej nawy. A były to tuzy nad tuzami. Przypomnijmy, że za „wczesnego Gierka" za kulturę na najwyższej politycznej drabinie odpowiedzialny był Jerzy Łukaszewicz, a nieco później inny intelektualista — Jan Szydlak. Wiele w związku z tym kursowało w owym okresie gorzkich dowcipów, ale mało komu było do śmiechu. Zwłaszcza zainteresowanym autorom.

Dziś te nazwiska mówią niewiele, odeszły w niepamięć razem z kolejnymi ekipami. Ale warto przypomnieć zasadę, która obowiązuje po dziś dzień, a z której nie wszyscy zdają sobie sprawę. To nie cenzorzy mają decydujący głos w sprawach wydawniczych. Im przypada rola przeważnie wykonawcza. Wątpliwe teksty znaj-

dowały się zawsze w gmachach instancji partyjnych — niektóre na szczeblach sekretarzy KC, a w terenie u odpowiednich realizatorów odgórnych poleceń, czyli funkcjonariuszy szczebla wojewódzkiego. Tam i tylko tam zapadały decyzje.

Bywało też jeszcze inaczej. Szefowie wydawnictw i ich co gorliwsi współpracownicy do żadnych wyższych urzędów dyskusyjnych tekstów nie dopuszczali. Sami pełnili rolę strażników partyjnej linii, nadstawiając gorliwie uszy na wiatry z góry. A ta odgórna linia to był nie tylko tekst, lecz także osoba autora. Wystarczyło, aby koło Iksa czy Igreka robił się ideologiczny smrodek, a jedno słówko, najczęściej ze środowisk policyjnych, powodowało, że maszynopis wędrował na zakurzone półki. Niekiedy — choć rzadko — wydobywano go stamtąd ze względów taktycznych: raz po raz trzeba było udowodnić, że i nieprawomyślnych się wydaje. Zawsze pachniało to jednak ryzykiem, groziło nadwątleniem prominentnej pozycji, a w drastyczniejszych przypadkach nawet zmianą dyrektorskiego fotela na mniej wygodny. Dlatego takie przypadki bywały uzgadniane ze szczególną precyzją.

4

Któregoś dnia — po wielu miesiącach od złożenia maszynopisu — przyszedł do mnie zaprzyjaźniony redaktor i z triumfalną miną oznajmił: — Jest dobrze. Wiatry się zmieniają. Bierz się do roboty, a tekst pójdzie szybko do produkcji.

Popatrzyłem na niego pytająco. Był mi zawsze życzliwy i w jego dobre intencje nie mogłem wątpić. Tyle, że młodszy był ode mnie o lat prawie dwadzieścia; mniej wiedział o świecie, a w każdym razie na pewno patrzył wokół oczyma innego pokolenia.

— O czym mówisz? — spytałem.

— Musisz bardziej uwzględnić w książce nurt plebejski i ścieniować generała Abrahama. Z resztą sobie jakoś poradzimy — odpowiedział.

— Co to znaczy nurt plebejski?

Zawahał się wzruszył ramionami i zgasł równie szybko jak się zapalił. Nie bardzo potrafił otrzymaną odgórnie instrukcję przełożyć na język konkretu. — No tak, prawda — bąknął po chwili — przecież w tekście występują setki żołnierzy. Przeważnie to plebejusze. Tylko ci generałowie. Trochę ich dużo. No i Abraham. Ścieniujesz go?

Zaprzeczyłem stanowczo, przypominając, że przecież trzech

generałów zginęło walcząc w pierwszej linii* i zaraz zamyśliłem się nad legendarną postacią dowódcy wielkopolskiej jazdy. Było wiadomo, że właśnie osoba tego generała, rodem ze znanej lwowskiej rodziny profesorskiej, jest obiektem szczególnie zaciekłej nienawiści władz. Obrońca Lwowa w pierwszej wojnie światowej, krewki i bezkompromisowy, tak w wojowaniu, jak i w życiu cywilnym, uparcie, gdzie tylko mógł wypowiadał się pełnym głosem na temat otaczającej go rzeczywistości. Nadto walczył z niezwykłą zaciętością o poprawę losu swoich ułanów, stukał do wszystkich możliwych drzwi, nie zrażając się gniewem i odmowami zbowidowskich kacyków. Ale nie to było główną przyczyną nienawistnego do niego stosunku. Otóż generał słał list za listem do samego Breżniewa w sprawie cmentarza orląt lwowskich, nie szczędząc także uwag na inne, równie drażliwe tematy. Miał w nosie wszelkie szykany i ostrzeżenia, a jako odpowiedź władzom zorganizował, wraz z gronem byłych wyższych dowódców, manifestacyjną pielgrzymkę na Jasną Górę, gdzie jako votum przekazał swój krzyż Virtuti Militari.

— Co masz jeszcze? — spytałem redaktora, chcąc hurtem wiedzieć, co w trawie piszczy.

— Zdjęcia. Trzeba będzie zachować właściwe proporcje. Najwięcej zwykłych żołnierzy, podporucznicy do kapitana też ostatecznie. Ale wyższych szarż musi być minimalnie.

To rzekłszy, wyciągnął z chlebaka pełny zestaw fotografii i tak właśnie, według szarż, zaczął układać je na stole.

5

Oto mała dygresja, tylko z pozoru nie na temat.

Sprawa niedokończonego pomnika Armii Poznań straszyła w stolicy Wielkopolski przez długie lata. Nikt nie chciał podjąć decyzji, aby dawno zatwierdzony projekt realizować. To nie było funduszy, to znowu brakowało właściwego materiału, ktoś inny na wysokim szczeblu zauważył czujnie, że pomnikowe bagnety zwrócone są w niewłaściwym kierunku, bo na wschód.

Aż nagle wszystko się zmieniło. Budowa ruszyła w szalonym tempie. Na Cytadeli instalowano gorączkowo muzeum poświęcone wrześniowym bitwom. Prasa i inne środki masowego przekazu zaczęły piać z zachwtu, że wreszcie „zbrojny czyn żołnierzy Września znajdzie godne upamiętnienie". Generał Kutrzeba w rocznicę września 1982 roku otrzymał pośmiertnie Wielką

* **Mikołaj Bołtuć, Stanisław Grzmot-Skotnicki, Franciszek Wład.**

Wstęgę Orderu Virtuti Militari. Pełno było uroczystych mów, słowa padały wielkie i pompatyczne. Że trzeba czcić i pamiętać. Że Ojczyzna nigdy nie zapomni. Że nie wolno odżegnywać się od tradycji.

Wszystko co wczoraj było złe i wrogie okazywało się teraz przyjazne, własne, godne czci i miłości. Jak zawsze, gdy polityczna atmosfera zmusza do kolejnej zmiany taktyki.

A ja, mały pionek w trybach tej zakłamanej machiny, przecierałem oczy ze zdumienia i dostawałem mdłości.

6

Czas mijał. Potwornie długi proces wydawniczy ma jednak swoje dobre strony. Byle mieć cierpliwość. Byle nie dać się zastraszyć. Byle zapanować nad jakże skądinąd uzasadnioną autorską nerwowością.

Jest trzeci czerwca Anno Domini 1989. Tylko niespełna doba do wyborów. Książka o wrześniu 1939 — w kształcie, jakiego chciał autor — dawno już jest wydawniczym faktem dokonanym, a wszystko o czym wyżej to już chyba tylko wspomnieniowa anegdota. Jesteśmy aktualnie — jak nigdy dotąd — na etapie pełnej odwilży. Naklejam znaczki na list. Sen czy jawa? Przedstawiają wizerunki generałów, którym odebrano przecież obywatelstwo: Anders, Maczek, Sosabowski.

Tylko co będzie jutro? Kogo zobaczymy na pocztowych znaczkach?

Jerzy KORCZAK

Anna M. CIENCIAŁA

POLITYKA FRANCJI I ANGLII W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

W niniejszej pracy* profesor Wandycz — który opisał stosunki Francji z jej aliantami wschodnimi w książce wydanej w

* **Piotr S. Wandycz, *The Twilight of French Eastern Alliances, 1926-36. French-Czechoslovak-Polish Relations from Locarno to the Demilitarization of the Rhineland.* Princeton University Press, 1988, str. 537.**

1962 roku (*France and her Eastern Allies 1919-1925*, University of Minnesota Press, 1962) — przedstawia ich ciąg dalszy w latach 1926-1936. Książka składa się z dwóch części: pierwsza (rozdz. 1-8) obejmuje okres od 1925 do początku 1933 roku, tj. do objęcia władzy w Niemczech przez Hitlera, druga (rozdz. 9-13) okres od początku 1933 roku do remilitaryzacji Nadrenii w marcu 1936. Praca ta — wynik wieloletnich badań nad źródłami archiwalnymi polskimi, francuskimi, brytyjskimi, niemieckimi, amerykańskimi oraz dostępnymi autorowi źródłami czeskimi i bogatą literaturą tematu — stanowi prawdziwy *tour de force* w dziedzinie historii dyplomacji, a zarazem definitywne studium stosunków między Francją, Polską a Czechosłowacją w latach 1926-1936. Z tych też powodów książka jest skarbnicą źródłowych informacji nie tylko dla historyków stosunków międzynarodowych tego okresu, lecz także dla czytelników interesujących się polityką zagraniczną Drugiej Rzeczypospolitej.

Szczegółowe studium polityki francuskiej wobec sojuszników, jak też światopoglądów, celów i metod działania przywódców tych krajów, unieważnia wiele przedawnionych lecz wciąż żywotnych stereotypów, wynikających z niewiedzy, lub też z ówczesnych poglądów politycznych. Tak więc nie można po przeczytaniu pracy Wandycza obarczać polityki polskiej winą za ochłodzenie stosunków z Francją w latach trzydziestych, ani przypisywać Warszawie wyłącznej odpowiedzialności za chłodne stosunki z Pragą. Nie można też dalej głosić, że polityka Józefa Becka była proniemiecka. Chociaż autor bynajmniej nie występuje jako obrońca polityki zagranicznej Józefa Piłsudskiego i Józefa Becka, to tym niemniej dochodzi do wniosku, że lawirowali oni jak mogli, by zabezpieczyć żywotne interesy Kraju.

Aczkolwiek autor poświęca wiele uwagi polityce Polski i Czechosłowacji wobec Francji, ich wzajemnym stosunkom oraz dziejom Małej Ententy, to przecież głównym przedmiotem jego badań jest polityka zagraniczna Francji. Zastanówmy się więc, jak to się stało, że stanowisko Francji, głównej ostoi jej sojuszników wschodnich — uważanych przecież za rękojmię jej bezpieczeństwa wobec Niemiec — uległo tak wielkiemu osłabieniu w latach 1926-1936?

Autor słusznie wskazuje na słabe zainteresowanie finansjery francuskiej Polską, na rolę wewnętrznych konfliktów politycznych oraz — zwłaszcza w okresie 1934-1936 — na słabość gospodarczą Francji wobec potęgi Niemiec, ale zwraca też uwagę na rolę Wielkiej Brytanii, która nigdy nie uważała Europy środkowej (bądź środkowo-wschodniej) za strefę swych żywotnych

interesów. Wręcz przeciwnie, Londyn zawsze uważał ją za obszar należący do interesów bądź Niemiec, bądź Rosji, a w okresie międzywojennym za naturalną strefę interesów gospodarczych Niemiec. Wobec powyższego wszystkie rządy brytyjskie krzywo patrzyły na wpływy francuskie, uważając, że kraje związane z Francją idą na pasku Paryża. Uzależnienia bezpieczeństwa Francji od Wielkiej Brytanii — któremu hołdowali wszyscy bez mała francuscy mężowie stanu — nie można więc było połączyć z poparciem Londynu dla wschodnich sojuszników Paryża; w istocie stanowiło to przysłowiową kwadraturę koła. Nic dziwnego, że kolejne rządy francuskie — ciesząc się w tym względzie poparciem Wielkiej Brytanii — starały się zabezpieczyć przez porozumienie z Niemcami, w tym nawet kosztem Polski, a jednocześnie starały się zapewnić sobie na wszelki wypadek pomoc sojuszników przeciwko Niemcom. Francja dążyła w tym celu do ułożenia wojskowej współpracy polsko-czechosłowackiej, jak też do włączenia w ten system Rosji Sowieckiej. Tymczasem i Praga i Warszawa uważały się za głównego alianta Francji, która z kolei nie potrafiła im narzucić pożądanej współpracy. Tu autor wykazuje, iż w latach dwudziestych i wczesnych trzydziestych taką współpracą interesowała się żywo Warszawa. Jednak mimo poparcia ze strony generalnego sztabu czeskiego, prezydent Tomasz G. Masaryk oraz wieloletni minister spraw zagranicznych, a później prezydent, Edward Benesz, byli zawsze nieprzejednanymi wrogami ścisłego porozumienia z Polską. Nie chcieli się angażować w polskie spory z Niemcami i z Rosją Sowiecką i nie wierzyli, że Francja w razie ataku na Polskę, pospieszy jej z pomocą. Po dojściu Hitlera do władzy polscy politycy tak samo oceniali szanse pomocy francuskiej dla Czechosłowacji. Co się zaś tyczy włączenia w regionalny system bezpieczeństwa Rosji Sowieckiej, a zatem przyjęcia w razie wojny z Niemcami jej „pomocy", to wiadomo, że projekt ten cieszył się poparciem Pragi, ale że nie mógł nań przystać żaden rząd polski, ponieważ Polska zostałaby wówczas zalana przez wojska sowieckie.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej ewolucji polityki francuskiej wobec jej aliantów wschodnich i to szczególnie w latach 1926-1933, w których wyraźnie zarysowały się tendencje występujące bardziej jaskrawie w późniejszych latach trzydziestych. Na początku należy zaznaczyć, iż francuscy mężowie stanu upatrywali w Polsce *une alliée de remplacement,* tj. w zastępstwie Rosji (amb. Jules Laroche, cyt. str. 8). Z tego też powodu nie popierali oni w latach 1919-1920 włączenia w granice polski kresów wschodnich. Jeśli chodzi o inwestowanie w Polskę, to finansjera francuska dążyła tylko do wyciągnięcia szybkich zysków; długo-

terminowe inwestycje, np. magistrala węglowa, wymagały dużego nacisku ze strony rządu francuskiego. Szczyt energicznej i dalekowzrocznej polityki francuskiej w stosunku do Polski i Czechosłowacji stanowiły lata 1923-1924, a więc okres polityki Raymonda Poincaré wobec Nadrenii i Ruhry *(ibidem)*. Wyraźnym wyrazem tej polityki była wizyta w Paryżu w maju 1924 roku gen. Stanisława Hallera, a zatem zgoda Francji na udzielenie kredytów w sumie 400 miliardów franków dla rozbudowy wojska polskiego. W tym też roku podpisano układ francusko-czechosłowacki i nastąpiły pierwsze starania Paryża o ułożenie polsko-czechosłowackiej współpracy wojskowej, której, jak wiemy, sprzeciwiali się Masaryk i Benesz (str. 11).

Niestety, nastanie rządu „Cartel des gauches" pod przewodnictwem Edwarda Herriota w czerwcu tegoż roku oznaczało odwrót od dobrze pomyślanej polityki Poincarégo. Herriot związał się bowiem z labourzystą brytyjskim, ówczesnym premierem Ramsay MacDonaldem, który — jak zresztą nie tylko labourzyści, ale również i konserwatyści — nienawidził tzw. systemu francuskiego w Europie środkowej i dążył do pojednania z Niemcami. Herriot „sprzedał" francuskie roszczenia w sprawie Ruhry, odszkodowań oraz Nadrenii, próbując z poparciem MacDonalda zrównoważyć te odstępstwa Protokołem Genewskim, tj. sprecyzowaniem obligacji członków Ligi Narodów dotyczących udzielenia pomocy ofiarom agresji. Jak wiemy, projekt ten unicestwił opór następnego rządu brytyjskiego, pod kierownictwem konserwatystów, który zamiast protokołu poparł projekt zabezpieczenia granic Francji i Belgii z Niemcami — projekt wysunięty na początku 1925 roku przez ministra spraw zagranicznych Niemiec weimarskich, Gustawa Stresemanna. Do projektu tego przychyliła się Francja pod przywództwem Aristida Brianda. Jak słusznie przewidywał ówczesny minister spraw wojskowych R.P., gen. Władysław Sikorski, urzeczywistnienie tego projektu sprowokowało Berlin do zaplanowania głównego ataku w razie wojny na Polskę, a w międzyczasie do występowania przeciwko niej, przy równoczesnych staraniach o zredukowanie tarć z Paryżem (str. 13). I rzeczywiście, Traktaty Locarneńskie *de facto* ograniczyły system bezpieczeństwa do Europy zachodniej. Pasowały one jak najbardziej do głównych założeń polityki brytyjskiej, która — bez względu na skład polityczny kolejnych rządów — zawsze zakładała „pokojową" rewizję granicy polsko-niemieckiej z korzyścią dla Niemiec (str. 14).

Nic dziwnego, że do tego punktu widzenia skłaniali się coraz bardziej mężowie stanu Francji. Ze strony wojskowej, już w latach 1924-1926, plan „A-bis" zakładał w razie wojny z Niem-

cami koncentrację nad Renem, zarazem stopniowo odchodząc od założenia natychmiastowej ofensywy (str. 22). W ten sposób pasywność wojskowa towarzyszyła ustaleniom paktów francusko-polskich i francusko-czeskich podpisanych w Locarno dnia 16 października 1925 roku — które mimo zastrzeżenia automatycznej pomocy francuskiej dla sojuszników w rzeczywistości uzależniały ją od wspólnej akcji pod auspicjami Ligi Narodów (str. 25).

Należy pamiętać, że Traktaty Locarneńskie zbiegły się w czasie z rokowaniami niemiecko-sowieckimi, które zaowocowały w Traktacie Berlińskim (24 kwietnia 1926), potwierdzającym ustalenia Traktatu Rapalskiego z kwietnia 1922 roku. Autor podkreśla, że Traktat Berliński spowodował zbliżenie między Polską a Czechosłowacją, w tym też wizytę min. Aleksandra Skrzyńskiego w Pradze w kwietniu 1926 roku, przy czym zauważa, iż tenże prawdopodobnie zaproponował Beneszowi sojusz, który został przez niego odrzucony. Wandycz cytuje przy tym Józefa Becka, że Benesz odrzucił taką propozycję w 1925 roku (str. 46). Być może jednak Beck miał na myśli wizytę Benesza w Warszawie w poprzednim roku (?). Chociaż sojusz z Czechosłowacją pasował jak najbardziej zarówno do polityki zagranicznej Konstantego Skirmunta jak i do A. Skrzyńskiego, zastanawiający jest fakt, iż nie znaleziono dotychczas żadnych dokumentów potwierdzających ofertę ze strony polskiej. Tym niemniej warto podkreślić, że nawet po przewrocie majowym Polska dalej szukała zbliżenia z Czechosłowacją. Niestety, dobre chęci Warszawy oraz czeskiego sztabu generalnego unicestwił T. G. Masaryk (str. 58-59).

W sprawie polskiej polityki pomajowej należy odnotować, że już w 1926 roku Piłsudski oświadczył Augustowi Zaleskiemu — ministrowi spraw zagranicznych w latach 1926-1932 — iż pierwszym założeniem polskiej polityki zagranicznej jest utrzymanie całkowitej neutralności między Niemcami a Rosją, a drugim — utrzymanie sojuszów z Francją i Rumunią. Pierwsze założenie miało się z czasem przekształcić w zasadę polityki równowagi między Moskwą a Berlinem (str. 51-52). Można tu zauważyć, iż obie zasady obowiązywały zarówno politykę Piłsudskiego jak i politykę Becka (oczywiście do marca 1939 roku). Nie od rzeczy jest też fakt, iż *bête noire* dla niektórych kół francuskich był nie tylko Beck, ale również Piłsudski. Na przykład gen. Henry Dupont — b. prezes komisji demarkacyjnej w/s granicy polsko-niemieckiej — podejrzewał, że Piłsudski będzie szukał odprężenia z Niemcami, nie wykluczając możliwości oddania im nie tylko Pomorza, ale również Poznańskiego (! — str. 59). W mniej więcej tym samym czasie jedna nota Quai d'Orsay uznała, iż Niemcy nie potrafiły udowodnić, że są naprawdę pokrzywdzone

separacją Prus Wschodnich od Reichu — podczas gdy inna twierdziła, że sprawę należy przestudiować z powodu niepogodzenia się Niemiec (z „Korytarzem", tj. Pomorzem), podczas gdy polskie interesy można zaspokoić uznaniem wolnego portu w Gdańsku, neutralizacją Wisły oraz zabezpieczeniem Polsce prawa do stałego dostępu do Bałtyku. W każdym bądź razie, twierdził autor tej noty, w wypadku wojny Niemcy zajmą Gdańsk i odetną Polskę od „Korytarza" (str. 68). Jak widać, autor noty podzielał w pełni brytyjski punkt widzenia — który przyswoił sobie już co najmniej w 1925 roku Aristide Briand (patrz: A. Cienciała i T. Komarnicki, *From Versailles to Locarno. Keys to Polish Foreign Policy, 1919-1925,* Lawrence, Ks., 1984, str. 245 i rozdz. 9 *passim).*

Polityka ta pasowała więc jak najbardziej do celów Brianda, tj. do połączenia współpracy z Wielką Brytanią ze zbliżeniem i współpracą gospodarczą oraz polityczną z Niemcami, zakładając w tym przedterminową ewakuację strefy zdemilitaryzowanej w Nadrenii. Usilne starania dyplomacji polskiej o opóźnienie ewakuacji i o włączenie Warszawy do rokowań na ten temat, lub co najmniej do uzyskania kompensat za zwiększone niebezpieczeństwo ze strony Niemiec, spełzły na niczym. „Pokojowa" polityka Brianda, silnie popierana przez Londyn, znalazła już wtedy pewien oddźwięk we francuskiej opinii publicznej, aczkolwiek musiał on jeszcze głosić „solidarność" Francji z jej wschodnimi aliantami. Tymczasem ambasadorowi niemieckiemu w Paryżu dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że Francja nie sprzeciwi się kompromisowemu załatwieniu granicy polsko-niemieckiej (str. 75).

Nic dziwnego, że wobec oporu Wielkiej Brytanii i Brianda oświadczenie Piłsudskiego — przekazane przez Mirosława Arciszewskiego — że w razie ewakuacji Nadrenii Polska będzie wymagać gwarancji równających się „Wschodniemu Locarno", trafiło w próżnię. Taki sam los spotkał propozycję, by Wielka Brytania i Francja zagwarantowały projektowany polsko-niemiecki pakt o nieagresji (str. 81). Nie powiodły się też ponowne polskie próby osiągnięcia ścisłej współpracy z Czechosłowacją, przy czym zarówno amb. Laroche w Warszawie jak i poseł Charles Roux w Pradze winę przypisywali Beneszowi (str. 86). Ten zaś, wraz z Masarykiem, uważał rewizję granicy polsko-niemieckiej — z wyjątkiem Górnego Śląska — za sprawiedliwą. Masaryk zwierzył się nawet Stresemannowi w marcu 1927 roku, iż odrzucił polskie propozycje nt. bliższych wzajemnych stosunków — ponieważ nie miał zamiaru „uwikłania się" ani też „wyciągania dla Polski kasztanów z ognia" w razie jej konfliktu z Niemcami (str. 88). Należy się domyślać, że Czesi doskonale orientowali

się w zapatrywaniach zarówno Paryża jak Londynu. Wówczas bowiem Briand zapewniał Brytyjczyków, że opinia francuska nigdy nie poprze wojny na rzecz mniejszych państw europejskich (str. 98) — tj. przede wszystkim Polski.

Jak wiemy, z perspektywy Pragi najgroźniejszy był *Anschluss* Austrii do Niemiec, a co za tym idzie nie tylko okrążenie zachodniej Czechosłowacji przez Reich, ale również, i nawet bardziej, obawa, że Słowacja i Ruś Podkarpacka zostaną zagarnięte przez Węgry. W celu zabezpieczenia się przed tą katastrofą Praga objęła przywództwo Małej Ententy, którą wraz z sojuszem czechosłowacko-francuskim uważała za główną ostoję systemu francuskiego, sprzeciwiając się zawsze projektom Warszawy, tj. stworzeniu bloku regionalnego pod przywództwem Polski.

Tu autor zaznacza pogląd panujący w niektórych kołach polskich, iż *Anschluss* jest pożądany, ponieważ odwróci uwagę Niemiec od Pomorza i Gdańska — pogląd zrównoważony gotowością rządów czechosłowackich — przynajmniej do 1933/1934 roku — poświęcenia „Korytarza" w zamian za Wiedeń (tzn. za utrzymanie niepodległości Austrii, str. 89-90). Mając ten cel na uwadze, Benesz już w 1927 roku proponował Niemcom zawarcie traktatu przyjaźni i nieagresji — na co nie otrzymał odpowiedzi (str. 91). Tymczasem memoriał, przygotowany w polskim MSZ w sierpniu tegoż roku, odrzucał *Anschluss* twierdząc, iż Polska w swym własnym interesie musi się takim tendencjom silnie sprzeciwiać. Taka też była w 1927 roku linia polityki polskiej (str. 103). Autorem memoriału był prawdopodobnie Edward Raczyński, który wówczas pracował w centrali MSZ. (W rozmowie z A. Cienciałą, Londyn, 16 grudnia 1988, E. Raczyński wspominał, iż taki memoriał napisał, gdy pracował w centrali MSZ). Należy przypuszczać, że ówczesne stanowisko MSZ było Pradze znane, ale Benesz próbował dalej zbliżenia z Niemcami w 1928 roku, wyrażając zgodę na formułkę „Wiedeń albo Gdańsk" (str. 115).

Tymczasem w październiku 1927 roku Quai d'Orsay doszło do wniosku, że należy rozpatrzeć rewizję francusko-polskiej konwencji wojskowej z 1921 roku — na co zresztą wskazywał przyszły ambasador francuski w Polsce, Jules Laroche, już w lipcu 1925 roku (cyt. Jerzy Krasuski, *Stosunki polsko-niemieckie 1919-1925,* Poznań 1962, str. 409-410). Z tą misją pojechał do Warszawy w listopadzie marszałek d'Espérey, ale nic nie wskórał, ponieważ Piłsudski zdecydowanie odrzucał możliwość „zlocarnizowania" konwencji (str. 100). Miesiąc później Piłsudski pojechał na zebranie Ligi Narodów w Genewie, głównie w celu wymuszenia pokojowej deklaracji ze strony Litwy, co też uzyskał. Należy odnotować, iż przyjazna rozmowa Marszałka ze Strese-

mannem — któremu usiłował dać do zrozumienia, iż normalne wzajemne stosunki są pożądane — została natychmiast zrozumiana przez Brianda i Austena Chamberlaina jako gotowość odstąpienia „Korytarza" Niemcom (str. 101), co świadczy dobitnie o ich pobożnych życzeniach.

Mimo niepowodzenia marsz. d'Espérey Francuzi nie dali za wygraną. W styczniu 1928 roku amb. Laroche przedłożył w Warszawie tekst zmienionej konwencji wojskowej. Natomiast Piłsudski domagał się wyjaśnienia francuskiego poglądu na wykonanie konwencji, proponując w tym celu rozmowy sztabowe, na które Francuzi niechętnie przystali. Odbyły się one w Paryżu 29 czerwca - 9 lipca 1928, ale zakończyły się tylko zgodą na dalsze rozmowy (str. 110).

Podczas rokowań nt. ewakuacji Nadrenii — z których, jak pisano wyżej, Polska była wykluczona — skłonności francuskie do dogadania się z Niemcami kosztem Warszawy występowały coraz wyraźniej. Na przykład Paul Reynaud — zięć Eugène Schneidera, właściciela potężnej firmy tej nazwy, a zarazem członek stronnictwa Union Republicaine-Démocratique — zapewniał Carla von Schuberta, sekretarza Stanu w niemieckim MSZ, o istnieniu współpracy między konserwatystami francuskimi a niemieckimi. Powiedział mu poza tym, że chociaż Francja nie może wymusić na Polsce oddania Niemcom „Korytarza", to mogłaby, w wypadku zaistnienia bardziej intymnych stosunków francusko-niemieckich, udzielić przyjaznej rady oraz wywrzeć lekki nacisk na Warszawę (str. 139).

Nie wróżyło to nic dobrego dla Polski, która stała już w obliczu przedwczesnej ewakuacji francuskiej z Nadrenii. Na nic się nie zdały wysiłki Piłsudskiego, by Francja założyła składy amunicji artyleryjskiej oraz samolotów w Polsce, ani też by Paryż wyraził zgodę na pakt nieagresji między Polską, Francją i Niemcami (model D). Na pocieszenie francuski Sztab Generalny zaprosił przedstawicieli Sztabu polskiego na rozmowy do Paryża. Ale w lipcu 1929 roku sztabowcy francuscy ograniczyli się w sprawach organizacji armii, mobilizacji oraz rozmieszczenia wojska w okresie pokoju do udzielenia gen. T. Kasprzyckiemu informacji ogólnie dostępnych. Chociaż gen. Débeney oświadczył, iż niespodziewany atak niemiecki na Francję będzie zatrzymany przez fortyfikacje (planowana linia Maginota — A.C.), a w razie ataku niemieckiego na Polskę, Francja może jej tylko pomóc przez marsz nad Ren w nadziei, że Polacy do tego czasu wytrzymają, to nie poinformował przecież Kasprzyckiego o jednym bardzo ważnym szczególe — tj. że nowy francuski plan „B" ma charakter całkowicie obronny. Jak pisze autor, jeśli Polacy już o tym

wiedzieli, to ich nastawanie na zapasy francuskiej artylerii, amunicji i samolotów w Polsce było całkiem zrozumiałe (str. 144). Jak wiemy, Francuzi dalej uznawali, iż nawet w razie zgody na niektóre polskie propozycje należy koniecznie zrewidować konwencję wojskową (str. 145).

W takiej aurze nastąpiło pod koniec sierpnia 1929 roku podpisanie umowy haskiej dotyczącej wycofania się wojsk francuskich z Koblencji we wrześniu-listopadzie, a z Moguncji w majulipcu 1930 roku. Briand, który jak wiemy w zasadzie uznawał konieczność ewakuacji, ale chciał ją rozegrać z korzyścią dla swych planów dotyczących współpracy francusko-niemieckiej, musiał pod presją brytyjską przyjąć daty wcześniejsze niż te, na które zgadzał się francuski sztab generalny (str. 146). Polska zaś przegrała na całej linii, nie mogąc nawet uzyskać włączenia do sojuszu francusko-polskiego formułki o *aggression flagrante,* mającej zapewnić, według Paktu Ligi Narodów, automatyczną pomoc francuską w razie ataku ze strony Niemiec. René Massigli, — skądinąd przyjazny Polsce — zanotował, iż spełnienie życzenia polskiego jest niemożliwe, ponieważ Paryż nie może podejmować akcji bez uprzedniej konsultacji z Londynem. Zresztą uważał on, iż w praktyce francuskie przygotowania wojskowe nie ulegną zwłoce z powodu dyskusji w Genewie. Tymczasem na pytanie ze strony polskiej, co spowoduje mobilizację francuską, odpowiadano, iż tę sprawę reguluje konwencja z 1921 roku. Na to znów strona polska wytknęła, iż amb. Laroche proponuje rewizję konwencji *(ibidem).* (W rzeczy samej, Francuzi sprecyzowali swe zobowiązania dopiero w protokołach z 17 maja 1939 roku, nie mając zresztą najmniejszego zamiaru ich wykonać, patrz: A. Cienciała, „Polska w polityce brytyjskiej i francuskiej w 1939 roku..." *Zeszyty Historyczne* nr 75, Paryż 1986, str. 152-183). Wreszcie francuskie ministerstwo skarbu sprzeciwiało się udzieleniu Polsce pożyczki na zbrojenia, a to dlatego, że po pierwsze nie przyniosą one pożytku francuskiemu przemysłowi zbrojeniowemu, a po drugie stanowiłyby kosztowny i niebezpieczny precedens (str. 147). Tak więc ewakuacja Nadrenii stanowiła wielką wygraną dla Stresemanna. Nie rozwiązano przy tym żadnych problemów dotyczących Europy środkowej, co rzutowało przede wszystkim na Polskę. Za ten wynik dużą odpowiedzialność niewątpliwie ponosiła Wielka Brytania (str. 149). Tymczasem *Gazeta Warszawska* z dnia 19 sierpnia 1929 roku twierdziła, iż wynik konferencji haskiej oznacza krach „sanacyjnej" polityki zagranicznej, skoro Nadrenię oddano bez walki. Jak słusznie pisze jednak autor, Zaleski zrobił co mógł i nie mógł uzyskać więcej (str. 149). Złożyła się na to polityka Wielkiej Brytanii oraz polityka Brianda

wobec Niemiec — polityka, która miała mieć w przyszłości fatalne skutki nie tylko dla Polski i Czechosłowacji.

Nic dziwnego, że Masaryk otwarcie wyrażał nadzieję, iż Polska dojdzie do porozumienia z Niemcami w sprawie „Korytarza", tak jakby — by zacytować posła francuskiego w Pradze — sam mieszkał na dalekim Olimpie (str. 156). Nie sprzyjało to też, rzecz jasna, francuskim wysiłkom w/s doprowadzenia do wojskowej współpracy między Pragą a Warszawą. Przeciwnie, drażniło opinię publiczną w Polsce, nie mówiąc już o Piłsudskim. Poza tym Francuzi uważali, że Wschodnie Locarno może dojść do skutku tylko z udziałem Rosji Sowieckiej, co było z kolei dla Polski nie do przyjęcia. Do tego dochodziły tarcia polsko-francuskie na tle działalności francuskich przemysłowców i kupców w Polsce, podczas gdy udzielenie tejże pomocy finansowej — popieranej przez Poincarégo oraz dyrektora Banku Francuskiego, Émila Moreau — okazało się niemożliwe z powodów zarówno wewnętrznych jak i międzynarodowych. Tak więc postanowienia konferencji haskiej zamykały pierwszy okres powojenny znacznym osłabieniem francuskiego systemu sojuszów (str. 159). Bardzo wyraźnie zarysował się wówczas prymat Londynu w polityce Francji.

◆

Wielki kryzys gospodarczy spowodował radykalizację polityczną w Europie, czego najjaskrawszym wyrazem był wzrost popularności partii hitlerowskiej w Niemczech. Ostatnie rządy weimarskie wykorzystały sytuację, wzmagając nacisk na uzyskanie „równych praw" w/s zbrojeń i na rewizję granicy polsko-niemieckiej. Autor słusznie podkreśla, że w 1931 roku Francja, posiadająca ok. 20 % światowych rezerw złota, miała wspaniałą okazję do wykorzystania swej siły finansowej w celu zaszachowania rewizjonizmu niemieckiego. Tymczasem Paryż nie odważył się na akcję odosobnioną. Dla swej propozycji udzielenia finansowej pomocy Niemcom w zamian za ich przyjęcie dziesięcioletniego moratorium w/s rewizji Traktatu Wersalskiego (granic oraz zbrojeń), jak też zawarcia paktu o konsultacji i nieagresji, rząd francuski szukał poparcia w Londynie i w Waszyngtonie. Niestety wysiłki te okazały się daremne. Premier brytyjski Ramsay MacDonald oświadczył, że Wielka Brytania nie udzieli Francji poparcia dla „uwiecznienia wszystkich niesprawiedliwości popełnionych przez jej małych sojuszników". Natomiast amerykański sekretarz Stanu Henry L. Stimson cel propozycji francuskich widział w zabezpieczeniu francuskiej „hegemonii" w Europie — kosztem Niemiec (str. 206). Co więcej, powiedział on w paź-

dzierniku Pierre Lavalowi — przybyłemu do Waszyngtonu, aby uzyskać zgodę na dziesięcioletnie moratorium polityczne w Europie oraz na pakt konsultacyjny ze Stanami Zjednoczonymi — iż Paryż dąży do zamrożenia *status quo,* podczas gdy Waszyngton życzy sobie rozwiązania poszczególnych problemów europejskich. Wiadomo, że Amerykanie mieli na myśli co najmniej Pomorze, skoro na oświadczenie ambasadora R.P., iż w razie inwazji niemieckiej na „Korytarz" Polska będzie walczyć — prezydent Hoover radził, by jak najprędzej doszła w tej sprawie do porozumienia z Niemcami, uzyskując w ten sposób najskuteczniejszą obronę przeciwko Rosji Sowieckiej. Poza tym, mówił Hoover, porozumienie tego rodzaju przyniesie pożytek nie tylko Polsce, ale również całemu światu (str. 217).

Trudno o bardziej jaskrawy przykład wpływu na politykę Francji mocarstw zamorskich, tj. Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Można by jeszcze podkreślić wpływ rewizjonistycznej propagandy niemieckiej w tych krajach, który, w połączeniu z ogólnym brakiem wiadomości nt. Europy środkowej, jak też z generalnie panującym uznaniem dla książki brytyjskiego ekonomisty Maynarda Keyenesa — który już w 1919 roku potępił Traktat Wersalski z punktu widzenia gospodarczego — i wreszcie z ogólnym rozczarowaniem, że zwycięstwo aliantów w 1918 roku nie zapewniło wiecznego pokoju, zaowocował w ogólnej sympatii do Niemiec, a zarazem antypatii do Francji i Polski. Sympatie proniemieckie łączyły się zresztą z izolacjonizmem wobec Europy kontynentalnej zarówno Wielkiej Brytanii jak Stanów Zjednoczonych.

Czy można winić Francję za to, że w tej sytuacji nie odważyła się stawić czoła Wielkiej Brytanii oraz Stanom Zjednoczonym — tj. nie zdecydowała się na próbę zaszachowania Niemiec wraz ze swymi sojusznikami wschodnimi? Teoretycznie zapewne można. Należy jednak wziąć pod uwagę, że pamięć klęski w odosobnionej walce z Niemcami w 1870 roku, wykrwawienie w latach 1914-1918 oraz słabość w obliczu potęgi przemysłowej Niemiec prowadziły w prostej linii do przekonania, iż bez poparcia Londynu — nie mówiąc już o Waszyngtonie — Francja nie może zaryzykować konfliktu z Niemcami. W tej sytuacji — uznanej za rzeczywistość już przez Brianda w 1922 roku, gdy premier David Lloyd George odmówił udzielenia gwarancji dla sojuszu polsko-francuskiego — sojusznicy Francji zeszli do roli zabezpieczenia wtórnego, mającego się sprawdzić w razie wojny francusko-niemieckiej, w której Wielka Brytania stanie po stronie Francji. Jak stwierdzała nota Quai d'Orsay z 1932 roku, Polska i Mała Ententa stały co prawda u boku Francji, ale nie mogły

konkurować we wpływach międzynarodowych z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi (str. 243).

Nic dziwnego, że Paryż wyraził — wraz z Wielką Brytanią — zgodę na równouprawnienie Niemiec w zbrojeniach (grudzień 1932) i wysuwał wobec nich propozycje rewizji w Gdańsku i na Pomorzu, a jednocześnie próbował zaangażować Moskwę w budowę systemu bezpieczeństwa w Europie środkowej. Wreszcie podpisał z nią sojusz w maju 1935 roku — sojusz uzupełniony traktatem sowiecko-czechosłowackim.

Autor omawia szczegółowo sprawę propozycji w/s wojny prewencyjnej, rzekomo wysuniętej wobec rządu francuskiego przez Marszałka Piłsudskiego na wiosnę 1933 roku. Z braku dokumentacji sądzi, iż zawsze bardzo ostrożny Marszałek traktował tę groźbę raczej za środek do celu, niż za cel sam w sobie. Zresztą, jak przyznał po latach Léon Blum, chociaż akcja prewencyjna w 1933 roku była może jedynym sposobem uniknięcia drugiej wojny światowej, to socjaliści francuscy — a w tym też on sam — uważali ją za niedopuszczalną (str. 270). Jak wiemy, tak samo wyrażali się wówczas inni politycy francuscy, nie mówiąc już o tym, iż taka akcja była dla Wielkiej Brytanii zupełnie wykluczona.

Nie można się więc dziwić, że w obliczu zachodniej polityki ugody wobec Niemiec — która zakładała przecież częściową rewizję granicy polsko-niemieckiej — jak też wobec niemożności uzyskania ścisłej współpracy z Czechosłowacją, Piłsudski zdecydował się na podpisanie deklaracji o nieagresji z Niemcami dnia 26 stycznia 1934 roku. Równoważyła ona zresztą polsko-sowiecki pakt o nieagresji z 1932 roku — z kolei przedłużony o dziesięć lat, by zrównoważyć okres ważności deklaracji polsko-niemieckiej. Jakże nierealna wydaje się teraz krytyka Becka przez polską prasę opozycyjną, która głosiła, że silna kombinacja Polski i Czechosłowacji pod przywództwem Francji zapewni bezpieczeństwo obu krajów (str. 244). Taką ocenę można zrozumieć w świetle ignorancji i zacietrzewienia politycznego. Niestety, nawet dziś deklarację o nieagresji potępiają nie tylko historycy czescy — którzy muszą stosować się do wytycznych partii — ale również wielu historyków francuskich, którzy Beckowi — a wraz z nim Piłsudskiemu — przypisują naiwność, arogancję, przełamanie rzekomego systemu francuskiego, a zatem rzekome ułatwienie niemieckiego *Drang nach Osten* oraz rzekome przyjęcie przez Polskę roli satelity Reichu (str. 324). Autor pomija dyskretnie prace niektórych historyków krajowych, którzy — przynajmniej do niedawna — deklarację interpretowali w tym samym duchu co Francuzi i Czesi — nie mówiąc już o historykach sowieckich. Należy zaznaczyć,

że to samo zdanie podzielają na ogół historycy brytyjscy i amerykańscy.

Tymczasem wiemy, że Marszałek nigdy nie uważał ekwilibrystyki między Rosją a Niemcami za wieczną ani też nie wierzył ślepo w zapewnienia Hitlera. Przeciwnie, wiosną 1934 roku przewidywał najwyżej cztery lata spokoju i zastanawiał się, z której strony nastąpi pierwszy atak na Polskę: z Rosji czy z Niemiec? Jego zdaniem, największe niebezpieczeństwo przedstawiała Rosja, a to dlatego, że Hitler potrzebował czasu dla skonsolidowania swej władzy, podczas gdy Rosja była nieobliczalna. Poza tym Marszałek sądził, że w razie wojny z Niemcami Polska może liczyć na pomoc z zewnątrz, ale nie w wypadku wojny z Rosją (str. 325-326).

Prawdą jest, że Piłsudski i Beck sprzeciwiali się zarówno Paktowi Czterech, tj. dyktaturze Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch w Europie — a zatem uzgodnionej przez nich rewizji granicy polsko-niemieckiej — jak też francuskiemu projektowi „Wschodniego Locarna", które zakładało przelanie francuskich zobowiązań wojskowych wobec Polski i Czechosłowacji na Rosję Sowiecką. Nawet dziś niektórzy historycy oskarżają Polskę o przekreślenie rzekomo jedynej możliwości zaszachowania Hitlera, nie zwracając uwagi na fakt, że według dokumentów niemieckich gdy Stalin popierał tzw. politykę bezpieczeństwa zbiorowego, to w latach 1935-1936 wysuwał wobec Hitlera propozycje zawarcia paktu o nieagresji — propozycje, które Führer uważał za przedwczesne. (Patrz: *Akten zur deutschen auswärtigen Politik 1919-1945,* w wersji angielskiej *Documents on German Foreign Policy,* seria C, tom IV, nr 78 oraz tom VI, nry 183, 195). Dążenie Stalina do współpracy z Niemcami potwierdzają zresztą ówcześni dezerterzy z wywiadu sowieckiego, jeden b. dyplomata sowiecki (Leon Helfand) oraz ówczesny dyr. wydz. prasowego sowieckiego MSZ, Jewgienij Gniedin — którzy wybrali wolność na Zachodzie. (Patrz Steven Merritt Minor, *Between Churchill and Stalin. The Soviet Union, Great Britain, and the Origins of the Grand Alliance,* University of North Carolina Press, Chapel Hill, London 1988, str. 3-4 oraz str. 272, przyp. 8, gdzie autor powołuje się również na naukowe opracowanie Bianki Petrowej, *Stalinismus, Sicherheit, Offensive: Das „Dritte Reich" in der Konzeption der sowjetischen Aussenpolitik, 1933-1941,* Melsungen 1983).

◆

W 1935 roku Benesz potępiał przywódców polskich za opieranie ich polityki na „błędnych i obalonych już założeniach", że

Liga Narodów okaże się nieudolna, że Rosja wejdzie w konflikt z Japonią, że Francja i Włochy nie będą mogły dojść do porozumienia oraz — co było jego zdaniem największym błędem — że Francja zostanie osłabiona (str. 388). Jak wiadomo, założenia te okazały się niestety jak najbardziej realne.

Najjaskrawszym dowodem potwierdzającym założenia polityki polskiej — w tym wypadku Józefa Becka — była zgoda Francji i Wielkiej Brytanii na militaryzację Nadrenii przez Hitlera dnia 7 marca 1936. Jak słusznie podkreśla Wandycz, „szczytową ironią historii jest fakt, że dwóch sojuszników Francji w Europie środkowo-wschodniej, których pomoc przeciwko Niemcom byłaby najbardziej wartościowa, wykluczono z Locarna [tj. z paktu reńskiego — A.C.], wobec czego nie byli oni ściśle zobligowani do przyjścia z pomocą Francji" (str. 434). Nawiasem można dodać, że starania Brianda z 1925 roku o włączenie Polski i Czechosłowacji do gwarancji udzielonej granicom francusko- i belgijsko-niemieckim w pakcie reńskim, jak też o udzielenie im równorzędnych gwarancji dla ich granic z Niemcami, sprawiają wrażenie wysiłków czysto formalnych, ponieważ Briand zrezygnował z nich bardzo szybko w obliczu sprzeciwu tak Niemiec jak i Wielkiej Brytanii.

Wiadomo, że w marcu 1936 roku Beck nie wierzył, iż Francja sięgnie do broni. Czy można go więc potępić za dwulicową grę, gdy zapewniał ambasadora Léona Noëla, że jeśli Francja uzna okupację niemiecką zdemilitaryzowanej strefy w Nadrenii za *casus belli,* to Polska wykona swe zobowiązania sojusznicze wobec Francji? Beck proponował przy tym konsultacje i wymianę informacji. Prawie równocześnie jednak minister zabezpieczył się od strony Niemiec znanym komunikatem Iskry, życzliwym dla Berlina, ogłoszonym w *Gazecie Polskiej* (str. 438-439). Można się zastanowić, czy minister nie otrzymał przed swą rozmową z Noëlem o godz. 17-tej sprawozdania z rozmowy radcy Feliksa Frankowskiego z premierem Pierre-Etienne Flandinem o godz. 13.30, w której tenże oświadczył, iż rząd francuski nie ma zamiaru reagować dyspozycjami wojskowymi? W każdym razie wiemy, iż minister dążył wówczas do przywrócenia automatycznego charakteru polsko-francuskiej konwencji wojskowej z 1921 roku. Była to — jak wskazywał podsekretarz Stanu Jan Szembek — koncepcja zapewne nierealna, lecz w świetle zasad polityki polskiej w pełni zrozumiała.

◆

W podsumowaniu okresu 1926-1936 Wandycz wskazuje na fakt, iż według logiki geograficznej i demograficznej, wojska fran-

cuskie, polskie i czechosłowackie stanowiły razem siłę większą od Niemiec, chociaż ich łączny potencjał gospodarczy był stanowczo mniejszy. Oprócz tego ewolucja stosunków międzynarodowych w latach 1924-1925 uzależniła realizację sojuszów francuskich od Traktatów Locarneńskich oraz od Ligi Narodów. Poza tym, mimo iż groźba niemiecka zabezpieczała istnienie sojuszów, stanowiła ona zarazem ognisko niezgody, ponieważ każdy z sojuszników próbował ułożyć swe stosunki z Berlinem na własną rękę.

Autor podkreśla również rozbieżności między polityką Warszawy i Pragi. Masaryk i Benesz za filary swej polityki uważali sojusz z Francją, Ligę Narodów i Małą Ententę, której ostrze zwrócone było nie przeciwko Niemcom, lecz przeciwko Węgrom. Nie chcąc podejmować zobowiązań tak przeciwko Niemcom jak i Rosji, sprzeciwiali się oni zawsze podpisaniu wojskowego sojuszu z Polską. Tymczasem Piłsudski, a za nim Beck, główne miejsce w stosunkach polsko-francuskich przyznawali konwencji wojskowej z 1921 roku. Starali się przy tym uniknąć przedwczesnego zantagonizowania Berlina, a zarazem zachować sojusz z Francją — co nie mogło się podobać w Paryżu. Uważali również, iż zbliżenie polsko-brytyjskie będzie jak najbardziej pożyteczne dla Polski. Wreszcie starania o zbliżenie z Czechosłowacją były daremne — a po 1933 roku zbliżenie to było możliwe tylko na warunkach polskich, które były z kolei dla Pragi nie do przyjęcia.

Autor poddaje surowej krytyce brak długofalowych inwestycji francuskich w Polsce. Cytuje zdanie historyka niemieckiego Hajo Holborna, że gdyby Francja zainwestowała w Europie środkowo-wschodniej sumy tego rzędu, co przedwojenne inwestycje w Rosji carskiej, to wówczas jej sojusze stałyby się mocną podporą *status quo* w Europie (str. 455). Poza tym, pisze Wandycz, większość ministrów francuskich wykazywała sympatię i zrozumienie dla Czechosłowacji, podczas gdy Polska była nielubiana i nierozumiana. Do tego dochodzi fakt, iż zarówno lewica jak i prawica francuska dążyły do pojednania z Niemcami. Wreszcie, po podpisaniu Traktatów Locarneńskich, nieustannie wzrastała zależność Paryża od Londynu. Wobec tego związek z Wielką Brytanią wstrzymywał inicjatywy francuskie i przeszkadzał im. Wreszcie, obok niskiego potencjału przemysłowego Francji, autor wskazuje na brak koordynacji między jej polityką zagraniczną a wojskową oraz na brak współpracy między ministerstwami wojny, marynarki i lotnictwa.

Następnie w krótkiej analizie polityki Czechosłowacji i Polski Wandycz wskazuje nie tylko na odrębności polityczne i różnice w dziedzinie gospodarczej, ale również na uderzający kontrast między osobowością Masaryka i Piłsudskiego. Analizuje też oso-

bowość i rolę ambasadorów i posłów w Paryżu, Warszawie i Pradze.

W końcowych uwagach autor zastanawia się, na jaką ostateczną ocenę zasługują sojusze Francji w okresie dziesięciolecia po podpisaniu Traktatów Locarneńskich. Jego zdaniem, sojusze te posiadały wielki potencjał, a zarazem odpowiadały rzeczywistym uczuciom profrancuskim w Polsce i w Czechosłowacji. Tym niemniej, pisze, brakowało tym sojuszom spoistości, solidnej bazy ekonomicznej oraz konsekwentnego i natchnionego przywództwa ze strony Francji. „System" francuski był często chaotyczny, ponieważ dyplomatyczna, gospodarcza i wojskowa polityka Francji nie uzupełniały się wzajemnie.

Jak wiemy, politycy czechosłowaccy uważali Pragę, a wraz z nią Małą Ententę, za główny człon systemu francuskiego. Tymczasem z perspektywy Warszawy istniały dwa odrębne uszeregowania: sojusz francusko-polski oraz francuski system wschodni, oparty o Pragę. Połączenie tych dwóch części, a więc usprawnienie całego „systemu", stanowiło jeden z celów wschodniej polityki Francji, która jednak dążyła do jego realizacji niekonsekwentnie i bez wyobraźni. Zdaniem autora fakt ten nie rozgrzesza Pragi i Warszawy, które nie mogły przezwyciężyć różnic w poglądach, a czasami wykazywały wąskie oraz egoistyczne ujęcie interesów własnych.

Wandycz pyta, czy Francja nie mogła zmusić swych sojuszników do współpracy? Cytuje w związku z tym zdania dwóch wybitnych osobistości francuskich. Były premier Pierre-Étienne Flandin zastanawiał się poniewczasie, dlaczego Francja nie mogła w zamian za gwarancję dla granic Czechosłowacji wymusić uszeregowania się tejże z Warszawą, jak też bardziej rozumnej polityki wobec Austrii i mniej egoistycznego stosunku wobec problemów naddunajskich. Z kolei były poseł francuski w Pradze, a później ambasador w Warszawie, Léon Noël, uważa, iż Francja zbyt często grzeszyła zbytnią rezerwą wobec swych sojuszników wschodnich, dodaje wszakże, że zobowiązania podjęte przez Paryż powinny uciszyć jego skrupuły, które — jakkolwiek świadczyły o honorowych uczuciach Francuzów — były przecież w tej dziedzinie zarówno przesadne jak nieuzasadnione.

Zdaniem Wandycza, argumentom Noëla nie można zupełnie odmówić słuszności, choć nie są one całkowicie przekonywujące. Autor uważa, iż po to aby Francja prowadziła dynamiczną i zdecydowaną politykę zagraniczną — musiałaby być inna niż chyląca się ku upadkowi, „dekadencka" Trzecia Republika. (Miał zapewne na myśli pracę J.-B. Duroselle'a pt. *La Décadence,* Paryż 1979). Albowiem po to, by sojusze przystosować do rzeczywistości

zaistniałej po Traktatach Locarneńskich, nie wyjaławiając zarazem ich zawartości, konieczna była zarówno wielka wizja, jak też *élan* — których brak był aż nadto oczywisty. „Briandyzm" przypominał bowiem cień bez treści. Autor przyznaje, iż każda odważna wizja zawiera ryzyko, ale jak pisał w 1931 roku Raymond Aron: obawa przed podjęciem ryzyka być może zawiera w sobie największe niebezpieczeństwo. Ta obawa przed podjęciem ryzyka, konkluduje Wandycz, była może właśnie głównym powodem upadku francuskich sojuszów wschodnich (str. 477-478).

◆

Nie mówiąc już o ocenie cytowanego wyżej zdania Noëla — który dążył w 1938 roku do osłabienia sojuszu polsko-francuskiego, pałając zarazem wręcz patologiczną nienawiścią do Becka — wydaje się nam, iż autor mógłby tu raz jeszcze podkreślić źródła ówczesnej psychiki francuskiej, a w tym też szczególnie wpływ Wielkiej Brytanii — które to czynniki zresztą uwzględnia w swojej książce. Należy się przede wszystkim zastanowić, czy głównym czynnikiem upadku francuskich sojuszów wschodnich nie była właśnie polityka brytyjska.

Podstawą tej polityki było założenie, iż Europa środkowo-wschodnia nie stanowi strefy żywotnych interesów brytyjskich. Do tych interesów — w których obronie Wielka Brytania gotowa była walczyć — należały natomiast Francja, Belgia i Holandia oraz utrzymanie swobodnych komunikacji przez Morze Śródziemne i Kanał Sueski z posiadłościami i dominiami brytyjskimi na Dalekim Wschodzie.

W obliczu rosnącej potęgi japońskiej, niemieckiej i włoskiej Wielka Brytania nie chciała się wiązać z Francją, ponieważ sprzeciwiała się jej sojuszom w Europie środkowo-wschodniej. Ponadto zawieranie sojuszów w czasie pokoju nie leżało w tradycjach politycznych Albionu. Chcąc więc zachować „wolną rękę" w obliczu rosnącego niebezpieczeństwa, Londyn liczył tylko na siły własne, co wraz z jego pojęciem stref interesów żywotnych prowadziło do ugody z Niemcami.

Należy oczywiście podkreślić, że aczkolwiek światopogląd brytyjski był błędny, to stanowił on przecież wykładnię wszystkich rządów międzywojennych i cieszył się poparciem opinii publicznej. Udzielenie gwarancji Polsce, Grecji, Turcji i Rumunii w 1939 roku nie było z tym światopoglądem sprzeczne, ponieważ gwarancje miały na celu zahamowanie zakusów Hitlera, a więc nakłonienie go do zaspokojenia swych żądań drogą pokojową, m.in. rokowań z Polską, w których miała ona wyrazić zgodę

na jego roszczenia w/s Gdańska i komunikacji ekstraterytorialnych przez Pomorze — roszczenia, które Polska odrzuciła jeszcze przed przyjęciem gwarancji brytyjskiej. Należy tu raz jeszcze wspomnieć, że roszczenia niemieckie wobec Polski cieszyły się również poparciem rządów Stanów Zjednoczonych, tak samo zresztą jak roszczenia niemieckie wobec Czechosłowacji. Na wieść o ugodzie monachijskiej, która rzekomo „uratowała pokój", prezydent Franklin D. Roosevelt pochwalił N. Chamberlaina w zwięzłym telegramie słowami: „Good Man".

Jak wykazały dzieje drugiej wojny światowej, potędze niemieckiej nie mogły sprostać kraje europejskie. Zwycięstwo było wynikiem łącznego wysiłku Europy, Rosji Sowieckiej oraz Stanów Zjednoczonych. Można jednak sądzić, że kombinacja Wielkiej Brytanii, Francji oraz jej sojuszników wschodnich wystarczyłaby w latach trzydziestych, by osadzić Hitlera, a więc by zapobiec wojnie. Niestety, nie była to kombinacja możliwa w świetle tradycyjnego pojęcia żywotnych interesów Wielkiej Brytanii. Tak samo jak zresztą nie było możliwe w świetle poglądów brytyjskich i amerykańskich na Europę środkowo- i południowo-wschodnią, zabezpieczenie niepodległości krajów tej części Europy pod koniec drugiej wojny światowej. Nie uważano bowiem tych obszarów za strefę interesów żywotnych ani Stanów Zjednoczonych, ani Wielkiej Brytanii — oprócz interesów tejże na Morzu Śródziemnym, przejętych w sam czas przez Stany Zjednoczone, dzięki czemu ocalały Grecja i Turcja.

Anna M. CIENCIAŁA

Tadeusz WYRWA

STOSUNKI FRANCUSKO-POLSKIE W OKRESIE „DZIWNEJ WOJNY" (WRZESIEŃ 1939 - CZERWIEC 1940)

Od kilku miesięcy środki masowego przekazu lansują we Francji obchody dwusetnej rocznicy Rewolucji Francuskiej i Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Opublikowano dziesiątki, jeżeli nie setki książek i albumów, a wielka pompa, z jaką przy-

gotowano uroczystości pochłonęła kolosalne sumy, co spotyka się ze słuszną krytyką, podobnie jak wątpliwa wartość znacznej części publikacji, nastawionych raczej na koniunkturalne gloryfikowanie tego, co było, z myślą odwrócenia uwagi od potrzeb chwili bieżącej. Wśród tej lawiny wrzaskliwej propagandy wydarzeń sprzed dwustu lat nic się prawie nie słyszy o pięćdziesiątej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej, której skutków doświadcza dzisiaj cały świat.

W tym zgiełku rewolucyjnym — a intelektualiści francuscy lubują się w kawiarnianych dyskusjach o rewolucjach wszelkiej natury — ukazała się książka na aktualny temat stosunków polsko-francuskich, napisana przez młodego historyka Yves Beauvois[1]. W przedmowie do książki prof. René Girault pisze, że historia stosunków polsko-francuskich obrosła mitami o niezniszczalnym od wieków przymierzu i wspólnocie duchowej obu narodów. Do mitów tych (z okresu dwudziestolecia) należy m.in. mniemanie, że zwycięstwo Francji z 1918 było bezpośrednim powodem odrodzenia Polski niepodległej, że generałowie francuscy przyczynili się w 1920 roku do ocalenia Warszawy itp. — przykłady klasycznych stereotypów o braterstwie francusko-polskim.

Rzeczywistość jest bardziej banalna, wyjaśnia następnie prof. Girault, nie ustrzegając się jednak samemu od powtarzania stereotypów. Tak więc rządy Polski i Francji, „szczególnie od 1934 roku, daty zbliżenia między hitlerowskimi Niemcami i dyktatorską Polską pułkowników, nie mają naprawdę do siebie zaufania". Przechodząc do kampanii 1939 roku i tematu bezpośrednio związanego z książką, prof. Girault pisze: „... rząd polski, pobity, wygnany, opuszczony w sensie wojskowym, musiał podporządkować się woli francuskiej. Okrucieństwo losu wobec tych samych, którzy chcieli wierzyć w możliwość porozumienia z hitleryzmem". Kilka miesięcy później, dodaje autor przedmowy, rząd polski w Angers był świadkiem wojskowego i moralnego załamania Francuzów; „jedni po drugich doznali uczucia wstydu i zależności" (str. 8). Bez popadania w megalomanię trzeba jednak przyznać, że Polakom — w przeciwieństwie do Francuzów — nie brak było zapału do walki, a klęski w 1939 roku wstydzić się nie potrzebują, bo przecież hitleryzm został pokonany — przy wspólnym wysiłku państw zachodnich — dopiero po przeszło pięciu latach wojny. Jeśli z kolei chodzi o zależność, to Francuzi uzależnili się od rządu Vichy, który został zalegalizowany przez

1. Yves Beauvois, *Les relations franco-polonaises pendant la „drôle de guerre"*. Préface de René Girault, Editions L'Harmattan, Collection „Chemins de la mémoire", Paryż 1989, str. 172.

ich własne Zgromadzenie Narodowe, które uchwałą z 10 lipca 1940 przekazało władzę marszałkowi Pétainowi. Zależność polska natomiast była zależnością nie od rodzimych kolaborantów z okupantem, lecz od własnych sojuszników, co też stanowi jeden z żałosnych paradoksów, powtarzających się stale w naszej historii.

Yves Beauvois, autor książki o której mowa, jest synem prof. Daniela Beauvois, znanego we Francji historyka, polonisty i rusycysty[2]. Młody historyk przygotował najpierw tezę pod kierownictwem prof. René Girault, a potem z przedmową tego ostatniego wydał ją w formie książki. Praca oparta jest w znacznym stopniu na źródłach archiwalnych polskich i francuskich. Jeśli chodzi o okres „dziwnej wojny", przeważają te drugie, na ogół znane Czytelnikom *Zeszytów Historycznych*. Szkoda jednak, że źródła, którymi dysponował Beauvois nie zostały wykorzystane w sposób bardziej wszechstronny. Pierwsze kilkadziesiąt stron poświęconych jest stosunkom polsko-francuskim sprzed 1939 roku. Strony te nie stanowią dobrego wprowadzenia do tematu, szczególnie dla Francuzów mało zorientowanych w historii dwudziestolecia Polski niepodległej, co też może przyczynić się do utrwalenia stereotypów, a nie do ich zwalczania.

Nie przywiązując wagi, bo nie można przywiązywać, do książki Wiktora Grosza — pierwszej, jaką cytuje i z jakiej korzystał Yves Beauvois — trzeba od razu podkreślić, że duży wpływ na poglądy tego ostatniego musiała wywrzeć lektura książek Léona Noëla, ambasadora Francji w Warszawie w latach 1935-1939. Otóż wiadomo, że Noël był opętany kompleksem Becka i innymi kompleksami w stosunku do przedwojennych rządów polskich, które narastały z wiekiem (a żył dziewięćdziesiąt dziewięć lat). Przed bezkrytycznym korzystaniem z prac Noëla należy przestrzec młodych historyków, zwłaszcza gdy mowa jest o potrzebie obalania szkodliwych mitów i stereotypów. W 1984 roku wyszła książka ambasadora Noëla, gdzie ponownie opisuje z jadem okres swego ambasadorstwa w Polsce. Po lekturze tej książki — ze wstępem J.-B. Duroselle'a, znanego historyka, również obciążonego błędami w interpretacji naszych dziejów — historycy napisali, że Noël ze swoją mentalnością „... zapewne czułby się lepiej jako gubernator jakiejś afrykańskiej kolonii, niż jako ambasador zaprzyjaźnionego państwa[3]".

Wpływy kompleksów ambasadora Noëla widoczne są na licz-

---

2. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 85, str. 3 i nast.

3. Piotr S. Wandycz i Anna M. Cienciała w *Zeszytach Historycznych* nr 72, str. 158.

nych stronach książki Yves Beauvois, który przedstawia sylwetkę ministra Becka w krzywym zwierciadle, zgodnie ze stereotypem rozpowszechnionym we Francji. Podobnie jest w odniesieniu do Marszałka Piłsudskiego. Według Beauvois „niezaprzeczalne sympatie Becka dla faszystowskich Włoch były powszechnie znane" (str. 26). Bez żadnych wyjaśnień a zwłaszcza wątpliwości pisze, że w 1923 Beck „został za szpiegostwo wydalony z Francji" (str. 27). Następnie twierdzi, że „ani Marszałek Piłsudski, ani pułkownik Beck nie byli przerażeni dojściem Hitlera do władzy". Ustanowienie silnego systemu w sąsiedztwie było im na rękę, bo przecież sami potępili, zamachem stanu z 1926 roku, słabą stronę demokracji parlamentarnej. „Hitler wydawał im się naiwnie Austriakiem, który położy kres pruskiej dominacji w sprawach niemieckich, zamknie erę Bismarcka i Hohenzollernów. W oczach sanacji Hitler był tym, który ideologicznie najlepiej mógł zrozumieć, że Polska winna być 'wielkim mocarstwem', szańcem przeciwko komunizmowi, bastionem cywilizacji zachodniej wobec niebezpieczeństwa bolszewickiego" (str. 29).

W dalszym ciągu Beauvois pisze: „wiadomo, że Daladier zareagował zupełnie inaczej i przyłączył się do idei Mussoliniego, ażeby zneutralizować potencjalne ryzyko, jakie zawierał wyborczy sukces Hitlera" (str. 29). Następnie wspomina o „pakcie czterech" z 1933 roku i reakcji Polski na ten pakt, po czym daje wzmiankę, że „oczywiście pogłoski o wojnie prewencyjnej przeciwko Niemcom krążyły tak nad Wisłą, jak i Sekwaną, ale nie miały prawdopodobnie żadnych podstaw, miały najwyżej ten efekt, że zachęciły nowego kanclerza — mało pewnego swojej przyszłości i którego reżim nie był jeszcze całkiem zakorzeniony w krajobrazie polityki europejskiej — do zyskania względów rządu polskiego" (str. 30-31). Tutaj Beauvois odsyła czytelnika do artykułu Henri Rollet, który — mając wątpliwości co do wojny prewencyjnej proponowanej przez Piłsudskiego — ujmuje jednak odmiennie ten problem. Warto przy tej okazji przypomnieć, że Rollet, autor znanej książki „Polska w XX wieku", pracował w dyplomacji, stąd i jego poglądy mają czasem specyficzny wydźwięk.

Marszałek Piłsudski jest dla Beauvois dyktatorem. Tak go nazywa, gdy pisze np. o deklaracji polsko-niemieckiej z 26 stycznia 1934 o niestosowaniu przemocy (str. 31), lub o przyjęciu w 1934 roku przez „dyktatora" Piłsudskiego francuskiego ministra Spraw Zagranicznych Louisa Barthou (str. 34). Przy opracowywaniu konstytucji kwietniowej „przywódcy bardzo konserwatywnej sanacji... nie mieli innej troski niż ta, żeby pozbyć się 'francuskich zasad' z konstytucji z 1921 roku" (str. 22). Beauvois cytuje *Gazetę polską* (nie podając jednak jej daty), która miała

wyrazić zadowolenie z tego, że „nowa konstytucja odrzuca... maksymę, zapożyczoną od Rewolucji Francuskiej: wolność, równość, braterstwo". Następnie pisze od siebie: „Szczyt ironii czy cynizmu, pierwsza wersja nowego tekstu konstytucji została przyjęta przez Sejm dnia 27 stycznia 1934[4], czyli nazajutrz po umowie niemiecko-polskiej! Zlecenie *[message]* nie mogło być jaśniej sformułowane" (str. 23).

Beauvois przypomina odmowę Becka przystąpienia Polski do „paktu wschodniego", zwanego również „Locarnem wschodnim", niezbyt jasno jednak podaje motywy tej odmowy i w dodatku paragraf na ten temat kończy zdaniem: „Równocześnie mnożą się symptomy zbliżenia niemiecko-polskiego: myśliwskie wizyty Göringa, przybycie Goebbelsa do Warszawy, podniesienie do rangi ambasady poselstwa w obydwu krajach, dwustronne umowy, germanofilski ton licznych gazet polskich..." (kropki w tekście u autora, str. 35). Po wkroczeniu Niemców 7 marca 1936 roku do zdemilitaryzowanej strefy Nadrenii i oświadczeniu Becka, że jeżeli Francja zajmie odpowiednie stanowisko, to „Polska bez wahania spełni swój obowiązek sojusznika[5]", Beauvois twierdzi, że „Polska gubi się w sprzecznościach swojego sojuszu z Francją i swojej umowy z Niemcami" (str. 38).

Zajęcie Zaolzia jesienią 1938 roku, dokonane w bardzo nieodpowiednim momencie, nie mogło być dobrze przyjęte na Zachodzie, zwłaszcza, że nie był on wystarczająco poinformowany o motywach, jakie kierowały rządem polskim. Niewiele więcej będzie też wiedział czytelnik zachodni po przeczytaniu książki Beauvois, który pisze: „Opinia publiczna we Francji była oburzona sępią postawą *(l'attitude de charognard)* Warszawy..." (str. 41), ale ani słowa o postawie Czechosłowacji w latach 1919-1920. Interpretacja tego epizodu jest tym bardziej ważna, że przeciętny Francuz, nie znający zupełnie historii Polski, wie jednak o incydencie z Zaolziem, lecz tylko tyle, ile zasłyszał z jednostronnie dostarczanych informacji.

Na ostatnich dwu stronach omawianego rozdziału, nad którym najdłużej się zatrzymałem, gdyż jest on wprowadzeniem orientującym stosunki polsko-francuskie podczas ostatniej wojny, Beauvois opiera się, oprócz ciągle cytowanego Noëla, na książce Jean Zay, ministra Edukacji Narodowej w latach 1936-1939. Książki tej nie znam; z cytatu u Beauvois wynika, że została

---

4. Data błędna, projekt ustawy konstytucyjnej był przyjęty przez Sejm dzień wcześniej, tzn. 26 stycznia 1934.

5. Zob. Józef Beck, „Dernier rapport", Neuchâtel 1951, str. 113.

opatrzona komentarzami i wydana przez Philippe Henriota w 1942 roku, który — o czym też warto wiedzieć — był członkiem rządu Vichy i w czerwcu 1944 został zgładzony przez ruch oporu. Beauvois, odsyłając do tej książki, mówi o podpisaniu w grudniu 1938 deklaracji francusko-niemieckiej, bez uprzedniego porozumienia się z rządem polskim, czyli wbrew przewidywaniom wzajemnego układu. Ale też zaraz po tym pisze: „Zaślepienie beckowców *(beckistes)* wobec niebezpieczeństwa niemieckiego poszło jednak o wiele dalej niż zaślepienie Francuzów... W grudniu 1938 Beck aprobował kolonialny program Mussoliniego, stwierdził, iż trzeba żeby Francja opuściła Tunezję i podkreślił nasz brak psychologii w dziedzinie kolonialnej" (str. 42).

Ta część książki wymaga ogólnego chociażby komentarza. Na Zachodzie — gdy mowa jest o Polsce niepodległej z dwudziestolecia — modne jest pisanie o „dyktaturze", „faszyzmie", polityce „germanofilskiej" Piłsudskiego i Becka; tej modzie uległ niestety i Yves Beauvois. Dzisiaj pojęcia te — po dyktaturach Hitlera i Mussoliniego oraz zbrodniach ustrojów faszystowskich — nie powinny być w żadnym wypadku używane w stosunku do rządów, które — jak w Polsce — były autorytatywne, ale nie dyktatorskie. Przed wojną, gdy nikt nie mógł przewidzieć do czego doprowadzą zbrodnicze systemy Hitlera i Mussoliniego, w układy z nimi wchodziła Francja i inne państwa, a orientacja faszystowsko-nazistowska miała np. we Francji nie tylko sporą liczbę zwolenników, ale i ideologów, i to nawet już w XIX wieku (mam na myśli zwłaszcza J. A. Gobineau), o czym rzadko się jednak słyszy. Najwyższy czas, żeby historycy z młodszych pokoleń, gdy piszą o Polsce, odświeżyli kryteria, które cuchną naprawdę naftaliną.

Przechodząc następnie do miesięcy poprzedzających wybuch wojny, Beauvois pisze o umowie czy też konwencji wojskowej polsko-francuskiej z maja 1939 roku, zwraca słusznie uwagę na manewr ministra Bonneta odnośnie protokołu politycznego, który warunkował wejście w życie umowy; krytykuje ociąganie się Francji w przyznaniu Polsce kredytów; mówi o trudnościach pertraktacji misji brytyjsko-francuskiej w Moskwie latem 1939, zerwanych niby z powodu Becka, który odmawiał współpracy wojskowej z ZSSR i zaznacza, że niepowodzenie tej misji było dla niej upokorzeniem, co nie przyczyniło się we Francji do polepszenia wyobrażenia o Polsce (str. 54).

Według Beauvois rząd polski we wrześniu 1939 zbyt szybko opuścił stolicę. „Przejście granicy polsko-rumuńskiej przez rząd warszawski oznaczało upadek reżimu, jaki chciał mieć Piłsudski

i którego trwanie przedłużyła sanacja" (str. 57). W opisie perypetii rządu polskiego w Rumunii Beauvois zaznacza, że internowanie jego członków „dało szansę obejścia trudności i pozbycia się w sposób legalny rządu pułkowników. Ta bierność, wykombinowana w Paryżu, dająca się obronić ideologicznie, była mimo to skandaliczna z punktu widzenia moralnego", wynaturzając sojusz polsko-francuski (str. 61). Dalej mowa jest o ingerencji Francji w sprawy następcy prezydenta Mościckiego: odrzucenie kandydatury generała Wieniawy-Długoszowskiego i mianowanie Władysława Raczkiewicza.

Po objęciu prezydentury przez Raczkiewicza „polityka polska wreszcie nie była w rękach pułkowników" (str. 73). Autor zaznacza, że Raczkiewicz służył Piłsudskiemu, ale tak jak go sobie przypomina Noël, cieszył się w 1939 roku szacunkiem. Beauvois pisze następnie, że dnia 8 kwietnia 1987 odbył rozmowę z ambasadorem Noëlem, który miał mu wtedy powiedzieć odnośnie prezydenta Raczkiewicza: „To był uczony, fizyk, chemik, biolog, sądzę, że uczony o istotnej wartości, ale to nie był absolutnie polityk, dziedzina w której nic nie rozumiał i do której nie usiłował się mieszać *[sic]*. Zatem pragnęliśmy oczywiście być z nim w zgodzie" (str. 74-75). Jasne, że jest to sylwetka nie Raczkiewicza, lecz prezydenta Mościckiego, co należy również z ubolewaniem odnotować.

W dalszym ciągu Beauvois przedstawia rząd Sikorskiego w Paryżu i w Angers, wychodzącą wówczas we Francji prasę polską, materialną pomoc Francji, wojskowe układy francusko-polskie przed wojną i podczas niej, tworzenie armii polskiej i trudności, jakie nastręczały jej wyposażenie i użycie najpierw w Finlandii, a później na odcinkach frontu we Francji. Problemom tym, zwięźle ujętym, Beauvois poświęca kilkadziesiąt stron.

Ostatni rozdział rozpoczyna Beauvois słusznym przypomnieniem niezachwianej wiary Sikorskiego w nie do zwyciężenia Francję. Po 21 marca 1940, gdy stojący na czele rządu francuskiego Daladier został zastąpiony przez Paul Reynaud, współpraca francusko-polska wydawała się zacieśniać. Wszystko to było tylko złudzeniem wobec sytuacji, w jakiej znajdowała się Francja. Przeniesienie rządu polskiego z Angers do Libourne (po zajęciu Paryża przez Niemców 14 czerwca), naszkicowany udział formacji polskich w walce z Niemcami i chaos ewakuacji rządu i wojska polskiego zamykają okres, który stanowi temat książki Beauvois.

Stosunki francusko-polskie podczas „dziwnej wojny" — pisze Beauvois w konkluzji — „nosiły to samo piętno dwuznaczności, co przystąpienie Francji do wojny" i udzielenie schronienia rzą-

dowi polskiemu — twierdzenie zgodne z rzeczywistością, czego nie można powiedzieć o motywach, jakie przytacza Beauvois dla wytłumaczenia tej dwuznaczności. „Brzemię przeszłości wyjaśnia w dużym stopniu — podkreśla Beauvois — tę paradoksalną postawę: gdy przyszedł 1939 rok, sojusz francusko-polski, liczący osiemnaście lat, był zużyty, żeby nie powiedzieć dogorywający. Upór Marszałka Piłsudskiego i pułkownika Becka, by uważać umowę niemiecko-polską z 1934 roku za oś swojej polityki zagranicznej pozbawił sojusz treści. Ani Barthou ze swoim projektem „Locarna wschodniego", ani Delbos przy zawieraniu umów w Rambouillet lub swojej wizycie w Warszawie nie zdołali sojuszu ożywić, a *Anschluss* i konferencja w Monachium osłabiły go jeszcze bardziej.

Następny paragraf poświęcony jest krytyce stanowiska Francji, nie z okresu dwudziestolecia (wtedy — według tego, co wyżej twierdzi Beauvois — winę ponosiła tylko Polska). Teraz, jesienią 1939 roku, stanowisko zajęte przez Francję wypływało z ułomności polityki polskiej sprzed wojny. „To właśnie z wrażenia — pisze Beauvois — że jedynie pułkownik Beck był odpowiedzialny za wadliwy charakter sojuszu wywodzi się bierna współwina Francji w czasie internowania gabinetu Sławoj-Składkowskiego i jej sprzeciw wobec mianowania generała Wieniawy następcą prezydenta Mościckiego. Przez przybranie tej postawy Paryż nie tylko pozbył się Becka, nie tylko obalił reżim pułkowników, ale zrobił to w taki sposób, że nowa polska władza wykonawcza przyjęta na ziemi francuskiej była frankofilska. Tego rodzaju postępowanie, które trzeba nazwać *coup d'Etat,* dowiodło że Francja nie zamierzała kłopotać się pojęciami legalności i suwerenności" (str. 158).

W tych warunkach — na co zwraca uwagę Beauvois — trudno jest mówić o całkowitej niezależności rządu polskiego w Angers. Sikorski wychodził jednak z założenia, że zatargów nie należy wyciągać na forum publiczne i starał się spory załatwiać dyskretnie, co przyczyniało się do podtrzymywania iluzji. Ale, pisze następnie, nie należy zbytnio oczerniać Francji, wrzenie w środowisku polityków polskich mogło też było skłonić Francuzów do tego, żeby zanadto nie popuszczać cugli rządowi w Angers, a najważniejsze: „Co to są sprawy wewnętrzne, jeżeli jest się za granicą?" (str. 158-159). Pytanie niepozbawione logiki, na które odpowiedzią mógłby być przykład stanowczości i wypływającej z niej stosunkowo dużej niezależności polityki autorytatywnego de Gaulle'a, którego jednak ani w Polsce, ani we Francji nie nazywa się dyktatorem.

Książka Yves Beauvois przyczyni się może do zdania sobie wreszcie sprawy z nieodzownej potrzeby przemyślenia, bez kompleksów i uprzedzeń, historii stosunków polsko-francuskich, nad którymi stale ciążą dawne stereotypy, przekazywane z jednego pokolenia na drugie, z ogromną szkodą dla trwałych więzi, jakie łączą znaczną część społeczeństw obu krajów, czego nie powinno się mieszać ze stosunkami w dziedzinie politycznej i z nieprzerwanie odtwarzanymi mitami, które prawdzie historycznej służyć nie mogą.

Tadeusz WYRWA

POLEMIKI

W. M. DRZEWIENIECKI

JESZCZE O PLANOWANIU OPERACYJNYM W ROKU 1939

W numerze 87/1989 *Zeszytów Historycznych* p. Bogdan Stachiewicz polemizuje z poglądami p. Z. S. Siemaszki, przedstawionymi w artykule „O kampanii wrześniowej" *(Zeszyty Historyczne* nr 84/1988, str. 172-179) oraz występuje w obronie swego ojca, śp. generała Wacława Stachiewicza, Szefa Sztabu Głównego W.P. w latach 1935-1939.

Wojna wrześniowa jest przedmiotem mego zainteresowania od wielu lat i przeprowadziłem na jej temat szereg rozmów, m.in. z generałem Władysławem Bortnowskim, dowódcą Armii „Pomorze", i generałem Stachiewiczem. Z rozmowy z generałem Bortnowskim posiadam obszerne sprawozdanie upoważniające mnie do przedstawienia małych uzupełnień do artykułu Bogdana Stachiewicza.

Pierwsza uwaga dotyczy cytowanego listu generała Stachiewicza do Komisji Historycznej. List ten generał Stachiewicz kończy ciężkim oskarżeniem pod adresem generała Bortnowskiego, że nie wycofał na czas oddziałów z korytarza pomorskiego, pomimo rozkazów Generalnego Inspektora. Generał Stachiewicz pisze:

„... Najlepszy dowód, że, gdy sytuacja dojrzała, G.I. wydał rozkaz wycofania 'Korpusu Interwencyjnego' z 'Korytarza'. Odpowiedni rozkaz D-two Armii Pomorze otrzymało 31 sierpnia o godz. 8-mej rano. Na podstawie obowiązujących instrukcji powinno było go wykonać natychmiast. Miałoby wystarczający

czas do wycofania sił i uniknięcia tego, co potem nastąpiło. Z niewiadomych do dzisiaj przyczyn rozkazy D-twa Armii wyszły dopiero 1 września[1]".

Innymi słowy, za klęskę w korytarzu pomorskim, zdaniem generała Stachiewicza, był odpowiedzialny generał Bortnowski, dowódca Armii „Pomorze".

Trzeba pamiętać, że w sierpniu 1939 roku na Pomorzu były dwa związki operacyjne, podległe bezpośrednio Generalnemu Inspektorowi: Armia „Pomorze" i Korpus Interwencyjny (13 i 27 d.p.) pod dowództwem generała Stanisława Skwarczyńskiego. Rzeczywiście, jak pisze generał Stachiewicz, Generalny Inspektor, gdy interwencja w Gdańsku przestała być aktualna, wydał 31-go sierpnia rozkaz wycofania części Korpusu Interwencyjnego (bez 27 d.p.). Generał Skwarczyński odjechał, aby objąć inne stanowisko. Została także wycofana 13 dywizja. Natomiast 27 d.p., która miała większe stany (po cztery bataliony w dwóch pułkach zamiast trzech) nie mogła być przesunięta w całości szybko typowymi transportami kolejowymi i wobec tego Generalny Inspektor nakazał wysunięcie jej zawczasu bliżej Gdańska. Rzecz prosta było ją potem trudniej wycofać z korytarza. Tę właśnie 27 d.p. musiał mieć na myśli generał Stachiewicz i za jej zniszczenie wini generała Bortnowskiego.

Właśnie na ten temat przeprowadziłem rozmowę z generałem Bortnowskim w dniu 11 marca 1966 w obecności śp. prof. dr. Eugeniusza Klebana. Oto co powiedział nam generał Bortnowski i co streściłem następująco:

„... Dywizja ta [27 d.p.] nigdy właściwie nie była przydzielona do Armii 'Pomorze'. Gen. Bortnowski zarządził jej wycofanie na rozkaz Sztabu Głównego. W tym czasie dowódca Korpusu Interwencyjnego otrzymał inne zadanie i wyjechał, zostawiając swe oddziały na Pomorzu. Większość dnia 31 sierpnia gen. Bortnowski spędził poza swym dowództwem, przeprowadzając inspekcję mobilizacji, która właśnie się zaczęła. Gdy wrócił o godz. 8-ej wieczorem, doręczono mu rozkaz Szefa Sztabu Głównego. Otrzymawszy ten rozkaz, który nie nakazywał specjalnej pilności, gen. Bortnowski nakazał wycofanie o 7-ej rano dnia następnego [1 września]. Wychodził on z założenia, że ponieważ była to świeża dywizja i nigdy nie maszerowała w alarmie nocnym, nocny rozkaz marszu mógłby znacznie obniżyć wartość bojową tej

1. W wydawnictwie *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, Londyn 1951, I, cz. 1, 416, o tym rozkazie znajdujemy następujące wyjaśnienie: „Rano (o godz. 8.50) nadano [ze Sztabu Głównego] do dowódcy Armii 'Pomorze' następujący telefonogram: 'Kwatera Główna Korpusu Interwencyjnego, elementy pozadywizyjne korpusu i 13 d.p. otrzymały rozkaz załadowania i odchodzą do dyspozycji N.W. 27 d.p. oddana do dyspozycji dowódcy armii. Generał Skwarczyński ze ścisłym sztabem zamelduje się jak najszybciej w Naczelnym Dowództwie".

dywizji, która przecież należała do Naczelnego Wodza, a nie do Armii 'Pomorze'. Gen. Bortnowski jest zdania, że jeśli zależało na pośpiechu, to powinno to być zaznaczone w rozkazie Szefa Sztabu Głównego, który powinien być wysłany bezpośrednio do dowódcy tej dywizji. Jednak gen. Bortnowski jest zdania, że natychmiastowe zaalarmowanie dywizji po otrzymaniu rozkazu Szefa Sztabu i jej wymarsz w kierunku południowym nie wpłynęłyby zasadniczo na jej los, gdyż nie zdołałaby się wycofać z worka pomorskiego na czas[2]".

Zresztą o generale Stachiewiczu generał Bortnowski wyrażał się bardzo pozytywnie. Powtórzył to w swym liście do mnie z dnia 18 lipca, 1966: „Znam gen. W.S. od [1]914 roku jako wybitnie inteligentnego i oddanego sprawie oficera. Prawdą jest, że w czasie pierwszej wojny nie dowodził żadną jednostką. Sam zdawał sobie sprawę z tego faktu i starał się ten brak uzupełnić. Należał on do tych niezbędnych w sztabie, których na front nie wypuszczano[3]".

Druga sprawa, którą chciałbym poruszyć, to sprawa kompetencji operacyjnej w przedwojennym Wojsku Polskim. Bogdan Stachiewicz na ten temat pisze: „Sprawy operacyjne były wyłącznie prerogatywą Naczelnego Wodza i Inspektorów Armii i były skoncentrowane w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych (GISZ). Sztab Główny nic z tym nie miał wspólnego[4]". Przeczy temu trochę zastępca generała Stachiewicza, płk dypl. Józef Jaklicz, w swym artykule „Mózg Armii". Pisze on co następuje:

„... W pierwszej połowie 1936 roku Gen. Inspektor ustalił, na podstawie 'Studium Niemiec', opracowanego przez sztab, zasadnicze wytyczne prowizorycznego planu 'Zachód' (manewr po liniach wewnętrznych), które zostały rozpracowane pod względem myśli manewru, O. de B. i zadań dla wszystkich armii... Plan ten miał być na razie rozpracowany w sztabowy plan operacyjny...[5]".

Generał Bortnowski, z którym także na ten temat rozmawiałem, miał wątpliwości co do operacyjnej kompetencji GISZ-u. Powiedział mi, że GISZ nie miał odpowiedniego aparatu do planowania operacyjnego. On sam otrzymał od Inspektora Generalnego swe zadanie i granice i to dopiero w marcu 1939 roku. Inspektor Generalny nic nie powiedział generałowi Bortnowskiemu o swych przewidywaniach. Generał Bortnowski uważał, że „to dowodzenie w tajemnicy przed dowódcami armii było tragicznym w skutkach nieporozumieniem[6]". Inspektor Armii, ge-

---

2. „Notatka z rozmowy", 11 marca 1966, w archiwach autora.
3. W archiwach autora.
4. B. Stachiewicz, str. 193.
5. *Zeszyty Historyczne* nr 18 (1970), str. 203.
6. „Notatka z rozmowy", str. 1.

nerał Juliusz Rómmel, tak pisze o operacyjnym planowaniu GISZ-u: „Osobiście nie byłem wtajemniczony w sprawy związane z planem wojny i nie miałem nań żadnego wpływu[7]". Komendant Wyższej Szkoły Wojennej i Inspektor Armii, generał Tadeusz Kutrzeba, w swej relacji stwierdził: „... dowódcy armii planu (operacyjnego) nie znali. Znali oni tylko przypadające im zadania na pierwsze dni wojny[8]". Wniosek stąd prosty: planowanie operacyjne na najwyższym szczeblu było w rękach Generalnego Inspektora i jego sztabu. Taką ocenę podał mi zresztą generał Bortnowski.

Trzecia sprawa dotyczy organizacji dowodzenia. Uważam, podobnie jak p. Siemaszko, że było poważnym błędem, że istniejące przed wojną korpusy nie były przystosowane do dowodzenia w polu. Tworzono natomiast tzw. Grupy Operacyjne i na to znaleziono sprzęt i personel. Także uważam, że błędem było nieprzygotowanie, nawet słabo wyposażonych, dowództw frontów. Dowództwa takie zaimprowizowano już w czasie wojny, ale nie mogły one, rzecz prosta, spełnić swych zadań.

Jeśli już mowa o organizacji dowodzenia, to chyba największym błędem było niestworzenie odpowiedniego sztabu dowództwom pułków piechoty, które stanowiły trzon Wojska Polskiego. Problem ten naświetlam bardziej szczegółowo we wspomnieniu z wojny wrześniowej[9].

W. M. DRZEWIENIECKI

7. *Za honor i ojczyznę*. Warszawa 1958, str. 23.
8. *PSZbr., op. cit.*, I, cz. 1, str. 282.
9. *Wrześniowe wspomnienia podporucznika*. Warszawa 1978, str. 174-176.

OKRUCHY HISTORII

Gen. Stefan ROWECKI

KTO NAMI DOWODZIŁ?

We „Wspomnieniach i notatkach biograficznych" (1906-1939) gen. Stefana Roweckiego (Warszawa, Czytelnik, 1988) znajdują się bardzo interesujące charakterystyki wyższych wojskowych. Były one pisane w 1939 roku. Ciekawe jest zestawienie, na ile okazały się one słuszne i jak się Ci wojskowi sprawdzili w czasie ostatniej wojny (opuszczamy nazwiska mniej znanych generałów). [*Red.*].

22 maja 1939, poniedziałek

Przed kilku dniami rozmawialiśmy w gronie kilku kolegów na temat naszych wyższych dowódców, którym przyszłoby wziąć na barki ciężar dowodzenia w wojnie, która nieuchronnie wkrótce wybuchnie. Wkrótce, tak jak ja rozumiem i oceniam, to chyba nie w najbliższych tygodniach. Wybuch wojny możliwy raczej dopiero od sierpnia (gdy zbiory zostaną ukończone). Przypuszczam jednak, że chyba dopiero w roku przyszłym, gdy Anglia się dozbroi. Jedynie Niemcy, nie chcąc do tego dopuścić, mogą obecnie pod jesień sprowokować wojnę.

Te opinie warto zanotować, są one bowiem w dużej mierze opiniami całego naszego ogółu oficerskiego, a nikt przecież nie oceni lepiej przełożonych, jak ich podwładni. Opinie te zresztą pokrywają się niemal całkowicie z moimi poglądami o tych, którym przyjdzie dowodzić w przyszłej rozprawie orężnej.

Marszałek Śmigły-Rydz — jako naczelny wódz będzie chyba bezkonkurencyjny. Nikt nie ma takiego liniowo-bojowego przygotowania, bo od d-cy baonu poprzez pułk, brygadę, dywizję, grupę, armię i front do naczelnego wodza. Nikt nie miał takiego szczęścia wojennego i nikt z wyższych dowódców nie cieszy się takim ogólnym żołnierskim uznaniem. Za bardzo jedynie naczelny wódz zaabsorbowany jest w okresie bezpośrednio już poprzedzającym wojnę różnymi, mało ważnymi sprawami społecznymi czy o charakterze propagandowym. Wystarczy, aby kilku powstańców czy rezerwistów utworzyło jakiś związek, a już naczelny wódz przyjmuje ich na audiencji i fotografuje się. Gdy jego umysł i czas zaprzątnięte są takimi drobiazgami, może ich nie starczyć na sprawy zasadnicze i bardzo ważne.

INSPEKTOROWIE ARMII

Generał broni Sosnkowski — twardy, godny zaufania charakter, moc bije z tego człowieka; wybitny organizator, pewnie i polityk. Jako wódz nie ma wielkiego doświadczenia. W wojnie światowej parę razy dowodził przejściowo w zastępstwie Komendanta kilkoma baonami I Brygady Legionów Polskich (Łowczówek, Kukle itp.). W wojnie polskiej króciutko dowodził armią rezerwową uderzającą w lipcu 1920 roku na północy, bez specjalnego powodzenia. Raczej to typ organizatora (np. ministra spraw wojskowych) niż wodza. Jednak nawet jako do dowódcy armii czy frontu będzie można mieć do niego pełne zaufanie.

Generał broni Berbecki — przeszedł wszystkie szczeble dowodzenia od dowódcy kompanii do dowódcy dywizji piechoty na wojnie. Ma za sobą trzy wojny (łącznie z rosyjsko-japońską) i ze 12 ran. Typ żołnierza-dowódcy. Odważny, zdecydowany, kiedyś z olbrzymim temperamentem, dziś wobec 63 lat życia reprezentuje raczej odwód dowódców armii. Jako dowódca armii musiałby mieć wybitnego szefa sztabu, kalkulatora operacyjnego. Charakter i uporczywość da swym decyzjom sam osobiście.

Generał dywizji Rómmel — przeszedł różne etapy dowodzenia, już w 1920 roku dowodził naszym korpusem kawalerii. Typ wodza do wykonania nieskomplikowanych operacji, ale wymagających temperamentu i gwałtowności. Na niego jako na dowódcę armii można liczyć.

Generał dywizji Norwid-Neugebauer — dowódca batalionu i pułku z wojny światowej, w wojnie 1918-[19]20 — generalny kwatermistrz, po wojnie dowodził dywizją. Umysł

przeładowany wiadomościami, ale nieskoordynowany, chaotyczny. Brak realności w zamierzeniach (swego czasu twórca podatku drogowego, który miał wybudować szosy, a zarżnął na przeszło 10 lat motoryzację kraju). Na dowódcę armii nie nadaje się.

Generał dywizji Piskor — dowodził batalionem w Legionach, dywizją po wojnie. Przeszłość raczej sztabowa. Wielka jednak solidność pracy, umysł operacyjny, zdolny do szybkiego i giętkiego przepracowania i przeprowadzenia nawet trudnych operacji. Obawiam się, że może być nieco za miękki w wyciskaniu i wymuszaniu wykonania swoich decyzji. Typ dobrego dowódcy armii.

Generał dywizji Burhardt — ma bardzo ładną przeszłość bojowo-liniową. Dowódca plutonu, kompanii, batalionu i pułku w Legionach. Dowódca dywizji w wojnie 1920 roku. Ma operacyjną giętkość myślenia. Może będzie za miękki nieco w wymuszaniu swych decyzji.

Generał dywizji Fabrycy — dowódca batalionu, pułku i brygady na wojnie. Dowódca dywizji piechoty po wojnie. Ma duże zdolności organizacyjne (pierwszy wiceminister Ministerstwa Spraw Wojskowych w latach 1928-[19]34). Ma dużą lotność i zdolność projektowania operacji. Może być jedynie nieco miękki w ich realizowaniu.

Generał dywizji Dąb-Biernacki — piękna przeszłość bojowo-liniowa. Dowódca kompanii i batalionu w Legionach. Dowódca pułku, brygady i dywizji (1 dywizja piechoty Legionów) w 1918-[19]20. Dotychczas wywierał poważną presję na tok wyszkolenia taktycznego wojska, niekoniecznie najlepszą. Zbyt negliżuje rolę lotnictwa i broni pancernej na wschodzie Europy. Wojnę przyszłą tutaj ciągle widzi zbyt zbliżoną do roku 1920. Jego metody z taktycznych ćwiczeń indywidualnych prowadzą do ogłupiania zarówno kierowników, jak i uczestników ćwiczeń. Reprezentuje bezwzględność i brutalność w przeprowadzaniu swoich zamierzeń. Czasem w rozwiązaniach swych może być nieprawdopodobnie ryzykowny. Umysł doktrynerski, nie nadający się do projektowania i realizowania skomplikowanych operacji. To typ dowódcy armii w wykonywaniu na przykład brutalnego, ściśle określonego zadania, na przykład przełamania lub obrony za wszelką cenę.

Generał dywizji Bortnowski — ładna przeszłość liniowo-bojowa: dowódca plutonu i kompanii w Legionach. Wojna 1920 w sztabach. Dowódca pułku, piechoty dywizyjnej, dywizji piechoty po wojnie. Dowódca grupy operacyjnej śląskiej na Zaolziu. Ma opinię bardzo tęgiego dowódcy armii. Myślę, że się nie mylą ci, którzy na niego stawiają!... Uchodzi za kandydata na następcę marszałka Śmigłego.

Generał dywizji Kutrzeba — nigdy niczym nie dowodził. Ostatni raz plutonem saperów austriackich w 1914 roku. Od tego czasu tylko w sztabach: był szefem sztabu marszałka Śmigłego jako dowódcy dywizji, potem grupy operacyjnej, potem armii i frontu. Ma opinię wybitnego operatora. Wyróżnia się inteligencją i bystrością umysłu. Ma wszystkie dane na dowódcę armii z wyjątkiem doświadczenia osobistego w dowodzeniu. Czy to nie stworzy mu trudności jako dowódcy armii, można mieć obawy. W każdym razie powinien dobrać sobie szefa sztabu, który by go hamował w rzucaniu pomysłów i zmuszał do ostatecznego zrealizowania jednego z nich; również ten szef sztabu, dobry i doświadczony oficer liniowy, musiałby bezapelacyjnie określić możliwości wykonawcze wojsk, inaczej łatwo o katastrofę armii dowodzonej przez Kutrzebę.

Generał brygady Szylling — dowódca *par excellence* liniowy i bojowy. Umysł prosty, żołnierski, nieskomplikowany. Na pewno prosto i dobrze wykona zadania nieskomplikowane.

DOWÓDCY KORPUSÓW

Dowódca Okręgu Korpusu I — generał brygady Trojanowski — dowodził od batalionu do dywizji. Nie miał w Legionach dobrej opinii jako dowódca baonu i pułku. Zwykle się wszędzie (np. pod Jastków) spóźniał lub w ogóle dowodzenie nie bardzo mu wychodziło. Dziś myśleć o nim jako o dowódcy grupy operacyjnej trudno, raczej typ to dowódcy administracyjnego.

Dowódca Okręgu Korpusu III — generał Olszyna-Wilczyński — ma wszystkie szczeble dowodzenia za sobą — batalionem w Legionach, pułk i brygada w wojnie 1918-1920. Dywizja po wojnie. Nie przedstawia umysłu dowódcy operacyjnego, raczej typ dowódcy administracyjnego.

Dowódca Okręgu Korpusu IV — generał brygady Thommée — dowodzenie ma za sobą. Nie przypuszczam, aby mógł być brany w rachubę jako dowódca operacyjny, raczej dowódca administracyjny.

Dowódca Okręgu Korpusu V — generał brygady Langner— dowódca liniowy, batalion i pułk w wojnie 1918-[19]20, przed tym w Legionach pluton i kompania. Po piechocie dywizyjnej dywizją nie dowodził. Został bez tego generałem, ale w administracji. Typ dowódcy administracyjnego, ale sądzę, że może być wzięty pod uwagę jako dowódca dywizji i grupy operacyjnej.

Dowódca Okręgu Korpusu VI — generał brygady Narbutt-Łuczyński — w latach 1914-[19]18 i 1918-[19]20 dowodził na froncie kompanią, batalionem i pułkiem. Po wojnie dywizją. Ma wyłącznie przeszłość liniową, ale bez specjalnych sukcesów wojennych. Jako dowódca operacyjny będzie zapewne użyty, nie rokuję mu jednak wyróżnienia.

Dowódca Okręgu Korpusu VIII — generał brygady Tokarzewski — ma piękną przeszłość liniowo-bojową. Dowódca batalionu w roku 1914-[19]16, dowódca pułku i brygady w [wojnie] 1918-[19]20, dowódca odsieczy Lwowa. Po wojnie dowódca dywizji. Mimo tej przeszłości bojowej na manewrach i grach wojennych często go biją. Ma pecha, no i może za specjalny sposób analizowania położenia, zbyt wchodzi w szczegóły. Wybitny to natomiast talent organizacyjny i prawdziwy niezależny charakter. Świetny byłby minister spraw wojskowych. Jako dowódca operacyjny na pewno będzie użyty, trzeba aby dobrać mu odpowiedniego szefa sztabu.

Dowódca Okręgu Korpusu IX — generał brygady Kleeberg Franciszek — artylerzysta, sztabowiec austriacki, na wojnie 1914-[19]18 i 1918-[19]20 niczym nie dowodził. Po wojnie dostał dywizję. Szkolony jest obecnie na dowódcę operacyjnego. W manewrach lwowskich 1937 roku jako dowódca grupy operacyjnej słabo wypadł. W razie wojny na pewno będzie użyty jako dowódca operacyjny.

Dowódca Okręgu Korpusu X — generał brygady Wieczorkiewicz — dowódca kompanii i batalionu w 1914-[19]18. W wojnie polskiej dowodził krótko pułkiem, po wojnie dostał dywizję. Drobiazgowy, detalista, chyba bez szerszego horyzontu operacyjnego. Wątpię, żeby dał sobie radę w dowodzeniu grupą operacyjną, raczej typ dowódcy administracyjnego bez większych zdolności. Najlepiej nadawałby się na funkcje reprezentacyjne, np. na szefa kancelarii wojskowej Prezydenta.

DOWÓDCY DYWIZJI PIECHOTY

1 Dywizja Piechoty Legionów — generał brygady Kowalski — artylerzysta z piękną przeszłością liniową i sztabową. Ma dane na bardzo dobrego dowódcę dywizji piechoty, a może i wyżej, na grupę operacyjną.

2 Dywizja Piechoty Legionów — pułkownik Dojan-Surówka — przeszłość tylko liniowa, bojowo dobra. Ma charakter w decyzjach. Pokojowo wygodny i nic mu się nie chce robić. Lenistwo pracy, a nawet myślenia. Na wojnie powinien być dobrym dowódcą dywizji.

4 Dywizja Piechoty — generał brygady Bołtuć — bardzo dobry: rozmach, temperament, umiejętność w dowodzeniu, może nawet ma dane na dowódcę operacyjnego.

5 Dywizja Piechoty — generał brygady Zulauf — wygodny, nie przepracowujący się dowódca dywizji. Podobno na wojnie byłby bardzo dobry. Ma ładną przeszłość bojowo-liniową. Na dowódcę operacyjnego nie robi wrażenia, aby się nadawał.

6 Dywizja Piechoty — generał brygady Mond — odważny Żyd z wojny 1918-[19]20. Brak danych na dowódcę dywizji, a tym bardziej wyżej.

7 Dywizja Piechoty — generał brygady Gąsiorowski — prawie nigdy niczym nie dowodził. W 1914-[19]15 baterią artylerii, w 1921 pułkiem artylerii, teraz dywizją. Nie robi wrażenia, aby mógł być dobrym dowódcą dywizji, tym bardziej wyżej chyba nie pójdzie.

9 Dywizja Piechoty — pułkownik Werobej — dowódca *par excellence* liniowy. Typ dowódcy z charakterem i nosem dowódcy. Generał Rybak bardzo go cenił jako dowódcę taktycznego. Dowódcą dywizji piechoty, szczególnie na wojnie, potrafi chyba być dobrym, wyżej ani mowy!...

12 Dywizja Piechoty — generał brygady Paszkiewicz Gustaw — świetny dowódca (55 pułk piechoty) z lat 1918-[19]20. Ma trzy Virtuti Militari. Dowódca z charakterem, temperamentem i głową na karku. Będzie świetnym dowódcą dywizji na wojnie, a może nawet i wyżej.

18 Dywizja Piechoty — generał brygady Fijałkowski — dowódca liniowy o pięknej przeszłości bojowej. Typ dowódcy, lecz maksimum do poziomu dowódcy dywizji piechoty. Obecnie znudzony (dowodzi dywizją ponad 10 lat), na wojnie byłby dobry. Wyżej nie nadaje się. Pije, nic nie pracuje nad sobą, horyzonty ograniczone.

21 Dywizja Piechoty — generał brygady Kustroń — filozof życiowy i taki też w dowodzeniu. Nie mam do niego nabożeństwa, choć podobno taktycznie dobry, no i ma charakter w decyzjach. Wyżej dywizji piechoty nie pójdzie.

22 Dywizja Piechoty — generał brygady Boruta-Spiechowicz — piękna przeszłość bojowa i liniowa. Dowódca z charakterem i zacięciem. Ma dane na dowódcę operacyjnego. Możliwa duża przyszłość.

23 Dywizja piechoty — generał brygady

Jagmin-Sadowski — piękna przeszłość bojowo-liniowa. Bardzo duże przygotowanie naukowe i sztabowe. Wielka solidność, dokładność pracy — po prostu „piła" dla siebie i dla podwładnych. Ideał dowódcy do solidnej np. obrony lub metodycznego natarcia. Dowódca dywizji bardzo dobry i sądzę z przyszłością operacyjną. Ma decyzje twarde, z charakterem, potrafi też lotnie rozumować.

28 Dywizja Piechoty —generał brygady Bończa — dowodzi ponad 10 lat dywizją, z czego już z pięć lat niczym się nie zajmuje poza polowaniem, piciem i grą w karty. Podobno kiedyś był niezłym dowódcą liniowo-bojowym. Obecnie nerwus, przykry dla otoczenia, widać, że czas mu na emeryturę. Szkoda, żeby jakie miejsce w wojsku zabierał.

GENERAŁOWIE W KAWALERII

Jako dowódców kawalerii to niewątpliwie poza generałem Rómmlem i generałem Głuchowskim, który może byłby nieco za miękki, za najlepszych można uważać:

Generał Skotnicki — o wielkiej inteligencji, bystrości i obecnie dużym już doświadczeniu na szczeblu wielkiej jednostki kawalerii. Nadaje się na dowódcę dywizji kawalerii, a może i korpusu kawalerii.

Generał Anders — typ dowódcy oraz wartości podobne jak Skotnicki.

Generał Piasecki — o świetnej przeszłości liniowo-bojowej, ma trzy Virtuti Militari. Dowódca Brygady (może i dywizji) kawalerii z prawdziwą intuicją. Ma dar boży jako dowódca. Widziałem, jak pracował na manewrach lwowskich.

Generałowie — Przewłocki i Dreszer Rudolf — to dobrzy dowódcy brygad kawalerii — głowy otwarte, duże doświadczenie.

Generałowie — Kleeberg Juliusz, Skrzyński, Korytowski — to dowódcy brygad kawalerii, bez ducha i temperamentu kawaleryjskiego, to rzemieślnicy, detaliści roboty kawaleryjskiej, raczej z racji swych uzdolnień i zamiłowań pasują na pomocników czy zastępców dowódców okręgów korpusów.

Generał Abraham — to inteligentny, lecz nieobliczalny dowódca wielkiej jednostki kawalerii. On sam nie wie, co może zrobić, a cóż dopiero jego podwładni lub przełożeni!...

Poza wyżej wymienionymi mamy jeszcze kilku generałów w sztabie i w ministerstwie spraw wojskowych, np.:

Generał brygady Stachiewicz Wacław — szef sztabu głównego, bardzo solidna firma pod względem pracowitości, dokładności w pracy. Duża inteligencja, o wielkim rozmachu i zacięciu, ale mimo wszystko człowiek nie na tak wielką miarę, jakiej potrzeba na to stanowisko. Obawiam się poważnie o te przygotowania do wojny, które pod jego kierunkiem zostaną zrobione. Poza tym jest samotny w tych przygotowaniach, które przeprowadza, bo naczelny wódz zajęty jest przeważnie przyjmowaniem różnych delegacji i innymi podobnymi imprezami propagandowo-reprezentacyjnymi. Również niepokojący jest jego stosunek do ministra wojny. Jak gdyby nie znoszą się obaj. Co uzna i żąda Stachiewicz, z reguły odrzuca Kasprzycki i, zdaje się, odwrotnie to samo.

Zastępca szefa sztabu głównego generał brygady Malinowski — to bardzo porządny człowiek, ale i jako sztabowiec, i jako dowódca dywizji piechoty był i jest zaledwie przeciętny.

W Ministerstwie Spraw Wojskowych — generał Maciejewski, zastępca szefa administracji armii — to oficer z głową i charakterem. Zdaje się, że odpowiedni człowiek na właściwym miejscu; tym bardziej on tam konieczny, bo właściwy szef administracji i II wiceminister.

Generał Litwinowicz, to już po trochu „ramolcio", no i przereklamowany „jedyny spec" od wszelkich zagadnień administracyjno-gospodarczych.

Na koniec jest jeszcze, bądź to w dyspozycji ministra spraw wojskowych, bądź na emeryturze, kilku młodych stosunkowo i niezłych generałów. Należy tu przede wszystkim generał dywizji Sikorski Władysław, wybitna jednostka pod względem inteligencji, zdolności organizacyjnych i talentu dowódczego (dowódca 5 armii w [19]20 roku). Stale studiujący zagadnienia wojskowe, jest w należytej formie teoretyczno-wojskowej. W potrzebie powinien być wykorzystany. Również będący w stanie spoczynku generałowie: Januszajtis, Minkiewicz i Kukiel będą na pewno użyci, gdyż reprezentują jeszcze poważne wartości dowódcze.

Gen. Stefan ROWECKI

LISTY DO REDAKCJI

LIST OTWARTY DO JANA NOWAKA

Szanowny Panie,

Stanowczo protestujemy przeciwko treści i formie Pana uwag o Józefie Mackiewiczu, zawartych w książce „Polska z oddali" (Wyd. „Odnowa", Londyn 1988, str. 184-187, 338).

Wysunął Pan szereg oskarżeń pod adresem nieżyjącego pisarza — oskarżeń, naszym zdaniem, nieudokumentowanych. Jednocześnie przemilczał Pan zasadniczy dla oceny postawy Mackiewicza fakt jego wyjazdu do Katynia w roku 1943, w porozumieniu z Komendą Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej. Jak wiadomo Józef Mackiewicz był jednym z najbardziej znanych świadków zbrodni katyńskiej. Napisał na ten temat książkę. Występował przed Komisją Kongresu Stanów Zjednoczonych. Po powrocie z Katynia złożył sprawozdanie na ręce przedstawicieli AK. Czy choćby ten fakt nie skłania Pana do większej ostrożności przy ocenie wojennej postawy pisarza?

Na temat Józefa Mackiewicza toczyła się w ostatnim okresie — na łamach prasy emigracyjnej i niezależnej w kraju — szeroka polemika (artykuły w *Pulsie, Krytyce , Arce, Kulturze Niezależnej)*. Autorzy broniący Józefa Mackiewicza udokumentowali i wyjaśnili szereg istotnych okoliczności — m.in. fakt, że Józef Mackiewicz nigdy nie był redaktorem *Gońca Codziennego*. Opublikował jedynie sześć antysowieckich tekstów w tej gazecie, większość bezpośrednio po uderzeniu niemieckim na ZSSR w 1941 roku. Przez cały rok 1942, z końcem którego zapadł wyrok sądu AK, nie opublikował żadnego artykułu w tym piśmie, co m.in. może uzasadniać przypuszczenie, że padł ofiarą omyłki lub prowokacji ze strony sowieckich agentów w strukturach AK. Wyjaśniono również, że autorem pierwszego artykułu, stawiającego pisarzowi zarzut kolaboracji — artykułu opublikowanego w wileńskim piśmie akowskim *Niepodległość* w roku 1943 — był b. redaktor *Prawdy Wileńskiej*, pisma ukazującego się w czasie sowieckiej okupacji Wilna w latach 1940-1941. W londyńskim *Pulsie* (nr 34/88) Kazimierz Zamorski opublikował oświadczenie Sergiusza Piaseckiego, który miał wykonać wyrok na Mackiewiczu. Oświadczenie to, napisane dla Dowództwa 2-go Korpusu, dodatkowo wyjaśnia szereg okoliczności na korzyść Mackiewicza — m.in. ujawnia formalne odwołanie wyroku.

Uważamy, że w tej sytuacji niedopuszczalne jest dalsze insynuowanie pisarzowi zdrady i kolaboracji. Tak poważne zarzuty wymagają precyzyjnego

udokumentowania — nie wystarczy już powoływanie się na cudze opinie. Jeśli twierdzi Pan, że większość obrońców Mackiewicza nie przeżyła okupacji niemieckiej, to zarzut ten można odwrócić i powiedzieć, że ani Pan nie przeżył, ani większość osób atakujących Mackiewicza nie przeżyła okupacji sowieckiej w latach 1940-1941. A przecież doświadczenie to w odmienny sposób kształtowało postawę Polaków wobec dwóch okupantów — inaczej niż tych, którzy przeżyli tylko okupację niemiecką.

Czytając fragmenty Pana książki poświęcone Józefowi Mackiewiczowi zwróciliśmy uwagę na wyjątkowo napastliwą formę wypowiedzi. Świadczy o tym np. niczym nie udokumentowana sugestia, że Józef Mackiewicz załamał się w czasie śledztwa w NKWD; sugestia, że był autorem „oszczerczych oskarżeń" i brał udział w „niemieckiej intrydze" (str. 338) co — w konsekwencji — zmusiło Pana do ustąpienia ze stanowiska dyrektora Sekcji Polskiej RWE; sugestia, że podlegał ochronie cenzury w kraju; porównanie zmarłego pisarza do powieszonego po wojnie lorda „How-how"; porównanie postawy i światopoglądu Mackiewicza do postawy „Niemców-gestapowców" i światopoglądu Hitlera. W podobnym stylu pisano w Polsce o ludziach, także o ludziach zmarłych, w najgorszych latach ostatniego półwiecza.

Jest nam szczególnie przykro, że słowa te zmuszeni jesteśmy skierować do Pana.

Warszawa, maj 1989 r.

Jarosław ABRAMOW-NEWERLY, Janusz ANDERMAN, Anna BOJARSKA, Włodzimierz BOLECKI, Ernest BRYLL, Tomasz BUREK, Marta FIK, Andrzej JAGODZIŃSKI, Aleksander JUREWICZ, Erwin KRUK, Ewa LIPSKA, Zdzisław ŁAPIŃSKI, Marek NOWAKOWSKI, Kazimierz ORŁOŚ, Zyta ORYSZYN, Jarosław Marek RYMKIEWICZ, Janusz SŁAWIŃSKI, Jacek TRZNADEL, Roman ZIMAND.

◆

Columbus, Ohio 3 maja 1989 r.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Nie wiem, czym zasłużyłem na surową ocenę mojej książki o generale Leopoldzie Okulickim, której fragment opisujący moskiewski proces p. Adam Bień nazwał „wylukrowaną relacją nie zawierającą słowa prawdy, relacją człowieka, który tego nie widział" (*Zeszyty Historyczne* nr 87, str. 143). Jako jedyny argument na poparcie swojej tezy przytacza p. Bień fakt, że z pewną sympatią wyraziłem się tam o jednym z oskarżonych, mec. Zbigniewie Stypułkowskim, którego p. Bień nazywa... „polskim faszystą"!

Czytelnikom wypowiedzi p, Bienia, zarówno w tej rozmowie, jak i innych, drukowanych w jego wspomnieniach, takich jak np. o rozmowie z gen. Okulickim przez okno celi moskiewskiego więzienia, czy o stukaniu a nawet „waleniu" w ścianę celem nawiązania z nim kontaktu, pozostawiam osąd prawdopodobieństwa relacji sędziwego pamiętnikarza. Każdy z nas, kto przez sowieckie więzienia przeszedł, może to tylko „między bajki włożyć".

Dziwi mnie natomiast, że prowadzący rozmowę dziennikarze nazywają moją relację „jednostronną i z drugiej ręki". Ten ostatni zarzut jest zbyt śmieszny, żeby zasługiwał na polemikę — ostatecznie można go postawić każdemu rodzajowi literatury poza wspomnieniami i reportażami — nie rozumiem jednak, o jaką jestem oskarżony jednostronność: jeśli o to, że

moja relacja jest jednostronnie propolska, to oczywiście ocenę tę przyjmuję, jeśli zaś określenie zachowania większości oskarżonych jako „widowiska upokarzającego i strasznego" uznano za jednostronne, to wystarczy uważnie przeczytać wypowiedzi p. Bienia, żeby przyznać mi rację, co czyni zresztą on sam, dobitnie określając swe uczucia podczas procesu: „Czuliśmy smak gówna!" (j.w., str. 146).

Wolno mieć nadzieję, że odnaleziony ostatnio w moskiewskich archiwach film z procesu pozwoli nam wszystkim, tym którzy tam byli i tym, którzy tylko „z drugiej ręki i jednostronnie" proces opisywali, zobaczyć na własne oczy, jak różnie zachowywali się różni oskarżeni i stwierdzić, kto z nich na jaką ocenę zasłużył.

Proszę przyjąć wyrazy jak zawsze prawdziwego szacunku

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

◆

10 czerwca 1989.

Szanowny Panie Redaktorze!

W jubileuszowym, 500-nym numerze *Kultury* przeczytałem artykuł „Koniec Wielkiego Xięstwa" z jednej strony z zainteresowaniem, a z drugiej ze sprzeciwami z powodu różnych nieścisłości, z których przynajmniej jedną pragnę sprostować. Czesław Miłosz pisze, iż w wileńskim Klubie Włóczęgów „zapalczywego endeka mieliśmy jednego, Kazimierza Hałaburdę, ten został wywieziony i umarł w gułagu na dyzenterię" (str. 111). W rzeczywistości było nieco inaczej.

Oficer rezerwy Hałaburda powrócił z klęski wrześniowej złamany i oddając swój pistolet komunistce Annie Jędrychowskiej oświadczył:

— No cóż, przegrałem, zdaje się, że wy mieliście rację. ... Zostanę w Wilnie. Może się wam na coś przydam. Chcę być z wami, będzie mi raźniej". (Anna Jędrychowska, „Zygzakiem i po prostu", str. 283 i 284).

I zaczął pisywać w *Prawdzie Wileńskiej*. Ale niewiele mu to pomogło, został aresztowany i pojechał na wschód. Zwolniony po „amnestii", już nie zdążył do 5-tej lub 6-tej dywizji i dopiero na początku 1942 znalazł się w 9-tej dywizji w Margiełan koło Fergany. Ta niekompletna dywizja opuściła ZSSR w końcu marca 1942, ale urodzony w 1903 roku por. Kazimierz Hałaburda nie dożył tego momentu i zmarł w Margiełan parę tygodni przedtem, 9 marca 1942.

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO

◆

Paryż, 20 maja 1989.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z ogromnym opóźnieniem wziąłem do ręki nr. 17-18-19 czasopisma *L'Autre Europe* z roku 1988. Zamieszczono w nim m.in. mój wywiad ze Zbigniewem Herbertem z książki „Hańba domowa" we francuskim tłumaczeniu Jacqueline Kochan. Tutaj pragnąłbym poświęcić kilka słów omówienia szkicu, poprzedzającego ten wywiad. Szkic ten stanowi recenzję mojej

książki. Autorką jest pani Agnieszka Grudzińska. Recenzje wprawdzie przychodzą i odchodzą, ale sądy dezinformujące należy wytknąć, gdyż mają tendencję do utrwalania się. Sądzę więc, że ten mój list może mieć rację bytu na łamach *Kultury*.

Zacznijmy od błędów rzeczowych. Kilkakrotnie zostaje powtórzone, że wszyscy pisarze, z którymi zrobiłem wywiady, byli osobiście zanurzeni w stalinizmie, byli marksistami i byli w partii — z wyjątkiem jednego tylko Herberta. Wygląda na to, że pani Grudzińska nie czytała książki albo niewiele wie o polskiej literaturze. Bo nie byli zaangażowani w stalinizm, marksizm i nie byli nigdy w partii także Jan Józef Szczepański i Jan Józef Lipski. Również Zbigniew Kubikowski nigdy nie był w partii. Nie pisali także wierszy „na chwałę" choćby jednego przywódcy (str. 130).

Dalej: Sowieci okupowali Lwów od 1939 roku, a nie 1940, jak pisze Grudzińska (str. 132)! Polska w czasie „hańby domowej" nie była *indépendante* (str. 129), jak czytamy. Nie tylko okupacja hitlerowska poraziła naród, jak się tam pisze (str. 129), lecz i sowiecka. Katyń nie był jakąś *affaire* (str. 129), lecz *crime*. Inteligencja polska przed wojną nie była lewicująca *(gauchisante)* w całości *(dans son ensemble)*, jak chce autorka (str. 130). Była przede wszystkim centrowa, także lewicowa, ale i prawicowa. Wreszcie perspektywa objęta w mojej książce nie wynosi pięciu lat (str. 130), lecz o wiele więcej.

O sądach merytorycznych nie chcę pisać. Pozostawiam autorkę z jej — jak pisze — „nienasyconym głodem".

Obcy czytelnik, który nie może sprawdzić sądów pani Grudzińskiej, pozostaje bezbronny. Ale jej nie drży pióro, mimo że pisze do tak szacownego pisma jak *L'Autre Europe*.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Jacek TRZNADEL

NOTA BIOGRAFICZNA

Janusz TYSZKIEWICZ-ŁĄCKI, 1900-1987, urodził się w Połądze na Żmudzi w rodzinnym majątku. W latach dwudziestych był ochotnikiem podczas wojny z bolszewikami, ożenił się z Elżbietą z Zamoyskich i został zaadoptowany przez bezdzietnego wuja, Stanisława Łąckiego. Odziedziczył po nim nazwisko i klucz Posadowo w poznańskim.

Pamiętnik, który mi zostawił, pisany w ciągu 3-ch ostatnich lat swego życia, dotyczy tylko okresu od mobilizacji w 1939 roku do końca roku 1941, do kiedy był adiutantem gen. Sikorskiego.

SPIS TREŚCI

Józef Lewandowski: *Ludowe Wojsko Polskie* 3
Andrzej Suchcitz: *Archiwa wywiadu polskiego po 1945 r.* 23

KATYŃ

Aleksander Akuliczew, Aleksander Pamiatnik: *Katyń: potwierdzić czy zaprzeczyć?* 34
Płk Van Vliet: *Relacja amerykańskiego oficera* 38

WYWIADY „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH"

Jacek Trznadel: *Czarodziejska góra komunizmu — Rozmowa z Jackiem Łukasiewiczem (13 lutego 1981)* .. 50

WSPOMNIENIA

Janusz Tyszkiewicz-Łącki: *Byłem adiutantem gen. Sikorskiego* 68
Krys Dołęga: *Moja służba w armii sowieckiej* 90
(pk): *Korespondencje Kazimierza Wierzyńskiego z Białorusi (sierpień 1919)* 131
Jerzy Kostrowicki: *Dziennik VII batalionu 77 pp AK z operacji wileńskiej, lipiec 1944* 151

DOKUMENTY

Agata Tuszyńska: *Raporty dyplomatów francuskich z Warszawy 1863 roku* 165

RECENZJE

Jerzy Korczak: *Pisanie o Wrześniu* 191

Anna M. Cienciała: *Polityka Francji i Anglii w okresie międzywojennym* 196

Tadeusz Wyrwa: *Stosunki francusko-polskie w okresie „dziwnej wojny" (wrzesień 1939 - czerwiec 1940)* .. 213

POLEMIKI

W. M. Drzewieniecki: *Jeszcze o planowaniu operacyjnym w roku 1939* 222

OKRUCHY HISTORII

Gen. Stefan Rowecki: *Kto nami dowodził?* 226

LISTY DO REDAKCJI

List otwarty do Jana Nowaka w sprawie jego oskarżeń pod adresem Józefa Mackiewicza 234

Jerzy Krzyżanowski: *Uwagi nt. wspomnień Adama Bienia o procesie szesnastu (Zeszyty Historyczne* nr 87) .. 235

Z. S. Siemaszko: *Sprostowanie do artykułu Cz. Miłosza „Koniec Wielkiego Xięstwa" (Kultura* nr 5/500, 1989) 236

J. Trznadel: *Polemika z recenzją A. Grudzińskiej z książki „Hańba domowa" J. Trznadla* 236

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 25 JUILLET 1989
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIIIe).

Dépôt légal : 3e trim. 1989.
N° d'imprimeur 9798.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

F 80